

Ariana Franklin

Tajemnica grobowca

Adelia Aguilar 03

Przekład: Katarzyna Przybyś-Preiskorn

Tytuł oryginału: *Grave Goods*



Datchworthowi

Rozdział 1

Wtedy rozgniewał się Pan na swój lud w Somerset i pokarał go za grzechy trzęsieniem ziemi, które spadło na nas zaraz po dniu świętego Stefana, roku Pańskiego 1154...”, zapisał pośpiesznie brat Caradoc, przysiadłszy w kącie kaplicy świętego Michała na szczycie wzgórza Tor w Glastonbury. Przed dwoma dniami wdrapał się na nie z trudem, dysząc i jęcząc, byle znaleźć się dalej od zniszczeń, do jakich spodobało się Bogu doprowadzić w dolinach. Od tego czasu tkwił na szczycie wzgórza wraz ze współbraćmi z zakonu, nie odważywszy się pójść na dół z powodu wstrząsów wtórnych, od których drżały ściany świątyni. Z przerażeniem patrzyli, jak kolejne, potężne morskie fale zalewają maleńkie, nisko położone sadyby, rozrzucone na wysepkach wśród mokradeł Avalonu.

Dwa dni minęły, a chuderlawy, wiekowy Caradoc, wciąż mokry od morskiej wody, dalej narzekał na ćmiący ból w piersi. Kiedy ziemia zadrżała, mnisi porzucili swoje zajęcia w dygocących murach opactwa i zaczęli umykać na wzgórze Tor, które zawsze było ich opoką w czasach zagłady. Pobiegł wraz z nimi, choć w uszach brzmiał mu srogi głos świętego Dunstana. Święty, choć zmarł z górą sto sześćdziesiąt lat temu, napominał braciszka surowo, by zawrócił i zabrał ze sobą kronikę Glastonbury, mówiąc: „Caradocu, Caradocu, spełnij swoją powinność, choćby niebo miało ci spaść na głowę”.

Ale z góry leciały kawałki muru, zapewne znacznie cięższe od nieba, więc brat Caradoc nie odważył się pobiec do biblioteki opactwa i zabrać z niej księgi w oprawie nabijanej drogimi kamieniami. Zresztą i tak nie dałby rady wnieść ciężkiego wolumenu po stromiźnie. Nawet łupkowe tabliczki, które zawsze miał przywiązane do sznura habitu, okazały się ciężarem niemal ponad siły starca, gdy z trudem wdrapywał się na stożkowane wzgórze, wznoszące się ponad sto pięćdziesiąt metrów nad doliną. Trochę pomógł mu siostrzeniec Rhys, który pchał go, ciągnął, i zachęcał okrzykami do dalszych wysiłków, ale wspinaaczka i tak była okropna, po prostu okropna.

Teraz, skulony w zimnej, suchej, nienaruszonej wstrząsami kaplicy, którą zbudował sam Józef z Arymatei, by umieścić w niej naczynie z Ziemi Świętej ze świętą krwią i potem Chrystusa, brat Caradoc wypełniał obowiązek klasztornej kronikarza. Przepraszając w myśli świętego Michała, że używa jego ołtarza jako stołu i wysilając zmęczone oczy, spisywał wydarzenia z ostatnich dni na łupkowych tabliczkach oświetlonych wątlym płomykiem świeczki. Później przepisze je na czysto na welinowych stronicach Wielkiej Księgi.

„I rozlegał się głos Pana pośród krzyku ludzkiego i bydłęcego ryku, gdy zatrzęsa się

ziemia i otwarła czeluść pod nimi, a drzewa potężne zaczęły upadać, zaś od przewróconych świec zajęły się domy i szczyły w pożodze i trzasku płomieni”.

Ból w piersi nasilił się, a cień świętego Dunstana znów zaczął go napominać: „Pamiętaj o Księdze. Musisz ocalić Księgę, Caradocu. Historia wszystkich naszych świętych nie może odejść w zapomnienie”.

– Jeszcze nie doszedłem do wielkiej fali, mój panie. Niech choć zapiski na łupku o niej wspominają – odparł i pisał dalej.

„Najgłośniej zaś słyhać było głos Pana w huku nadchodzącej fali, która wzniosła się w zatoce wyżej niż wieże katedry i jak błyskawica pomknęła w górę ująć rzek na nizinie Somerset, zrywając mosty i zatapiając wszystko po drodze. Dzięki boskiemu miłosierdziu ogarnęła jeno dolne poziomy naszego opactwa, więc mury jego wciąż stoją, lecz zaiste...”

„Księga, Caradocu. Poślij po nią choćby tego nicponia, swojego bratanka”.

Brat Caradoc spojrział na współbraci, którzy spali skuleni jeden przy drugim, by choć trochę się ogrzać. Niektórzy chrapali.

– Ale on śpi, panie.

„A kiedyż ten chłopak nie śpi? – odparł nieco sarkastycznie święty Dunstan. – Albo chrapie, albo śpiewa pieśni nieodpowiednie dla pobożnych uszu. Żaden z niego mnich. Kopnij go tęgą, niech się obudzi”.

Brat Caradoc delikatnie trącił stopą chude kostki młodzika.

– Rhys, Rhys. Obudź się, *bach*.

Rhys, nowicjusz, był na swój sposób dobrym chłopcem, a w dodatku Pan obdarzył go cudownym tenorem, ale święty Dunstan miał rację: bardziej pociągało go śpiewanie świeckich pieśni niż psalmów. Mnisi bezustannie go za to strofowali i starali się go zająć pracą, by nie folgował swojemu lenistwu. Młodzik był tak zmęczony, że tylko mruknął coś pod nosem i spał dalej.

– Dobrze już, dobrze, odpoczywaj sobie...

Caradoc wrócił do pisania. Nie wspomniał jeszcze o rozpadlinie, jaka powstała na cmentarzu. Tak, trzeba o tym koniecznie opowiedzieć. Zaiste, gdy uciekał byle dalej od kołyszących się budynków, ujrzał, jak rozstępuje się ziemia na cmentarzu opactwa, pomiędzy dwiema piramidami, które tkwiły tam od początku świata. „Zdało się – pisał – że nadchodzi koniec świata i Wszechmogący zaraz zagrzmie w trąby Sądu Ostatecznego, aby martwi powstałi z mogił”.

„Księga, mnichu! – huknął święty Dunstan. – Caradocu, czyż pozostawisz zapis dni naszych na pastwę grabieżcom?”

Nie, za nic by do tego nie dopuścił. Tak więc odłożył rysik i ruszył ku drzwiom kaplicy, choć jego ciałem wstrząsało drżenie nie do opanowania, a ból w piersi wzmógł się, jakby ktoś wbił mu tam żelazny pręt. Wyszedł na zewnątrz i potykając się, powędrował krętą ścieżką. Nagle zdał sobie sprawę, że dla niego trąby dnia ostatecznego zagrały już ostatni capstrzyk i że musi podjąć próbę uratowania Księgi, choć będzie go to kosztowało życie. Poczul też, że pragnie wydać ostatnie tchnienie w murach ukochanego opactwa, w którym spędził trzydzieści lat swego życia.

Jego oddech słabł coraz bardziej, gdy niepewnym krokiem schodził ze wzgórza, potykając się co krok na nierównej ścieżce i jęcząc tak, że pasące się po obu stronach owce płoszyły się i rozbiegały pędem na wszystkie strony. Siła ciężenia tym razem jednak mu sprzyjała i zawiodła go pod bramę opactwa, która otwarła się na oścież pod dotykiem jego dłoni, przeprowadziła pod ozdobnym, normańskim sklepieniem łukowym i powiodła aż do warzywnika, gdzie padł na ziemię wśród główek sałaty, uprawianych pracowicie przez brata Petera. Nie miał już sił iść dalej.

Z łagodnego zbocza roztaczał się widok na kościół. Tu i ówdzie widoczne były zniszczenia: stara dzwonnica legła w gruzach, a w niektórych miejscach mur popękał tak, że można było zajrzeć przez dziurę do świątyni. Jednak fala nie dotarła tak daleko, więc Wielka Księga i wszystkie relikwie świętych pozostawały bezpieczne. W dali, za murami opactwa, majaczyły zabudowania wioski – ciche i spokojne. Z kominów nie unosiła się ani jedna smużka dymu, a zielone pastwisko pokrywały brudnobiałe plamy – ciała potopionych owiec.

Caradoca chwycił za gardło żal z powodu tych martwych ludzi i zwierząt, zamokłych stogów siana, zgnieczonego zboża. Tych, co przeżyli, czekały ciężkie lato i jeszcze cięższa zima.

Ale święte Glastonbury uniknęło klęski. Opactwo było piękne, niewiarygodnie piękne: lśniło w blasku księżyca jak kryształ i odbijało się w otaczających je wodach. Prawdziwa szklana wyspa, Szklana Wyspa...

Gorączkowo wciągał powietrze, które z trudem docierało do płuc. Odwrócił głowę, by spojrzeć na cmentarz, który wkrótce miał go przyjąć na spoczynek.

Kątem oka zauważył ruch. Od strony bramy głównej opactwa zbliżały się trzy zamaskowane postacie, z wysiłkiem ciągnąc na sznurze jakiś ciężar. Były zbyt daleko, by mógł coś usłyszeć. Wyglądały zupełnie jak duchy. I może rzeczywiście to duchy, pomyślał, bo komu chciałoby się trudzić wśród tego zniszczenia, i to w dodatku w nocy, gdy pomilkły nawet sowy i słowiki?

Nie miał pojęcia, czym było brzemień ciągnięte na sznurze. Wyglądało z daleka jak

wielki pień drzewa albo łódź. Dopiero gdy postaci zbliżyły się do rozpadliny, powstałej w czasie trzęsienia ziemi, rozpoznał trumnę.

Tajemnicze zjawy opuściły ją w głąb rozpadliny, a potem uklękły wokół. Z gardła jednej z nich wydobył się krzyk rozpaczny:

– Arturze... Arturze. Niech Bóg zmiłuje się nad twoją duszą i nade mną.

– Czy to oznacza, że król Artur naprawdę nie żyje? – jęknął umierający mnich.

Caradoc, choć od trzydziestu lat nosił mnisi habit w Glastonbury, wierzył, że król Artur tylko odpoczywa, czekając, aż nadejdzie chwila, gdy powstanie z grobu, by walczyć z hufcami szatana. A jego miejsce spoczynku znajdowało się właśnie tutaj.

Avalon było opactwem Glastonbury. Glastonbury było Avalonem, Szklaną Wyspą, a gdzieś wśród wzgórz, pełnych ukrytych grot i kryształowo czystych źródeł, spał król Artur – Artur Bohater, Artur Walijczyk, który stawiał opór morskim najeźdźcom i podtrzymywał płomień chrześcijaństwa tłący się w Brytanii w mrocznych czasach wczesnego średniowiecza.

Caradoc radował się zatem, że mógł służyć Bogu w miejscu, do którego przywieziono Artura, by uleczyć go z ran, które odniósł podczas swej ostatniej wielkiej bitwy.

Czy scena rozgrywająca się na cmentarzu oznaczała, że umarł? Że wielki król Artur nie żyje?

Ziemia znów zadygotała, ale tym razem lekko i sennie jak pies szykujący się do drzemki. Caradoc ponownie usłyszał głosy, ale tym razem wołały go po imieniu. Ktoś podtrzymał mu głowę. Podniósł wzrok i zobaczył zaniepokojone oczy siostrzeńca.

– Posłuchaj, *bach* – próbował mu powiedzieć. – Posłuchaj, pochowali tu króla Artura. Trzech wojów w opończach z kapturami. Popatrz tylko.

– Leż spokojnie, wuju – odparł Rhys i zawołał głośno do mnichów, którzy widocznie szukali Caradoca na wzgórzu: – Znalazłem go. Chodźcie tutaj.

– Tam, chłopcze – upierał się Caradoc. – Między piramidami, w tej szczelinie. Tam opuścili trumnę. Słyszałem, jak po nim płakali.

– Miałeś wizję, wuju? – spytał Rhys. Spojrzał w stronę cmentarza, ale nikogo tam nie było.

– Widziałem wszystko wyraźnie – rzekł Caradoc. – Ogarnia mnie smutek, że Artur nie żyje.

– Odpocznij, pomoc jest już blisko – pocieszył go siostrzeniec i żeby uspokoić starego człowieka, zaczął śpiewać. Nie był to jednak hymn, a kołysanka o Arturze Pendragonie, którą w Walii matki często nuciły swoim dzieciom.

*Kraina rozbrzmiała hucznymi pieśniami,
Płatnerze ostrzyli brzeszczoty,
Plusk fali wzbudzonej śmigłymi wiosłami
Zaniosło echo do grotty.*

Caradoc uśmiechnął się i zamknął oczy.

– Dobrze już, dobrze – szepnął. – Przynajmniej spocznę tam, gdzie król Artur. W godnej kompanii.

Gdy nadeszli zdyszani mnisi, Rhys ciągle śpiewał, kołysząc w ramionach martwe ciało wuja.

Pochowali brata Caradoca następnego dnia. Nie wiadomo, czy na cmentarzu rzeczywiście powstała rozpadlina. Nawet jeśli tak się stało, zniknęła podczas ostatniego wstrząsu i ślad po niej zagał.

Rhys ap Griffud nikomu nawet słowem nie wspomniał o tym, co widział jego wuj. Choć rzeczywiście nie nadawał się do stanu zakonnego i dobrze o tym wiedział, był jednak Walijszym do szpiku kości i wcale nie zamierzał informować podłych Anglików, że król Artur umarł.

Tak więc przez dwadzieścia pięć lat piramidy strzegły miejsca, w którym stary mnich widział pogrzeb króla Artura, i nikt się nie domyślał, kto między nimi spoczywa. Do chwili gdy...

...w marcu roku Pańskiego 1176 gwałtowny powiew wiatru poniósł się wzdłuż wąwozu w walijskich górach, pochylając łodygi tataraku i płomienie pochodni oraz rozwiewając włosy uciętych głów nabitych na piki. Upiorna aleja prowadziła aż do namiotu Plantageneta. Żdźbła trawy, liście i gałęzie rozchwiały się, jakby chciały czemuś gorączkowo przytaknąć.

Głowy wojowników, którym przebito ostrzem ich walijskie mózgi, nie mogły już niczemu przytakiwać, za to lekko się obracały. Martwe oczy spoglądały to na dno wąwozu, gdzie angielscy żołnierze kopali wspólne mogiły, to na utykającą postać w zbroi, która wspiwała się na strome zbocze, wlokąc za sobą kobietę.

Gdy dotarli do głów wbitych na piki, kobieta zaczęła głośno lamentować po walijsku, przyglądając się po kolei wszystkim martwym twarzom. Zdaje się, że wykrzykiwała imiona zmarłych wojowników.

Zbrojny zatrzymał się, sapiąc. Kobieta była krzepka i musiał zadać sobie sporo trudu,

żeby ją tu doprowadzić.

– Posłuchaj no. Zginęli w bitwie. Bitwa. Rozumiesz? Moich chłopców trochę potem poniosło i dlatego im to zrobili. To wszystko. Król nie ucina głów jeńcom, a w każdym razie nie robi tego często. To dobry król. Dobry król.

Kobieta jednak nie rozumiała ani słowa, niezależnie od tego, jak dobitnie starał się je wymawiać.

– *Duw, Duw* – rozpaczała, wznosząc ramiona ku niebu. Musiał ją popchnąć od tyłu. Dopiero wtedy ruszyła przed siebie.

Największy namiot miał rozchylone poły; w środku, w blasku światła, rysowała się sylwetka Henryka II, który stał przy wejściu, odziany w zbroję, i wrzeszczał. Obiektem jego furii był szereg związanych mężczyzn, których zmuszono, by przed nim uklękli. Jakiś giermek pracowicie rozwiązywał rzemienie królewskiej kolczugi, a potem zdjął ją delikatnie i wyniósł.

– Po co wyście to zrobili, durnie jedne. No po co! – huknął król i zwrócił się do stojącego obok tłumacza: – Powtórz to. Powiedz im, że zawarłem pokój z ich wodzem Deheubarthem, czy jak tam ten łajdak każe się nazywać. Nie będą musieli płacić mi wyższych podatków, bo jestem ich królem. Wszystko zostanie po staremu – dodał i umilkł na chwilę. – No, może prawie wszystko – zreflektował się. Przycisnął kawałek płótna do ramienia, by powstrzymać krwawienie. – Zobacz, co mi zrobili. Powiedz, że musiałem poprowadzić bardzo kosztowną kampanię, by stłumić ten ich parszywy bunt, straciłem mnóstwo dobrych ludzi, oni też stracili mnóstwo dobrych ludzi, przez wiele dni będę miał niesprawną rękę od tarczy i w związku z tym obłożę ich takimi karami, że im mózgi uschną, jeśli oczywiście mają mózgi i jeśli najpierw im tych mózgów ze łbów nie wytlukę. Powiedz im to. I powiedz im jeszcze, że Artur nie żyje.

Na dźwięk tego imienia klęczący wojownicy unieśli głowy i jak jeden mąż krzyknęli:

– *Bywyd hir Arthur!*

– Artur wiecznie żywy – odpowiedział usłużnie tłumacz.

Henryk Plantagenet westchnął z irytacją.

– Wiem, co to oznacza – oświadczył i wskazał na swoje zakrwawione ramię. – Ten drań, który mi to zrobił, wrzeszczał mi w twarz te słowa. Wszyscy to zresztą robili. Powiedz im, że Artur nie żyje. Jestem z niego dumny, jak mało kto, ale urodził się siedemset lat temu, i... Jesteś wreszcie, biskupie! Kogo tu, do diaska, przyprowadziłeś?

Do namiotu wszedł mężczyzna w zbroi, a za nim owa potężnie zbudowana Walijka.

Rowley, biskup St Albans, zdjął hełm i kaptur, pocierając nos w miejscu, gdzie stykał

się z chroniącym go metalowym nosalem.

– Ta kobieta jest chyba z wioski w dolinie, miłościwy panie. Zatrzymano ją, gdy oglądała trupy. Zdaje się, że szukała syna.

– I chyba go znalazła – odparł Henryk.

Walijka wydała głośny okrzyk i rzuciła się w ramiona jednego z więźniów, wykrzykując coś radośnie.

– Tak, to z pewnością jego matka – dodał władca, gdy kobieta gwałtownie spoliczkowała odnalezionego wojownika. – Żona byłaby raczej szczuplejsza i młodsza – stwierdził z przekonaniem.

St Albans zignorował komentarz.

– Panie, jeden z naszych ludzi mówi trochę po walijsku i wydaje mu się, że ta kobieta ma nam coś ważnego do przekazania. W zamian pragnie, żebyśmy uwolnili jej syna.

– A co ona mogłaby, u diabła... dobrze, niech będzie. Fulku, wyprowadź pozostałych z wyjątkiem tego człowieka i tej damy. I przyślij tu tego oszczynogę rzeźnika, który każe się nazywać medykiem.

Fulk wydał gestem polecenie dwóm wartownikom, którzy kopniakami zmusili więźniów, by wstali z klęczek.

– Mamy ich powiesić?

– Nie, Fulku, zostaw ich w spokoju – odparł Henryk ze znużeniem. – Chcę ich wcielić do wojska, żeby nauczyli tego i owego moich zakichanych łuczników. Nic z tego nie będzie, jeśli zadyndają na gałęzi. – Gdy więźniowie wychodzili, król wskazał Rowleyowi niezwykle długi łuk stojący w kącie. – Jak oni to robią? – zapytał. – Sam ledwo mogę go zgiąć, a te chuderlawe kurduple naciągają go ot tak sobie, jakby to była rączka od pompy.

– Bez wątpienia jest to umiejętność, którą warto byłoby opanować – odparł Rowley i zabrał się do ściągania nogawic.

– I na jaką głębokość to razi... Jeden spudłował i trafił w drzewo zamiast we mnie. Potem wyciągnąłem strzałę. Przysięgam, weszła na dwadzieścia pięć centymetrów w głąb, dwadzieścia pięć centymetrów w żywe dębowe drewno. Gdyby nie powiał wiatr...

– Mnie również uratował. Strzała zeszła z celu i straciła większość mocy – powiedział Rowley i z niesmakiem spojrział na ranę w łydce. – Trafiła mnie i, niech to piekło pochłonie, wbiła mi w ciało parę ogniów z nogawic.

– No to czeka cię przyżeganie. – Król poweselał. – Owain, powiedz mi, chłopcze, o co się ta dwójka teraz wyklóca?

Tłumacz, starszawy Walijszyk z pogranicza, obdarzony cenną umiejętnością wtapienia

się w tło tak, że stawał się niemal niewidoczny, przysłuchiwał się rozmowie, którą matka i syn toczyli przy wejściu do namiotu; większość kwestii wypowiadała kobieta.

– O całkiem ciekawe sprawy, panie. Namawia go, żeby opowiedział ci coś o Arturze. Wspomniała o Glastonbury i jakiejś wizji...

– O Arturze? – Król, który tymczasem wygodnie się rozsiadł, nagle się wyprostował.

– Z tego, co zrozumiałem, jej syn nie jest żołnierzem z powołania. Jakiś czas temu przebywał ze świętymi mężami w Glastonbury i ona chce, żeby ci opowiedział o czymś, co się tam zdarzyło. Chodzi o jakąś wizję i o pogrzeb... nie do końca rozumiem, co to ma znaczyć.

– Był w Glastonbury? To znaczy, że umie mówić po angielsku?

– Na to wygląda, ale chyba niezbyt chętnie.

Henryk obrócił się do pazia, który zgiął się w ukłonie.

– Przynieś pień katowski. I wezwij z powrotem Fulka. Powiedz mu, żeby zabrał ze sobą topór.

W ciszy, która zapanowała w namiocie, rozlegały się tylko łkania i błaganie kobiety. Co jakiś czas powiew wiatru rozżarzał kłody, palące się na trójnogu. Cienie siedzących wokół ognia mężczyźni pogłębiały się wtedy na chwilę, a potem znowu bladły.

W wejściu do namiotu stanął medyk z pomocnikiem. Otaczał ich metaliczny zapach krzepnącej krwi, którą mieli umazane ręce i odzież.

– Jak tam De Boeuf? – spytał król.

– Jest dla niego nadzieja, panie. Trzydzieści szwów, ale zaiste, jest nadzieja.

– A sir Gerard?

Medyk pokręcił głową.

– Obawiam się, że nic z tego.

– Psiakrew – zaklął król. Medyk ujął go za ramię, by obejrzeć ranę, ale Henryk wyrwał się jednym szarpnięciem. – Zajmij się najpierw biskupem. Jego rana wymaga przyżegania.

– Podobnie, jak i twoje ramię, panie. To głębokie rozcięcie. – Z tymi słowami medyk ujął pogrzebacz leżący na trójnogu i wsunął go głęboko w żar.

W namiocie zjawił się Fulk w towarzystwie pazia, który ugiął się pod ciężarem potężnego topora. Kat niósł w objęciach solidny pniak, tuląc go do siebie jak niemowlę. Ustawił go na ziemi, wyjął topór z rąk chłopca i, gdy król skinął głową, złapał opierającego się więźnia, zawlókł go do pniaka, rzucił na kolana i podstawił mu topór pod nos. Ostrze załśniło w blasku płomieni.

– Wyprowadźcie kobietę – polecił Henryk. – Nie, najpierw spytajcie ją jak ma na imię

ten człowiek.

– Rhys – wtrącił tłumacz.

– A więc, mój Rhysie... – król odczekał, aż paż, nie bez trudności, wyprowadzi rozpaczającą Walijkę z namiotu – ...powiedz mi, co wiesz o Arturze.

Przerażony więzień mrugał nerwowo. Był wysoki i chudy, miał około trzydziestki, krzywe zęby i strzechę jasnych włosów. Za to jego głos brzmiał niezwykle pięknie. Gdy wyprowadzono towarzyszy niedoli, krzyki matki zza namiotu tłumiły większość odgłosów, a ostrze topora lśniło o kilka centymetrów od jego nosa, mężczyzna bez oporu zaczął owym urokliwym głosem udzielać odpowiedzi na wszystkie pytania.

Nie, nie walczył w szeregach buntowników. W ogóle nie miał walczyć, zabrali go tylko ze sobą, by potem ułożył pieśń o ich bohaterstwie. Osobiście był bardzo zadowolony z panowania króla Henryka Plantageneta, zresztą to nazwisko jest jak wymarzone dla bohatera pieśni pochwalnej, którą chętnie skomponuje na żądanie króla.

Tak, rzeczywiście, przez rok był nowicjuszem w Anglii, w Glastonbury. Jego wuj Caradoc ap Griffud był tam mnichem, ale on sam, Rhys ap Griffud ap Owein ap Gwilym...

Fulk uderzył go w twarz.

...uznał, że jego powołaniem jest żywot barda, i wrócił pieszo do Walii, by nauczyć się gry na harfie. Został naprawdę doskonałym pieśniarzem, a jego *Marwnat Pwyll*, to znaczy *Pieśń pogrzebową dla Pwylla*, uznano za najwspanialszą kompozycję od czasów, gdy Taliesin...

Fulk uderzył go po raz drugi.

Dobrze, zatem opowie o wizji. Jego wuj, Caradoc, widział, jak trumnę Artura opuszczano do ziemi i słyszał lament żałobników. Wydarzyło się to zaraz po trzęsieniu ziemi. Straszne to były dni, gdy ziemia kołysała się jak pokład okrętu...

Kolejne uderzenia nic nie pomogły; bard wcale nie próbował się wymigać od zeznań, tylko nie potrafił się trzymać tematu. Trzeba było po prostu przeczekać potok jego wymowy.

– A więc twój wuj miał wizję, podczas której ujrzał pogrzeb Artura – stwierdził w końcu znużony król. – Było to na cmentarzu mnichów w Glastonbury, pomiędzy dwiema piramidami.

– Tak, tak, to bardzo stare piramidy, bardzo egzotyczne...

– Wyprowadź go, Fulk. Tylko trzymaj z dala od reszty, bo raczej nie będą dla niego mili po tym, co mi powiedział. – Henryk odwrócił się w stronę biskupa. – Co o tym myślisz, Rowley?

Biskup St Albans skupił w tym momencie całą swoją uwagę na szczytach, którymi

medyk dłużej w jego ranie, by wyciągnąć z niej potrzaskane ogniwa nogawicy. Z pewnym wysiłkiem odpowiedział:

– Bywają prawdziwe wizje, nie mówię, że nie. Ale tu mamy do czynienia z majaczeniem konającego starca...

– Ale chyba warto o tym wspomnieć mnichom z Glastonbury, co? – nalegał król. Widząc, że nie przekonał swego przyjaciela, dodał: – Słuchaj, synu, zależy mi, żeby Artura uznano za umarłego. Jeśli w tej rozpadlinie coś tkwi, chcę, żeby to wykopali i pokazali wszystkim parszywym Celtom, stąd do samej Bretanii. Koniec z buntami, które wybuchają w nadziei, że jakiś wojownik z zamierzchłych czasów poprowadzi lud do wolności. Chcę mieć szkielet Artura i chcę, żeby ludzie mogli go do woli oglądać.

– Jeśli nawet coś tam znajdziesz, Henryku, to i tak będziesz musiał to jakoś udowodnić.

Końcówka pogrzebacza na trójnogu rozgrzała się do białości. Medyk wyjął ją z ognia.

Henryk II obnażył drobne, ostre zęby w uśmiechu, gdy podstawił ramię do zabiegu. Wiedział już, jakie korzyści może wyciągnąć z całej tej sprawy.

– Dobrze wiesz, kto może to udowodnić... na świętego Patryka! – W namiocie rozszedł się swąd palonego mięsa.

– Tylko nie ona, panie – poprosił biskup, obserwując koniec pogrzebacza, zbliżający się ku jego nodze. – Przecież ona – na rany boskie... ona... ooch... zasłużyła już na chwilę spokoju. Ja zresztą też.

– Rowley, ona odkrywa dla mnie tajemnice umarłych. Za to jej płacę.

– Nic jej jeszcze nie zapłaciłeś.

– Jesteś pewien? – zdziwił się król. Po chwili zastanowienia oznajmił: – Jeśli tylko potwierdzi śmierć Artura, zapłacę każdą sumę, jakiej zażąda.

Rozdział 2

– Moje drogie dziecko, musisz uciekać, i to zaraz – błagał przeor Geoffrey. – Zrozum mnie, proszę. Jeśli wezwą cię razem z Mansurem przed konsystorz, nie będę mógł was ocalić. Wątpię, czy nawet biskupowi by się udało. Posłaniec dotrze tu jeszcze dziś. Będzie miał ze sobą ludzi, żeby was obezwładnić.

– To dziecko zostało utopione – powiedziała Adelia. – Dobry Boże, ktoś wrzucił je żywcem do rzeki... ma wodorosty w tchawicy. Proszę popatrzeć! – Z tymi słowy podniosła niewielką rurkę rozciętą skalpelem na pół. – Znaleziono troje takich noworodków w ciągu trzech lat, a Bóg jeden wie, ilu ciałek nigdy nie odkryto.

Przeor kanonii Cambridge rozejrzał się wokół, szukając pomocy, uważał jednak, by jego wzrok nie padł na nieszczęsne, poszatowane ciało, spoczywające na stole okrytym grubą, woskowaną materią. Niegdyś taki widok wzbudziłby w nim słuszne oburzenie; zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by ukarać sprawczynię za grzech wołający o pomstę do nieba. Nawet i dziś z drżeniem myślał, jak wyjaśni swoje pobłażliwe zachowanie, gdy stanie u stóp boskiego tronu. Wiele się jednak nauczył od chwili, gdy w jego życiu pojawiła się Vesuvia Adelia Rachel Ortese Aguilar, medyczka kształcona w Szkole Medycyny w Salerno – jedynej uczelni w krajach chrześcijańskich, gdzie tolerowano i kształcono kobiety. W dodatku pojawiła się po to, by uratować go od niechybnej śmierci.

Wiedział, że tym razem nie pomoże jej sprytny wybieg, który polegał na tym, że Mansur, jej arabski asystent, podawał się za medyka, a ona była jedynie jego pomocnicą i tłumaczką. Po pierwsze, mało kto w to już wierzył, a po drugie, jej współpracownik był przecież Saracenenem, a zatem heretykiem, i samo to wystarczało, by zaprowadzić ją na szubienicę.

Przeor nie raz zastanawiał się, jak znajomość z tą niezwykłą i niebezpieczną kobietą wpłynie na jego reputację, szczególnie w oczach Pana. W obecności Najwyższego będzie niechybnie musiał błagać o wybaczenie i tłumaczyć się za swoje i jej uczynki. Zapyta zatem Pana, dlaczego grzechem jest, gdy kobieta nauczy się leczyć choroby równie dobrze jak mężczyźni. Czyż kobiety nie są naturalnymi opiekunkami słabszych? Czyż jego święty sługa Paweł nie polecił w liście do Koryntian, „Nie zawiążesz gęby wołowi, który zboże wymłóca?” O Panie, jeśli mamy zboże, to jakie ma znaczenie, że wymłóci je krowa, nie wół?

Naturalnie, będzie musiał przyznać, że Adelia kroїła zwłoki. Ale powie też, że dzięki temu odkrywała sprawców morderstw i stawiała ich przed obliczem sprawiedliwości. Z

pewnością spodobało Ci się to, Panie.

Westchnął. Bóg niewątpliwie strąci go do piekła za takie impertynencje. Tak, narażał dla tej kobiety swoją duszę, bo pokochał ją jak córkę.

Wejrzyj też, Panie, na to, że ona jest na swój sposób pokorna. Trudno znaleźć uboższą siedzibę niż jej chatka w Waterbeach.

Była to typowa chałupa, jakich setki stoją na moczarach Cambridgeshire, choć nieco większa niż przeciętnie; ściany z drewna i zaprawy okrywał dach z sitowia, podłogę stanowiło zwykłe klepisko, na przygórek z miejscami do spania wchodziło się po drabinie; kilka siedzisk również wpleciono z sitowia. Ani jednego przedmiotu w tym domu nie wykonano z kamienia, bo na moczarach nie było kamieni. W obejściu nie trzymano żadnych zwierząt oprócz jednego odpychającego kundla imieniem Strażnik. Jedynymi stalowymi przedmiotami w dobytku Adelii były jej skalpele.

Z sąsiedniej chatki dochodził szczebiot córki Adelii. Jej nieślubnej córki. W domku tym żyła w grzechu Gyltha, która opiekowała się małą i dzieliła łożę z arabskim eunuchem, dawnym piastunem Adelii, który przyjechał za nią do Anglii z samego Salerno.

Przeor Geoffrey próbował okryć zasłoną niepamięci słowa Adelii, która kiedyś od niechcenia rzuciła, że choć kastraci nie mogą mieć dzieci, potrafią jednak utrzymać erekcję.

Wybacz jej tę bezpośredniość, Panie, bo ta kobieta inaczej nie potrafi się wysławiać.

Na zewnątrz roztaczał się widok, którego mógł pozazdrościć niejedyn król: malowane delikatną kreską i soczystymi barwami grupy olch i wierzb przeglądały się w wodach rzeki Cam. W dali wznosiły się wieżyczki zamku Cambridge, a na pierwszym planie rysował się niewielki pomost, przy którym w tej chwili kotwiczyła jego barka; od pomostu do domku wiodła wąska ścieżka.

To właśnie drzwi tego domu, zawsze otwarte dla potrzebujących, i ta ścieżka były największym problemem. Ścieżkę wydeptały setki stóp chorych i kalek z całej okolicy; wszyscy podążali nią z nadzieją na poprawę zdrowia.

Miejscy medycy – tu przeor Geoffrey zaciągnął kolejną zasłonę niepamięci, by zapomnieć o bezpośrednich opiniach Adelii na temat tych szarlatanów – stracili zbyt wielu pacjentów, którzy porzucili ich dla „doktora Mansura”, i zaczęli się uskarżać przed archidiakonem, że cudzoziemski doktor to obraza boska. Dobro chorych nie miało dla nich, oczywiście, żadnego znaczenia.

Ścieżką ową mógł w każdej chwili nadejść sądowy urzędnik i widząc pokrojone zwłoki dziecka, wytoczyć Mansurowi i Adelii proces, w wyniku którego medyczka zostałaby skazana i natychmiast wydana w ręce władz cywilnych, a potem powieszona. Nikt nie

zdołałby jej uratować.

Przeor Geoffrey dobrze znał tę kobietę; będzie walczyła jak lew o to nieżywe dziecko, które ktoś znalazł i przywiózł do niej, nie wiadomo po co. Najprawdopodobniej ojciec niechcianego noworodka wrzucił go po prostu do rzeki, bo za dużo miał w domu gąb do wyżywienia. Dla Adelii śmierć maleństwa bezdyskusyjnie stanowiła okrucieństwo, które należało ścigać i ukarać.

– Niewątpliwie stało się wielkie zło – potwierdził. – Ale teraz nic nie możemy na to zaradzić.

Adelia zaszywała rozcięcie. Przerwała na chwilę, by przemyśleć jego słowa.

– Ależ możemy – odparła. – Zastanawiałam się nieraz, czy nie powinnam zacząć uczyć kobiet, jak się w razie potrzeby zapobiega poczęciu; jest na to kilka pewnych sposobów.

– Nie chcę o nich nawet słyszeć – pośpiesznie przerwał przeor.

To by przypieczętowało sprawę. Gdyby sędziowie usłyszeli, że małżeńskie pieszczoty mogą służyć grzesznym przyjemnościom, a nie poczęciu nowego życia, zmiotłoby ją z powierzchni ziemi. Nawet on, Geoffrey, choć kochał ją z całej duszy, zadrżał na myśl o takiej zuchwałości. Czego ich tam uczą w tym całym Salerno?

Zostawił Adelię na chwilę i, unosząc haftowany skraj szaty, pośpieszył do sąsiedniego domku; zaciekawiony pies potruczał jego śladem.

Mała Allie siedziała na trawie i pod okiem Gylthy wyplatała klatkę dla ptaka; obie miały na głowach kapelusze z sitowia, które chroniły ich oczy przed ostrym blaskiem słonecznym.

Mansur klęczał na modlitewnym dywaniku twarzą na wschód i rytmicznie oddawał pokłony. Dobry Boże, było już południe. Przeor nauczył się, że jest to pora modlitwy *zuhr*. Iluż to jeszcze herezji miał być świadkiem tego dnia?

No cóż, najlepiej będzie zwrócić się do Gylthy. Kochana, rozsądna Gyltha...

Gorączkowo opowiedział jej, co się stało:

– Muszą więc stąd jak najszybciej zniknąć, Gyltho. Natychmiast.

– A gdzie my się podziejemy?

Ucieszyło go, że praktyczna Gyltha postanowiła towarzyszyć Adelii. Spokojniejszym tonem wyjaśnił:

– Jest u mnie lady Wolvercote...

– Emma? Młoda Emma jest tu, w Cambridge?

– Zrzędzeniem losu przybyła do mnie wczoraj, prosząc, bym pomógł jej was odnaleźć.

Objędzą swoje majątki i pragnie, by towarzyszyła jej Adelia. To rozwiązuje nasz problem do czasu, gdy uda mi się wymyślić coś innego.

Przeor zdjął kapelusz, wytarł czoło i zaczął się zastanawiać, jakie ma na to szanse. Szybko doszedł do wniosku, że żadne.

– Gyltho, dziś przyjdą po nią i po Mansura, a ona w ogóle nie zwraca na mnie uwagi.

Gyltha zacisnęła wargi.

– Już ja jej, psiakość, pokażę.

Zanim przeor zdążył wezwać wioślarza do pomocy w noszeniu rzeczy, Gyltha kopniakiem postawiła Mansura na nogi, popędziła wraz z Allie do chaty Adelii, zawinęła zwłoki dziecka w kawałek materiału i oddała je Arabowi.

– Masz, zakop gdzieś to maleństwo, i to szybko.

Adelia wyrwała jej zawiniątko.

– Nie w ten sposób. Należy mu się coś lepszego.

Odbył się więc należyty pogrzeb. Mansur wykopał malutki grób w sadzie, pod kwitnącą gruszą. Płatki opadały na ziemię, a przeor Geoffrey pośpiesznie recytował egzekwie, ponownie narażając swoją nieśmiertelną duszę, gdyż dziecię z pewnością nie było ochrzczone i według świętego Augustyna miało podzielić los potępieńców piekielnych, jako naznaczone grzechem pierworodnym.

Przyszło mu jednak do głowy, że ostatnio nastąpiło niejaki rozluźnienie tej doktryny w naukach Abelarda i innych. Tyle że ten Abelard... Przeor pokręcił głową, niezadowolony z własnych inklinacji ku grzesznikom tego świata.

– *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat ei. Requiescat in pace. Amen*¹. A teraz zabierajmy się stąd.

Zanim Adelia weszła do barki, obejrzała się jeszcze, by po raz ostatni rzucić okiem na angielską chatę, która przez ostatnie cztery lata była jej domem i stała się równie droga, jak kraj młodości – królestwo Sycylii.

– Tak trudno mi się rozstawać z tym miejscem. Kocham je. I kocham tutejszych ludzi – powiedziała.

– Wiem – odparł, chwytając ją za rękę. – Nie zwlekaj już.

– Ciebie też kocham – dodała.

Gdy wioślarz, zapierając się o dno długim drągiem, wprowadzał barkę w dopływ rzeki, którym można było dopłynąć na tyły kanonii św. Augustyna, spostrzegli łódkę z insygniami

¹ (łac.) – Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci. Niechaj spoczywa w spokoju. Amen (przyp. tłum.).

sądu konsystorskiego, która mknęła w górę rzeki, w kierunku Waterbeach, by postawić dwójkę heretyków przed obliczem sprawiedliwości.

Dzięki Bogu pasażerowie łódki ich nie zauważyli.

Rozdział 3

Gdy kawalkada opuściła hrabstwo Cambridgeshire i minęła stary kamień milowy, oznaczający, że znaleźli się na terenie hrabstwa Hertfordshire, Emma, lady Wolvercote, wyraźnie się odprężyła.

– No cóż, przebywanie w towarzystwie ściganych prawem przestępców było, jak by tu powiedzieć, dość emocjonujące – stwierdziła.

Kobiety uśmiechnęły się do siebie.

– Nie było, lecz jest – odparła Adelia. – Zdaje mi się, że władza biskupa bez trudu przekracza takie granice.

– A mi się zdaje, że wszystko dobrze się kończy, gdy ktoś zna właściwego biskupa. – W głosie Emmy zabrzmiał cień rozbawienia. Adelia знаła niegdyś aż nazbyt dobrze pewnego mężczyznę, który obecnie zajmował stanowisko biskupa St Albans; urodziła przecież jego dziecko.

– On teraz służy Bogu – odparła Adelia. – Wątpię, żeby mógł ze względu na mnie nagiąć prawo. Zresztą, nawet gdyby mógł, pewnie by tego nie zrobił.

Sądząc z tonu jej głosu, nie należało dłużej roztrząsać tego tematu. Emma dała więc spokój, choć umierała z ciekawości, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Poza wszystkim innym była dłużniczką Adeli, która nakłoniła króla Henryka, by nie wydawał jej za mąż po raz drugi. Do zawarcia pierwszego małżeństwa zmuszono Emmę siłą; została porwana i zgwałcona. Jej były mąż, baron Wolvercote, zginął i oby smażył się w piekle na wieki. Zostawił jednak Emmie swoje posiadłości i synka, którego uwielbiała ku swemu zdumieniu – zważywszy na okoliczności jego poczęcia.

Zwykle wdowa po jednym z rycerzy króla była traktowana jako prezent, który władca dawał – lub raczej sprzedawał – innemu rycerzowi. Co gorsza, ponieważ mąż Emmy przyłączył się do buntu przeciwko Henrykowi Plantagenetowi, jego majątki mogły zostać przejęte przez skarbiec królewski. Dzięki Adeli nie stało się ani jedno, ani drugie.

Barona Wolvercote'a powieszono – nie dlatego, że był buntownikiem, bo król Henryk zwykle wolał paktować z takimi ludźmi, kiedy już ich pokonał – ale dlatego, że skrytobójczo zamordował młodego człowieka, w którym Emma była zakochana. To Adelia wpadła na trop tej zbrodni i powiadomiła o niej króla. Za czyn ten, niechaj niebios ją błogosławią, zażądała godziwego wynagrodzenia: spokoju dla Emmy. Dla siebie nie chciała niczego. Henryk, który był niesłychanym sknerą, jeśli chodzi o pieniądze, zgodził się na taką zapłatę dla swej

„mistrzynie sztuki śmierci” – jak nazywał Adelię.

Emma z podziwem spoglądała na swoją zbawczynię, która jechała z nią teraz drogą. Oto kobieta, która przestaje z królami jak równy z równym, a niegdyś zadawała się z przyszlým biskupem... nawet bardziej niż zadawała. Jest taka... zaniedbana. Emma, która uwielbiała piękne szaty, marzyła o tym, by ściągnąć ten ponury kaptur, zasłaniający piękne ciemnoblond włosy Adellii, i odziać cudzoziemkę w elegancką suknię, uwydatniającą jej szczupłą sylwetkę, ukrytą pod bezkształtnym, burym odzieniem, przypominającym habit ubogich mnichów.

Wprawdzie Adelia wolała nie wyróżniać się w tłumie, ale w tej odzieży nie wyróżniałaby się nawet wśród zmurszałych pni drzew, pomyślała Emma. Czuła się, jakby obok niej jechała służąca. Właściwie służący Wolvercote'ów w barwnych liberiach wyglądali o wiele lepiej niż jej niezwykła towarzysza.

– Nie jest ci w tym za gorąco? – zapytała, bo słońce prażyło wyjątkowo mocno nawet jak na koniec maja.

– Nie – ucięła Adelia.

Zresztą, może i lepiej, że oczy wszystkich mijanych podróżnych kierowały się ku Emmie na ślicznej siwej wierzchowce, omijając niewysoką odzianą w brązową opończę kobietę na niedużym gniadym kucu. Żegnając się z nimi, przeor Geoffrey nalegał, by do chwili przekroczenia granicy hrabstwa Adelia wraz z Mansurem ukryli się w wozie podróżnym; egzotyczna i przerażająca postać w arabskich szatach i zawoju na głowie była zbyt dobrze znana i mogła ściągnąć im na kark pogoń, gdyż wszyscy wiedzieli, że eunuch nigdy nie oddala się od Adellii.

Teraz jednak, słusznie albo i nie, napięcie ich opuściło, jakby wyparowało w słońcu świecącym nad Hertfordshire, i Mansur z Adelią dosiedli wierzchowców.

Wędrowcy stanowili niewielką grupkę na tak niebezpiecznym szlaku, na którym napady rzezimieszków stanowiły codzienność, choć pod władzą Plantageneta drogi i tak były dużo bezpieczniejsze niż kiedyś. Emma podróżowała z piastunką swego synka, służącą, dwójką stajennych, spowiednikiem oraz rycerzem i jego giermkim. Rycerz ten, mąż potężnej postury, wyższy nawet od Mansura, już na pierwszy rzut oka wyglądał na kogoś, kto potrafi dobrze władać mieczem. Hełm z metalowym nosalem nadawał groźny wyraz jego łagodnej z natury twarzy.

– Oto Mistrz Roetger, Niemiec i rycerz, który będzie walczył za moją sprawę – przedstawiła go Emma, gdy się spotkały.

Rzeczywiście miała na myśli walkę, bo objężdżała właśnie majątki, które

odziedziczyła po mężu, nakłaniając dzierżawców do przyjęcia jej dwuletniego synka jako dziedzica – nie zawsze z powodzeniem. Jej przymusowe małżeństwo z baronem Wolvercote'em było tak nagłe i zawarte w obecności tak niewielu osób, że w skomplikowanym systemie własności feudalnej niejeden lord kwestionował prawo małego Philipa, nowego barona Wolvercote'a, do dochodów z dzierżawy, które płacili jego ojcu. Jeden ze starszych kuzynów odmówił na przykład płacenia renty z tysiąca akrów w hrabstwie Yorkshire dziecku, które nazwał bastardem i uzurpatorem.

– Bóg Pojedyneków wytłumaczył mu dobitnie, czyja to ziemia – opowiadała Emma z mściwą satysfakcją. – Mistrz Roetger rozłożył na ziemi jego czempiona zaledwie w dwadzieścia minut.

Adelia już wcześniej wiedziała, jak się rozwiązuje takie sprawy w Anglii. Próba walki. Sąd boży, *judicium Dei*. Ponieważ Wszechmogący wiedział, do kogo w rzeczywistości należy sporna ziemia, konkurenci, a raczej ich czempioni – musieli stoczyć pojedynek, czyli próbę walki w Jego niewidzialnej, lecz wszechwiedzącej obecności. Wynik pojedynku decydował o przyznaniu prawa własności, zgodnie z wyrokiem boskim.

– Bóg jest po naszej stronie – oświadczyła Emma. – W Aylesbury też tak będzie – dodała.

– Kolejna walka?

– Jest tam zamężna siostra. – Emma jak zwykle starała się uniknąć wzmianki o zmarłym mężu. – Wdowa, której wszystkie dzieci umarły wcześniej, więc odziedziczyła ładny majątek koło Tring; jednak zgodnie z prawem należy się on mojemu chłopcu. Jej szwagier, sir Gerald, podważa nasze dziedzictwo, ale to wyjątkowy sknerus i liczykrupa, więc pewnie niewiele wyda na swojego czempiona.

– A Mistrz Roetger jest pewnie bardzo drogi? – zapytała Adelia.

– Tak, musiałam go sprowadzić aż z Niemiec. Potrzebowaliśmy prawdziwego mistrza.

– Decyzja nie została więc raczej w ręku Boga, prawda?

– Och, Bóg i tak wzięłby naszą stronę. – Emma zajrzała do wyłożonej aksamitem przenośnej kołyski, w której podróżował baron Wolvercote, spokojnie ssąc kciuk przez sen. – Prawda, Pippy? Nie może być inaczej, kochanie. Bóg zawsze opiekuje się niewinnymi.

Ale tobą się nie zaopiekował, skwitowała w myśli Adelia. Na całym świecie nie było drugiej tak niewinnej, radosnej dziewczynki, wychowanki klasztoru, w którym cię poznałam. Z tego samego klasztoru porwał cię Wolvercote ze swoimi zbirami.

Nie zamierzała jednak wytykać Emmie braku logiki – nic by to przecież nie dało. Dziewczyna, naturalną kolejną rzeczą, bardzo się zmieniła. Wolvercote nie porwał jej przecież

z miłości, tylko ze względu na skrzynie z pieniędzmi, jakie miała odziedziczyć po ojcu, kupcu sprowadzającym wina.

Dzisiejsza Emma wciąż miała tę hardość, jaką dało jej bogactwo ojca, ale do tego dołączyła się obsesja związana z nieoczekiwanym odziedziczeniem ziem położonych w różnych częściach kraju: dworów, młynów, rzek, lasów z prawem wypasania świń, łąk pełnych bydła. W jej pojęciu wszystko, co stanowiło własność człowieka, który ją zgwałcił, musiało przypaść w udziale jej synowi, choćby świat miał się zawalić. Stała się zaborcza i agresywna; na jej młodej twarzy pojawiła się zaciętość i obojętność na ludzki los; dziwnie upodobniło ją to do barona, który zrobił jej tak wielką krzywdę.

Co gorsza, jej słowiczy głos umilkł. To właśnie czysty sopran Emmy, który nieskazitelnie odpowiadał chórowi zakonnicy w Godstow Abbey, gdzie pobierała nauki, sprawił, że Adelia zwróciła na nią uwagę. Zauroczył ją ten głos, który powodował, że słuchając pieśni, czuła się bliżej nieba, choć zazwyczaj nie interesowała się muzyką.

Teraz jednak, gdy poprosiła Emmę, by coś zaśpiewała, spotkała się z odmową.
– Straciłam ochotę – odparła jej towarzyszka.

Choć były przyjaciółkami, Adelia podejrzewała, że Emma poprosiła ją o towarzyszenie w podróży nie tylko dla przyjemności. Pippy urodził się przed czasem i w dalszym ciągu ważył zbyt mało jak na swój wiek, więc jego matka pragnęła przebywać w towarzystwie jedyne go medyka, do którego miała zaufanie.

Na następnej szerokiej przydrożnej łące zatrzymali się, by coś zjeść i dać koniom odpocząć.

– Czy on nie jest zbyt blady? Jak uważasz? – spytała Emma z niepokojem, obserwując, jak piastunka wyjmuje Pippy’ego z podróźnej kołyski, żeby sobie pobiegał po trawie z Allie.

Chłopczyk był rzeczywiście drobniejszy niż Allie, nawet jeśli wziąć pod uwagę różnicę dwóch lat, ale Adelia odpowiedziała:

– Przy takiej pogodzie to najlepsze, co można zrobić dla jego zdrowia.

Uważała, że dzieci powinny jak najwięcej przebywać na świeżym powietrzu i doświadczać wielu nowych rzeczy. Emmę stać było na noclegi w najdroższych oberżach, które zapewniały dobre jedzenie – kolejną rzecz niezbędną do rozwoju dzieci. W St Albans czekały ich wszelkie wygody.

Przy wjeździe do miasta Adelia była coraz bardziej podenerwowana, ale szybko się uspokoiła, gdy właściciel Przystani Pielgrzyma powiedział jej, że biskup bawi za granicą.

– Mówią, że pojechał pomagać królowi wziąć w karby Walijszyków – oświadczył. – Z naszego biskupa Rowleya jest równie dobry wojownik jak pasterz.

Do licha, pomyślała Adelia. Niepokoję się, że mogę go spotkać, a potem złoścę się, że go nie ma. Świetny wojownik, psiakość. Co on sobie wyobraża, znów pojechał gdzieś się bić?

W St Albans było mnóstwo pielgrzymów, którzy przybyli modlić się u grobu pierwszego angielskiego męczennika. Dwunastka najbogatszych przybyszów również zatrzymała się w Przystani Pielgrzyma. Aby ich dusze doznały jeszcze większego ukojenia, pragnęli dotrzeć do Glastonbury, najstarszego opactwa w Anglii, najświętszego miejsca, które podobno było także mitycznym Avalonem, co dodatkowo zwiększało jego atrakcyjność.

Z radością przystali na prośbę Emmy, by mogła ze swoimi towarzyszami przyłączyć się do nich w drodze na południowy zachód.

– Im nas więcej, tym weselej – oświadczył ich przywódca, potężnie zbudowany mieszczanin z Yorkshire.

– I bezpieczniej – dodała przeorysza z Cheshire, ze znanstwem przyglądając się Mistrzowi Roetgerowi. – Tuszę, że twój rycerz pojedzie z nami – dodała.

– Aż do Wells – odparła Emma. – Tylko po drodze będziemy musieli na dzień lub dwa zboczyć do Aylesbury, gdzie Mistrz Roetger stoczy walkę o prawo dziedziczenia mojego syna.

– Stoczy walkę?

– Próba walki? Sąd boży?

Towarzystwo przy stole ożywiło się znacznie. Wędrówka do grobów świętych zapewniała miejsce w niebie, ale wśród ziemskich rozrywek mało co mogło równać się z walką na śmierć i życie między dwoma czempionami.

Zdecydowano więc, że pielgrzymi będą lojalnie towarzyszyć nowej przyjaciółce, lady Wolvercote, zbacząc ze swej drogi, by uczestniczyć w sądzie bożym w miasteczku Aylesbury, położonym w hrabstwie Buckinghamshire.

Ponieważ tak liczna grupa wędrowców nie musiała obawiać się rabusiów, Emma mogła bezpiecznie posłać jednego ze służących do Wells z listem do teściowej, obecnie wdowy dziedziczki, lady Wolvercote, mieszkającej w jednym z majątków, które mały Pippy odziedziczył po ojcu.

– Chcę zapowiedzieć swój przyjazd – wyjaśniała Adeli. – To najlepszy ze wszystkich majątków, więc jeśli mi się spodoba, to w nim zamieszkać. Somerset jest pięknym hrabstwem. Podobno jest tam także dworek zapisany na własność tej starszej pani, więc będzie się mogła do niego przeprowadzić, jeśli się ze sobą dogadamy. Jeśli nie, może wziąć jeden z innych majątków – naturalnie z tych mniejszych.

– Nie poznałyście się jeszcze?

– Nie – odrzekła Emma z goryczą. – Moje wesele nie było z rodzaju tych, na jakie zaprasza się krewnych albo innych gości.

Miało to więc być dziwne spotkanie – żony i teściowej, które w ogóle się nie znały. Adelia współczuła obcej kobiecie; Emma była w takim nastroju, że najmniejszy sprzeciw spowodowałby wygnanie biednej staruszki z domu do jakiegoś innego dworu. Powiedziała tylko:

– Jestem pewna, że z radością powita tak miłego wnuka.

Wolvercote nie miał dzieci z poprzedniego małżeństwa; jego pierwsza żona umarła w kilka tygodni po ślubie, zostawiając mu niebagatelne wiano; co, znając tego człowieka, wydawało się niesłychanie podejrzane, jak pomyślała Adelia.

– Niechby próbowała inaczej. – W głosie Emmy zabrzmiał złowróżbny ton.

Sędziowie z Aylesbury zasiedli pod baldachimem ozdobionym flagami. Pod drugim chronili się przed słońcem bogacze i inne ważne osoby z okolicy. Zwykli śmiertelnicy, przybyli tłumnie na widowisko, znosili upał, stojąc na obrzeżach kilkunastometrowego, wysypanego piaskiem placu, którego granice wyznaczały wbite w ziemię włócznie.

Był to świąteczny dzień. Wokół stały stragany sprzedające piwo *ale* i słodycze, kuglarze zabawiali tłum pieśniami, sztukami magicznymi i uciechowymi skokami. Handlarki sprzedawały zioła i drewniane spinki. W dali jaskółki nurkowały i szybowały nad złocistymi łanami zboża.

Trębacz sędziów odegrał fanfarę i gromkim głosem przedstawił rycerzy:

– Pod okiem Najwyższego, Mistrz Peter z Nottingham w imieniu sir Geralda L’Havre’a i Mistrz Roetger z Essen w imieniu lorda Philipa, barona Wolvercote’a, będą dziś ubiegać się o to, któremu z pretendentów przypadnie z mocy prawa majątek Tring z wszelkimi przyległościami.

Znowu zabrzmiał dźwięk fanfary.

– Niechaj wystąpią wojownicy uzbrojeni w *scutis* i *bacculis* i przysięgną sędziom, że odzegnują się od wszelkiej magii w tej próbie, i niechaj walczą, aż Bóg Wojny zdecyduje komu majątek przypadnie albo do zachodu słońca.

Rycerze wyszli z niewielkiego namiotu rozstawionego obok siedzisk sędziów, uklękli przed nimi i zgodnie wygłosili formułę:

– Przysięgamy, panowie sędziowie, że dziś żaden z nas nie jadł, nie pił i nie ma przy

sobie ani kości, ani kamienia, ani trawy, ani magicznego uroku, czaru lub wiedźmiństwa, które ubliżałoby prawu Boga lub służyło prawu szatana. Tak nam dopomóż Bóg i wszyscy święci.

Adelia przyszła na trybunę tylko na gorącą prośbę Emmy; wołałaby zostać w oberży razem z dziećmi. Nie lubiła walk; zbyt dużo czasu później potrzebowałyby, by poskładać wojowników w całość, zakładając naturalnie, że przeżyli próbę.

Mężczyźni wyszli na arenę. Każdy miał w ręku tarczę i solidny kij. Odziani w kolczugi bez rękawów, nogi i ręce mieli niczym nieosłonięte, a na stopach czerwone sandały – prawdopodobnie zgodnie z jakąś tradycją – przez co wyglądali jak dzieci bez porządnych butów, które przebrały się za rycerzy.

Poczuła przyływ ulgi; kije są prawdopodobnie mniej szkodliwe od mieczy, a na pewno powodują mniejszy rozlew krwi, pomyślała. Powiedziała to Emmie.

– W Niemczech walczą na miecze – usłyszała w odpowiedzi. – Ale Roetger jest mistrzem obu tych broni; poza tym nie mówi się kij, tylko pałka, moja droga.

Emma była poirytowana; wyglądało na to, że ten sknera, sir Gerald, tym razem nie oszczędzał pieniędzy. Jego czempion był nieco niższy i prawdopodobnie o kilka lat starszy od Roetgera, ale miał wspaniale umięśnione szyję, ramiona i nogi. Na jego twarzy gościł grymas znamionujący pewność siebie; obnażył w uśmiechu ciemnożółte zęby.

Dla odmiany Niemiec wydawał się drobniejszy; rozglądał się wokół z całkowitą obojętnością. Nie był gadatliwy; w czasie podróży Adelia szczerze go polubiła, widząc, jakim uczuciem darzą go dzieci. Nie mógł się od nich opędzić, stale za nim chodziły, marudząc: „Mistrzu Roetgerze, Mistrzu Roetgerze”. Rycerz z nieskończoną cierpliwością bawił się z nimi, wycinał im fujarki z leszczynowych witek, pokazywał, jak dmuchać w złożone ręce, by zahukać niczym sowa, i jak odrywać kawałeczki liścia, żeby po rozłożeniu pojawiła się na nim buzia z uśmiechem.

– Czy ma w Niemczech własne dzieci?

– Nie pytałam – odparła Emma ze znacznie większym naciskiem, niż wymagała tego odpowiedź na tak proste pytanie. – Ma tu walczyć i tylko to mnie interesuje.

Rozległa się kolejna fanfara. Mistrz Peter, reprezentujący pozwanego, rzucił na ziemię rycerską rękawicę. Mistrz Roetger, rycerz powoda, podniósł ją natychmiast.

– Niech zacznie się pojedynek i niech Bóg broni prawa.

Pałki były dębowe i długie na sto osiemdziesiąt centymetrów. Rycerze trzymali je w pozycji do walki, jedną ręką w połowie długości, a drugą poniżej, swobodnie fechtując drewnianym orężem.

Tyle że na początku nie było żadnego fechtunku. Przeciwnicy doskakiwali do siebie i zaraz odskakiwali, starając się nawzajem zbić z nóg. Rozlegało się sapanie, suchy trzask drewna o drewno, ale nie było uderzeń w ciało.

Siedzący obok Adelii ojciec Septimus, spowiednik Emmy, zacierał ręce.

– Dobrze, dobrze, mamy prawdziwych wojowników po obu stronach. Będzie piękna walka, może potrwać nawet kilka godzin, zanim się zmęczą.

Kilka godzin? A co będzie, gdy przeciwnicy ulegną znużeniu i utracą gibkość pozwalającą im uchylać się przed ciosami? Te pałki wyglądały naprawdę solidnie.

Jeszcze walka nie zaczęła się na dobre, a ona miała już dosyć – namiotów, fanfar, kolorowych chorągiewek, flag, sędziów i banalnych komunałów. Wszystko było odrażające, nawet ona sama. Pomyślała o Jezusie i jego prostej, szczerzej dobroci, i o tym, jak ludzie poniżają jego Ojca. Te wszystkie próby, w których jakoby On miał decydować, były niczym innym jak próbą zamienienia go w Cezara, siedzącego w splamionym krwią Koloseum i podnoszącego lub opuszczającego kciuk, by uratować lub dobić gladiatora.

Powiedziała Emmie, że idzie na stronę, bo wzywa ją natura. Emma, nerwowo mnąc w rękach chusteczkę i ani na chwilę nie odwracając wzroku od areny, odparła:

– Wracaj szybko, Mistrz Roetger może cię wkrótce potrzebować.

Gdy przeciskała się ku wyjściu, ludzie na trybunie tylko odsuwali kolana, nie odrywając wzroku od widowiska, cmokaniem protestując przeciwko przeszkadzaniu w oglądaniu emocjonującej sceny.

Na tę okazję za trybunami wykopano latrynę; zza plecionej z gałęzi osłony widać było unoszący się rój much. Adelia ominęła to miejsce i wspięła się ścieżką wśród drzew, wiodącą w stronę strumienia. Gwar tłumu przycichł w oddali. Usiadła na trawie pod wierzbą, zdjęła buty i zanurzyła stopy w chłodnej wodzie.

Co ja tu robię?

Opuszczając mokradła, zostawiła za sobą wszystko, co ją trzymało w tym kraju. Z żalem odeszła od pacjentów i pożegnała się z przeorem Geoffreyem. Jeszcze więcej smutku sprawiło jej pożegnanie z Ulfem, wnukiem Gylthy, który z ulicznika, niegdyś jej towarzyszącego, zmienił się w kościelnej szkole św. Augustyna w młodego człowieka głęboko zainteresowanego zawilosciami prawa. Będzie jej też brakować Stróża. Emma nie lubiła tego psa, więc trzeba go było zostawić pod opieką przeora.

Bez tego czuła się niepewna, dryfująca jak statek bez kotwicy, tym bardziej że nie wolno było jej uprawiać zawodu. Jeśli nie mogła być medykiem, była niczym; nawet Allie nie wypełniała tej pustki. Dokąd się udać? Co zrobić?

Ciemnołuskie pstrągi w strumieniu poruszały się bezwolnie jak ona sama; nagle poczuła znużenie. Oparła głowę o pień drzewa.

Och, do diabła, zawsze może wrócić do Salerno. Przedstawi Allie i Gylthę swoim ukochanym przybranym rodzicom – pisali, że gorąco pragną ujrzeć wnuczkę. Tak trzeba zrobić. Znowu będzie mogła na siebie zarabiać. Może jej dawny mistrz Gordinus przyjmie ją z powrotem jako asystentkę albo pozwoli jej uczyć studentów o sekcjach zwłok.

Tak, kiedy tylko wypełni swoją obietnicę wobec Emmy, pojedzie do domu. Allie otrzyma w Salerno lepsze wykształcenie niż tutaj, chociaż i tak trochę już czyta po łacinie, pomyślała z dumą.

– Tym razem więc, Henryku – powiedziała na głos – zmuszę cię, żebyś mnie wreszcie puścił do domu.

Do tej pory król nie wyrażał zgody na wyjazd.

– Umarli mówią do ciebie, moja panno – tłumaczył. – A ja czasem muszę wiedzieć, co te biedne umrzyki mają do powiedzenia.

A jeśli król nadal będzie się upierał? No cóż, są też inne sposoby, żeby wydostać się z kraju. Wioślarze z moczarów – przyjaciele i przemytnicy zarazem – bez trudu przewiożą ją do Flandrii.

Wpatrując się w wiotkie wierzbowe listki nad głową, Adelia zaczęła zastanawiać się, czym zapłaci za przejazd przez Francję i wędrowkę przez Alpy do królestwa Sycylii... w wozie wędrownego medyka... może dołączy do jakiejś pielgrzymki jako zielarka...

Obudziła się nagle. Śniło jej się, że siedzi w Koloseum wśród tłumów spragnionych krwi gladiatorów, rykiem żądających dalszego jej przelewu. Jednak w dalszym ciągu otaczała ją spokojna zieleń polany, tylko woda w strumyku przybrała bursztynowy odcień.

Dobry Boże, słońce już się chyli ku zachodowi! Spała przez kilka godzin; ryk tłumu w oddali przybrał na sile i dały się w nim słyszeć piskliwe nuty. Mogło to oznaczać tylko jedno – ktoś został ranny. Nie chciała na to patrzeć.

Była jednak medykiem.

Wstała, strzepując motyle, które przysiadły na jej sukni, włożyła buty i pośpiesznie ruszyła do miasteczka.

Nikt z widzów nie zwrócił szczególnej uwagi na jej pojawienie się na trybunie, podobnie jak przedtem na jej odejście. Chusteczka Emmy była w strzępach, a jej twarz pobladła.

Dwaj rycerze wyglądali znacznie mniej godnie; ich spocone ciała i włosy oblepił piach, sprawiając, że w popołudniowym świetle srebrzyste kolczugi poruszały się jakby same

z siebie – powoli, bardzo powoli, jak w ulepię. Obaj kuleli; Roetger trzymał pałkę tylko w prawej ręce, a jego lewe ramię zwisało bezwładnie. Przeciwnik miał kłopoty ze wzrokiem; od czasu do czasu machał pałką na oślep, jak niewidomy wymacujący przeszkodę.

Okrzyki zadowolenia, które słyszała w oddali, zaczęły pobrzmiwać nutą niecierpliwości. Wkrótce miało zrobić się ciemno, a żaden z przeciwników nie pokonał drugiego. Bardzo niezadowolające. Sędziowie porozumiewali się między sobą. Bóg Wojny rozczarował wszystkich.

Nagle na arenie zawirowało. Rozległy się dwa trzaski, niemal w tej samej sekundzie. To Mistrz Roetger błyskawicznie trafił z boku w głowę przeciwnika; w chwilę później Mistrz Peter dosięgnął nogi Roetgera.

Rycerz sir Geralda padł na ziemię. Roetger skoczył do przodu i przycisnął koniec pałki do szyi rywala, przyszpilając go do ziemi.

Zapadło milczenie.

– Powiedz to – rozległ się chrapliwy głos Roetgera.

Jęk, szloch.

– Powiedz to. Na głos.

– *Craven...* *Tchórz...* – zabrzmiał dziwny skrzek, jakby pokonany doznał ostatecznej klęski i wyrzekał się wszystkiego.

Zgromadzeni ludzie wydali okrzyk, który oznaczał nie tyle radość ze zwycięstwa, ile pogardę dla pokonanego.

Gdzieś odezwała się fanfara. Sędziowie wstali.

Emma padła na kolana, zasłaniając twarz dłońmi. Być może dziękowała swojemu Bogu.

Adelia nie zważała na nic, nawet na rannego Roetgera, który schodził z pola walki, podpierając się pałką jak kulą. Wpatrywała się w pokonanego, który jak robak w prochu pełznął przez piasek, aby skryć się w cieniu.

– Co się z nim stanie? – spytała ojca Septimusa.

– Z kim? Ach, z nim? Naturalnie zostanie wygnańcem. Skompromitował się publicznie, przyznając, że jest tchórzem.

A więc owo dziwne słowo oznaczało koniec czyjegoś istnienia. Mistrz Peter nie umrze, ale jego duch już poległ. A przecież ten człowiek dzielnie opierał się przeciwnikowi przez całych pięć godzin.

Co za wstyd – dla nas wszystkich.

Mistrz Roetger leżał na stole w namiocie rycerzy. Jego giermek przyglądał mu się bezradnie. Medyk postukiwał z powątpiewaniem w jego nogę. Na widok wchodzących kobiet podniósł wzrok.

– Złamanie ręki i kostki. Mogę przyłożyć maść, wspaniałą miksturę mojego pomysłu, z krwi ropuch, zbieranej przy pełni księżyca, a nadto...

Adelia dała kuksańca Emmie, która odparła:

– Dzięki, panie medyku, nie trzeba, mamy swoje maści.

– Nie tak skuteczne jak moja, zapewniam panią. Jest tania, niezwykle tania – jeno sześć pensów za pierwsze smarowanie, a trzy za każde następne.

– Dziękujemy, panie medyku.

Gdy Emma odprowadziła medyka, Adelia zbadala pacjenta po swojemu. Roetger zagryzł wargi, ale nawet nie jęknął.

Lewa kość barkowa była bez wątpienia złamana, ale kostka wyglądała na całą. Dźwięk, który się rozległ, gdy pałka Mistrza Petera trafiła w stopę Mistrza Roetgera, nie przypominał trzasku łamanej kości, tylko puknięcie, jakby coś zostało rozerwane. Nigdy nie słyszała czegoś takiego, ale wspomniano o tym na wykładzie w Szkole Medycyny. Zresztą pałka trafiła w tylną część nogi.

Stopa była bezwładna, mogła ją zgiąć tak, że pacjent dotykał palcami swojej łydki.

– To nie jest złamanie kostki – stwierdziła. Spojrzała na Roetgera, a potem przeniosła wzrok na Emmę. – Obawiam się, że to pięta, a dokładnie ścięgno Achillesa.

– Co to takiego?

– To jest... coś w rodzaju sznura, przyczepionego do mięśni łydki.

Widziała je oczami wyobraźni – na wielkim marmurowym stole, przy którym jej przybrany ojciec dokonywał sekcji zwłok.

Chętnie by im opowiedziała o tym wspaniałym mechanizmie, o najgrubszym i najmocniejszym ścięgnię w ludzkim organizmie, które pozwala stopie obniżać położenie w biegu i w skoku. Opowiedziałaby im, dlaczego nazwano je ścięgniem Achillesa, na pamiątkę bohatera, którego jedynym słabym punktem była pięta – za nią trzymała go w dzieciństwie matka, zanurzając w rzece Styks, by nadać mu niezwykłą moc. Wywody te jednak nie zainteresowałyby w tym momencie ani Emmy, ani tym bardziej nieszczęsnego Roetgera.

– Zostało, jak widać, zerwane – powiedziała więc tylko. – Ten ostatni cios musiał być naprawdę potężny.

– Jak długo? – spytał rycerz z wysiłkiem.

– Trzeba to tylko zawiązać? – spytała w tej samej chwili Emma.

– Tak, trzeba – odparła Adelia i zwróciła się do Roetgera: – Trzeba cię będzie, panie, całkowicie unieruchomić. Ile to może potrwać... – Przywołała w pamięci słowa wykładowcy ze szkoły, bo sama nie miała żadnych doświadczeń w leczeniu tego konkretnego urazu. – Przygotuj się na bardzo długie leczenie, dłuższe niż przy złamaniu. Nawet na sześć miesięcy.

Oczy Roetgera rozszerzyły się z przerażenia.

– Sześć miesięcy? – spytała zaniepokojona Emma.

Adelia złapała ją za ramię i wyprowadziła z namiotu.

– Nie możesz go tak zostawić. Co on ma zrobić? Jak wróci do Niemiec na jednej nodze?

Emma popatrzyła na nią z urazą.

– Nie zamierzam go zostawić. Odniósł rany w mojej służbie. Oczywiście, że się nim zajmę.

Adelia westchnęła z ulgą; łagodna Emma z dawnych lat przetrwała mimo nowo nabytej, powierzchownej surowości.

– Ale będzie musiał pojechać z nami – dodała ostro nowa Emma. – Być może przyda mi się na coś, gdy dotrzemy do Wells.

– Nie przez następnych sześć miesięcy, nic z tego – odparła Adelia i zaczęła wymieniać rzeczy potrzebne do kuracji. – Całą dolną część nogi trzeba będzie wziąć w łupki. Zrobię wywar z kory wierzbowej, żeby uśmierzyć ból. Do tego żywokost... potrzebujemy żywokostu, ale on tu rośnie wszędzie. Miejmy nadzieję, że jest równie pomocny przy zerwaniu ścięgna, jak przy urazach kości.

Ruszyła od razu w stronę handlarzy, zwijających swoje stoiska, żeby poprosić o kilka tyczek, przydatnych do zrobienia łupków.

– Bardzo go boli? – zawołała za nią Emma.

– Potwornie.

Kiedy Adelia wreszcie położyła się do łóżka w obergerzy w Aylesbury, w której wszyscy się zatrzymali, przez całą noc nie spała z powodu tego ścięgna. Włożyła je w tymczasowe łupki, ale wiedziała, że będzie to niewystarczające zabezpieczenie podczas czekających ich trudów podróży. Zresztą pacjenta będzie kusilo, by stawiać nogę na ziemi, a tego należało uniknąć za wszelką cenę.

O świcie była już w stajniach, wpytując sennego pacholka o miejsca, w których rośnie żywokost. Ponieważ roślina ta w każdej okolicy była znana pod inną nazwą, z trudem mogła się dogadać aż do momentu, gdy chłopak doznał olśnienia.

– Ach, chodzi ci, pani, o kosztywał! – wykrzyknął i skierował ją ku zaniedbanemu

kawałkowi ziemi za warzywnikiem, gdzie wśród ciemnozielonych kęp starych roślin widać było młode, podługne listki i żółtawe kwiaty.

Adelia potrzebowała głównie korzeni tej rośliny, więc wykopała kilka łopatką, żalując, że nie wzięła rękawiczek, bo pokryte włoskami liście drażniły jej skórę.

Gdy wróciła ze zdobyczą do oberży, zastała pielgrzymów przy śniadaniu. Przekazali jej szokującą wiadomość.

– Glastonbury spłonęło – opowiadał mieszczanin z Yorkshire. – Dowiedzieliśmy się tego wieczorem od dwóch różnych handlarzy. Spaliło się całkiem Glastonbury. Nasze Glastonbury. Serce naszej dobrej Anglii.

Serce to było od wieków, dłużej niż ktokolwiek pamiętał, przekazując moc największych świętych: Józefa z Arymatei, Patryka z Irlandii, Brydy, Kolumby, Dawida z Walii, Gildasa... a teraz zatrzymało się na zawsze.

W oberży zapanowała konsternacja, którą w końcu wyraził pewien rękawicznik z Chester.

– Można by się spodziewać, że ktoś z tego tłumu świętych, jakich tam mają, mógłby się pofatygować i zgasić ten piekielny ogień.

– Sam król Artur mógłby przyjść – zawtórował mu inny. – Dlaczego się nie obudził?

Zapanowało ogólne przekonanie, że błogosławieni nieboszczycy z Glastonbury nie stanęli na wysokości zadania.

Do sali weszła Emma, która na wieść o katastrofie, westchnęła głośno.

– Glastonbury?

– Ano, tak. Kto by to pomyślał, prawda? – potwierdził mieszczanin.

– Mówią, że wszystko płonęło jak pochodnia, kamień na kamieniu nie został. Do szczytu się spaliło. Straszna szkoda. A myśmy chcieli dostać błogosławieństwo świętego Józefa. – Pokręcił głową. – Trzeba się było pośpieszyć.

Przeorysza z Cheshire nie podzielała ogólnego przygnębienia.

– Cały czas mówiłam, że powinniśmy ruszyć do Canterbury. Święty Tomasz zapewni nam jeszcze większą świętość, jako nowy męczennik, dopiero co powołany do chwały pańskiej. Ach, kto by pomyślał, że taki błogosławiony święty może zginąć z ręki swojego króla...

Mieszczanin przerwał jej w pół słowa. Jej towarzysze już tyle razy słyszeli narzekania na temat Henryka Plantageneta, który tak perfidnie zażądał śmierci hardego arcybiskupa, że mieli ich serdecznie dosyć.

– Ano, cóż, tam właśnie teraz ruszamy – do Canterbury.

Kości i relikwie z Glastonbury straciły swoją moc teraz, gdy obróciły się w popiół, natomiast wiele można było zyskać, nabywając flakony z krwią świętego Tomasza Becketa, sprzedawane w katedrze, w której zginął.

Zapłacono rachunki, spakowano juki, pogratulowano Emmie zwycięstwa w próbie walki, która była bardzo emocjonująca, jak wszyscy zgodnie przyznali. Kompania pożegnała się z nią i ruszyła w swoją drogę. Mieszczanin z Yorkshire ucałował jej dłoń.

– Przykro nam, miła pani, że porzucamy twoje towarzystwo.

– Mnie także – odpowiedziała z przekonaniem. Bez kompanii pielgrzymów, z rannym Roetgerem, podróż do Wells mogła okazać się znacznie mniej bezpieczna.

Adelia nie czekała, by się z nimi pożegnać; od razu zabrała się do pracy nad unieruchomieniem pięty pacjenta.

Posłała Gylthę do kuchni, by wzięła największy moździerz, jaki był w gospodzie, i utarła żywokost na miazgę, podczas gdy Mansur z siekierą, nożem do korowania i dokładnymi wskazówkami ruszył do lasu w poszukiwaniu wiązu i wierzby. Adelia wzięła do pomocy najlepszego stajennego Emmy, Alana. Widziano ich na podwórzu przed stajnią, jak robili na piasku jakieś szkice.

Ku wygodzie przeniesiono Mistrza Roetgera na wóz i ulokowano go z tyłu na poduszkach, z nogami zwisającymi w powietrzu. Po chwili chorą nogę, całkiem obnażoną, troskliwie położono na koźle do piłowania drzewa. Zabieg ten spowodował poruszenie wśród służby, która zgromadziła się wokół, przekonana, że zaraz saraceński medyk, czyli Mansur, dokona amputacji.

Zamiast tego zobaczyli, jak Gyltha przykłada do pięty liście żywokostu, podczas gdy Adelia delikatnie przykleja je do nogi, używając do tego zielonoczarnej, nieprzyjemnie pachnącej mikstury z moździerza. Obłożyła nią całą stopę i łydkę.

Pod wpływem gwałtownego potoku wymowy oberżysty służba wróciła do pracy, tym bardziej że całe widowisko sprowadzało się do przyłożenia do nogi zwykłego domowego leku, czyli żywokostu.

Kiedy noga była już opatrzona, tę samą procedurę powtórzono ze złamaną ręką. Pacjent zacisnął z bólu usta w cienką kreskę, na jego czole pojawiły się krople potu, ale przyglądał się wszystkiemu z zainteresowaniem.

– W moim kraju zielsko to także jadamy – powiedział. – *Schwarzwurz* się nazywa. Dobre jest obtaczane w cieście.

Adelię zaciekała ta wiadomość. Angielscy chłopci jadaliby żywokost gotowany, podobnie jak pokrzywy, natomiast smażenie liści w cieście z maki i mleka sugerowało

wyższy standard życia.

– Teraz my obtoczmy cię w tym zielsku – odparła Gyltha, żeby go rozbawić.

Adelia wreszcie wyprostowała się i powiedziała:

– Skończone. Jak się czujesz?

– Naprawdę sześć miesięcy?

– Niestety, tak.

– Ale potem chodzić będę?

– Tak, będziesz – odparła, pokładając w Bogu nadzieję, że tak się stanie.

Gdy pacjent czekał w słońcu, aż opatrunek zaschnie, Adelia z Gylthą poszły umyć ręce w końskim poidle.

– Ile to jeszcze potrwa? – spytała Emma, która obserwowała całą operację.

Adelia zaczęła objaśniać, co jeszcze pozostało do zrobienia, ale Emma odeszła z okrzykiem zniecierpliwienia.

– Nerwy, nerwy – zauważyła Gyltha. – Co się z nią dzieje?

– Nie mam pojęcia.

Rzeczywiście, pozostało jeszcze wiele pracy. Adelia, stajenny i Mansur pracowali przez cały ranek, splatając z wikliny klatkę, która miała ochraniać nogę. Wyposażona w drewnianą podstawę, w której Mansur wystrugał zagłębienie, powinna przejąć większość nacisku, gdyby Roetger przypadkowo postawił stopę na ziemi.

Emma od czasu do czasu podchodziła do okna i przyglądała im się ze zniecierpliwieniem, ale Adelia nie zwracała na nią uwagi – ten uraz był dla niej czymś nowym i starała się nie popełnić żadnych błędów szkodzących terapii.

Okolo południa masa z żywokostu stwardniała na kamień i można ją było otoczyć plecionką z wikliny. Nawet wtedy Adelia opóźniała wyruszenie w drogę do chwili, gdy plecionka została zamocowana na sznurze, podwieszonym do budy wozu, tak że noga rycerza wisiała w powietrzu, zabezpieczona przed wszelkimi szarpnięciami wozu, które sprawiały tylko, że lekko się kołysała.

– Wygląda po prostu śmiesznie – oceniła Emma.

Roetger po raz pierwszy poskarżył się na swój los:

– Jestem jak kurczak powieszony do skruszenia.

Adelia była jednak nieugięta.

– Masz skruszeć – odparła.

Po wyjeździe z Aylesbury mieli przecież skręcić na południowy zachód, w wąskie lokalne drogi, które na pewno były w kiepskim stanie.

Rzeczywiście, miała rację. Wczesne wiosenne deszcze sprawiły, że błoto zostało rozjeżdżone kołami chłopskich wózków, tworząc koleiny głębokie jak okopy, które nie zostały przez nikogo wyrównane. Teraz, gdy deszcze się skończyły, koleiny zaschły i stwardniały jak beton.

Od czasu do czasu trzeba było przerywać podróż, by koła nie odpadły od wozu. Adelia z dumą obserwowała, jak noga Roetgera kołysze się z boku na bok w pleciance, nie ponosząc żadnej szkody. Co wieczór na postoju Emma wzywała miejscowych sołtysów i karciała ich za zaniedbania w naprawie dróg i lekceważenie obowiązków, choć należało wątpić, czy jej napomnienia okażą się skuteczne – naprawa dróg była przecież kosztowna i pracochłonna.

Pomijając trudy podróży, była to cudowna wyprawa. W powietrzu dźwięczały nawoływania kukulek i unosił się zapach dzwonków, rosnących między drzewami, jak okiem sięgnąć, w głąb lasów.

Ryzyko napadu było niewielkie ze względu na piękną pogodę i dużą liczbę miejscowych, wędrujących po drogach albo przez lasy. Podróżni napotykali sokolników, handlarzy, ptaszników, całe rodziny odwiedzające znajomych i grupy krwiożerczych myśliwych, polujących na lisy i kuny. Wymieniano z nimi pozdrowienia i nowinki. To prawda, Mistrz Roetger cierpiał zniewagi, gdy przejeżdżali przez wsie, w których miejscowi chuligani, nie wiedząc, z jakiego powodu jest przywiązany do wozu, uznawali go za przestępcę odstawianego do więzienia i rzucali w niego kamieniami, ale podróż przez okrywające się coraz gęstszą zielenią lasy i pola doskonale wpływała na jego zdrowie. Adelia również by się z niej cieszyła, gdyby nie zachowanie Emmy i – co dziwne – psoty własnej córki.

Allie, mimo młodego wieku, była obdarzona silnym charakterem. Matka z początku myślała, że mała pójdzie w jej ślady, bo zawsze fascynowała ją anatomia. W pewnym sensie była to prawda, ale jej zainteresowania ograniczały się do zwierząt. Istoty pozbawione łusek, dwunożne, bez sierści albo płetw były jej zupełnie obojętne. Zachwycaly ją za to wszystkie żywe stworzenia, a jeśli zdarzyło się, że zakończyły żywot, Allie koniecznie chciała wiedzieć, dlaczego są aż tak zachwycające, dlaczego potrafią latać, pełzać, roić się lub galopować. Gdy miała trzy latka, zapłakiwała się z powodu śmierci oswojonej kawki, przyuczonej, by siadać jej na ramieniu – a potem zrobiła sekcję zwłok. W wieku czterech lat, dzięki miejscowym myśliwym, poznała mięśnie, które sprawiają, że zwierzyzna płowa potrafi galopować, i oglądała drobne kostki w szerokich łapach – łopatach kretów – stworzeń bezlitośnie tępionych na moczarach, ponieważ ich korytarze osłabiały wały ziemne, zabezpieczające domostwa przed powodzią.

Na początku podróży Allie była zachwycona towarzystwem dwuletniego kompana do zabawy. Ponieważ jednak tak bardzo kochała konie pociągowe i muły, chciała być ośrodkiem zainteresowania poganiaczy i stajennych – ludzi, z którymi zawsze żyła na dobrej stopie. Jednak ci stajenni byli służącymi Emmy, a zatem i małego Pippy’ego, który miał pierwszeństwo we wszystkich przejażdżkach, nawet tych na czele całego pochodu. Z małym lordem Wolvercote’em cackała się nie tylko jego matka i stajenni, lecz także Gyltha i Adelia, więc zielonooka żmija zazdrości zaczęła błyskać w oczętach Allie i nakłaniać ją do popychania chłopca i przewracania go na ziemię. Doszło do tego, że gdy tylko dorośli odwrócili się choćby na chwilę, zaraz rozległ się płacz Pippy’ego, któremu Allie znowu dała klapsa.

Zawstydzona Gyltha karciała ją stale, ale bez skutku.

– Bo go nie lubię – tłumaczyła się Allie, zapytana, dlaczego zerwała witkę z drzewa i zbiła nią pupę lorda Wolvercote’a.

– Zepsuta mała złoźnica – oświadczyła Gyltha Adeli, zabrała witkę i wymierzyła winowajczyni parę klapsów. – Nie chce za to przeprosić. Musisz coś z tym zrobić.

Adelia w duchu podziwiała córkę za hardą minę w obliczu nagany i bicia, ale Gyltha miała rację – trzeba było coś zrobić, by załagodzić sytuację. Najpierw próbowała środków pośrednich – zrobiła z patyków i bandaży lalkę o nieprzyjemnym wyrazie twarzy, nazwała ją Kłapa i dała córce do zabawy.

– Allie, takie zachowanie nie przysparza ci przyjaciół, więc dam ci radę. Za każdym razem, gdy będziesz chciała uderzyć Pippy’ego, daj zamiast tego klapsa Kłapie.

Allie wyciągnęła rączki po brzydactwo i przytuliła je do siebie.

– Lubię Kłapę. Nie lubię Pippy’ego – oświadczyła i dalej dokuczała małemu. Doszło do tego, że podczas postojów na drodze trzeba było dzieci rozdzielać i nie pozwalać im na wspólną zabawę na łąkach.

Adelia była niesłychanie wdzięczna Emmie za jej tolerancyjne podejście do sytuacji. Starala się tylko trzymać syna z daleka od Allie.

– Rozumiem jej uczucia – powtarzała. – W klasztorze szczypałam małą siostrę Priscillę za każdym razem, gdy mi się zdawało, że matka Edyve woli ją ode mnie.

Zresztą ona sama też bywała nieprzyjemna. Adelia nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Emma, tak pełna zrozumienia dla Allie, niechętnie traktowała wszelkie przejawy troski o Mistrza Roetgera, któremu nie okazywała żadnego współczucia.

– Czy naprawdę trzeba się z nim tak cackać? – pytała, gdy Gyltha i Adelia zajmowały się pacjentem. Z irytacją cmokała, gdy stajenni nosili Roetgera między drzewa za potrzebą i

gdy z dużym nakładem pracy urządzano dla niego miejsce do spania na parterze każdej oberży, w której zatrzymywali się na noc, bo Adelia nie chciała, by wnoszono go po schodach, ze względu na możliwość urażenia stopy.

Miało się wrażenie, że potrzeby rycerza są równie kłopotliwe dla niej, jak dla niego samego.

Oświecenie przyszło w końcu w jednej z nielicznych chwil bliskości. Byli wtedy w oberży w Marlborough. Dzieci poszły już spać, a one obie rozkoszowały się spokojnym wieczorem w różanym ogrodzie należącym do oberży – jednym z najpiękniejszych, jakie widziały podczas tej podróży.

Gdy spacerowały po zmroku po alejkach, w przesyconym różanym aromatem powietrza rozległ się głos Emmy:

– Chciałabyś mieć więcej dzieci, Adelio?

– O tak, bardzo, ale to niemożliwe.

– Mogłabyś wyjść za mąż.

– Nic z tego. – Zachowała niezależność, odrzucając propozycję Rowleya, więc nie zamierzała jej teraz utracić. Odparła nieskrępowanie: – Po pierwsze, każdy szanowany mężczyzna odrzuci mnie jako towar wybrakowany.

Emma nie zaprzeczyła. Przez chwilę spacerowały w milczeniu.

– A ja nie chcę już mieć dzieci. Na przykład drugi syn mógłby skomplikować prawa dziedziczenia Pippy’ego.

Adelia nie bardzo rozumiała dlaczego, bo prawa rządzące dziedziczeniem były bardzo jasne, więc zapytała tylko:

– Nie zamierzasz więc wychodzić za mąż po raz drugi?

– Nie – odparła ostro Emma. – I dzięki tobie wcale nie muszę. Tylko że...

Zapadło pełne niedopowiedzeń milczenie.

Adelia czekała na ciąg dalszy.

– Tyle mówią o radościach łoża małżeńskiego, a ja ich nigdy nie zaznałam! Nie z nim... robił mi takie rzeczy... zostałam zmuszona... sprzeciwiałam się... Nigdy się na to nie zgodziłam, nigdy... – wybuchnęła Emma.

– Wiem. – Adelia położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Wiem dobrze.

– Ale inni zaznają rozkoszy – żałośnie dodała Emma. – Ty ją poznałaś z Rowleyem. Muszą być gdzieś delikatni, kochający mężczyźni.

– Oczywiście, że tak – odparła Adelia stanowczo. – Spotkasz kiedyś takiego, Emmo. Możesz znowu wyjść za mąż, z własnego wyboru.

– Nie! – Jej przyjaciółka prawie krzyczała. – Ja nie ufam... Nie pozwolę, żeby znowu... Ty, ze wszystkich ludzi, powinnaś mnie przecież zrozumieć.

Gdzieś w gałęziach zaczął śpiewać słowik. Kadencje jego piosenki spływały na ogród jak srebrzysta, odświeżająca rosa. Kobiety zamilkły, by go posłuchać.

– Mam siedemnaście lat, Adelio – odezwała się Emma nieco spokojniej. – Jeśli dożyję sędziwego wieku, przez tyle lat nie zaznam przyjemności z mężczyzną.

Adelia czekała cierpliwie: ten strumień emocji zmierzał w nieznanym jej kierunku. Emma czegoś od niej oczekiwała, ale być może sama też nie wiedziała czego.

– Założmy jednak – mówiła gorączkowo – założmy teoretycznie, że gdyby ktoś się zakochał w mężczyźnie... ale w nieodpowiednim mężczyźnie. No wiesz, z pospólstwa... – Zamilkła poirytowana, jakby oczekiwała odpowiedzi na pytanie, którego nie zadała. Ruszyła zwawym krokiem, rzucając przez ramię: – W kimś, kogo nie wolno poślubić, nawet jeśli się chce, bo jego zawód i niskie urodzenie mogłoby spowodować wykluczenie... tej drugiej osoby... i jej dziecka... z towarzystwa. Zastanów się nad tym.

Adelia starała się z całych sił. Emma, która oddaliła się nieco, wyglądała jak wiotki duch w srebrzystym świetle księżyca, jak błądy cień, który przechodząc, strąca różane płatki, jakby nimi gardził.

Idąc za nią, Adelia intensywnie starała się rozwikłać wszelkie niedomówienia, które przed chwilą wyczuła. Co pragnie usłyszeć jej skłopotana przyjaciółka? Nie chce dzieci, żadnych dzieci. Życie bez miłości fizycznej, a jednak ten smutek, smutek w sercu, marzenie o czułym mężczyźnie... o mężczyźnie z nizin...

Nagle zrozumiała, o kogo chodzi. Cóż ze mnie za tępak, skarciła się w myśli. Oczywiście. Przecież to jasne. Każdy by odgadł, tylko nie ja.

Przyspieszyła kroku, wzięła Emmę pod rękę i poprowadziła ją ku ławeczce ustawionej w różanej altanie. Skłoniła ją, by usiadła, i sama przycupnęła obok.

– Czy opowiadałam ci już o mojej teorii, mówiącej, w jaki sposób unikać poczęcia dziecka? – zapytała, jakby chciała zmienić temat.

– Nie – odparła Emma, tak jakby i dla niej to była nowość. – Nie przypominam sobie.

– Właściwie jest to teoria moich przybranych rodziców – zaczęła Adelia. – To niezwykła para. Chyba ci o nich mówiłam. Nie czują się związani ograniczeniami swoich religii – on jest żydem, ona chrześcijanką, ale ich umysły są wolne, nieskrępowane żadnymi prawami, uprzedzeniami, przesądami, przymusami myślowymi... – Przerwała, ogarnięta tęsknotą, by ich znowu zobaczyć, i wdzięcznością za wychowanie, jakie od nich otrzymała.

– Naprawdę? – spytała uprzejmie Emma.

– Naprawdę. Poza tym dużo podróżowali w poszukiwaniu wiedzy medycznej. Pytali o różne rzeczy ludzi należących do wielu ras, szczepów, poznawali ich historię, zwyczaje, a moja przybrana matka, niech ją Bóg błogosławi, rozmawiała przede wszystkim z kobietami.

– Tak? – zapytała Emma bez specjalnego zainteresowania.

– Tak. Podczas tych podróży dowiedziała się przede wszystkim, że kobiety zawsze starały się kontrolować swoje ciała – i poznała metody, które w tym celu stosowały.

– To niesamowite – odparła lekko Emma.

– No właśnie. – Tu Adelia, w typowy dla siebie sposób przekonana, że szerzenie wiedzy jest najważniejsze i że owa wiedza jest równie fascynująca dla jej słuchaczy, jak i dla niej, wdała się w szczegółową opowieść o różnych sposobach, jakimi mężczyźni i kobiety w różnych epokach starali się zapewnić sobie godny sposób płodzenia tylko tylu potomków, ilu mogli utrzymać. Opowiadała o „naczyniach” – osłonach na penis robionych przez różne ludy z owczej lub węzowej skóry, czasami nasączanych octem lub sokiem cytrynowym. – Matka stwierdziła, że są skuteczne, ale wielu mężczyzn ich nie lubi.

Potem przyszła pora, by omówić *coitus interruptus*, stosunek przerywany, czyli biblijny grzech Onana, który, zmuszony przez prawo żydowskie, by ożenić się z kobietą swojego brata, wolał „rozlewać nasienie po ziemi”, niż ją zapłodnić.

– Ale znowu większość mężczyzn się na to nie zgadza.

W powietrzu wciąż dźwięczały eteryczne nuty słowiczego śpiewu, a Adelia zagłębiała się w przyziemne, ludzkie sprawy.

– Naturalnie, są remedia roślinne, takie jak mięta polej, asafetyda i tak dalej – opowiadała – ale matka przestrzegała mnie przed nimi, bo wiele jest trujących, a poza tym nie zawsze działają.

Przerwała na chwilę, czekając na jakąś reakcję. Emma nie odezwała się jednak ani słowem; nie wiadomo było, czy słucha jej, czy też tego głupiego słowika.

– No i oczywiście są też wkładki – tłumaczyła dalej, obszernie omawiając sposoby znane kobietom z Outremer, zamorskich krain, które wkładają do macicy gąbki nasączone krokodylim łajnem i sokiem cytrynowym, oraz arabskim plemionom, które stosują tę samą metodę, skłaniając się jednak ku mieszance miodu i wielbłądzich placków, ukrećanych na pastę z winnym octem. Opowiadała o podobnych przepisach zachowanych w starożytnych księgach, egipskich papirusach, greckich i łacińskich...

Emma poruszyła się niespokojnie i Adelia uświadomiła sobie, że jej słuchaczka traci zainteresowanie. Wzięła głęboki wdech.

– Matka odkryła, że składnikiem wszystkich skutecznych przepisów jest coś, co

nazwała *acidus*, czyli kwas. Wiele z nich zawiera sok cytrynowy albo ocet. Przekonała się, że to on zabija nasienie.

Emma zeszywniała, słysząc słowo „zabija”.

– A co Bóg powiada na te różne sposoby mordowania?

– Nie mordowania – odpowiedziała Adelia – tylko zapobiegania. Według Kościoła Bóg je potępia, bo księża jako mężczyźni nie dbają o to, jak wiele kobiet umiera w wyniku wyniszczenia licznymi porodami. – Powędrowała myślą ku zabitemu noworodkowi i jego mogiłce na mokradłach. – Nie myślą też o rodzinach, które cierpią biedę, bo mają za dużo gąb do wykarmienia.

Emma wstała.

– Uważam, że to jest niesmaczne. Co gorsza, wulgarne – odparła i odeszła.

– A jeśli chodzi o wkładki – zawołała za nią Adelia – matka zaleca, by przywiązać do nich jedwabną nić, by można je było wyciągnąć, gdy spełnią już swoje zadanie.

Odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami. Westchnęła.

– No cóż, sama o to pytałaś. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Usiadła na moment, by jeszcze przez chwilę posłuchać słowika.

– Długo cię nie było – zauważyła Gyltha po jej powrocie do sypialni, którą dzieliły z Allie.

– Rozmawiałam z Emmą. Gyltho, zdaje mi się, że zakochała się w Mistrzu Roetgerze, ale uważa, że nie może za niego wyjść za mąż.

– Od dawna to widać – odparła Gyltha. – Za wielka z niej pani, żeby sama o niego zadbała, ale zazdrosna jest jak lisica, kiedy ktoś inny się nim zajmuje.

– Tak, pewnie o to chodzi. Biedaczka.

– Myśli, że tobie on się też podoba.

– Nie, Gyltho, to przecież nieprawda! – Dla Adelii niemiecki rycerz był tylko pacjentem. Interesowała ją jedynie jego złamana ręka, zerwane ścięgno i umiejętność cierpliwego znoszenia bólu.

– Może i nieprawda, ale jej się tak zdaje.

Następnego dnia Emma karciała wszystkich naokoło – stajennych za to, że za długo siodłają konie, piastunkę, że źle ubrała Pippy’ego, nawet ojca Septimusa za zbyt długą modlitwę przy śniadaniu. Adelię i Mistrza Roetgera ignorowała, jakby nie istnieli.

– Ojej, ale przyjemny dzionek nas czeka – mruzczała pod nosem Gyltha przy wyjeździe.

Adelia była tego samego zdania. Jeśli w takiej atmosferze mieli jechać do samego

Wells, będzie to bardzo trudne do wytrzymania.

Okazało się jednak, że Adelia, Gyltha, Allie i Mansur nie będą musieli długo znosić kaprysów lady Wolvercote. Zaledwie w godzinę po wyruszeniu na szlak wszystkich zaalarmował dochodzący z tyłu tętent koni. Mistrz Roetger dotknął miecza, który zawsze miał blisko siebie, choć z nogą zawieszoną na wyciągu niewiele mógłby zdziałać w razie jakiegokolwiek ataku.

Było ich trzech; każdy miał na tunice herb Plantageneta i każdy wiódł konia – luzaka. Wszyscy, i jeźdźcy, i konie, byli pokryci kurzem i potem – widać, że przebyli długą i ciężką drogę.

– Czy mam przyjemność z lady Adelia? – zwrócił się oficer do Emmy.

– To ja – odpowiedziała Adelia.

– A lord Mansur?

Mansur wskazał na siebie.

– Gnamy waszym śladem od Cambridge – wyjaśnił oficer. – Masz jechać z nami.

– Dokąd? I po co?

– Do Walii. Na rozkaz króla Henryka.

Rozdział 4

– Patrz, mamó, maki – ucieszyła się Allie, wskazując na blanki zamku, do którego się właśnie zbliżali. – Tyle maków. I jakie duże!

Ucięte głowy ozdabiające mury zamku Caerleon, oświetlone zachodzącym słońcem, rzeczywiście przypominały kwiaty o nieregularnych płatkach.

– Przekłety dzikus – mruknęła Adelia pod nosem i popędziła konia, by prędzej pokonał zbrocze prowadzące do barbakanu, za którym jej córce zostanie oszczędzony widok zamkowych murów z bliska oraz wiedza, czym naprawdę są owe „maki”.

– Barbarzyński łajdak. Niech no tylko zobaczę tego brutala.

Była tak zmęczona, że tylko wściekłość na Henryka Plantageneta utrzymywała ją w siodle. Wszyscy jeźdźcy, z wyjątkiem Allie, która mogła spać w kołysce przytroczonej do siodła, byli po prostu wykończeni. W dodatku Adelia została najzwyczajniej zmuszona do tej podróży.

Z początku odmówiła towarzyszenia żołnierzom.

– Nie jadę – oświadczyła. Już dwukrotnie służyła Plantagenetowi, prowadząc śledztwa dotyczące tajemniczych, niewyjaśnionych śmierci i omal nie przyplaciła tego życiem.

Emma, dobra dusza, zapomniała o ich sprzeczce i przyłączyła się do protestów.

– Ta dama musi mi towarzyszyć, ona jest... – zająknęła się, przypomniawszy sobie w ostatniej chwili, że nie należy nazywać przyjaciółki medykiem, i zrećźnie wybrnęła: – ...pomocnicą mojego medyka, lorda Mansura.

– On też jedzie – oświadczył oficer i położył dłoń na głównej rękojeści miecza. Adelia zdała sobie sprawę, że wypełni rozkaz królewski, nawet jeśli będzie musiał użyć siły. Przeraziła się.

– Nie jadę bez dziecka. Nie zostawię córki.

Będą musieli ciągnąć ją siłą do Walii, rzuci się z konia na ziemię, nie zrobi ani jednego kroku bez walki i krzyków, nie...

Tym razem jednak oficer był gotów ustąpić.

– Król to przewidział.

– W takim razie ja też jadę – oświadczyła Gyltha.

Odpowiedziało jej znużone skinienie głowy.

– Król polecił mi zabrać wszystkich.

Ledwie dano im czas na pożegnanie. Zmartwiona Emma zapraszała:

– Jeśli uda ci się wymknąć, będę w naszej posiadłości z moją teściową. Pytaj o

dziedziczkę Wolvercote.

Adelia pomachała ręką – jeden z żołnierzy już popędzał jej konia do klusa.

– W połowie drogi między Wells a Glastonbury – zawołała Emma.

Adelia chętnie pomachałaby jej po raz drugi, ale koń przeszedł już w galop, więc musiała się mocno trzymać.

Miała wrażenie, że galopują tak całymi dniami. W odróżnieniu od Emmy, żołnierze nie wybierali wygodnych miejsc na noclegi. Gdy robiło się ciemno, zatrzymywali się po prostu w przygodnych zajazdach.

Pierwszą noc spędzili w skromnej oberży w pobliżu ujścia rzeki Severn. Była to zwyczajna uboga chałupa, w której wszyscy spali razem, na podwyższeniu z desek przykrytych słomą. Następnego ranka wszyscy też mieli pchły. Co gorsza, Adelia uświadomiła sobie, że w pośpiechu zostawiła na wozie Emmy worek z czystymi sukniemi. Oficer, który nazywał się Bolt², co zdaniem Gylthy „doskonale pasowało do tego drania”, odmówił zajechania na rynek pobliskiego miasteczka, gdzie mogłaby kupić jakąś odzież.

– Przykro mi. Musi to pani jakoś znieść. Najlepiej z uśmiechem.

– Rozumiem, że zgodnie z królewskim rozkazem – odparła złośliwie. Tyle razy słyszała ten zwrot, że na sam jego dźwięk robiło jej się niedobrze; wiedziała też, że jeszcze wielokroć go usłyszy.

– Tak jest.

Oficer nie był nieuprzejmy, ale jego suwerenowi zależało na pośpiechu, więc – naturalnie – nie miał już czasu na nic innego.

Gdy dotarli do Severn, przenieśli się na barkę, z której wysiedli w zamku Cardiff na wybrzeżu Walii. Okazało się jednak, że Henryk już z niego wyruszył wraz z całym wojskiem.

– Znowu jakaś rebelia – powiadomił ich Bolt po krótkim rekonesansie. – Nasz Geoffrey broni się w Caerleon przed innymi Walijszykami. Król wyruszył mu na odsiecz.

– A zatem poczekamy tu na niego.

– Nie. Musimy od razu wyruszyć.

– Prosto na pole bitwy? Naraża nas pan na niebezpieczeństwo.

Bolt zdumiał się jej brakiem wiary w Henryka Plantageneta.

– Kiedy tam dotrzemy, będzie już dawno po bitwie. Król zetrze z powierzchni ziemi tych podłych *Taffies*³, zanim zdążą okiem mrugnąć.

² *to bolt* (ang.) – gwałtownie wystartować i popędzić przed siebie (przyp. tłum.).

³ *Taffy* – zniekształcona forma walijskiego imienia Dafydd, czyli Dawid – pogardliwe określenie Walijszyka (przyp. tłum.).

I rzeczywiście, na blankach zamku wisały zakrwawione głowy, a kraina wokół wydawała się cicha i ponura.

Ugasiwszy bunt, Henryk zaczął zaprowadzać pokój – choć trudno było w to uwierzyć, bo pod barbakanem i na dziedzińcu panował tłok i ruch: żołnierze pakowali broń i zwijali obóz, a królewscy urzędnicy, wręcz przeciwnie, rozpakowywali skrzynie z dokumentami. Wokół porykiwały muły, gdakały przerażone kury, a z okna ktoś chrypliwym głosem wykrzykiwał rozkazy do ludzi na dole.

– Gdzie są te przekłete mapy? Dajcie tu więcej atramentu. Na miłość boską, wy śmierdziecie, pośpieszcie się wreszcie!

Dziedziniec cuchnął uryną i nawozem; odór ten wcale nie zelżał, gdy Adelia z resztą kompanii pośpiesznie ruszyła po schodach z otworami strzelniczymi, przy których łucznicy czuwali noc i dzień, broniąc się przed oblegającym twierdzą wrogiem.

Król chodził tam i z powrotem po komnacie, w której panował taki sam rozgardiasz jak na zewnątrz; było tu jednak nieco ciszej. Dyktował dwóm skrybom jednocześnie warunki dwóch różnych traktatów pokojowych, które zamierzał zawrzeć ze zbuntowanymi walijskimi przywódcami, od czasu do czasu wykrzykiwał rozkazy przez okno i z niechęcią godził się na to, by mały człowieczek przykładał pijawki do jego gołego, zaognionego ramienia. W kącie młody mężczyzna, w którym Adelia rozpoznała Geoffreya, królewskiego bastarda i naczelnego wodza, konferował z kilkoma znużonymi przybyszami w futrzanych płaszczach, prawdopodobnie walijskimi wodzami. Paziowie ustawiali na stole półmiski zjedzeniem, kopniakami przeganiając węszące z zainteresowaniem psy. Pod ścianami jastrzębie siedzące na żerdziach skrzeczały i trzepotały skrzydłami. Dla kontrastu w drugim kącie przygarbiony chudzielec grał na niewielkiej harfie i śpiewał jakąś pieśń, której w ogólnym rozgardiaszu w ogóle nie można było dosłyszeć.

Kapitan Bolt zapowiedział nowo przybyłych głośnym okrzykiem, który ledwie przebił się przez hałas:

– Lord Mansur, pani Adelia i... – Błędnym spojrzeniem ogarnął Gylthę z Allie na rękę.
– Osoby towarzyszące – dokończył.

Henryk podniósł wzrok.

– Do czorta, tyle czasu zmarudziliście. Siadajcie gdzieś i poczekajcie, aż skończę...

– Nie. – Adelia mu przerwała.

Wszyscy obecni zamarli, z wyjątkiem harfisty, który w dalszym ciągu mruzczał coś pod nosem.

Adelia, nie dbając o nic, wściekła z powodu pcheł, oświadczyła po prostu:

– Lord Mansur i osoby towarzyszące muszą się najpierw wykapać i odpocząć. I to natychmiast.

Wszystkie oczy skierowały się na nią, a potem powoli zwróciły ku królowi. Wszyscy dobrze wiedzieli, jak potrafi wybuchnąć, gdy mu się ktoś sprzeciwi. Tomasz Becket przyplącił taki wybuch śmiercią.

Henryk ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

– Geoffrey.

– Tak, panie?

– Czy w tym zamku jest jakaś wanna?

– Nie wiem, panie. – Wargi młodego człowieka zadrgały. – Nie mieliśmy jej... ehm... na wyposażeniu zbrojnym.

– No to jej poszukaj. Znajdź też jakieś łóżka.

– I suknie – dodała Adelia. – KobiECE suknie.

Król znowu westchnął.

– Aksamity? Koronki? Jakiś konkretny rozmiar?

Adelia zignorowała docinek.

– Po prostu czyste – odparła. Od drzwi odwróciła się i rzuciła w kierunku medyka: – Jeśli chcesz wyleczyć tę ranę, wyrzuć pijawki i przyłóż mech bagienny, pełno jest tego draństwa w dolinach, brodziliśmy przez nie całymi dniami.

Wanna była tak ogromna, że zdyszani żołnierze ledwie wciągnęli ją dwa piętra po schodach. Kiedy wnieśli również nieskończenie wiele konwi z gorącą wodą, kipieli z wściekłości.

Nieposkromiona Adelia posłała ich na dół jeszcze raz po mydło i ręczniki.

Łóżka okazały się skrzypiące i chwiejne, ale przynajmniej sienniki i koce były czyste.

Następnego dnia rano, po smacznie przespanej nocy, Adelia czuła się o wiele lepiej, choć wolała nie myśleć o tym, w jaki sposób potraktowała króla, którego imperium rozpościerało się od granic Szkocji aż po Pireneje. Jej zachowanie okazało się jednak zdumiewająco skuteczne, bo po niedługim czasie kulturalne stukanie do drzwi zaanonsowało nadejście królewskiego syna Geoffreya, który w dalszym ciągu nie krył rozbawienia.

Miał ze sobą naręczce kobiecych sukni.

– Eeee, zarekwirowaliśmy je żonie jednego z walijskich wodzów – wyjaśnił. – Proszę się nie niepokoić, ma jeszcze wiele innych. Obawiam się, że jest nieco słuszniejszej postury niż pani, ale alternatywą była jedynie kolczuga.

Adelia ciałniej owinęła się kocem – poprzedniego dnia wyrzuciła całą odzież przez

okno. Na szczęście Gyltha miała w swoim węzełku czyste ubrania dla Allie i Mansura, odpowiednie na spotkanie z królem.

– Jestem szczerze wdzięczna, milordzie.

– Czy śniadanie smakowało? Kucharz jest też Walińczykiem.

– Proszę mu przekazać wyrazy uznania – odparła.

Szaszłyk z jagnięciny był miękki i soczysty, a posiłek, uzupełniony maślanką i ciastem, zwanym *bora brith*, okazał się tak pożywny, że nawet Mansur nie zdołał dokończyć swojej porcji.

– Zatem, kiedy się już pani odzieje, król przyjmie panią i lorda Mansura. Naturalnie, bez pośpiechu, gdy będziecie gotowi. – Z tymi słowy młody człowiek ruszył ku drzwiom. W progu odwrócił się jeszcze. – Aha, jeden z chłopców wyrzeźbił to dla małej.

Ukląkł, by jego twarz znalazła się na tej samej wysokości co buzia Allie, i podał dziewczynce drewnianą lalkę.

Allie ukloniła się grzecznie.

– Nazwę go Maczkiem, na pamiątkę tych maków na dachu.

– Jakich maków?

– Chodzi jej o kwiaty, jakimi ozdobiliście blanki. – Adelia znowu poczuła przyływ złości. – Te poodcinane od łodyżek.

– Ach, o te – odparł młody człowiek. Patrzył na Allie, ale jego słowa były skierowane do Adelii. – Widzisz, maleńka, te kwiatki były już wcześniej zerwane. Król nie odcina główek makom, które rosną sobie w polu, tylko takim, które są nieżywe – wyjaśnił. Na odchodnym, widząc, że Allie zajęła się już lalką, dodał: – Naturalnie, czasem powiesi jeden czy dwa na gałęzi, dla przykładu, ale ogólnie rzecz biorąc, jest dobry dla swoich kwiatków.

– Miły chłopak – skomentowała Gyltha, gdy Geoffrey zamknął za sobą drzwi, i zaczęła oglądać suknie.

– Och, na miłość boską! – wykrzyknęła Adelia.

Mansur szedł za Adelią, która służyła po schodach w sukni ze stanikiem podpiętym do góry i podwiązany szarfą, by trzymał się we właściwym miejscu. Ponieważ damie w jej wieku nie wypadało chodzić z gołą głową, włożyła także czepiec Walijski, ze skomplikowanym stroikiem, który z jednej strony miał przymocowaną wstęgę czy też welon, a do tego nieznośnie uciskał ją w uszy.

– Czy biskup St Albans jest w zamku? – z wystudiowaną niedbałością zapytała pania,

który ich prowadził do króla.

– Był jeszcze niedawno, ale teraz wyjechał do St David paktować z walijskim biskupem.

Z królewskiej komnaty zniknęli walijscy wodzowie i służba; pozostali tylko król, skryba piszący coś przy stole, psy, sokoły i harfista, który wciąż coś po cichu śpiewał. Paż wprowadził ich do środka, zaanonsował ich nadejście, a potem stanął na baczność, plecami do drzwi.

Henryk Plantagenet, nie przerywając dyktowania, chodził po komnacie na nogach wykrzywionych od ciągłego przemierzania królestwa na końskim grzbiecie. Jak zwykle odziany był niewiele lepiej niż jego stajenni, ale strój nie był mu potrzebny, by wyróżniać się z tłumu: biła od niego potężna, niemal dotykalna moc.

Mansur złożył mu orientalny pokłon. Henryk powitał go skinieniem głowy, a potem zbliżył się do Adelii i obszedł ją dookoła, podziwiając zawój na jej głowie.

– Czy ty w ogóle coś przez to słyszysz?

– Tak, Wasza Wysokość. Dziękuję, Wasza Wysokość:

– Jesteś bezczelną, niewdzięczną istotą.

– Tak, Wasza Wysokość. Przepraszam, Wasza Wysokość. – Popatrzyła na jego ramię, które obłożono delikatnymi, jasnozielonymi kwiatkami mchu torfowca, a potem obandażowano. – Jak tam rana?

– Lepiej. Jesteś gotowa do pracy?

– Naturalnie, Wasza Wysokość.

– Widzisz tego człowieka? – Król wycelował kciukiem w harfistę. – Nazywa się Rhys i jest bardem. Pochodzi z jakiejś przekłetej dziury na wybrzeżu. – Król mówił takim tonem, jakby pokazywał im nową rasę psa. – Wstań, Rhys, i powitaj lorda Mansura i panią Aguilar – polecił Walińczykowi. – Od niego wszystko się zaczęło, więc pojedzie z wami do Glastonbury – zwrócił się do Adelii.

Rhys powstał i skłonił się Adelii i Mansurowi.

– Do Glastonbury? – Adelia prawie krzyczała. – Mój panie, ja przecież właśnie jechałam do Glastonbury, do posiadłości w pobliżu tego miasta. Razem z lady Emmą Wolvercote zmierzałyśmy do Wells. Mogłeś przekazać nam rozkazy przez posłańca i oszczędzić sobie kłopotu.

A ja nie musiałabym tłuc się na koniu przez Bóg jeden wie ile dni, pomyślała. Ciekawe, co to za historia?

– Mistrz Rhys opowie wam coś, dobrze? – Król zwracał się do barda takim tonem,

jakby chciał się pochwalić jego sztuczkami przed gośćmi. – Tylko, na miłość boską, nie śpiewaj – zastrzegł i zwracając się do Adelii i Mansura, wyjaśnił: – Ten łotr bez przerwy śpiewa.

– O wuju Caradocu, czy tak, panie? – spytał Rhys.

– Oczywiście, że tak, błźnie. Myślisz, że po co cię tu trzymam? Opowiadaj.

Bard postąpił krok do przodu. Był chudy, przygarbiony i miał wystające zęby, które upodabniały go do przerośniętego królika. Pomimo królewskiego zakazu zaczął przebierać palcami po strunach harfy. Zreflektował się jednak i uciszył instrument. Mimo to jego głos, zadziwiająco piękny jak na takiego brzydala, miał w sobie zaśpiew, chwilami przechodzący w pieśń. Nie wzruszało to jednak skryby, piszącego coś przy stole, więc opowieści barda wtórowało skrzypienie pióra po papierze oraz odgłosy żołnierskiej krzątaniny, dochodzące z dziedzińca przez szeroko otwarte okno.

Tak więc Adelia i Mansur usłyszeli śpiewną recytację, opowiadającą o tym, co wydarzyło się przed dwudziestoma laty, gdy Rhys był nastolatkiem i przebywał w opactwie Glastonbury.

– Nie nadawałem się do mnisiego życia – powiedział. – Nie było w nim prawdziwej poezji.

Następnie odmalował słowami trzęsienie ziemi, które spustoszyło równinę Somerset wraz z Glastonbury.

– Straszliwa była to chwila, gdy dźwięk Trąb Ostatecznych poruszył niebiosa...

Król syknął głośno, więc bard zreflektował się nieco:

– Mój dobry wuj Caradoc, umierający, miał sen na jawie.

– Wizję – wyjaśnił król.

– Ujrzał trzech zakapturzonych dostojników, niosących na cmentarz trumnę. Zakopali ją tam.

– Między dwiema piramidami – odpowiedział król.

– Zaiste dwie starożytne piramidy wznoszą się w Glastonbury na cmentarzu. I rzekł mój wuj Caradoc: „Zajrzyj, *bach*, zajrzyj w głąb rozpadliny. Lordowie owi pokazali mi, gdzie król Artur spoczywa. Bóg w łasce swej zezwolił mi być świadkiem jego pogrzebu. Niechaj teraz twój sługa odejdzie w pokoju...” I odszedł. Och, piękny, zaiste piękny był koniec mojego wuja...

– Niech więc spoczywa w spokoju, a ty opowiadaj dalej – osadził go Henryk.

– Następnego ranka pochowaliśmy mojego dobrego wuja, lecz nie ujrzeliśmy nigdzie innej mogiły, jeno poruszoną ziemię na cmentarzu. Przez to trzęsienie ziemi. Straszliwie,

straszliwie zatrzęsała się ziemia, jakby to dni ostatnie nadeszły...

Król uciszył go tupnięciem i zapytał:

– Ale nikomu nie mówiłeś o wizji twojego wuja, prawda?

– Nawet jednego słowa.

– Musieliśmy wydusić to z niego przemocą – wyjaśnił Henryk, spoglądając na Adelię.

– Ukrywał tę tajemnicę przez dwadzieścia lat. Tylko jego matka o tym wiedziała. – Zwrócił się znowu do Rhysa. – Dlaczego to ukrywałeś?

– No cóż... – W dużych oczach barda pojawiła się isierka chytrłości. – Niektórzy mogliby pomyśleć...

– Na czele z tobą, durniu jeden... – wtrącił król.

– Że mój wuj nie mógł przecież widzieć pogrzebu króla Artura.

– A niby dlaczego?

– Ano dlatego – wyjaśnił Rhys, wciąż z przebiegłym wyrazem twarzy – że król Artur tylko śpi. Wielu w to wierzy. Śpi w kryształowej grocie na *Ynis Witrin*, Szklanej Wyspie – czyli w Avalonie.

– Innymi słowy, w Glastonbury – podsumował Henryk. Przywołał gestem pazia i wydał mu rozkaz: – Zabierz go do kuchni i każ znowu nakarmić. Ten łobuz jest ciągle głodny – wyjaśnił Adeli. Gdy paź wyprowadzał Rhysa, król zawołał w ślad za bardem: – Tylko nie śpiewaj! – I co wy na to? – spytał, gdy tylko drzwi się zamknęły.

– Ale na co, panie? – zapytała Adelia.

– Powiem wam na co. Wyjawił nam całą tę historię jeszcze w Cardiff. Od tej pory ciągniemy go wszędzie za sobą. Od razu wysłałem człowieka do opata w Glastonbury i kazałem mu kopać między piramidami w poszukiwaniu trumny.

Adelia zmarszczyła brwi.

– Więc twoim zdaniem mnich widział rzeczywiste zdarzenia?

– Naturalnie, że tak. Mnisi znaleźli tę trumnę. – Henryk pomachał w jej kierunku pergaminem z wielką pieczęcią. – To jest list od opata Sigwarda, informujący, że wykopano trumnę, która znajdowała się dokładnie pomiędzy piramidami, na głębokości ponad czterech metrów. Były w niej dwa szkielety, jeden duży, jeden mały. Artur i Ginewra, jak mi Bóg miły. Dwa za cenę jednego.

Adelia ostrożnie przytaknęła.

– To było już po pożarze, prawda?

– Oczywiście, że tak, przecież w przeciwnym wypadku trumna spaliłaby się z całym opactwem, prawda?

– Rozumiem.

Henryk przyjrzał jej się spod oka.

– Sugerujesz oszustwo?

– Nie, skądże – odparła pośpiesznie. Mimo wszystko, pomyślała, cóż to za szczęśliwy zbieg okoliczności – opactwo, które właśnie straciło wszystkie źródła dochodu, będzie miało coś, co przyciągnie pielgrzymów.

– Miło mi to słyszeć, bo opat Sigward to człowiek honoru. Nie upiera się wprawdzie, że w trumnie jest Artur, ale kto inny może to być? Czytałaś kroniki Geoffreya z Monmouth?

Nie czytała, ale nie musiała. Słyszała większość jego opowieści, które krążyły między ludźmi. Jego księga, *Historia królów Brytanii*, cieszyła się niesłabnącym zainteresowaniem przez czterdzieści lat, jakie upłynęły od chwili jej wydania. Autor wywodził ród królów brytyjskich od mieszkańców starożytnej Troi i opisywał jego dzieje na przestrzeni dwóch tysięcy lat. Ci, którzy potrafili czytać po łacinie, przekazywali te opowieści mniej wykształconym ziomkom. Były to wspaniałe historie, pełne przygód, miłosnych perypetii, wojen, magii i religii. Najcudowniejsza ze wszystkich była zaś opowieść o królu Arturze, który walczył z pogańskimi najeźdźcami z Saksonii i dał początek złotemu wiekowi rycerstwa w mrocznej, średniowiecznej Brytanii.

Postać króla Artura zawsze przemawiała do wyobraźni wyspiarzy. Opowieści o jego waleczności, o rycerzach i bitwach, o małżeństwie z Ginewrą i jej zdradzie rozbrzmiewały z ust zawodowych bajarzy i amatorów w pałacach, we dworach, na targowiskach i przy kominkach farmerów.

W każdej oberży, w której zatrzymywały się wraz z Emmą, był ktoś zabawiający gości opowiadaniem legend o królu Arturze, czasami bardzo odległych od tego, co spisał dobry Geoffrey. Co więcej, niemal każde miasteczko i wioska chlubiły się, że król Artur odwiedził je swego czasu i na dowód tego pokazywały studnię króla Artura, krzesło króla Artura, wierzchowca króla Artura, wzgórze króla Artura, broszę króla Artura, siedzisko myśliwskie króla Artura, kuchnię króla Artura...

Jego sława przeniosła się nawet na kontynent – Adelia przypomniała sobie, jak jej przybrana matka w Salerno opowiadała jej o wyprawie króla Artura aż na Wezuwiusz. Opowieści te były szczególnie popularne wśród kobiet. Emma je wprost uwielbiała.

– Chyba podoba ci się opowieść o tym, jak Uther Pendragon wyszedł z ciemności w Tintagel i uwiódł Ygraine?

– No tak, ale czy wydaje ci się prawdopodobne, że przyjął wtedy postać jej męża? – spytała Adelia.

Przyjaciółka oskarżyła ją wtedy o brak romantyzmu.

– Ty pewnie wolisz czytać różne nudy o ludzkich wnętrznościach – stwierdziła, nie bez racji.

Z kolei przeor Geoffrey gardził tą księgą i, niepomny szacunku dla zmarłych, obrzucał Geoffreya z Monmouth kalumniami.

– I on się mieni historykiem? – denerwował się zawsze. – Marchewka lepiej zna się na historii niż ten bałwan. Zmyślił wszystko.

Dobrego przeora szczególnie irytowało, że niektórzy członkowie jego trzódki, szczególnie kobiety, poświęcali więcej uwagi *Historii* Geoffreya niż Biblii.

– Oczywiście, doskonale pamiętają opowieść o tym, jak to Artur zabił jakiegoś giganta, który pałał żądzą ku bladej dziewoi, ale spytaj ich o treść przypowieści o siewcy i nie usłyszysz ani słowa w odpowiedzi. Olbrzymy, też mi coś. Geoffrey z Monmouth ma być wielkim historykiem? Chyba wielkim kłamcą.

A jednak, pomyślała Adelia, Henryk Plantagenet, największy realista wśród znanych mi ludzi, nagle daje wiarę baśniom i wizjom.

Na pewno z jakiegoś ukrytego powodu.

Postanowiła poczekać na wyjaśnienia. Tymczasem król ujął ją pod rękę i poprowadził do okna, za którym rozciągał się piękny, choć zniszczony wojną pejzaż – dolina rzeki Usk.

– Spokojnie tu, prawda? – zapytał. – Ale dwa dni temu musiałem przerażać siebie mieczem drogę przez tłum oblegających zamek Walińczyków, żeby oswobodzić mojego Geoffreya. Wiesz, czyje imię wykrzykiwali ci dranie, kiedy ich wycinaliśmy w pień?

– Króla Artura?

Henryk przytaknął.

– Artura. Walińczycy mienią się chrześcijanami, ale te pogańskie łby mają swojego mesjasza Artura i wolą go od Jezusa. Skaranie boskie. Uważają, że należy wyłącznie do nich i że uwolni ich od normańskiego jarzma. Tylko że ja nie jestem żadnym normańskim jarzmem, Adelio. Po pierwsze, jestem Andegawczykiem, a po drugie – będę dla nich dobrym, niosącym pokój i sprawiedliwość królem, jeśli tylko mi na to pozwolą.

Przytaknęła. Mimo wszelkich grzechów Henryk był właśnie takim władcą.

Odwrócił się od niej, zajrzał skrybie przez ramię i poprawił go:

– Cztery „l” w słowie Llewellyn, Robercie. – Potem, jakby chciał ukarać samego siebie, zaczął wygrażać pięściami: – Dlaczego muszę zawracać sobie głowę ich śmierdzącą ortografią? Mam ważniejsze rzeczy do roboty. W Akwitanii zaczęły się kłopoty, Ludwik Francuski dokucza mi jak zadra w zadku, szkockie śmierdziele pchają się na granice, a ja co

robię? Siedzę po szyję w jakimś cuchnącym torfowisku i staram się stłumić powstanie, do którego poderwał się cały walijski lud! – Huknął pięścią w stół, aż kałamarz podskoczył i nieco atramentu ułało się na blat. – Nie mam czasu na gaszenie każdego zarzewia, które nagle wybucha ogniem, bo Celtowie wierzą, że przeklęty Artur wciąż żyje – wrzasnął i popatrzył gniewnie na Adelię, jakby spodziewał się, że mu zaprzeczy. – Ci dranie z Bretanii też szykują się do buntu. Potem przyłączą się do nich zafajdani Kornwalijczycy. Niech piekło pochłonie wszystkich Celtów!

– Ach! – wykrzyknęła Adelia. Zrozumiała wreszcie, o co chodzi z tą trumną w Glastonbury. – Chcesz, panie, dowodów, że Artur nie żyje.

– Tak jest. – Henryk ochłonął z gniewu; jego głos nabrał przekonujących tonów. – I tu właśnie zaczyna się twoja rola, mistrzyni sztuki śmierci. Udowodnij, że są to kości króla Artura, który już nigdy nie zmartwychwstanie, a podwoję kwotę, którą ci płacę.

– Tylko że ty mi nic nie płacisz, panie – odparła znużona Adelia.

– Naprawdę? Jesteś pewna? No cóż, tym razem dam ci glejt, zapewniający pomoc i utrzymanie na tak długo, jak będzie trzeba. Koszty pokryje skarbnik królewski. – Adelia chciała coś powiedzieć, ale król przerwał jej gestem dłoni. – Tak, wiem, nikt nie uwierzy w odkrycia kobiety, ale znalazłem na to radę. Napisałem do Glastonbury, że wysyłam do nich eksperta od szkieletów, niejakiego lorda Mansura. – Henryk skłonił się wysokiemu Arabowi, który odpowiedział ukłonem. – Ma on potwierdzić autentyczność kości króla Artura i królowej Ginewry, jeśli to są rzeczywiście ich szczątki. Mnichom nie spodoba się obecność Saracena i kobiety na ich świętej ziemi, ale będą jakoś musieli się z tym pogodzić. Zawiadomiłem też właścicieli najlepszej gospody w Glastonbury, że mają zapewnić kwatery lordowi Mansurowi, jego asystentce i tłumacze, jej dziecku i piastunce, na czas trwania śledztwa. Na mój koszt. – Król był wyraźnie z siebie zadowolony. – I co na to powiesz? – zapytał.

Adelia zdobyła się na odwagę.

– Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie, Wasza Wysokość.

– Dlaczegoż to?

– Bo szkielety to tylko szkielety. Nie potrafimy określić ich wieku. – Zdecydowanym tonem tłumaczyła dalej: – Jeśli nie uda mi się zidentyfikować zwłok innym sposobem, na przykład badając trumnę, to nie będę mogła orzec, czy są to szczątki Artura i Ginewry. Przykro mi.

Wszyscy w komnacie zamarli w oczekiwaniu wybuchu królewskiego gniewu. W przeszłości rozwścieczony monarcha potrafił w ataku złości rzucić się na podłogę i gryźć

wyściełające ją sitowie. Teraz jednak był już starszy i nauczył się opanowywać gniew, który niegdyś stał się przyczyną śmierci Tomasza Becketa – przynajmniej na jakiś czas. Spokojnie skinął głową.

– Obawiałem się tego – stwierdził. – Spróbujemy więc innej taktyki. Pojedziesz do Glastonbury i upewnisz się, czy nie ma tam nikogo, kto mógłby zaprzeczyć, że nie są to kości Artura.

Adelia się zdziwiła.

– Nie rozumiem, o co chodzi Waszej Wysokości.

– Ależ bardzo dobrze rozumiesz. Mnisi z Glastonbury puszcza w świat wieści o tym wspaniałym odkryciu, więc nie mogę sobie pozwolić, żeby jakiś łotr zjawił się nagle znikąd i oświadczył, że w trumnie są przecież szczątki jego wuja Cedryka i ciotki Priscilli. Masz sprawdzić, czy istnieje możliwość, by ktoś w okolicy podważył opinię opactwa.

– Ale jak mam to zrobić?

– Nie wiem! – zdenerwował się król. – Na miłość boską, przecież właśnie po to cię zatrudniam. Masz nosa do takich rzeczy, potrafisz rozwiązywać podobne zagadki lepiej niż pies gończy tropiący dzika po zapachu. Widziałem przecież, jak sobie z tym radzisz. Jesteś urodzonym tropicielem. Chcę, byś upewniła się, że nie ma żadnej smugi nieznanego zapachu, że żaden dzik nie ukrywa się w chaszczach.

Adelia wreszcie zrozumiała.

– To znaczy, że jak długo nie znajdzie się nikt, kto zaprzeczy, że to szczątki Artura i Ginewry, będzie można ogłosić, iż odkryto grób narodowego bohatera, i niniejsza o to, kto naprawdę w nim leży?

Henryk ponownie ujął ją pod rękę i poprowadził do okna. Na zewnątrz żołnierze zasypywali rowy wykopane przez oblegających; jeden z nich pogwizdywał przy pracy. Odpowiadał mu drozd, siedzący na jarzębinie. Nad bystrym strumieniem coś błysnęło: to zimorodek polował na ryby.

– Nie byłaś nigdy w Glastonbury, prawda, Adelio? – zapytał król łagodnym tonem.

– Nie.

– Więc poczekaj, aż je zobaczysz. Ze wszystkich opactw, tutaj i za granicą, jest to miejsce najświętsze; nawet w powietrzu czuje się tę świętość, która wibruje w nim od początków chrześcijaństwa, a może i wcześniej. Jeśli Avalon rzeczywiście gdzieś istnieje, to właśnie tam jest jego siedziba. Jeżeli Artur rzeczywiście gdzieś spoczywa, to na pewno w Glastonbury. Siła tego miejsca powala na kolana. – Król zadumał się i przerwał na chwilę, przyglądając się rzece. – Dobrze się tam ze mną obeszli. Opat Sigward był jednym z niewielu

duchownych, którzy nie chcieli mojej głowy po... tej sprawie w Canterbury.

Henryk nigdy nie wspominał imienia człowieka, który przez długi czas był jego przyjacielem, ale w chwili, gdy został powołany na arcybiskupstwo Canterbury, zwrócił się przeciwko niemu, odrzucając wszelkie rozsądne reformy królewskie. Zamordowanie tego człowieka ściągnęło na głowę króla infamię w całym chrześcijańskim świecie i posłużyło za pretekst zazdrosnej żonie i jeszcze bardziej zazdrosnemu najstarszemu synowi, by powstali przeciwko niemu.

Śmierć ta miała ciążyć na jego imieniu przez wieki i dobrze o tym wiedział; przedzie do historii jako król, który był przyczyną męczeństwa świętego Tomasza Becketa.

Nie po raz pierwszy Adelia uświadomiła sobie głębię cierpienia w duszy tego człowieka, który pokrywał je energicznym sposobem bycia, typowym dla Plantagenetów. Poza burzliwą, hałaśliwą cieśniną rozciągał się wzburzony ocean. Król miał straszliwe wyrzuty sumienia, że wezwał do zabicia Becketa, że to jego rycerze, którzy mieli swoje powody, by rozprawić się z arcybiskupem, natychmiast pognali do Canterbury i roztrzaskali mu czaszkę w katedrze. Zaś Kościół katolicki dołożył starań, by upokorzyć króla publicznie. Jako pokutę nakazano mu udać się na pielgrzymkę do Canterbury boso i wystawić goły grzbiet na razy mnichów.

– I rzeczywiście dostał solidną chłostę – opowiadał Adelii przeor Geoffrey, który był obecny przy tym zdarzeniu. – Widać było, że sprawia im to przyjemność. Kańczugi wbijały się głęboko w jego ciało. Wszyscy obecni dziwili się, że nawet nie krzyknął. Nie wydał z siebie jęku, choć blizny będzie nosił do końca życia.

Odbuwając pokutę, król ocalił jednak Anglię przed znacznie gorszą karą. Ułagodził rozgniewanego papieża Grzegorza, który groził nałożeniem interdyktu na cały kraj, co oznaczało zamknięcie kościołów, odmowę udzielania małżeństw i chrztów, wysłuchiwanie spowiedzi i namaszczenia chorych oraz umierających; ekskomunika objęłaby cały naród.

Tak, pomyślała Adelia ze współczuciem. Henryk Plantagenet drogo zapłacił za swój wybuch gniewu, ale dzięki temu jego ludzie uszli zemście.

Król zaczął się spieszyć. Energicznie podjął temat rozmowy:

– Muszę więc w zamian zrobić coś dla Glastonbury – trzeba je przecież odbudować. Kiedy Ralph Fitz Stephen, mój szambelan, będzie już wolny, pošlę go tam, żeby zobaczył, co jest do zrobienia. To będzie mnie drogo kosztowało, głowę daję. Bóg jeden wie, ile pieniędzy na to pójdzie. Chyba że...

– Chyba że z powrotem napłyną tysiące pielgrzymów, by odwiedzić grobowiec Artura – dokończyła Adelia z uśmiechem. Och, co za spryciarz z tego króla, pomyślała.

– Właśnie tak.

Zastanowiła się nad tym. Spełnienie prośby Henryka było prawie niemożliwe – ale jednak nie do końca. Nie mogła określić wieku szkieletów, ale trumna to inna sprawa...

– W jakim okresie żył król Artur? – zapytała.

Król odwrócił się ku stołowi.

– Kiedy to było, Robercie?

Skryba odłożył pióro i wydał usta.

– Walijski kleryk Nennius mówi w dziele *Historia Brittonum*, że Artur stoczył swoją ostatnią bitwę pod Mons Badonicus, gdzie sam zabił dziewięciuset sześćdziesięciu wrogów. Święty Gildas, który jak wiadomo spoczywa w opactwie Glastonbury, napisał, że bitwa odbyła się w roku jego urodzenia, czyli jak się wydaje, w roku Pańskim 494 albo 506, choć *Annates Cambriae* datują ją nieco później. Za to...

– Dobrze już, dobrze – przerwał król i zwrócił się do Adelii: – Czyli gdzieś na początku szóstego wieku. Potrzebujesz konkretnej daty?

– Hm...

Trumna zakopana prawie pięć metrów pod ziemią musiała być zatem bardzo wiekowa.

– Czy ziemia w Glastonbury jest torfowa?

– A skąd mam to, u diabła, wiedzieć?

– Może tak być, mój panie – wtrącił się skryba. – Opactwo leży wśród bagien, co by sugerowało, że...

– Torf – dokończył król. – Ale co ma piernik do wiatraka?

– Nic, natomiast torf bardzo dobrze konserwuje drewno. Na mokradłach Cambridgeshire, które są w zasadzie w całości torfowiskami, od czasu do czasu wypływał na powierzchnię pień dębiny – w miejscu, gdzie w ogóle nie rosły dęby. Według miejscowych liczba pierścieni na przekroju pnia oznacza wiek drzewa w momencie ścięcia. Tym systemem obliczono, że niektóre z tych drzew rosły w bardzo odległej przeszłości. Czy to dębowa trumna?

– Nie mam pojęcia – zniecierpliwiał się król.

Gdyby tak było i gdyby jej znajomi z mokradeł mieli rację, mogłaby w dużym przybliżeniu obliczyć, kiedy trumnę zakopano w ziemi. Jeśli było to aż w czasach Artura, to nikt nie byłby w stanie potwierdzić lub zaprzeczyć, czyje zwłoki w niej spoczywają.

Zastanowiła się. Król nareszcie dał jej zadanie nieobciążone żadnym ryzykiem. W dodatku zapewniało ono utrzymanie dla całej jej gromadki do chwili, gdy zdecyduje, co zamierza dalej w życiu robić. Poza tym zadanie było intrygujące – nie tylko ze względu na

poszukiwanie szczątków starożytnego, mistycznego władcy. Najbardziej ciekawiło ją, dlaczego na klasztorным cmentarzu złożono na spoczynek kobietę.

– Zatem dobrze – odparła. – Postaram się upewnić, czy szkielety są wystarczająco stare, by nikt nie był w stanie ich zidentyfikować, ale więcej nie będę w stanie dokonać. Nie stwierdzą, czy to szczątki Artura i Ginewry, bo wątpię, czy jest to w ogóle możliwe. Nie będę kłamać dla twojej wygody, Henryku.

– Ale mnie nie skłamiesz?

– Nigdy w życiu – odpowiedziała z uśmiechem.

– Wiem o tym. Jesteś jedną z nielicznych...

Gdyby Henryk Plantagenet był kimś innym, można by podejrzewać, że błękit jego oczu zasnuła łąza.

Władca przystąpił do działania. Złożył królewski pocałunek na jej policzku i dał królewskiego klapsa w pośladek. Skrybie Robertowi podyktował królewski glejt, udzielający „memu ulubionemu lordowi Mansurowi i jego tłumaczce, pannie Adelii Aguilar” pełnomocnictw, które spokojnie wystarczyłyby do zebrania armii i wyruszenia na podbój Francji.

Ale, jak zwykle, gdy Adelii zaczynało się wydawać, że władca jest nazbyt szczodrobliwy, postawił warunek, który sprawiał, że znowu poczuła się wystawiona do wiatru.

– Tak przy okazji – nadmienił z wystudiowaną niedbałością – Glastonbury i biskupstwo Wells zawsze walczyły ze sobą na noże. Teraz ludzie z Glastonbury twierdzą, że Wells przekupił jakiegoś kłusownika, żeby zaproszył ogień. Jeśli ja się tym nie zajmę, zrobi to papież, a ja nie życzę sobie żadnych interwencji Watykanu. Przekłęci prałaci, więcej z nimi zachodu niż korzyści. Wysyłam więc do nich mediatora, żeby obu tych łajdaków rzucił przede mną na kolana i kazał im obiecać, że będą już grzeczni. – W błękitnych oczach króla pojawiły się złośliwe iskierki. – Zgadnij, kto nim będzie? – zapytał.

– Biskup St Albans – odparła ze znużeniem.

– We własnej osobie – uradował się Henryk, który sam był obdarzony nie większą wstrzeźliwością niż kocur w marcu, więc czerpał wielką satysfakcję z seksualnych dylematów swego ulubionego biskupa.

Nie rób tego, pomyślała. Daj nam spokój, wszystko już zostało ustalone. Rowley musi służyć Bogu, ja muszę służyć medycynie, i tego nie da się pogodzić.

Ponieważ nie udało mu się jej zirytować, Henryk dalej drażył temat:

– Pewnie się spotkacie.

– Nie, mój panie. Nic z tego nie będzie.

– W dalszym ciągu zachowuje śluby czystości, prawda?

Przemilczała i tę zaczepkę, więc w końcu zostawił ją w spokoju. Wracając do siebie po schodach, uświadomiła sobie nagle, że ani król, ani ona sama nie zapytali o zgodę Mansura, który miał przecież odgrywać główną rolę podczas badań. Wprawdzie i tak nie zostawiono mu wyboru, bo król to przecież król, ale należało to jednak zrobić.

– Co o tym sądzisz, drogi przyjacielu?

– Udzieliłaś mu mądrej odpowiedzi – odparł. – Prawda jest solą życia. Nie można zamiast niej ofiarować piasku.

– Nie mam takiego zamiaru. Co sądzisz o wizji?

– Istnieją prawdziwe wizje. Czy Przeczysta, niech pokój i błogosławieństwo Allaha zawsze jej towarzyszy, nie ujrzała anioła, który osłaniał Proroka skrzydłami?

– Naprawdę go widziała?

No cóż, kimże była Adelia, by wątpić w świadectwo mnicha z Glastonbury i pierwszej żony Mahometa?

Rozdział 5

Ściągnęli wodze i zatrzymali się na moście przed bramą dworu Wolvercote'ów. Przez chwilę przyglądali się budynkowi.

Od chwili, gdy przekroczyli granice hrabstwa Somerset, zachwycała ich różnorodność krajobrazu i bogactwo okolic, ale nic nie mogło dorównać miejscu, w którym Emma pragnęła się zdomowić. Mieli wrażenie, że przybyli do prawdziwej Arkadii.

Prostokątny dwór z żółtego kamienia wznosił się między stajniami, stodołami i drzewami, zza dachów pokrytych czerwonymi dachówkami wyłaniała się wieża miejscowego kościoła. Szerokie, nabijane ćwiekami drzwi i okna z murowanymi słupkami uśmiechały się zza fosy, odbijając w jej wodach. Na tle zachodzącego słońca widać było fruujące gołębie, które lądowały w łukowatych otwarciach gołębnika, przypominającego kształtem solniczkę.

Normańscy przodkowie, którzy zbudowali tę siedzibę, musieli być dużo sympatyczniejszymi osobami niż ich nieżyjący potomek, lord Wolvercote, po którego śmierci nikt nie płakał i który pewnie wolałby zamieszkiwać jakieś zamczysko o strzelistych wieżach, pomyślała Adelia.

– Nie powiedziałabym nie, gdyby ktoś chciał mi dać taką chałupkę – oświadczyła Gyltha.

Adelia była tego samego zdania. Zwykle nie zwracała uwagi na otoczenie, wymagała tylko czystości, funkcjonalności i bezpieczeństwa, ale urok Wolvercote wzbudził w niej nagłą, nieoczekiwaną zazdrość, że to Emma będzie panią tej posiadłości.

Zajechali do niej po drodze, zamiast skierować się prosto do Glastonbury, nie tylko dlatego, że droga z Wells praktycznie wiodła tuż obok majątku. Adelia chciała przede wszystkim zobaczyć się z Emmą i przekazać jej dobrą nowinę, że przez pewien czas będą niemal sąsiadkami. Chciała też sprawdzić stan nogi Roetgera. Był już czerwiec, a rozstali się przecież w maju.

Nieba wciąż nie zasłaniała żadna chmurka. Na pobliskich polach, otoczonych owocującymi żywopłotami, opaleni, spoceni ludzie kosili siano, a słodki, drażniący kurz łączył się z tumanami pyłu, wnoszonymi przez końskie kopyta na wyschniętym gościńcu.

Zresztą i tak przed zmierzchem nie zdążyliby do oberży Pielgrzym w Glastonbury, która, niezależnie od wszelkich luksusów, jakimi dysponowała zdaniem Henryka Plantageneta, i tak nie zapewniłaby głodnym i spragnionym podróżnym takich wygód, na jakie mogli liczyć u Emmy.

Król Artur może poczekać, pomyślała Adelia. I tak czeka już od sześciuset lat, więc jeden dzień więcej nie sprawi mu różnicy.

Skinęła głową w kierunku kapitana Bolta, by poprowadził oddział przez most. Dla zapewnienia bezpieczeństwa po drodze król dał jej wojskową eskortę – sześciu konnych łącznie z trębaczem, który miał zapowiadać jej nadejście. Podróżowała więc w wielkim stylu.

Odźwierny w Wolvercote rzeczywiście był pod wrażeniem, więc gdy Bolt polecił mu powiadomić panią domu, że lord Mansur, pani Adelia i jej świta proszą o przyjęcie, żwawo pokuśtykał przez ładny mostek przerzucony przez fosę.

Jednak po powrocie zaczął zachowywać się z większą rezerwą.

– Moja pani z przyjemnością powita lorda Mansura i panią Adelię, lecz ich eskorta musi pozostać tutaj – wydukał.

To dziwne, pomyślała Adelia. Zresztą, być może Emma jest ostrożna i chce się najpierw upewnić, czy żołnierze są przyjaźnie nastawieni.

Odźwierny lekko się skrzywił, gdy Adelia nakazała gestem, by Gyltha zabrała Allie podskakującą w kołysce i poszła za nimi. Nie zamierzała się rozstawać z bliskimi.

Majordomus z laską – symbolem swojego urzędu – z ukłonem wprowadził ich do holu o równie przyjemnych proporcjach, jak fasada budynku.

Słońce docierało tu jedynie przez wąskie, wysokie okna. Grube kamienne ściany, nagrzane z zewnątrz, przyjemnie chłodziły powietrze; wewnątrz komnaty przypominało barwą zielonkawą toń wody w skalnej sadzawce. Oko cieszyły piękne dębowe schody, kamienny kominek i ładne meble oraz podłoga, nieprzykryta matami z sitowia, z połyskiem powstałym w ciągu wielu lat troskliwego polerowania. Być może z belek sufitu zwieszało się zbyt wiele szkarłatno-srebrnych rodowych sztandarów bitewnych, zakłócając elegancję pomieszczenia, ale Emma zapewne nie zdążyła się jeszcze ich pozbyć.

– Pani prosi, byście na nią chwilę poczekali. Przegląda księgi z podkomorzym na górze, ale zaraz do was zejdzie.

Dziwne, bardzo dziwne. Dawna Emma wybiegłaby im na spotkanie. Czyżby była aż tak zazdrosna?

Adelia pytająco popatrzyła na Gylthę. Ta z kolei wzruszyła ramionami.

Pozostawiono ich samych. Po kwadransie wszedł majordomus z kuflami i dzbanem chłodnego ale na tacy, zaprosił ich, by się częstowali, i wyszedł.

Pływały minuty i nikt się nimi nie interesował. Allie wspinała się na siedzenie dębowej sofy i zeskakiwała na podłogę. Nic nie wskazywało, by w domu było jeszcze jakieś dziecko; z zewnątrz dobiegał tylko świst kosi, którą ktoś ścinał trawę.

Adelia poczuła się urażona; gospodyni tego domu wyraźnie traktowała ich z pogardą. Podeszła do schodów, by wejść na górę, ale w tym momencie otworzyły się drzwi na piętrze. Wyszedł z nich jakiś człowieczek w fartuchu z księgą pod ręką, zdjął czapkę na widok Adelii i pośpiesznie wybiegł z pokoju.

Na schodach pojawiła się następna postać.

– O co chodzi? – rozległ się kobiecy głos.

Adelia skłoniła się i przedstawiła siebie oraz swego towarzysza.

– Ponieważ lord Mansur słabo mówi po angielsku, jestem jego tłumaczką, pani. Przyjechaliśmy tu do lady Wolvercote.

– Ja jestem lady Wolvercote.

– Aha.

Zatem to jest ta teściowa – nieco młodsza, lepiej ubrana i o wiele szczuplejsza niż troskliwa babunia, jaką optymistycznie wyobrażała sobie Adelia. Pewnie Emma gdzieś wyjechała.

Kobieta schodząca po schodach bez wątpienia wyglądała na matkę buntowniczego mordercy, który zginął na szubienicy na rozkaz Henryka. Była równie wysoka i piękna, o nieprzystępnych, wyniosłych rysach. Ciemne oczy, takie same jak oczy mężczyzny, który niegdyś nazwał Adelię czarownicą, spoglądały na nią nawet z podobnym wyrazem niesmaku.

Adelia przypomniała sobie, że Emma, choć nigdy nie widziała swojej teściowej, była pod wrażeniem jej normańskiego pochodzenia, sięgającego daleko wstecz, w czasy sprzed podboju Anglii.

– Jest potomkinią Rolfa Wędrowca – opowiadała z podziwem.

Adelia wprawdzie nie bardzo rozumiała, co jest takiego cudownego w przodku wikingu, który najeżdżał i łupił Normandię do chwili, gdy mu się poddała, ale Emmie jako córce kupca, choćby nie wiadomo jak bogatego, imponowały szlacheckie rody. Zdaje się, że według niej pochodzenie było ważne dla jej synka, szczególnie w linii żeńskiej, a nie ze strony znienawidzonego byłego męża.

Widać było, że ta kobieta również przywiązuje wagę do swego rodu. Jej spojrzenie sprawiło, że Adelia poczuła się skrępowana swym strojem podróżnym – niewątpliwie lepszym niż suknia walijskiego wodza, ale i tak bardzo podrzędny gatunku.

– Mam przyjemność z wdową dziedziczką Wolvercote, prawda?

– Nie, pani. Jestem lady Wolvercote. I nie ma innej.

– Chodzi mi o twoją synową.

– Moja synowa zmarła pięć lat temu.

Była to naturalnie częściowa prawda: Wolvercote był żonaty na kilka lat przed zmuszeniem Emmy do małżeństwa, ale jego żona zmarła, nie urodziwszy mu żadnego dziecka.

Ach, czyżby ta kobieta również sprzeciwiała się roszczeniom Emmy do jej posiadłości? Nie daj Boże, by miała się odbyć kolejna próba walki.

– Chodzi mi o Emmę, lady Wolvercote – drążyła dalej.

– Nie znam takiej osoby.

Adelia z trudem zachowywała cierpliwość; kobieta nosiła żałobę po synu, choć spod czarnych jedwabi wyglądała szkarłatna szata, barwą podobna do bitewnych sztandarów rodu Wolvercote'ów.

– Wysłała do pani list... bardzo miły list. Z Aylesbury. Zapowiadała w nim swój przyjazd.

Lady Wolvercote przechyliła głowę.

– Rzeczywiście, jakiś czas temu otrzymałam list od uzurpatorki, która twierdziła, że jest żoną mojego syna – pewnie to jakaś dziewczka, która chce wyłudzić pieniądze.

– Nie, to nie dziewczka – odparła spokojnie Adelia. – Chciała pani przedstawić wnuka.

– Tylko straciłaby czas. Nie przyjmuję u siebie bastardów.

Kobieta wypowiedziała słowa „dziewka” i „bastard” bez gniewu, jakby po prostu stwierdzała fakt. Wyraz jej oczu nie zmienił się ani na chwilę, na pięknej, bladej twarzy nie pojawiła się ani jedna zmarszczka, a ozdobione klejnotami dłonie nawet się nie uniosły. Mówiła obojętnym głosem, jakby wydawała codzienne polecenia służącemu. Adelia miała wrażenie, że konwersuje z posągiem. Gdy kobieta odwróciła głowę ku Allie, która znowu zeskakiwała z sofy, Gyltha pośpieszyła ku małej, jakby obawiała się, że spojrzenie kobiety może ją obrócić w kamień.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że jej nie przyjęła? – spytała Adelia. – Kiedy to było?

– Czy mówię niejasno? – spytała lady Wolvercote. – Nigdy nie spotkałam kobiety, o jakiej pani mówi.

– Nie przyjechała? W ogóle nie przyjechała?

– To właśnie powiedziałam.

– Gdzie wobec tego jest teraz?

– Nie mam pojęcia – odparła dziedziczka. – I nic mnie to nie obchodzi.

Podeszła do stołu i zadzwoniła małym mosiężnym dzwonkiem.

Majordomus natychmiast wszedł do pokoju.

– Tak, proszę pani?

– Zabierz tych ludzi do kuchni, Johnie. Zadbaj, by otrzymali zwykłą opiekę przed odjazdem. Możecie też wynieść jedzenie ludziom czekającym przy bramie, ale nie wpuszczajcie ich do środka. Nie zniosę obecności bandziorów Plantageneta w tym domu.

Z tymi słowy odwróciła się i wyszła.

Była to przerażająca wiadomość.

– Ale... ale przecież ona musiała się tu pojawić – rozpaczła Adelia. – Przecież właśnie tu się kierowała. To gdzie się teraz podziewa?

Jedyną odpowiedzią było energiczne postukiwanie butów lady Wolvercote na schodach, po których wspinała się na górę.

Gdy drzwi gabinetu zamknęły się za panią domu, majordomus odezwał się cicho:

– Jeśli państwo pozwolą tędy...

– Do kuchni? – wrzasnęła Gyltha, jakby przebywanie w takich miejscach było poniżej jej godności. – Nie pójdziemy do żadnej przeklętej kuchni. Możesz sobie wsadzić...

Adelia uciszyła ją ruchem ręki, zanim padły nieuniknione inwektywy. Choć była bardzo niespokojna, starała się zachować zimną krew.

– Będziemy wdzięczni za kolację przed odjazdem – powiedziała spokojnie do majordomusa. – Podobnie jak żołnierze.

Gdy szli w ślad za służącym, Gyltha rzuciła jej spojrzenie godne Gorgony, która przed chwilą ich pożegnała.

– I ty się na to zgadzasz?

– Tak. Może tam się czegoś dowiemy.

Służący na pewno wiedzieli, co się stało. Gdyby Emmy nie wpuszczono do dworu, nie odjechałyby tak spokojnie. Ludzie musieli słyszeć kłótnię – starcie między teściową a synową było z pewnością potyczką na miarę greckich wojowników, tyle że ta kobieta o posągowej twarzy miała niewątpliwą przewagę przez zasiedzenie.

Poprowadzono ich zatem przez drzwi dla służby prosto na dziedziniec.

– Co o tym myślisz? – spytała półgłosem Adelia, zwracając się po arabsku do Mansura.

– Ta *bint* ma serce z kamienia. Dlaczego kłamię?

To było właściwe pytanie. Gdyby lady Wolvercote wypędziła Emmę z domu, przyznałyby się do tego bez żadnych skrupułów. Mogło to tylko oznaczać, że Emma w ogóle nie dotarła do Wolvercote. Być może z jakiegoś powodu opóźniła przyjazd. Ale dlaczego aż o miesiąc? A może stało się najgorsze? Może napadnięto na nich po drodze do Wells?

Choć Adelii było wstyd jeść w kuchni jak żebraczka, kolacja ze służącymi stanowiła okazję do zadania paru pytań. Postanowiła więc znieść upokorzenie, by dowiedzieć się, co stało się z przyjaciółką.

Przeszli przez podwórze, kierując się do kwadratowego, ładnego budynku z takimi samymi kamiennymi ścianami jak dwór i ośmiobocznym dachem. Z jego otwartych drzwi buchało takie gorąco, że niemal odrzuciło ich w tył.

– Może wolicie państwo zjeść na trawniku? – zaproponował majordomus.

Gyltha zdecydowanie oświadczyła, że woli jeść z żołnierzami, i ruszyła ku bramie, ciągnąc za sobą Allie.

Adelia i Mansur odważnie wkroczyli do kuchni. Z pojedynczego otworu w dachu sączyło się niewiele światła – zresztą jego główną funkcją było odprowadzanie dymu. Dwa kuchenne piece w ścianach oświetlały scenę przypominającą kuźnię Wulkana. Nagi do pasa mężczyzna ze skórą lśniącą od potu wyjmował z pieca okrągłe bochny chleba, posługując się ogromną łopatą. Ktoś nakrywał stół na środku pomieszczenia zaskakująco wyszukanymi potrawami – kawałkami kurczaka, szynką, płatkami pstrąga, konfiturami, bułeczkami oraz czarkami z miodem i masłem.

Obok ustawiono cynowe dzbany z winem i ale. Mansur pokręcił głową, więc Adelia musiała wyjaśnić, że jego religia nie pozwala mu pić alkoholu. Posłano więc jednego ze służących, by przyniósł z piwnicy chłodną lemoniadę z wody po gotowaniu jęczmienia.

Widać było, że potomkini Rolfa Wędrowca nauczyła swoich ludzi, że nie łamie się prawa gościnności wobec podróżnych, choćby najbardziej pośledniego rodu. Był to kolejny niepokojący znak. Gdyby Emma wraz ze swoim orszakiem dotarła do dworu, ludzie w tej kuchni na pewno by o tym wiedzieli.

Może zatem kłamali, że nic im o tym nie wiadomo?

Adelia rozpytywała wszystkich razem, a potem z osobna.

– Czy ktoś z was słyszał o damie podróżującej tędy ze świtą? A może ktoś ją widział? Jest młoda, jasnowłosa i ma ze sobą dwuletnie dziecko. Może tędy przejeżdżała?

Większość obecnych znacznie bardziej interesował Mansur, którego szaty, *kefija* na głowie i opasujący ją złocisty sznur *agal* jednocześnie fascynowały i przerażały, jakby nagle próg ich kuchni przekroczył anioł albo demon. Niepokalana biel jego szat – Adelia do tej pory nie potrafiła odgadnąć, jak utrzymywał je w czystości podczas podróży – zawsze była zauważalna, ale w ludnych portach, takich jak Cambridge, odwiedzanych czasem przez arabskich kupców, nie wzbudzała aż takiej ciekawości. Tu, w głębi kraju, ludzie nigdy nie widzieli kogoś takiego.

– Szukam damy – powtórzyła. – Damy z dzieckiem. Na wozie podróżnym. Konie, służące, stajenni, spowiednik.

Mężczyzna wyjmujący bochenki z pieca na moment odwrócił się, by na nią spojrzeć, więc ruszyła ku niemu, pełna nadziei, ale pokręcił głową i z powrotem zajął się chlebem.

Nie, nie, nikt tu kogoś takiego nie widział. Chłopiec obracający rożen skrzyżował palce, udzielając odpowiedzi, a dziewczyna kuchenna zaczęła histerycznie chichotać, lecz Adelia przypisała ich reakcje obecności Mansura. W końcu zrezygnowała z dalszych pytań.

Próbowała jeszcze porozmawiać z majordomusem, który odprowadzał ich do bramy, ale i on tylko zaprzeczył:

– Nie, pani, nie gościł u nas nikt, kto by tak wyglądał.

– Nie pytałam, czy kogoś takiego gościliście, pytałam, czy ta kobieta tędy przejeżdżała.

– Niestety, przykro mi.

A jednak coś było nie tak...

Kapitan Bolt i jego ludzie siedzieli na trawie pod drzewami, na poboczu drogi, a konie rzucały długie cienie w blasku zachodzącego słońca. Najedli się i napili, ale dowódca był niezadowolony: wierzchowce mogły napić się jedynie z pobliskiego strumienia, który z powodu upałów zamienił się w wąską stróżkę.

– Nie wpuścili nas przez bramę nawet do poidła. Gościnność w Somerset? Pluję na taką gościnność!

Nie wzruszył go fakt, że Emma z kompanią gdzieś zaginęła.

– Nie mógłby pan posłać jednego ze swoich ludzi do Wells? – poprosiła Adelia. – Być może zatrzymali się tam w oberży.

– Pewnie ta jędza ich zjadła – oświadczyła Gyltha. Adelia zmierzyła ją gniewnym spojrzeniem. – No co, na pewno ją na to stać.

– Niestety, nie mogę – odparł Bolt. – Widziała pani, ile tam zajazdów i oberży? Na samej High Street jest ich kilkanaście. Nie mam tylu ludzi ani tyle czasu.

Jak zwykle się spieszył. Miał rozkaz dostarczyć Adelię całą i zdrową do Glastonbury, dopatrzeć, żeby całe towarzystwo wygodnie urządziło się w oberży, i wracać jak najszybciej do króla. Poszukiwanie zaginionych dam nie leżało w jego obowiązkach.

– Poślijcie jego. – Wskazał kciukiem na barda, który rozciągnął się w cieniu dębu. W jednej ręce trzymał udko kurczaka, palcami drugiej przebierał leniwie po strunach harfy, którą obejmował kolanami. – Nie będzie mi go brakować.

Nikt by za nim nie tęsknił. Z początku gra i śpiew Walijszyka zachwycały wszystkich,

ale, by posłużyć się słowami kapitana Bolta, okazało się, że „łobuz niczym innym nie umie się zająć”.

Rzeczywiście, Rhys wcale nie był pomocny w podróży. Jeśli kazali mu coś przynieść, można było się założyć, że upuści żądany przedmiot na ziemię. Ponieważ zwykle chodził piechotą lub podróżował na oklep na drobnych walijskich kucach, bał się dużych koni do tego stopnia, że nie potrafił nawet zaciągnąć popręgu przy siodle ani włożyć wędzidła do pyska wierzchowca. Żołnierze musieli to robić za niego.

Za to doskonale potrafił uwodzić kobiety. Gdy najadł się do woli w każdej z oberży, w której zatrzymywali się na noc, natychmiast znikał. Rano trzeba go było szukać – i za każdym razem odnajdywano go w łóżku jakiejś kobiety. Doprowadzał tym Bolta do szału.

– Jak ten drań to robi? – zapytywał bezradnie kapitan.

Adelia też nie miała pojęcia, w czym rzecz, ale ten krzywozęby, lekko nieprzytomny i niezbyt czysty Rhys swoją muzyką nieodmiennie powodował drzenie kolan oraz innych organów u wszystkich napotkanych służących.

Mansur otwarcie nim gardził, być może dlatego, że Gyltha, którą zazwyczaj drażniło wszelkie niezgulstwo, zaczęła okazywać bardowi wyrozumiałość podszytą sentymentem.

– Ten jego cudowny głos wszystko wynagradza – powiadała i upewniała się, czy na półmisku Rhysa jest największa porcja ze wszystkich.

Allie była nim zauroczona, zresztą z wzajemnością. Tylko jednej nocy nie wyprawił się na podbój miłosny: Allie najadła się wtedy kwaśnych dzikich jabłek w sadzie i bardzo rozboleła ją brzuch. Bard tkwił u jej łóżka i zabawiał ją pieśnią ułożoną na cześć arabskiej gwiazdy Almeison, od której pochodziło jej imię.

Po tym zdarzeniu Adelia zaczęła wiele mu wybaczać, chociaż od czasu do czasu, gdy znowu przyprawił kapitana Bolta o apopleksję, zastanawiała się, po co, u diaska, Henryk kazał im go zabrać z sobą.

– Po prostu chciał się go pozbyć, i tyle – odparł kapitan. – Nie mógł go przecież oddać z powrotem Walińczykom, prawda?

Naturalnie, że nie; ziomkowie Rhysa krzywo patrzyliby na człowieka, który ujawnił angielskiemu królowi sekret śmierci Artura.

Tak czy siak, lepiej było nie posyłać go na poszukiwania Emmy; nawet jeśli mieszczanie Wells pozamykaliby na klucz wszystkie swoje córki, Rhys pewnie zabłądziłby gdzieś w drodze powrotnej.

Nie pozostało zatem nic innego, jak tylko ruszyć do Glastonbury i rozpytywać po drodze o Emmę w nadziei, że się odnajdzie.

Ruszyli krętą drogą. O zmierzchu było na niej zupełnie pusto.

Królewskie prawo, nakazujące wycięcie poszycia i drzew na długość strzału z łuku od drogi, by podróżni nie byli narażeni na zasadzki, wyraźnie ignorowano w tych okolicach, i to od paru ładnych lat, bo kawalkada jechała leśnym tunelem. Światło księżyca ledwie sączyło się przez gęstwinę gałęzi nad ich głowami.

Zapalono więc pochodnie i latarnie. Dobyto mieczy. Kapitan polecił zachować ciszę i zwolnić do stępa, bo bandyci często przeciągali przez drogę drut, który zbijał z nóg galopujące wierzchowce. Gylthę, Adelię i Allie uśpioną w kołysce otoczył kordon żołnierzy, z czego bardzo się ucieszyły. Rhys wsunął się między nie – jego jedyną bronią była harfa.

– Mówią, że to najbardziej niebezpieczna droga w całej Anglii – mruknął pod nosem trębacz Michael.

– Dlaczego? – spytała szeptem Adelia.

– Wolf. Banita. Nazwali go Wolfem, bo to zwierzę, choć chodzi na dwóch nogach. Ma też swoją sforę. Powiadają...

Kapitan Bolt uciszył ich natychmiast. Nadsluchiwał szmerów, dochodzących spośród pni drzew, otoczonych niesamowitą poświatą w blasku pochodni. Co chwila kierował miecz w stronę zielonych odbłasków zwierzęcych oczu, które wyglądały z gąszczy.

W pewnym momencie Adeli wydało się, że ktoś zakaszał wśród drzew, ale nie potrafiła powiedzieć, czy dźwięk ten wyszedł z ludzkiego, czy też ze zwierzęcego gardła.

Wolf...

Ze zmęczenia i strachu rozzłościła się na dobre. Bolt powinien wrócić z nimi na nocleg do Wells i pokonać ten odcinek za dnia. Niech go kule biją za ten pośpiech. Nie może się doczekać, aż wróci galopem do tego swojego zakichanego króla.

I niech diabli wezmą tę babę we dworze. Czy Emmę wraz z Pippym też wygoniła, by przebyli nocą ten piekielny szlak? Twierdziła, że nie. Mansur jej nie wierzył, a w tym ślicznym domu panowała duszna atmosfera. W kuchni też miała wrażenie, że ukrywają prawdę.

Mój Boże, może ta wiedźma trzyma ich w zamknięciu? A może i gorzej?

Nie, takie myśli przychodzą do głowy ze zmęczenia.

A jednak było w tym coś... Wciąż wracały do niej oczy piekarza, który na nią spoglądał. Coś takiego...

Do diabła, kiedy wreszcie dojadą do tego całego Glastonbury? Podobno jest oddalone od Wells tylko o kilka kilometrów! Nigdzie jednak nie widać żywego ducha.

Jedyną wskazówką, że dotarli do miasta, był dźwięk końskich podków uderzających o

bruk. Nie było żadnej wskazówki, tylko po prawej otworzyła się leśna polana. W świetle latarni ujrzeli strome, brukowane wzgórze, obniżające się ku lustru wody, lśniącej w blasku księżyca.

– Jesteśmy – stwierdził Bolt. – To na pewno tu. Tam w dole jest rzeka Brue. Przepływa tuż obok opactwa. Ale gdzie opactwo?

Dobre pytanie. Największa, najbardziej ludna, najbogatsza posiadłość kościelna w Anglii, mająca na własność większość ziem w hrabstwie Somerset i nadania w wielu innych okolicach, powinna zdradzać jakieś ślady ludzkiej obecności, nawet o tej porze, niezależnie od zniszczeń.

Dopiero, gdy ruszyli w dół wzgórza, Adelia w pełni uświadomiła sobie rozmiar szkód, jakich dokonał ogień. Po lewej stronie ciągnął się wzdłuż drogi mur klasztorny, który pożar przemienił w kupę osmalonych kamieni. Za murem panowała martwa cisza.

Równie żałośnie – choć nikt ich wcześniej o tym nie uprzedził – wyglądało małe miasteczko. Płomienie przedostały się przez mur i zniszczyły je doszczętnie. W świetle pochodni widać było nagie place, gdzie do niedawna wyrastały sklepy i chaty należące do mieszkańców, którzy obsługiwali opactwo i pielgrzymów, zmierzających do tego świętego miejsca.

Jeszcze niedawno musiała być tu ruchliwa główna ulica. Teraz w powietrzu unosił się kwaśny zapach popiołu. Nigdzie nie było widać żadnych świateł; tylko światło księżyca zalewało całą scenę równomiernym blaskiem. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Cisza.

Adelia usłyszała, jak kapitan, czyniąc znak krzyża, mruczy z niedowierzaniem:

– Umarło. Na litość boską, Glastonbury umarło.

U stóp wzgórza, gdzie miasto schodziło do rzeki i gdzie rozciągały się przestronny, brukowany rynek oraz niewielkie nabrzeże, mur opactwa pozostał nienaruszony, podobnie jak sąsiedni, trzypiętrowy budynek. Uratowała go bliskość wody i kamienne ściany, ale była to jedyna pozostałość po tętniącym życiem mieście. Tu również nikt nie dawał znaku życia. Fronton z solidnymi drzwiami wiodącymi na ulicę ginął w mroku, ale latarnia kapitana Bolta oświetliła wielką, szeroką sklepioną bramę wjazdową po prawej; na nadprożu dostrzegli wyrzeźbioną w kamieniu sylwetkę pielgrzyma w szerokim kapeluszu, wędrującego z węzełkiem na plecach.

Dotarli do zajazdu Pielgrzym.

Skręcili więc i wjechali na wielki, pusty dziedziniec otoczony budynkami gospodarczymi. Gospoda znajdowała się po lewej. Przez szczeliny w jednej z okiennic sączył się blask świecy.

– Dzięki Bogu. – Kapitan odetchnął, zsiadł z konia i zaczął dobijać się do bocznych drzwi.

Wewnątrz rozległo się szczekanie psa. Świeca na górze zgasła. W końcu usłyszeli skrzypienie, jakby ktoś odrobinę uchylił okiennicę – i to było wszystko.

Adelię i Gylthę zszadono z siodła i zaprowadzono ich konie do poidła przy studni wraz z pozostałymi wierzchowcami. Dwóch żołnierzy zaczęło przeszukiwać stajnię i stodołę.

– Otwierać w imieniu króla! – huknął zniecierpliwiony Bolt.

Z okna dał się słyszeć drżący głos, niemal zagłuszony szczekaniem psa.

– Poszczuję was psami. Ostrzegam, jesteście uzbrojeni.

– Podobnie jak my – ryknął w odpowiedzi kapitan. – Otwieraj te przeklęte drzwi, zanim je, psiakrew, wyważę!

Michael trębacz z niejakim opóźnieniem przypomniał sobie o swej roli i szlachetne nuty fanfary zabrzmiały echem wśród murów. W odpowiedzi pies znów się rozszczękał, a ze stajni wyleciała przerażona sowa.

– No dobra, poszukajmy czegoś, żeby wyważyć drzwi – zaproponował Bolt i zaczął rozglądać się po dziedzińcu.

W tym momencie drzwi uchyliły się nieco.

– Kim jesteście?- spytał ten sam głos.

– A ty kim jesteś?

– Nazywam się Godwyn, panie. Jestem tutejszym oberżystą.

– A my jesteśmy ludźmi króla – odparł kapitan i strzelił palcami w kierunku Adelii, która odnalazła w jukach królewski glejt. – Król Henryk wysłał do ciebie rozkaz, zapowiadający przyjazd gości. Tylko nie mów, że o niczym nie wiesz, bo posłaniec potwierdził, że oddał ci pismo.

Drzwi uchyliły się nieco szerzej. Latarnia w ręku Bolta oświetliła postać niewysokiego, tustego, bosego mężczyzny w nocnej koszuli. Oberżysta trzymał za obrożę jednego jedyne go, ujadającego psa.

– To było miesiąc temu – oświadczył – i nikt nie przyjechał. Zupełnie nikt.

Widać było, że dygotał ze strachu.

– No, to teraz przyjechaliśmy – odparł kapitan, wziął glejt od Adelii i pomachał tłuściochowi przed nosem.

– Oto lord Mansur – saraceński dzentelmen, zgodnie z tym co napisano w papierach. Przybył... – Bolt nieco przesunął latarnię, oświetlając pergamin – „aby zbadać niedawne odkrycia w opactwie Glastonbury, za zgodą króla Anglii Henryka i jego ukochanego opata

Sigwarda”. Ta dama to pani Adelia, również wymieniona w tym piśmie, podobnie jak jej towarzyszka, pani Gyltha, a to jest... Hej, człowieku, co ci się stało?

Oberżysta Godwyn zemdłał.

Rozdział 6

Adelia razem z Gylthą i Allie poszły drzemać na sianie w pustej stajni. Gdy wstała rano, okazało się, że oberżysta i jego żona przywrócili zajazd do życia, naturalnie przy pomocy Mansura i żołnierzy.

Wszystkich rozlokowano w pokojach z wygodnymi łózkami, czystymi kocami i ciepłą wodą do mycia. Dostali nawet śniadanie, podane przy szerokim stole w sali gościnnej, ogromnej komnacie, do której wchodziło się z głównego korytarza.

Gospodyni Hilda gorąco ich przepraszała:

– Mam tylko owsiankę, ser, marynowanego węgorza i parę jaj w koszulkach. Gorąco was za to przepraszam, mili państwo, ale z miasta wynieśli się kupcy, a lis porwał sześć moich kur, niech go Bóg pokarze. W ciągu dnia Godwyn powiosłuje do Godney i zakupi porządne jedzenie.

Do posiłku podano świeży, chrupiący chleb, bo Godwyn, który zajmował się gotowaniem, zdążył już rozgrzać piec, zrobić zaczyn i odczekać, aż wyrosnie przed pieczeniem. Razem z żoną musieli pracować jak muły od samego rana, pomyślała Adelia.

– Przykro mi, że zdenerwowaliśmy pana Godwyna – zwróciła się do Hildy.

– Nasz Godwyn łatwo ulega emocjom – odparła jego żona. – Przeżył szok, bo myślał, że jesteście zbójami. Nie spodziewaliśmy się nijakich gości, jako że od pożaru nikt tu nie przyjeżdża, a królewski list przyszedł już dawno. Myśleliśmy, że wszystko poszło w niepamięć...

Hilda, chuda, wesoła i piegowata, nieco wyższa od męża, cały czas była w ruchu i nieprzerwanie coś mówiła. Przepraszała, że Pielgrzym nie jest już taki jak dawniej, krzątała się przy stole i obiecywała, że jedzenie się poprawi.

Po pożarze Glastonbury całkiem opustoszało. Większość mnichów rozjechała się po całym kraju zbierać pieniądze na odbudowę opactwa, mówiła. Niektórzy z mieszkańców miasta opuścili je na dobre, inni rozbiegli się, by szukać nowej pracy, czekając, aż nadarzy się możliwość powrotu i odbudowy domostw i sklepów.

– Ale to strata czasu – tłumaczyła – bo przecież handel tu zamrze do reszty bez pielgrzymów. Chyba że... – z nadzieją spojrzała na Mansura – ...pątnicy powrócą, gdy się dowiedzą, że na naszym cmentarzu leży król Artur i jego dama.

Adelia westchnęła ciężko. Jak widać, w takiej małej, odizolowanej społeczności nic się nie ukryje. Jednak oczekiwania tych ludzi będą dla niej nieznośnym ciężarem. Miała nadzieję,

że nie rozczaruje mieszkańców; podziwiała odwagę Hildy w obliczu przeciwności losu.

– Oczywiście, słyszeliście, kto to zrobił? – spytała oberżystka.

– Co mianowicie? – odezwał się Bolt.

– Kto specjalnie sprowadził na nas tę klęskę, narażając nasze życia, zabił nasze opactwo i nas razem z nim. – Na moment Hildę opuściła energia, a jej twarz pobladła i przywiedła, jakby odpłynęły z niej wszystkie siły życiowe. Spojrzała na nich wiekowa, mściwa kobieta. – To biskup z Wells! – oświadczyła.

– Biskup? – Bolt zakrztusił się owsianką. – Biskup podłożył ogień?

– Nie osobiście przecież, ale przez swoich ludzi – wyjaśniła Hilda. – Chcemy tylko wiedzieć, gdzie jest ten nicpoń sokolnik? Naturalnie, biskup może powtarzać, że wygnał go z Wells za pijaństwo, ale przecież byli ze sobą blisko... biskup poluje, a to był jego osobisty sokolnik! Blżej do biskupa ma tylko łowczy. I wiecie, do kogo przyszedł ten łajdak, kiedy go wygnali, i kogo błagał, by go przyjął pod swój dach? Mojego drogiego opata. A co stało się w kilka tygodni później? Pożar. Tak właśnie było. – Hilda zacisnęła powieki, by powstrzymać napływające do oczu łzy. – Glastonbury zostało zamordowane, Wells rozkwita. A ślad po Eustasie Nicponiu zaginął. Dlaczegoż to? Bo biskup go gdzieś wywiózł, żeby nie przyznał się do winy.

Oczywiście, zawsze znajdzie się kozioł ofiarny, pomyślała Adelia. Gdy całe miasto staje w morzu ognia, jak to czasem bywa, przyczyn upatruje się albo w karze boskiej za grzechy – a Glastonbury było zbyt święte, by je o to podejrzewać – albo w podpaleniu. Trzeba znaleźć winnego. Przecież to nie do pomyślenia, by przyczyną takiego cierpienia była źle obsadzona świeca, która wypadła z lichtarza.

Wiedziała z doświadczenia, że takie narzekania mogą się ciągnąć godzinami, więc trochę z niepokoju o Emmę, a trochę po to, by zmienić temat, zapytała:

– Nie słyszeliście przypadkiem o damie podróżującej z dzieckiem i z rannym rycerzem? Udawała się do dworu Wolvercote, ale chyba tam nie dotarła.

Hilda usiadła przy stole, by się zastanowić.

– Dama i ranny rycerz, tak?

– Cudzoziemiec, Niemiec.

– Nie, nie mogę powiedzieć, żebym o kimś takim słyszała. Mam nadzieję, że nic im się nie stało, bo drogi nie są już bezpieczne. Wielu ludzi straciło pracę i poszli zbójować albo i gorzej, podrzynać gardła podróżnym na drodze do Wells, pozbawiając nieszczęśników życia, jakby nie dość było pozbawić ich sakiewek.

– Ta droga z Wells to skaranie boskie – stwierdził kapitan, przetykając owsiankę. –

Drzewa rosną do samego traktu, wymarzone miejsce dla bandytów, bo kto ich potem złapie w takim lesie? Nie wiem, dlaczego opat się tym nie zajmie.

Hilda zwróciła się do niego.

– Nie wiń, panie, mojego drogiego opata. Nawet nie próbuj. On by wszystkim zapewnił bezpieczeństwo, niech Bóg go błogosławi. Tylko że las należy do Wells, a raczej do króla, a tamtejszy biskup poluje i nie zgodzi się, by choć jedną gałązkę uciąć, tak się trzęsie nad swoją zwierzyną. Och, gdybym umiała używać brzydkich słów, mogłabym wam takie rzeczy opowiedzieć o tym biskupie z Wells...

I oczywiście zaczęła opowiadać. W najdrobniejszych szczegółach.

Rywalizacja między Glastonbury a Wells nie ograniczała się do duchowieństwa, ale – zdaniem Hildy – istniała od niepamiętnych czasów pomiędzy mieszkańcami obu miast. Wells zawsze zazdrościło swojemu sławnemu sąsiadowi.

– Ludzie z Wells to nie żadni chrześcijanie i wcale mi ich nie będzie żal, gdy staną na Sądzie Ostatecznym, bo zasłużyli, by się smażyć w piekle.

Biskupa St Albans czeka ciężka praca, gdy przyjedzie tu z mediacją, pomyślała Adelia.

Kapitan Bolt przerwał przemowę oberżystki. Mimo że on i jego ludzie spali zaledwie parę godzin, musiał natychmiast wracać ze swym oddziałem do Walii.

Adelia z rozbawieniem słuchała, jak wyklóca się o rachunek za nocleg i wyżywienie żołnierzy.

– Przecież od króla bierze się tylko połowę zapłaty za noc, pani Hildo, tym bardziej że zamiast spać, pomagaliśmy wam otworzyć gospodę. Sami też zajęliśmy się końmi. Skarbiec królewski nie może płacić za usługi, których nie było.

Jaki król, taki kapitan, pomyślała Adelia. Po chwili dodała w myśli: ten kłamliwy Henryk znowu mi to zrobił.

Przed odjazdem zamieniła z Plantagenetem parę ostrych słów.

– Mój panie, nie pojedę do Glastonbury bez grosza przy duszy jedynie z papierowym glejtem. A jeśli zdarzy się coś nieoczekiwanego i będę potrzebowała gotówki?

– Coś nieoczekiwanego? To wakacyjna wyprawa, miła pani.

W końcu udało jej się wydusić z niego dwa srebrne funty, które – ponieważ nigdy nie nosił przy sobie pieniędzy – musiał pożyczyć od opierającego się szambelana. Teraz musi zapłacić co najmniej funta oberżystom, bo w przeciwnym razie będzie tu mieszkać na kredyt, a zrujnowana gospoda może tego po prostu nie wytrzymać. Skarbnik Henryka był takim samym sknerą, jak jego pan, i równie niechętnie płacił rachunki.

Z żalem pożegnała Bolta. Choć był w gorącej wodzie kąpany, polubiła i jego, i

żołnierzy. Ze wzruszeniem dowiedziała się, że odwiedził mnichów i zapowiedział jej przyjazd opatowi.

Wszyscy wyszli na dziedziniec pomachać żołnierzom na pożegnanie, tylko Rhys został przy stole i dalej jadł.

– Król powiedział, że jak będzie pani ruszać w powrotną drogę, ma powiadomić biskupa Rowleya w Wells, a on zapewni eskortę na dalszą drogę.

Aha, jak w piekle śnieg spadnie, pomyślała, kiwając potulnie głową.

– Niech nigdzie pani nie chodzi sama, nawet za dnia.

– Och, będziemy tu bezpieczni, kapitanie.

Wskoczył na siodło, a potem powiedział coś, czego nie spodziewałaby się po tak rzeczowym, przyziemnym człowieku:

– Wcale nie jestem tego taki pewien. Pożar poczynił tu więcej szkód, niż nam się wydaje. Coś stąd zniknęło, a w zamian pojawiło się coś zupełnie innego.

Rhys poszedł z nimi do opactwa.

– Pokłonię się mogile wuja Caradoca – oświadczył.

Chyba zamierzał coś na niej śpiewać, bo zabrał ze sobą harfę.

Hilda także zabrała się z nimi. Niosła ciężki, przykryty serwetą kosz, podobnie jak Godwyn, który jednak towarzyszył im tylko kawałek do przystani, gdzie stała niewielka szopa na łodzie. Na wodzie kołysała się wiosłowa łódka należąca do gospody. Oberżysta wybierał się po zakupy.

– Tylko niczego nie zapomnij – wołała Hilda w ślad za nim. – Kup dziczyznę, jeśli będzie, i dobrą szynkę. I sprowadź z powrotem dziewczynę. Będzie nam potrzebna pomoc, a Millie umie ciężko pracować, choć jest trochę pomyłona – wyjaśniła Adeli. W nieprzerwanym potoku wymowy opowiadała o pracownikach, których zatrudniali w oberży, gdy do miasta przybywały rzesze pielgrzymów, i o tym, jakich wspaniałych gości miewali u siebie: – Tak, gościły u nas nawet dworki królowej Eleonory, bo w gościnnym skrzydle opactwa nie było już dla nich miejsca. Naprawdę tak było. Niejedna osoba szlchetnego rodu bywała tu, w Pielgrzymie...

Adelia słuchała tego wszystkiego jednym uchem. Zauroczył ją widok roztaczający się z pomostu. U jej stóp leżała rzeka Brue, jak lśniący pas błękitnej intarsji, biegnący przez porośnięte tatarakiem mokradła, które rozciągały się aż po horyzont. Na modrym niebie unosiły się mewy. W powietrzu dawało się wyczuć lekki smak soli – gdzieś w dali było

przecież ujście rzeki Severn, a dalej Morze Celtyckie, które z trudem zatrzymywał ten pas nasiąkniętej wodą ziemi, który jakby wybiegał na spotkanie nieba.

Allie aż skakała z radości.

– Zupełnie jak w domu, mamó! – zawołała. Po chwili przeszła na arabski: – Mansurze, możemy iść na ryby? Proszę!

W Waterbeach oboje często łowili, żeby zapewnić posiłki całej rodzinie. Nagle Allie zakrzyknęła, tym razem po angielsku:

– Patrzcie, ktoś tam chodzi na szczudłach, zupełnie jak u nas. Możesz mi zrobić szczudła, mamó?

– Nic z tego, panienko – odezwała się Hilda z nagłą surowością. – Trzeba dobrze znać wszystkie ścieżki, bo tu są mokradła i jeśli zabłądzisz, to się utopisz, błoto wejdzie ci do noska i się udusisz.

– Nie można straszyć dzieci – warknęła Gyltha, a Allie natychmiast dodała:

– Wcale się nie boję. Ja też mieszkałam na mokradłach.

– To nic nie znaczy – odparła Hilda. – To jest Avalon i na mokradłach są różne straszidła.

Nie jest tu aż tak pięknie jak u nas, pomyślała Adelia, bo prawie nie ma drzew. Wiedziała jednak, o co chodzi córce. Ten samotny wędrowiec na szczudłach, podobny do niezgrabnej czapli na tle nieba, przypomniawszy dziewczynce o domu, gdzie ludzie chodzili w ten sam sposób po znanych od niepamiętnych czasów szlakach ukrytych pod warstwą bagnistej ziemi i płytkiej wody. Przed nimi rozciągały się niezmierzone bogactwa – pożywienie i opał. Panował tu ciągły ruch – pelikan wznosił się do lotu, trzepocąc ciężkimi skrzydłami, wydry zsuwały się z brzegu do wody jak po zjeżdżalni, ważki śmigły nad bagnem, bobry budowały tamy... w domu spędzała z córką całe godziny, przyglądając się tym wszystkim cudownościom.

Hilda wciąż próbowała zniechęcić Allie do zaglądania na mokradła i pewnie miała rację, bo były to niebezpieczne okolice dla ludzi, którzy nie znali miejscowych ścieżek.

– Są tam ogniki zwodniki, które świecą i sprowadzają ludzi na manowce w środku nocy, a potem... Uhuuu! – Zatrzepotała ramionami i wydała dziwne pohukiwanie.

– U nas nazywamy je błędnymi ognikami, a mama mówi, że to zjawiska podróznicze – odparła Allie, którą niełatwo było przestraszyć.

– Przyrodnicze, kochanie – poprawiła ją Adelia. – Zjawiska przyrodnicze.

Na mokradłach były wysepki, wystające z płaskiej powierzchni bagien jak grzbiety delfinów, skamieniałe w chwili, gdy wyskoczyły nad wodę i już miały zanurkować z

powrotem. Łódka Godwyna zmierzała w stronę jednej z nich. Miała ochotę o nie zapytać, ale przecież król płacił za jej czas i nie mogła go marnować. Poza tym Gyltha wyglądała na coraz bardziej rozdrażnioną i zanosilo się, że zaraz wda się w sprzeczkę z Hildą.

Trąciła łokciem Mansura.

– Prowadź dalej, mój panie.

Skręcili w lewo, wzdłuż rynku pełnego opuszczonych straganów i ruszyli wzdłuż klasztorного muru ku pozostałościom obrośniętej mchem strażnicy, która obecnie stanowiła tylko przerwę w murze. Wspięli się po zboczu, mijając ruiny niedużej stodółki...

I wreszcie ujrzeli ten widok.

– Matko Boska, zmiłuj się nad nami – odezwała się cicho Gyltha.

Jak bezlitośnie słońce oświetla tę żalosalną, poczerniałą ruinę, od której ludzie odwracają oczy, pamiętając jej niedawne piękno, pomyślała Adelia.

Wciąż można było podziwiać wdzięczny zarys łuku bramy, choć została jej ledwie połowa; wciąż można było w myśli odtworzyć długą, elegancką nawę, transept, strzelistą kolumnadę krużganków; przepiękne płaskorzeźby wciąż zapierały dech w piersiach, choć pokrywała je warstwa sadzy; można było wyobrażać sobie, że zieleń wciąż rozkwita na pasach wypalanej ziemi, przypominających ohydne plamy chorobowe, i że całe wzgórze pokrywa łąka, stanowiąc tło tego cudu architektury.

Odbudowa tego wszystkiego potrwa lata, a może nawet całe stulecie. Ci, którzy niegdyś opiekowali się wspaniałym kościołem, będą teraz mieszkać w jego ruinach i umierać, nie widząc końca pracy nad jego odbudową. Samo rozpoczęcie tego przedsięwzięcia wymagało niewyobrażalnej dla Adelii odwagi – i wiary.

– Tak mi przykro – powiedziała, choć czuła, że słowa nie potrafią oddać jej uczuć. Nie wiedziała właściwie, do kogo to mówi...

Pożar rozprzestrzenił się z kościoła w dół, więc górna część wzgórza ocalała. Dwóch mężczyzn – jeden w benedyktyńskim habicie, drugi w świeckich szatach z surowej wełny – kosiło tam trawę na łące. Zza płotu przyglądał im się samotny muł. Cała grupa wyglądała sielankowo, jak żywcem wyjęta z iluminowanego rękopisu. Widok ten stanowił ulgę dla oczu znudzonych oglądaniem skutków działania ognia piekielnego u stóp wzgórza.

Mnich wyprostował się, zobaczył ich, odrzucił sierp i ruszył ku nim biegiem, krzycząc i wymachując rękoma.

– Oddalcie się! – krzyczał. – Nie potrzebujemy was tutaj. W imię Ojca, oddalcie się stąd!

Nieco bliżej pojawił się drugi mnich, który energicznie ruszył w ich stronę, pragnąc

powstrzymać pierwszego.

– Bracie Jamesie, bracie Jamesie – nawoływał z daleka. – Przestań. Uspokój się. Pamiętaj o dobrych manierach. To wysłańcy króla, mogą nam przynieść ratunek.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczyli, że uśmiecha się szeroko. Zwrócił się najpierw do Mansura:

– Dziękuję królowi i Wszechmogącemu, że tu dotarłeś, panie. Cały świat wie o tym, że Arabowie celują we wszystkich naukach. Jestem opat Sigward.

Skinieniem głowy witał kobiety, gdy Adelia przedstawiła najpierw siebie, a potem Gylthę i Allie – która została obdarzona specjalnym ukłonem – a także Rhysa.

– Panie i panowie, niech was Bóg błogosławi – powiedział.

Brat James nadbiegł pędem i buchnął na kolana, wznosząc tuman popiołu.

– Nie wpuszczaj ich tu, dobry opacie – błagał, wczepiając długie, nerwowe palce w skraj szaty duchownego. – Błagam cię na wszystko, odeślij ich stąd.

– Dlaczegoż to? – spytał opat Sigward. – Zaczniemy od tego, że mam wielką ochotę na smakołyki, które nasza dobra Hilda z pewnością przyniosła w tym koszu.

Trzymając jedną dłoń na ramieniu rozdygotanego brata Jamesa, poprowadził ich do budynku, z którego przed chwilą wyszedł. Była to jedyna klasztorna budowla, która oparła się pożarowi – foremny, kamienny czworobok z ciosanego kamienia, samotny na ogromnych terenach opactwa. Słońce nadało ciepły kolor kamieniowi, a czerwone dachówki na stożkowym dachu przechodziły w pięknie uformowany komin.

– Niegdyś kuchnia opactwa, a teraz nasza siedziba – powiedział opat, zapraszając ich do środka.

Trzy czwarte mieszkańców Anglii cieszyłoby się, mogąc tu zamieszkać, pomyślała Adelia. Sama chętnie by to zrobiła. Budynek był przestronny, chłodny i funkcjonalny, choć budowniczy nie oparli się pokusie i tu również wyrzeźbili misterną płataninę kamiennych liści i owoców na ośmiu łukach żebrowanego sklepienia, spotykających się przy centralnym otworze wentylacyjnym.

Schody w kącie, w którym stało kilka wiader, wiodły ku otworowi, wypełnionemu ciemną powierzchnią wody. W drugim kącie znajdowały się kadzie. Na murku zagrody, w której stała koza, przycupnął senny kot. Na kominku pod otworem w dachu było pusto; widocznie ogień rozpalano gdzie indziej.

Dwóch mnichów – chudzielec i grubas – z moździerzami w rękach stało przy prostym stole, ucierając zioła.

Obaj uważnie przyglądali się przybyłym, z nieodgadnionym wyrazem twarzy

przenosząc wzrok z postaci Mansura na Adelię, Gylthę, Allie i wreszcie na Rhysa.

– O mój Boże, on wrócił – mruknął chudzielec.

Rhys skłonił się lekko.

– Witaj, bracie Aelwynie. Pamiętasz mnie zatem?

– O, tak – odparł brat Aelwyn z naciskiem.

Opat przedstawił im mnichów. Grubszy z nich, brat Titus, ledwie skinął im głową, skupiając się na zawartości koszyka Hildy, która zaczęła wykladać wiktuały na stół. Szczególnie interesował go skórzany bukłak z ale.

– Widzisz, panie – objaśniał opat Sigward Mansurowi – nałożyliśmy na siebie pokutę, wysyłając brata Patricka, naszego kucharza, do klasztorów w Normandii, by zebrał tam o datki na odbudowę opactwa. Patrick ma wielki dar wymowy i wdzięk, a jego mistrzostwo kulinarne jest równie wielkie. Niestety, z naszymi umiejętnościami ledwie dajemy sobie radę z przygotowywaniem posiłków. Prawie wszyscy bracia świeccy, z wyjątkiem jednego, opuścili nas, szukając pracy gdzie indziej...

– Po prostu nas porzucili – rzucił gniewnie brat Aelwyn. – Szczury uciekły. Uważają, że Bóg nas przeklął.

– Obawiam się, że masz rację – przytaknął opat. – Może i tak, ale przynajmniej Pan zesłał nam wsparcie ze strony naszej Hildy. – Uśmiechnął się do oberżystki, a potem do Mansura, dodając: – I z twojej strony, szanowny panie. – Popatrzył uważnie na Araba, który wpatrywał się w niego, milcząc, z twarzą bez wyrazu, i zwrócił się do Adelii: – Rozumiem, że ten mędrzec nie mówi po angielsku?

– Obawiam się, że muszę między wami pośredniczyć jako tłumaczka i asystentka – odparła, używając zwykłej wymówki, która zawsze okazywała się skuteczna. Z ulgą powitała fakt, że opat Sigward jest na tyle światły, by zaakceptować wyniki śledztwa prowadzonego przez Saracena, ale wiedziała, że ona sama nie ma co liczyć na taką tolerancję. Przeor Geoffrey, niech go Bóg błogosławi, był chyba jedynym duchownym, gotowym uznać jej wiedzę i umiejętności, ale tylko dlatego, że niegdyś uratowała mu życie.

Spytała mnichów, czy słyszeli może o zaginionej damie, która podróżowała wraz ze służbą po okolicy.

Nie słyszeli. Nikt z nich nie wychodził z opactwa od dnia pożaru.

– Pilnujemy tych kilku świętych relikwii, które udało nam się ocalić – wyjaśnił opat i dodał: – Nic dziwnego, że się tak pani niepokoi. Czasy są niebezpieczne.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, ojciec – przerwała im Hilda. – Popatrz, przyniosłam szynkę konserwowaną, tak jak lubisz, i moje konfitury z pigwy.

Jej zaborczość w stosunku do opata wyraźnie rzucała się w oczy. Kobieta strzepywała pyłki kurzu z jego ramienia, napelniała jego talerz, podawała serwetki i próbowała mu je wcisnąć w dłoń. Od chwili, gdy się pojawił, zachowywała się, jakby nikt inny dla niej nie istniał.

– Ojczy, czy trafiliście na ślad tego nicponia, którego Wells na nas nasłało? – spytała.

Opat łagodnie odsunął jej rękę z serwetką.

– Nie możemy zakładać, że to Eustace podłożył ogień, moja droga, ani że biskup Wells go do tego nakłonił, choć nasze podejrzenia idą w tym kierunku i będziemy musieli powiedzieć o nich szeryfowi. Wiedz jednak, że do tej pory go nie odnaleźliśmy.

– Pewnie, że to on podłożył ogień – upierała się Hilda. – Przecież brat Aloysius tak mówił przed śmiercią, prawda? Mówił, że widział go wychodzącego z płonącej krypty?

– Mówił coś, ale bardzo niewyraźnie.

– Będzie się smażył w piekle, jeśli nie spłonął za życia – odezwał się brat Aelwyn z wściekłością. – Któż, jak nie ten szatański biskup radowałby się, widząc Glastonbury, płonące jak wiejskie ognisko? To był bez wątpienia Eustace!

– Moja droga, niegrzecznie byłoby jeść samemu, podczas gdy gości nie zaproszono do stołu. Widzę ponadto, że chcą oni jak najszybciej wypełnić królewskie rozkazy – powiedział opat do Hildy, która wciąż mu nadszakiwała, i wyszedł z kuchni, prowadząc gości w stronę katedry. Wszyscy ruszyli jego śladem, nawet brat Titus, który niechętnie oderwał się od stołu. Zanim wyszedł, przykrył jedzenie serwetą, by nie siadały na nim muchy i nie popsuky mu przyjemności z posiłku po powrocie.

W miarę zbliżania się do ruin kościoła napięcie rosło. Wrogość w stosunku do Mansura była wręcz dotykalna. Bracia Titus i Aelwyn wyraźnie sposepniali. Brat James histerycznie błagał przełożonego, by nie pozwolił Saracenowi dotykać chrześcijańskich kości.

Hilda była szczególnie agresywna.

– Przecież to kości Artura i Ginewry, wszyscy to wiedzą – powtarzała w kółko, jakby dzięki temu mogła sprawić, że przypuszczenia staną się prawdą.

Tylko opat Sigward zachowywał spokój, tłumacząc, że nie wiedzieli, co zrobić ze szkieletami.

– Wydawało nam się, że należy im się lepsze schronienie niż nasza kuchnia, więc zbudowaliśmy tymczasowo chatkę z wikliny w miejscu, gdzie była kaplica Marii Panny. Mamy nadzieję, że Najświętsza Panienka otoczy ich tam swoją opieką.

– Trzeba było zbudować dwie chatki, dla przyzwoitości – upierał się brat Aelwyn.

– Mój drogi, dyskutowaliśmy już o tym – odparł opat ze znużeniem. – Tych dwoje

leżało przez długi czas obok siebie, więc nie zamierzam ich teraz rozdzielać – oświadczył. Mrugnął okiem i dodał: – Jeśli legendy mówią prawdę, to Artur i Ginewra zawarli małżeństwo jak się należy. – Po chwili zatrzymał się, pozwolił Rhysowi pójść na grób wuja i zwrócił się do Allie:

– Maleńka, czas, żebyś poszła się pobawić. Stare kości to nie widok dla dzieci – powiedział.

Allie już otwierała usta, by odpowiedzieć, że dobrze zna się na kościach, ale Gyltha wymierzyła jej solidnego kuksańca i zaproponowała:

– Chodź, pójdziemy pozwiedzać okolice, dobrze? Może coś ciekawego znajdziemy? Mała lubi zwierzęta – zwróciła się do opata.

– Mamy tu ładnego konika na pastwisku – odparł Sigward.

– To muł – sprostowała Allie, ale grzecznie poszła w tamtą stronę z Gylthą.

– Powiedz mu to, mój panie – naciskał brat James. – Powiedz temu Saraceniowi o niezwyklej konstrukcji Artura, nie danej zwyczajnym ludziom. – Po raz pierwszy zwrócił się do Adelii: – Powtórz to twojemu panu, kobieto. Powiedz, że Artur ma sześć żeber, i że Nasz Pan udziela tej łaski jeno bohaterom.

O mój Boże, westchnęła w myśli Adelia, znowu ta sama historia.

– Sądzę, mój panie, że lord Mansur wyjaśniłby ci, że kobiety i mężczyźni mają tę samą liczbę żeber – czyli sześć par, nie inaczej. Szkielet mężczyzny i kobiety różni się jedynie budową kości miednicy.

– Wyjaśniłby mi? – zapiął cienkim głosem brat James. – Wyjaśniłby mi? Ja uznaję wyjaśnienia jedynie z Księgi Rodzaju: „Tedy przypuścił Pan Bóg twarde sen na Adama i zasnął; i wyjął jedno żebro jego, i napełnił ciałem miasto niego. I zbudował Pan Bóg z żebra onego, które wyjął z Adama, niewiastę i przywiódł ją do Adama⁴„. Adam miał zatem tylko pięć żeber, podobnie jak wszyscy inni mężczyźni z wyjątkiem tych, którzy dostali specjalną dyspensę od Boga – jak Artur.

Ciekawe, że nikt z tych uparciuchów nie wpadł na to, by samemu pomacać się po klatce piersiowej. Przecież, do licha, potrafią chyba policzyć własne żebra! – irytowała się w myśli Adelia.

Stale się z czymś takim spotykała. Autorzy Biblii najwyraźniej nie mieli pojęcia o anatomii.

Do diabła, jak tu prowadzić śledztwo, mając za plecami publiczność, która składa się z

⁴ Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa.

samych ignorantów, będących w dodatku pod wpływem tak silnych emocji, zastanawiała się w milczeniu.

Opat Sigward też widocznie o tym pomyślał.

– Chodźcie, synkowie – powiedział. – Czas już na sekstę. A ty, miła Hildo, mogłabyś zetrzeć na proszek ten korzeń przestępu, bo brat James cierpi na bóle stawów i nie może dokończyć swej pracy...

W ciągu minuty wszyscy się rozbiegli – nawet Hilda, która pragnęła jak najprędzej wypełnić polecenie opata.

Adelia i Mansur znaleźli się sami przed chatką splecioną z łożyny – niedużym, słodko pachnącym budynkiem wzniesionym na wypalonym, prostokątnym placu, na którym niegdyś wystrzeliwała ku niebu budowla – pomnik ku czci Najświętszej Dziewicy.

Mansur pochylił głowę, Adelia uklękła jak zwykle, prosząc umarłych, by wybaczyli, że zakłóca spokój ich doczesnych szczątków.

– Pozwólcie, by wasze ciała i kości powiedziały mi to, czego głos już nie powie.

Gdy wstała, Mansur zapytał:

– Czujesz to?

– Co takiego?

Rozmawiali po arabsku, na wypadek gdyby ktoś chciał ich podsłuchiwać.

– Jesteśmy na ziemi świętej. To miejsce to *omphalos*⁵.

Nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby oświadczył, że to Mekka. Mansur zwykle nie zdradzał emocji; nigdy przedtem nie widziała, by okazywał czemuś podziw i cześć, a już szczególnie, gdy wiązało się to z chrześcijaństwem. Jego twarz była nieruchoma jak zwykle. Przyznał jednak, że dla niego miejsce to ma taką samą moc, jaką starożytni Grecy przypisywali wyroczni delfickiej, stanowiącej centrum ich świata.

Wciągnęła w płuca powietrze. Rozejrzała się uważnie. Czyżby rzeczywiście coś jej umknęło? Henryk Plantagenet, który równie rzadko ulegał emocjom, wyrażał się o Glastonbury w taki sam sposób, jak jej arabski towarzysz.

Jeśli obaj z Mansurem się nie mylili, ona również powinna odczuwać wibracje powietrza i mrowienie ciała, wywołane przebywaniem w jednym z najświętszych miejsc świata, gdzie granica między Bogiem a człowiekiem była cieńsza niż gdziekolwiek indziej.

Trzeba przyznać, że pod względem topografii to miejsce jest naprawdę niezwykle – na równinie nagle wyrastają z tyłu niesamowite wzgórza, które stanowią coś w rodzaju ochrony

⁵ *omphalos* (gr.) – pępek, miejsce cudowne (przyp. red.).

dla całego opactwa, zaś mokradła pozwalają na napływ świeżego, morskiego powietrza. Niewątpliwie miejsce to miało naturalny magnetyzm, który od wieków przyciągał ludzi, oddających mu cześć – na długo przed przyjściem Chrystusa.

Tylko ona go nie czuła. Słońce grzało ją w głowę, słyszała ćwierkanie ptaków uwijających się w ruinach. Aromat czerwcowego dnia nakładał się na kwaśny zapach popiołów. Na spalonej ziemi zakwitwały pierwsze dzikie kwiaty. Wdzięczna była Bogu za te wszystkie dary. Ale tajemne siły? Nie dla niej ich sekrety – ona zawsze szukała racjonalnych przyczyn.

Trochę tego żałowała. Być może miała jakąś skazę, która nie pozwalała jej na odczuwanie boskiej obecności. No cóż. Trzeba się z tym pogodzić, pomyślała. Ja po prostu tego nie czuję.

Uśmiechnęła się do Mansura, zazdrosna o te radosne emocje, które były dla niej niedostępne.

– Gotowy? – spytała.

– Gotowy.

Razem weszli do środka.

Przez luźną strzechę chaty przesączał się słoneczny blask, oświetlając dwa katafalki ułożone z poczerniałych kamieni na podobieństwo ołtarzy. Między nimi stała długa trumna w kształcie łodzi. Wieko zdjęto i oparto z boku.

Oba szkielety pokrywała gruba tkanina. Ktoś postawił bukiety jaskrów w naczyniu u węzłowi katafalków – lśniący złotem dar od żywych dla umarłych. Adeli i lzy napłynęły do oczu. Znaleźli się w małym sanktuarium. Niechętnie myślała o zakłóceniu spokoju tego miejsca.

Przez chwilę stali w milczeniu. Z ruin nawy dochodził śpiew mnichów; ich zdyscyplinowane głosy mieszały się ze słodką linią melodyczną pieśni Rhysa, napływającą z jeszcze większej odległości.

Wreszcie Mansur delikatnie podniósł tkaninę okrywającą większy ze szkieletów. Adelia usłyszała, jak wstrząśnięty wciąga powietrze, a po chwili sama westchnęła.

Osoba, której szkielet leżał przed nimi, musiała być za życia wspaniale zbudowanym, niemal dwumetrowym człowiekiem. U zarania średniowiecza każdy człowiek tego wzrostu zostałby uznany za legendarną postać, choćby ze względu na swoją posturę.

Jeśli zginął w bitwie, to potykał się z okrutnym wrogiem; z otworu w środkowej części czaszki na wszystkie strony rozbiegały się pęknięcia, jak na skorupce jajka uderzonego ciężką łyżką. Natychmiastowa śmierć. Sześć żeber było również zmasakrowanych do tego stopnia,

że ich resztki oddzieliły się od mostka.

– Mam nadzieję, że Allah pozwolił mu zadać niejedyn cios przeciwnikowi, nim sam padł pod mieczami – oświadczył Mansur z przekonaniem.

– Nie wolno nam zakładać, że to wojownik. W żadnym wypadku – ostrzegła go Adelia. Mansur jeszcze nigdy nie dał się ponieść emocjom do tego stopnia.

– Kimże innym mógł być?

– Może to był wypadek.

Zabrzmiało to wręcz bluźnierczo, a w każdym razie nieprawdopodobnie, ale nie chciała zbyt wcześnie wyciągać wniosków.

Wydawało się im właściwe, że mniejszy szkielet powinna odsłonić kobieta. Adelia uniosła całun, który nagle wypadł jej z rąk prosto na podłogę.

– Mój Boże, kto to zrobił?

W czaszce był taki sam otwór jak u mężczyzny, ale to nie wszystko – szkielet przecięto na dwie części dwoma potężnymi ciosami. Jeden wymierzono tuż pod kością ogonową, a drugi powyżej miednicy, wycinając całą okolicę kości krzyżowej, tak jakby sprawca chciał mściwie pozbawić zwłoki kobiecości.

W dodatku ułożył szkielet tak, jakby to było normalne, jakby nogi w naturalny sposób wyrastały wprost z kręgosłupa.

– Kto to zrobił? Kto to zrobił? – zapytała piskliwie.

– W bitwie różnie bywa – odparł smutno Mansur. – Nawet jeśli walczy kobieta.

Może i tak.

– Ale nikt o tym nie wspomniał – krzyknęła. – Wszyscy rozczulają się nad cholernymi żebrami ukochanego Artura, ale o tym nie napisali ani słowa... nawet jednej wzmianki o rozszarpanym ciele Ginewry. Och, to przecież tylko kobieta, więc nie ma to żadnego znaczenia.

Nagle uświadomiła sobie, że nadała szkieletom imiona. To był błąd. Jeśli miała dobrze wykonać zleconą przez króla pracę, powinna uznać je za szczątki nieznanych osób, do chwili gdy zbierze więcej materiału do badań.

– Może kości wypadły, zanim złożono je do trumny – pocieszył ją Mansur.

– Odrąbano je – zaprzeczyła Adelia. – Popatrz tylko. – Wskazała na roztrzaskane główki kości udowych. – I na to. – Najniższy pozostały kręg kręgosłupa został przecięty na pół.

Mansur starał się ją uspokoić.

– Na pewno stało się to już po jej śmierci.

– Skąd wiesz? Skąd możesz to wiedzieć?

Jeśli rzeczywiście stało się to po śmierci, zastanawiała się, czy sprawcą był jakiś nienawidzący kobiet mnich? Czy uznano, że kobiece narządy rozrodcze są zbyt nieczyste, by spocząć w ziemi przeznaczony dla świętych mężów?

Poczuła rozdzierające serce współczucie dla tej dawno zmarłej kobiety. Szkielet był taki... uroczy. Piękne małe ząbki uśmiechały się do niej, szczupła dłoń i długie palce leżały spokojnie na katafalku, jakby okrutny cios w lędźwie nie miał żadnego znaczenia.

Pewnie zresztą tak było – przynajmniej z punktu widzenia szkieletu.

Adelia miała na ten temat inne zdanie.

Na dźwięk kroków na zewnątrz wyskoczyła zza drzwi, klnąc pod nosem po arabsku, gotowa skarcić niesfornego mnicha, który śmiał jej przeszkodzić. Zatrzymała się na widok Gylthy i Allie.

– Chodźcie, coś wam pokażę... – zaczęła i przerwała na widok wyrazu, malującego się na twarzy piastunki.

– Poszliśmy tam, żeby obejrzeć muła. – Gyltha wskazała palcem na pastwisko wśród pagórków, nie odwracając spojrzenia od Adelii.

– I co?

– I ona zaczęła płakać. – Piastunka gestem wskazała Allie. – Powtarzała, że jest jej przykro, że była taka niedobra dla Pippy'ego, i pytała, dlaczego nie chce przyjść i się z nią pobawić.

– Tak?

– Więc powiedziałam jej: „Znajdziemy go, prosiaczku. Pewnie razem z mamą zatrzymali się gdzieś po drodze”. A ona na to: „Nie, on jest tutaj. To przecież jego ulubiony muł”. Mówię jej, że to niemożliwe. Ona wtedy...

Adelia przykucnęła, by jej twarz znalazła się na tej samej wysokości co buzia córki, i zapytała:

– Dlaczego uważasz, że to muł Pippy'ego, kochanie?

– Bo to on – oświadczyła Allie. Jej policzki wciąż były mokre od łez. – To przecież Polikarp. Pippy lubił go najbardziej ze wszystkich, bo pozwalali mu go karmić, a Polikarp wcale go nie gryzł, tak jak inne.

– Ale skąd wiesz, że to jest Polikarp?

– Bo to on – powtórzyła dziewczynka. – Ma odgryziony kawałek ucha, a na zadzie łyse miejsce w kształcie truskawki. Wilfred powiedział, że trzeba mu na to przykładać wodorosty. Przy samym zadku – dodała weselej.

– Jesteś pewna?

– To na pewno Polikarp – upierała się Allie, rozdrażniona niedowierzaniem dorosłych.

Adelia spojrzała w oczy Gylthy.

– Ona nigdy się nie myli, gdy chodzi o zwierzęta – poparła dziewczynkę piastunka.

– Masz rację – przytaknęła Adelia. – Nigdy się nie myli. Mój Boże...

Rozdział 7

– Wydaje mi się, że brat Peter kupił tego muła na rynku – powiedział niepewnie opat Sigward. – Ale lepiej go zapytajmy.

Krzyknął coś do człowieka, który wciąż ścinał trawę na grzbiecie wzgórza i gestem ręki nakazał mu zejść na dół.

– Nasze stajnie spłonęły, pani. Wszystkie konie spaliły się na śmierć – wyjaśnił Adeli, zasłaniając dłonią oczy, jakby nie chciał wspominać tego straszego widoku. Pozostali mnisi ciężko westchnęli i zaczęli szeptać między sobą.

– Potem stać nas było jedynie na muła.

– Nicpoń – mruknęła Hilda. – To jego wina. To jego imię wypowiedział brat Aloysius przed śmiercią. Eustace, Eustace, mówił. Słyszałam to na własne uszy, gdy przykładałam mu opatrunek na te straszne oparzenia.

– Wcale nie mówił aż tak wyraźnie – mitygował ją opat z nieskończoną cierpliwością. – Niechaj Bóg go błogosławi, ale my nie możemy polegać na majaczeniu umierającego.

Podobnie jak na słowach kierującej się emocjami kobiety i jej czteroletniej córki... Mnichom wydawało się, że Adelia bredzi. Opat starał się ją uspokoić, ale pozostali chcieli jedynie usłyszeć decyzję lorda Mansura w sprawie szczątków.

Zdaniem Adeli jednak, Artur i Ginewra byli martwi i nic już im nie mogło pomóc, więc należało się zająć żywymi – to znaczy, jeśli Bóg był litościwy i Emma wciąż znajdowała się wśród żywych.

– Muł to muł – oświadczył z przekąsem brat Aelwyn. – Te bydłeta przecież nie różnią się od siebie.

Dla mnie nie, pomyślała Adelia, ja nie widzę różnicy nawet między wierzchowcem dla dam a rycerskim rumakiem. Ale Allie dobrze się na tym zna.

Razem z Mansurem i Gyltha zabrała Allie na pastwisko i patrzyła, jak dziewczynka wskazuje na znaki szczególnie, które według niej odróżniały tego upartego czworonoga od wszystkich innych koniowatych. Adelia była przekonana, że na Emmę ktoś napadł, obrabował ją i sprzedał łupy na targu.

– Musimy ich odnaleźć. Koniecznie musimy ich odnaleźć – powtarzała bez przerwy.

Nie mogła pozbyć się uczucia, że jej przyjaciółka jest gdzieś niedaleko i trzeba ją ratować. Śpiew szpaka brzmiał jak głos Emmy, proszącej o darowanie jej życia. Odległy skrzek błotniaka z bagien przypominał płacz małego Pippy'ego.

Po powrocie z pastwiska zaczęła energicznie przepytawać mnichów wracających z mszy, starając się dociec, gdzie kupili muła.

Opat twierdził wprawdzie, że Emma mogła sprzedać muły, gdy postanowiła zatrzymać się gdzieś w pobliżu na dłużej, ale Adelia się z tym nie zgadzała. Jeśli wierzyć dziedzicze Wolvercote, Emma na pewno nie zamieszkała we dworze. Przyjazd takiej wielkiej damy jak ona na pewno zostałby zauważony przez mieszkańców, a przecież nikt w Glastonbury o niej nie słyszał.

– Brat Peter będzie wiedział – powiedział z ulgą opat Sigward, widząc nadchodzącego mnicha. – Zaraz wszystko się wyjaśni.

Brat Peter był kolejnym zaskoczeniem. Odziany w habit brata świeckiego, co oznaczało, że pracuje w klasztorze, wyglądał dokładnie tak samo jak mężczyzna, którego Adelia widziała nie dalej niż wczoraj, jak piekł chleb w kuchni dworu Wolvercote.

Po krótkim zastanowieniu uświadomiła sobie, że to niemożliwe, bo piekarz nie miał przecież wystrzyżonej tonsury, choć barwa ich włosów była bardzo podobna. Na pewno byli bliźniakami.

Brat Peter natychmiast przybrał postawę obronną.

– Co ja takiego złego zrobiłem? Mówiłem ci, panie, że potrzebujemy konia do pług i brony. Sam przecież powiedziałaś: „No to go kup, tylko ma być tani”.

– Tak było, oczywiście – potwierdził opat. – Nikt cię o nic nie wini, mój synu, tylko powiedz, gdzie go kupiłeś.

– Na ulicy, a gdzieżby indziej? Nie ma już przecież targowiska. Po prostu na ulicy. Wybrałem go, bo jest silny, chociaż ma grzybicę.

– Trzeba mu zrobić okład z wodorostów – wtrąciła się Allie. – Pomagają na takie łysienie.

– Oczywiście – odparł sarkastycznie brat Peter, spoglądając na dziewczynkę z taką samą urazą, jak na wszystkich wokoło. – Mam mnóstwo czasu, żeby robić mułowi okłady z wodorostów, już lecę to robić.

– Ale od kogo go kupiłeś? – zapytała Adelia.

Na nic się to jednak zdało. Zwierzę pochodziło od mulnika, który odwiedzał wszystkie targowiska i co kilka miesięcy zjawiał się też w Glastonbury. Brat Peter nie miał wystarczającej sumy, więc musiał się dobrze targować, by kupiec opuścił cenę.

– Nie wiedziałem, że mam się pytać o jego rodowód, no nie?

– A kiedy to było?

– Prawie miesiąc temu, w dzień świętego Bonifacego – odparł brat Peter. – A teraz,

jeśli nie macie więcej pytań, to pójdę dalej kosić, bo nigdy tego nie skończę.

Opat Sigward popatrzył pytająco na Adelie, która pokręciła głową. Brat Peter mógł się zatem oddalić.

– Obawiam się, że ten człowiek jest trochę nieokrzesany, ale to dobry chrześcijanin i ciężko pracuje – tłumaczył się opat.

Adelia zamierzała porozmawiać z braciszkiem na osobności. Miała parę rzeczy do zrobienia i o żadnej z nich nie zamierzała rozprawić. Atmosfera niewinności prysła. Mieszkańcy opactwa – nerwowy brat James, wrogo nastawiony Aelwyn, otyły Titus, Hilda, nawet przemiły opat – nagle wydali jej się groźni. Przypomniała sobie słowa kapitana Bolta: „Coś stąd zniknęło, a w zamian pojawiło się coś innego”.

Zebrała się w garść i oświadczyła:

– Lord Mansur będzie potrzebował więcej czasu na zastanowienie, zanim wyda orzeczenie w sprawie szczątków.

Z tymi słowy skłoniła się opatowi i odeszła.

Na początku nie mogła jeść, choć Godwyn dusił dziczyznę w winie z grzybami tak długo, aż mięso zaczęło odchodzić od kości.

Gdzie szukać pomocy? U szeryfa? Ale czy uwierzy w jej przecucia na temat Emmy, czy też zlekceważy je jak mnisi? Na pewno tak będzie. Trzeba zebrać więcej dowodów. W przeciwnym razie każdy powie, że Emma miała przecież prawo zmienić zdanie i sprzedać muły.

Rowley?

Och nie, Boże, proszę Cię, nie zmuszaj mnie do tego. Rozstaliśmy się z bólem, omal od tego nie umarłam. Teraz udaje mi się o nim nie myśleć nieraz przez cały dzień... a przynajmniej przez kilka godzin. On pewnie całkiem o mnie zapomniał.

Do licha, mógł przynajmniej raz wpaść, by zobaczyć swoją córkę, gdy byliśmy w Walii.

Poczuła znajomy przypływ gniewu, a wraz z nim równie irytującą świadomość, że gniew ten jest całkiem nieuzasadniony. Rowley kilka razy złamał ich umowę, mówiącą, że rozstają się na zawsze i nie będą odtąd mieli ze sobą nic wspólnego, przysyłając pieniądze i zabawki dla Allie na imieniny, ale ponieważ czuła się wtedy jak utrzymanka z nieślubnym dzieckiem – odsyłała mu wszystko z powrotem.

Do diabła z nim, niezależnie od wszystkiego.

Niemal z ulgą uświadomiła sobie, że arcybiskup ma przybyć do Somerset dopiero za kilka dni i że nie mogłaby go prosić o pomoc, nawet gdyby się na to zdecydowała.

Ale skąd wziąć dowody? Jak je zdobyć?

Mnisi byli poza podejrzeniem – muła z pewnością zakupiono w dobrej wierze – ale jakiś instynkt kazał jej dowiedzieć się czegoś więcej o duchownych.

No cóż, badanie szkieletów dawało ku temu dobrą okazję. Można też namówić Gylthę, by porozmawiała z bratem Peterem... Tak, to dobry pomysł; Gyltha potrafi nawet kamień nakłonić do mówienia.

Ważniejsze jednak było przeczesanie całej okolicy w poszukiwaniu informacji. Sama nie mogła tego zrobić, bo pomimo wysiłków wciąż nie pozbyła się cudzoziemskiego akcentu, a Anglicy byli nieufni wobec obcych.

Znów posłużyć się Gylthą? Nie, jeśli ludzie przepadają bez wieści, nie wolno narażać Gylthy ani Allie.

Z rozmyślenia wyrwało ją czyjeś siorbanie. Przy drugim końcu stołu bard Rhys pracował łyżką tak energicznie, że poplamił sosem całe odzienie.

Rhys.

Adelia wzięła łyżkę i zaczęła jeść.

– Dama, która zniknęła bez wieści? – spytał Rhys, a jego wyłupiaste oczy zasnuła mgła. – O, to dobry temat. Zaginiona gołąbko moja, łzy za tobą lejemy, smutek życie nam odbiera...

– Przerwij to – syknęła Adelia.

Mansur zabrał bardowi harfę. Był po temu najwyższy czas.

Adelia na moment przymknęła oczy.

– Rhysie, nie chcemy, żebyś ją oplakiwał – wyjaśniła. – Chcemy, żebyś ją odnalazł.

Aby zachować tajemnicę, rozmawiali z nim w sypialni Adelii i Allie – w dużej komnacie z podłogą z wiązowych desek i oknach wychodzących na drogę.

Rhys potarł ucho w miejscu, gdzie trafiła pięść Mansura.

– A zatem mam wyruszyć na poszukiwania?

– Tak jest.

– Ale jak się do tego zabrać?

– Powiemy ci jak, chłopcze – odparła cierpliwie Gyltha, wycierając sos z jego koszuli.

– Musisz tylko powłóczyć się po miejscowych targowiskach, śpiewając pieśni jak... jak się

takich nazywa?

– Jak wędrowny kuglarz – dokończyła Adelia.

– No właśnie. Posłuchaj, co ludzie mówią. Będą chętnie z tobą rozmawiać. Widzisz, lady Emma gdzieś przepadła. Podejrzewamy jakieś nieczyste sprawki, ale taki duży orszak musiał przecież zostawić jakiś ślad. Ktoś na pewno o nich słyszał.

– Jestem przecież bardem, najświetniejszym spośród Beirdd yr Uchelwyr, a nie jazgotliwym ulicznym grajkiem – odparł Rhys z godnością. – Czyż nie śpiewałem na najgodniejszych dworach chrześcijańskich?

Mansur westchnął z irytacją.

– Ja go chyba zabiję.

Ale Adelia słuchała z uwagą.

– Zapraszano cię do bogatych domów?

– Śpiewałem chwałę lordów Dinefwr, a w Brycheiniog...

– To może zaproszono by cię też do Wolvercote?

– Och, to niegościnna dama. Powiedziała, że mamy jechać i nie wracać, prawda?

– Rzeczywiście. Ale przecież nie wie, że byłeś wtedy z nami. Potraktuje cię jak zwykłego wędrownego grajka.

– W takim razie mogę spróbować.

– Musisz. Do tego dworu wybierała się lady Emma. Dziedziczka wprawdzie powiedziała nam, że moja przyjaciółka do niej nie dotarła, ale zdaje mi się, że wie na ten temat coś więcej. Jeśli tak jest, to jej służący musieli coś o tym słyszeć.

Zaczęli opisywać Rhysowi wygląd zaginionej kobiety. Obojętnie słuchał opisu służby, dziecka i Mistrza Roetgera, ale kiedy dowiedział się, że Emma jest piękną blondynką o jasnej cerze i że jej cudowny głos zamilkł po tragicznych przejściach, nagle zapłonął entuzjazmem.

– Postać tej damy zapadła mi głęboko w serce, jak promień słońca prześwitujący przez szybę – oświadczył, szeroko rozkładając ramiona. – Od dzisiaj będę się mienił obrońcą i rycerzem pięknej Emmy. Odnajdę ją i nakarmię kruki zwłokami jej wrogów.

– Bierz się zatem do dzieła. Dobry z ciebie chłopiec – zachęcała go Gyltha, po czym nagle przebiegła przez pokój, otworzyła szeroko drzwi i zajrzała w wąski korytarz, a potem do przylegającego pokoju.

– Co za ciekawska zaraza! – krzyknęła na głos.

– Czy to Hilda podsłuchiwała? – zapytała zaskoczona Adelia.

– Nie widziałam jej – przyznała Gyltha, zamykając drzwi. – Nikogo już nie było, ale podłoga nie skrzypi bez powodu. Kto inny mógłby to być? Wszystko chce o nas wiedzieć... –

Stosunki Gylthy z oberżystką bynajmniej się nie poprawiały.

– Może to duch – oświadczył Rhys. – W tym domu straszy. To się czuje.

– Bzdura – odparła Adelia. Nie znosiła takich uwag.

Musiała jednak przyznać, że w gospodzie często rozlegały się dziwne odgłosy: kroki na ciemnych kręconych schodach, gdy nikt po nich nie chodził, jęki w nieużywanym kominie, szepty w pustych pokojach. Gdyby w budynku przebywał tłum gości, jak w dniach przed pożarem, pewnie wszystkie te hałasy ledwo by docierały, ale teraz, gdy znajdowało się ich tam zaledwie pięcioro, atmosfera była niesamowita, szczególnie nocami.

Pokojówka Millie wyglądała jak upiór, co tylko pogarszało sytuację. W dodatku dziewczyna nie słyszała od urodzenia i poruszała się tak cicho, że można było na nią wpaść w ciemnych korytarzach.

Z jej oczu wyzierały ból i smutek, więc współczująca Adelia stale zastanawiała się, jak to jest – widzieć, jak usta ludzkie się poruszają, ale nie słyszeć żadnych słów. Musi być jakiś sposób, by porozumieć się z tą dziewczyną, pomyślała kiedyś, i postanowiła do tego doprowadzić.

Późną nocą Rhys zasiadł na dziedzińcu i zaczął komponować nową pieśń:

*Przez wody głębokie, przez piaski gorące
idę do ciebie, białolica zjawo z moich marzeń...*

– Emma nie jest zjawą – przerwała Adelia, idąc na górę do sypialni.

– Ależ jest, podobnie jak Ginewra. Nikt przecież nie wie, co stało się z małżonką króla Artura. Niektórzy powiadają, że skazano ją na włóczenie dzikimi końmi za zdradę. Inni twierdzą, że zniknęła wśród mgieł Avalonu. Białe widmo, biała sowa... tak brzmi przecież w tłumaczeniu jej imię. Nocna jawa, zaginiona w ciemnościach.

– Emma przecież nikogo nie zdradziła – zaprotestowała Adelia, ale po chwili zreflektowała się, bo zdała sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. Zmieniła temat: – Tylko tym razem nie zwlekaj z powrotem. Obiecujesz?

Nie wiadomo, czy to z powodu Rhysa, czy też z lęku o Emmę, czy może w związku ze szkieleciami, tej nocy miała dziwne sny.

Zazwyczaj jej się to nie zdarzało, gdyż tak ciężko pracowała w dzień, że po położeniu

się spała jak kamień. Tej nocy jednak przyśniło jej się, że stoi przed jakąś jaskinią na zboczu wzgórza Tor, wznoszącego się nad Glastonbury.

Wszędzie unosiły się mgły. Na gałęzi głogu przed wejściem wisiał dzwonek. Jej ręka bezwolnie wyciągnęła się do niego i zadzwoniła.

Dźwięk odbił się echem we mgle. Z jaskini rozległ się kobiecy głos:

– Czy już czas?

Nawet we śnie pamiętała arturiańskie ballady Rhysa, które kazały odpowiedzieć na to pytanie: „Nie, śpij dalej”, by nie obudzić tego, co kryło się w jaskini. Ale, choć otworzyła usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mgła zawirowała i pociemniała. Coś zbliżało się ku niej.

– Emma? Czy to ty, Emmo? – udało się jej wykrztusić.

Ale ten sam głos odpowiedział:

– To ja, Ginewra. Pomóż mi. Jestem ranna.

Rozległo się skrobanie. Adelia wiedziała, że to górna część istoty, która nazwała się Ginewra z trudem pełznie tunelem w jej stronę. Wiedziała też, że nie zniesie tego widoku. Zaczęła cofać się w tuman mgły, byle dalej... wciąż słyszała jęki i odgłos upadającego ciała.

Obudziła się spocona jak mysz.

– Miałaś wizję senną, taką jak Jakub śniący o drabinie? – z ciekawością spytała Gyltha następnego ranka.

– Nie, to coś innego. Byłam przerażona... i czułam się Winna. To coś błagało mnie o pomoc, a ja uciekłam.

Adelia nie wierzyła w sny, ale mimo to miała ogromne wyrzuty sumienia z powodu swojego zachowania. Wiedziała, że nie zauważyła czegoś ważnego, że pokazano jej coś, czego nie zrozumiała, i nie podjęła odpowiedniego działania.

– W takim razie wszystko przez ser – oświadczyła zdecydowanie Gyltha. – Nie powinno się jeść sera przed snem, bo sprowadza koszmary.

– Przecież nie jadłam sera. Boże, musimy odnaleźć Emmę.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, moja miła.

Z ulgą wyszła na słońce i ruszyła w stronę opactwa, by zająć się szkieletami. Godwyn zabrał Gylthę z Allie na łódkę, by wyruszyć na poszukiwanie mchów, odpowiednich do zrobienia okładu dla Polikarpa. Rhysa obudzono i wysłano w drogę do Wells i Wolvercote, choć ogarnął go nagły lęk.

– To niebezpieczna droga. Co będzie, jak ktoś mnie napadnie i obrabuje?

– Z czego niby można cię obrabować? – dopytywał się Mansur. Bard od wyjazdu z

Walii nie zmienił odzieży, mimo że Gyltha ofiarowała się ją uprać. Oprócz harfy w brudnej torbie nie miał niczego, co mogłoby skusić złodzieja. Nawet najbardziej pazerny odwróciłby się od niego plecami.

W końcu dał się przekonać paroma miedziakami, które dostał od Adeli na zakupy.

Hilda uparła się, by towarzyszyć im do opactwa, jakby chciała być obecna przy każdej rozmowie z opatem Sigwardem – „moim kochanym opatem”, jak zwykła go nazywać.

Ciekawe, że Godwyn nie jest zazdrosny, zastanawiała się Adelia. Hilda wyraźnie pałała do mnicha uczuciem gorętszym niż do męża. Na górze często było słyhać jej podniesiony głos, którym dyrygowała oberżystą. Zdaje się, że Godwynowi to nie przeszkadzało: był tak zapatrzony w swoją połowicę, jak ona w opata, być może dlatego, że jej adoracja nie kryła podtekstów seksualnych i przypominała raczej uwielbienie świętego ognia poprzez podtrzymywanie jego wątłego płomienia.

Hilda mówiła o tym otwarcie.

– Mój drogi opat jest po prostu świętym – powtarzała, taszcząc do opactwa kolejne kosze z wiktuałami. Szli w trójkę z Mansurem przez pusty rynek. – Kiedyś byłam jego gospodynią, więc najlepiej wiem, jaki to dobry człowiek. Bóg by go wcześniej powołał do siebie, gdybym o niego wtedy nie dbała.

– Jak dawno to było?

– A po co pani to wiedzieć? – zirytowała się nieoczekiwanie oberżystka.

Adelia wzruszyła z ramionami; pytała jedynie z grzeczności.

Po chwili milczenia Hilda odezwała się znowu, jakby nie mogła oprzeć się pokusie wychwalania przymiotów opata:

– Był wtedy bardzo bogaty. Arystokrata, potężny jak król. A ja prowadziłam mu dom, naprawdę. Widzi pani tę wyspę? – Wskazała na ląd, wznoszący się w dali nad mokradłem. – To wszystko było jego, a miał jeszcze wielkie dobra w całej Anglii. Rozdał wszystko, niech go Bóg błogosławi. Oddał majątek Bogu i przyjął śluby ubóstwa, jak prawdziwy święty.

Nawrócenie, jak na drodze do Damaszku? Łagodna twarz opata zdradzała, że należy do ludzi, których dusza oczyściła się w huczącym ogniu.

– Miał rodzinę?

Hilda znowu się zawahała, a potem rzuciła:

– Syna. Zginął podczas krucjaty.

W takim razie wszystko jasne. Adelia nie wyobrażała sobie gorszej rzeczy niż strata dziecka. W takich przypadkach człowiek albo zwracał się ku Bogu, albo całkiem się od niego odsuwał.

– Na jednej z jego wysp jest teraz osiedle trędowatych – opowiadała Hilda, wskazując na morze. – Taki z niego dobry człowiek. Wykupił Pielgrzyma i dał go nam na własność, a trędowatym przekazał wyspę. Nazywamy ją Wyspą Łazarza. Godwyn wozi go tam czasem łodzią, a opat udziela im komunii i dostarcza jedzenie.

Mansur zadygotał.

– Niech Allah ma w opiece tego dobrego człowieka. Ja bym się nie odważył – powiedział po arabsku.

Adelia także go podziwiała. Wprawdzie nie podzielała lęku przed osobami chorymi na trąd, który – zdaniem jej przybranego ojca – nie był aż tak zaraźliwy, jak powszechnie sądzono. Niemniej ta straszliwa choroba prowadziła do powolnej śmierci, od koniuszków palców, a potem opanowywała całe ciało. Nic dziwnego, że prawo nakazywało ścisłą izolację chorych dla ochrony niezakażonych społeczności. W tym wypadku Kościół chrześcijański – którego na ogół nie darzyła sympatią – zaskarbił sobie jej podziw za budowanie leprozoriów, czyli schronisk, gdzie pacjenci mogli liczyć na pomoc lekarską i duchową, a nawet na szacunek, ponieważ za życia cierpieli za swoje grzechy, a zatem czekało ich szybsze odkupienie i wstąpienie do nieba.

A więc opat Sigward opiekował się trędowatymi? Adelia darzyła go coraz większą sympatią.

Od samego początku ułatwiał jej pracę, choć pozostali mnisi najchętniej by się jej pozbyli, podobnie jak Mansura.

– Pomimo sprzeciwu moich współpracowników nie pozwoliłem zasypać grobu, w którym znaleźliśmy szkielety – powiedział na powitanie. – Czy chcecie go obejrzeć? W szopie jest także trumna.

– Niechaj umarli spoczywają w spokoju, ojczyzny – odezwała się Hilda błagalnie. – Przecież to kości Artura i Ginewry, wszyscy o tym wiemy. Niech spoczywają w spokoju.

Opat poklepał ją po ramieniu, nie odwracając wzroku od Adelii, która, po udawanej konsultacji z Arabem, oświadczyła:

– Doktor Mansur wyraża swoją wdzięczność i z chęcią przyjrzy się temu miejscu w swoim czasie. Najpierw pragnie się jednak skupić na badaniu szkieletów.

– A co one mówią?

Adelia ponownie odezwała się do Mansura po arabsku i chwilę z nim rozmawiała.

– Niestety niewiele – odparła ucziwie. – Datowanie kości jest praktycznie niemożliwe.

– Nawet gdy chcemy wyeliminować możliwość, że to nie Artur i Ginewra? – odparł,

puszczając do niej oko. – Przecież o to właśnie chodzi doktorowi i królowi, prawda?

Adelia odpowiedziała uśmiechem.

– To hazard, mój panie – rzekła.

– Ach, hazard... – Twarz opata skurczyła się jak u człowieka poddanego torturom. – Hazard był jednym z moich grzechów, gdy korzystałem z uciech świata, i pozostała mi do niego słabość, choć większą z moich skaz była duma. Modłę się, by Bóg mi ją wybaczył. Przy okazji, nie należy się do mnie zwracać „mój panie”, bo teraz jestem tylko sługą.

– Wyjątkowy człowiek – skomentował Mansur, patrząc w ślad za opatem, który oddalał się wraz z Hildą.

– To prawda – potwierdziła Adelia.

Weszli do chatki i zaczęli się przyglądać szczątkom. Na widok zmasakrowanego mniejszego szkieletu Adelia przypomniała sobie swój koszmarny sen.

– Co robimy? – spytał Mansur.

– Nie mam pojęcia. Dobrze byłoby określić ich wiek... może dałoby się porównać te kości z innymi, których wiek jest nam mniej więcej znany.

– Czyli idziemy na cmentarz?

– Tak jest. Na cmentarz.

Rozejrzeli się, czy w pobliżu nikt się nie kręci, a potem przeszli przez zrujnowaną nawę katedry i ruszyli w kierunku zniszczonego fragmentu muru od południa, który był jednak na tyle wysoki, by zasłonić ich przed wzrokiem ciekawskich.

Cmentarza nie tknął ani pożar, ani sierp brata Petera. Nagrobki były rozrzucone tu i tam, bez planu, jak na wiejskim cmentarzu. Łąka lśniła w porannym słońcu, mieniając się barwami dzikich kwiatów, wśród których unosiły się równie kolorowe motyle. Pszczoły pracowicie zbierały nektar z dzwonków, rosnących w cieniu młodego dębu, pochylającego się nad murkiem, który ograniczał cmentarz od południa.

Sielankową wiejską atmosferę zakłócały jedynie dwie piramidy, stanowiące obcy akcent w tym krajobrazie. Adelia, słysząc o nich, spodziewała się, że będą to po prostu stożkowate nagrobki, ale okazało się, że są to rzeczywiście prawdziwe piramidy – miniaturowe wersje grobowców, które jej przybrany ojciec naszkicował podczas pobytu w Egipcie. Mimo niewielkich rozmiarów wydawały się zbyt duże, jakby przybyły z dzikich krajów, spod gorętszego słońca niż to, które oświetlało angielską łąkę. Stanowiły niepokojący kontrast. Poza tym różniły się wielkością, co dodatkowo drażniło wzrok. Wyższa miała ponad siedem i pół metra i pięć pięter, niższa, pięciometrowa, mogła pochwalić się tylko czterema kondygnacjami. Obie były pokryte nieznanym Adeli pismem, które jednak bardziej

przypominało runy niż litery. Pamiątka po dawnych, ponurych czasach...

Pomiędzy nimi piętrzyła się kolejna piramida – wzgórek usypany z ziemi wydobytej z dużego wykopu, który ział tuż obok.

Adelia podeszła do samego brzegu.

Wykop był czworoboczny, głęboki prawie na pięć metrów i szeroki na tyle, by zmieścić ziemne schody po jednej stronie. Mnisi musieli się naprawdę napracować, by odkryć grobowiec króla Artura.

– Musieli kopać i kopać jak krety – stwierdziła Adelia, zaglądając w głąb. Szybko cofnęła się jednak, bo powietrze w otworze cuchnęło skażoną ziemią.

Mansur już schodził na dno, oglądając po drodze ściany otworu, z których wystawały kawałki kości; widać było, że cmentarz służył jako miejsce pochówku przez wiele stuleci.

– Drewno też tu jest – zawołał. – Niektórzy są w trumnach, innych po prostu zawijano w całuny. Czego ci konkretnie potrzeba?

Nagle poczuła, że nie chce naruszać spokoju tego miejsca.

– Przecież to rabowanie grobów, Mansurze.

Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że jej przybrany ojciec zdobywał skądś szkielety wątpliwego pochodzenia od różnych podejrzanych indywiduów, bo musiał na czymś uczyć studentów anatomii, ale co ona sama chciała tu osiągnąć, bezczeszcząc szczątki zmarłych? Nie szukała wiedzy ani nauki; pragnęła, by opactwo zdobyło fundusze na odbudowę, a król dowody na śmierć Artura.

– Nie powinniśmy tego robić – zawołała. Usłyszała, jak Mansur splota w odpowiedzi, zgorszony jej dezercją.

Wspiął się na górę. Gdy niemal dotarł do poziomu ziemi, wyciągnął rękę. Na jego dłoni leżała niewielka kostka.

– Na pewno jest stara, bo była na samym dnie – oświadczył. – Zdaje mi się, że to kawałek stopy. Przyda ci się.

Rzeczywiście, był to jeden z paliczków drugiego palca. Adelia przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, przygryzając wargi. W końcu wzięła kość do ręki.

– Zawsze możemy ją odłożyć z powrotem – stwierdziła.

Przecież, gdyby wynalazła sposób datowania kości, oddałaby przysługę nauce.

Mimo wszystko dręczyło ją poczucie winy. Kiedy w dwie godziny później brat James zaskoczył ich oboje, z niedowierzaniem wpatrując się w nieporządek panujący na katafalkach, próbowała się niezgrabnie tłumaczyć:

– Odmówiliśmy modlitwy... Opat Sigward dał nam na to zgodę... Król polecił...

Okazało się, że brat James miewa także okresy spokoju.

– Niech Bóg wam to wybaczy – powiedział tylko ze smutkiem.

– Mam nadzieję, że tak będzie.

Niestety, kość do niczego się im nie przydała. Adelia odcięła niewielki kawałeczek, a potem zrobiła to samo z paliczkiem stopy Artura; obie wyglądały identycznie.

Razem z Mansurem utarli próbki na proszek w moździerz i zważyli na małej, podróżnej wadze, którą Adelia zabrała ze sobą, ale okazało się, że ważą tyle samo. Potem oddziaływali na próbki wodą, a następnie octem, ale nie uzyskali żadnej reakcji. Albo kości były z tego samego okresu, albo – co bardziej prawdopodobne – cała praca na niewiele się zdała.

– Widzicie, ludzie potrzebują króla Artura – zadumał się brat James. – Chcą wierzyć, że kiedyś wróci. Ja też tego pragnę.

– Ale dlaczego? – zapytała Adelia.

– Bo walczył z pogaństwem – odparł mnich ze smutkiem. – Musi powrócić, bo w tym kraju jest jeszcze dużo pogaństwa. Ja to wiem najlepiej.

Odwrócił się i odszedł.

– Całkiem dobry powód – stwierdził Mansur, patrząc w ślad za nim. – Wszyscy powinni walczyć ze złem. Islam wciąż z nim walczy pod flagą Proroka, niech go Allah błogosławi.

– To nieprawda – sprzeciwiła się Adelia. – Marzenia to za mało. Walczyć można jedynie pod sztandarem prawdy i twardych faktów.

– Brat James? – spytała Hilda, gdy zniechęceni wrócili na kolację w zajeździe. – Biedak, prześladowają go jakieś demony, ale mojemu drogiemu opatowi udało się przegnać większość z nich.

– Co to za demony?

Hilda tego nie wiedziała.

– Przybył do opactwa, jeszcze zanim nastał w nim mój opat i ja zaczęłam tam bywać. Powiadają, że ciągle krzyczał.

Gyltha miała znacznie więcej informacji, którymi chętnie się podzieliła, gdy tylko Hilda wyszła z komnaty. Spędziły z Allie pracowity poranek, pływając łódką po moczarach z Godwynem, a potem jeszcze bardziej pracowite popołudnie, gawędząc z bratem Peterem na pastwisku, gdzie muł Polikarp przechadzał się teraz z okładem z mchu bagiennego na zadzie.

Jak się okazało, chrześcijański duch brata Petera pozwalał mu bez oporów opowiadać przeróżne złośliwości na temat mnichów.

– Żadnego z nich nie lubi, bo twierdzi, że wszyscy go źle traktują z wyjątkiem opata – opowiadała. – Uważa, że tylko opat okazuje mu szacunek.

Według brata Petera brat James był zupełnie stuknięty.

– Podobno schronił się w opactwie przed sądem i karą, bo podczas kłótni odciął ramię swojemu kuzynowi.

– Mój Boże.

– Tak przynajmniej twierdzi Peter. Natomiast brat Aelwyn ciągle chodzi skwaszony, wszystkim przygaduje i nic go nie cieszy. Też coś przeszkrobał w przeszłości, ale Peter nie wie co. Natomiast brat Titus to tłusta, leniwa świnia.

Nie wróżyło to najlepiej. Nawet biorąc poprawkę, że opinie te wygłaszał pełen urazy, przepracowany sługa, należało pamiętać, że w takiej względnie niedużej grupie mężczyzn, mieszkającej w zamknięciu i poddanej surowej dyscyplinie, obejmującej wstrzemięźliwość seksualną, prędzej czy później pojawiają się napięcia i wzajemna niechęć.

Dlaczego się na to zdecydowali? Co kazało im wstąpić do zakonu?

Powszechnie uważa się, że większość zakonnic i mnichów wstępuje w stan duchowny z powołania. Być może zdarza się tak w niektórych wypadkach, ale zazwyczaj kieruje nimi chęć ucieczki przed nieznośnymi trudami dnia codziennego. Być może ograniczenia klasztorne były dla brata Titusa mniejszym złem niż konieczność zarabiania na życie.

Więc brat James zaatakował swojego kuzyna z bronią w ręku... Czyżby to on podniósł topór na Ginewrę?

Rhys nie wrócił na noc, co wielce zdenerwowało Mansura.

– Pewnie figluje w łóżku jakiejś kobiety, zbereźnik jeden.

Jego słowa przypomniały o czymś Adeli.

– Czy brat Peter mówił ci coś o Eustasie Nicponiu, na którego wciąż narzeka nasza Hilda? – zapytała Gylthę. – Czy to on zaproszył ogień? Kto to w ogóle jest?

– Och, zapomniałam o nim. Peter w to nie wierzy, ale cała reszta uważa, że pożar wybuchł z jego winy. Nawet opat tak sądzi, choć jego zdaniem stało się to przypadkiem, ale to typowe dla niego, prawda? On przecież nigdy nie mówi nic złego o ludziach.

– Czy istnieją jakieś dowody na to, że to on zaproszył ogień? Czy mnisi sprowadzili miejscowego szeryfa?

– Tak, ale uważają, że on siedzi w kieszeni u biskupa Wells, który jest bardzo zadowolony z pożaru w Glastonbury. Zawsze spierał się z opatem o ziemię i serdecznie go

nienawidzi – mógł nawet zapłacić Eustace'owi za podpalenie.

Hilda mówiła to samo, ale Adelia z trudem mogła w to uwierzyć.

– Widzisz, Eustace był sokolnikiem biskupa – wyjaśniła Gyltha. – Wyleciał z pracy za pijaństwo i przybył do Glastonbury za chlebem. Opat dał mu pracę, ale po krótkim czasie musiał się z nim rozstać, bo Nicponia za bardzo ciągnęło do piwniczki z mszalnym winem. Wyniósł się więc do lasu i znalazł tam sobie schronienie, ale mnisi podejrzewają, że wracał do opactwa nocami, bo poziom wina w beczce ciągle się obniżał. A pożar wybuchł właśnie w piwnicy. Tamtej nocy Titus widział, jak Eustace z niej wybiegał. – Gyltha w zadumie pokręciła głową. – Okropna historia, prawda? Jeden człowiek, celowo albo przypadkiem, spowodował zagładę wielkiego opactwa i przyzwoitego miasteczka. W dodatku jeden z mnichów zginął. Próbował zagasić pożar w piwnicy razem z bratem Titusem, a potem zmarł z powodu oparzeń, biedaczysko.

Rzeczywiście, była to smutna, przerażająca historia. Adelia również skinęła głową.

– Co się stało, to się nie odstanie. Najważniejsza jest jednak Emma, a pożar nie ma z nią nic wspólnego.

– Wcale nie byłabym tego taka pewna – stwierdziła Gyltha. – Myślę, że brat Peter coś przede mną ukrywa.

Tym razem Adelia stała w złocistej, jasnej sali. Rycerze w srebrzystych kolczugach ujmowali piękne damy za koniuszki palców i z wdziękiem tańczyli do muzyki niewidzialnego harfiarza. Król Artur spostrzegł jej nadejście i na powitanie skinął głową w koronie. Podał jej rękę.

– Zatańcz ze mną, pani – poprosił pięknym, mocnym głosem, pasującym do jego szlachetnej postaci.

– Nie umiem tańczyć przez sen – odpowiedziała.

– Więc jesteś głupia.

Z tymi słowy król odwrócił się od niej i ruszył do tronu, na którym siedziała królowa. Skłonił się przed nią. Ginewra wstała, podała mu dłoń i zeszła z podwyższenia. Jej suknia ze śnieżnobiałych piór falowała przy każdym ruchu, ale twarz była cały czas ukryta przed wzrokiem Adelii. Nagle na wysokości talii królowej pióra zabarwiły się na czerwono i na podłogę sali popłynęła krew, tworząc wielkie kałuże. Królowa nie przerywała tańca...

– Przestańcie! – zawołała Adelia i obudziła się z ulgą.

Usłyszała jakiś hałas.

Trzęsąc się ze strachu, zapaliła świecę, owinęła szalem, sprawdziła, czy Allie śpi, i wyszła na półpiętro.

Noc była upalna, więc zakratowane okno nad schodami pozostało otwarte, by zapewnić przewiew.

Dotknęła stopą czegoś miękkiego. Okazało się, że to służąca Millie, która skuliła się na macie. Wpatrywała się w nią okrągłymi z przerażenia oczyma.

Adelia była równie przestraszona.

– Co ty tu robisz? – spytała głosem ostrzejszym niż zwykle. Nagle uświadomiła sobie, że po pierwsze, biedna służka przecież nie słyszy, a po drugie, że właśnie wyrwała ją ze snu.

– Nie dali ci nawet łóżka? – zapytała bez sensu. Służący tacy jak Millie zwykle sypiali kątem, przeważnie w kuchni. Jednak w taki upał żar w kuchni był pewnie nie do wytrzymania, bo nie wygaszono przecież wielkich pieców, przy których za dnia pocił się Godwyn, a okna zamykano dla bezpieczeństwa. Millie, szukając chłodu, wyniosła się pod okno na schody, ponieważ w gościnnych pokojach wolno jej było przebywać tylko wtedy, gdy sprzątała.

– Znajdziemy dla ciebie coś lepszego, wiesz? – Adelia gestem wskazała swój pokój, gdzie stało dodatkowe łóżko, a okno było otwarte. Podłożyła sobie złożone dłonie pod policzek, gestem zapraszając dziewczynkę do snu, ale coraz bardziej przerażona Millie nie ruszyła się z miejsca. Nie pozwalano jej na takie rzeczy.

– Na litość boską – zdenerwowała się Adelia, wróciła do pokoju, złapała poduszkę i niepotrzebną kołdrę, zabrała je na półpiętro i ułożyła na podłodze. Nawet wtedy musiała niemal siłą skłonić Millie, by się ułożyła na prowizorycznym pościeliu.

Na dziedzińcu wciąż ktoś hałasował, jakby jakieś zwierzę obijało się o ściany. Gdy Adelia zaczęła schodzić, Millie złapała ją za nogę, gwałtownie kręcąc głową.

– Nie chcesz, żebym tam poszła? – spytała Adelia. Cóż to za ponure sprawy rozgrywały się w ciemnościach nocy w tej oberży? Przed czym ostrzegała ją ta smutna dziewczyna?

Wolała jednak pójść na dół, niż wrócić do pokoju, by znów pogrążyć się w koszmarnym śnie. Tym bardziej że można było spokojnie wykluczyć napad; bandyci tak nie hałasują bo zdradziliby tym swoją obecność.

Przy drzwiach kulił się Godwyn, przysłuchując się odgłosom dochodzącym z dziedzińca.

– Kto tam jest? – spytała.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – odparł.

Nagle z zewnątrz rozległo się beczenie. Coś uderzyło w drzwi z drugiej strony.

– Owca? – zapytał oberżysta. – Skąd tu się wzięła owca? Nagle Adelia rozpoznała głos.

– Otwórz drzwi – poleciła. – To Rhys.

Godwyn nie dał się nakłonić, więc sama odciągnęła zasuwę i niemal przeleciała przez próg, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie pod ciężarem barda, który bezwładnie wpadł do środka.

– O mój Boże, jest ranny!

Pewnie napadli go bandyci na tym niebezpiecznym odcinku drogi, pobili go i do tego pokłuli nożem. Wszystko to jej wina – nie powinna go tam wysłać.

Godwyn obwąchał nieruchome ciało u swoich stóp.

– On nie jest ranny, jest pijany jak bela – oświadczył.

Miał rację. Bard jakimś cudem dotarł do domu po bezdrożach, nietknięty przez dzikie zwierzęta. Wiadomo, Bóg otacza pijaków szczególną opieką.

Godwyn poszedł spać, a Adelia przez następną godzinę doprowadzała barda do przytomności, włócząc go na chwiejnych nogach po dziedzińcu, popychając na stóg siana, żeby zwymiotował, i pojąc studzienną wodą z wiadra za każdym razem, gdy otwierał usta, by zaśpiewać.

W końcu, gdy oboje byli już krańcowo wyczerpani, zaprowadziła go do stodoły, posadziła na sianie i zaczęła wyciągać z niego informacje.

Rhys był niezwykle dumny z tego, że wrócił do oberży.

– Kazała mi pani nie zwlekać z powrotem – oświadczył. – Nie zapomniałam o tym. Szedłem, szedłem, aż doszedłem. Bandyci? Kicham na nich; żaden bandyta nie przestraszy Rhysa ap Griffud ap Owein ap Gwilym. Leciałem na skrzydłach przed siebie jak Hermes, posłaniec bogów i patron poetów.

Po odzieży widać jednak było, że miejscami pełzał. Przetarł skórznie na kolanach i pobrudził je końskim nawozem, podobnie jak dłonie; cuchnął jednak czymś dużo gorszym niż zwierzęce odchody.

Kiedy jednak Adeli udało się poskładać jego niespójną opowieść w całość, okazało się, że całkiem dobrze wypełnił powierzone mu zadanie. Nie tylko zakradł się do kwatery służących w Wolvercote, ale zdobył też serce córki odźwiernego, która uległa jego tajemniczemu urokowi i spędziła z nim miłą godzinkę na żwawych miłosnych zapasach w stogu siana.

– Och, co za urocza dziewczyna z tej Maggie... tyle w niej miłości... cudowna, zaiste...

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Ależ tak, oczywiście, że tak...

Córka odźwiernego opowiedziała mu w stogu siana, że miesiąc temu, a może trochę wcześniej, późnym wieczorem, pod bramami Wolvercote pojawiła się młoda dama ze świtą. Oświadczyła, że nazywa się lady Wolvercote i przybyła z wizytą, po czym zażądała, by ją wpuścić.

– Odźwierny jej nie znał, więc zawołał swoją panią. Wybuchła sprzeczka, ale Maggie nie słyszała wszystkiego, bo starsza lady Wolvercote posłała jej ojca do dworu po zbrojnych, żeby nie wpuścili do środka młodej lady Wolvercote.

– A więc Emma tam dotarła! Wiedziała! I co się stało potem?

– Ano, tu zaczyna się tajemnica. Maggie powiedziała, że jej tatko chodził potem długo nachmurzony z powodu czegoś, co zdarzyło się, kiedy Emmę odesłano od bram majątku.

– Nachmurzony? Dobry Boże, chyba ci zbrojni jej nie zabili!

– Nie, nie sądzę. Nie mieli by co zrobić ze zwłokami. W Wolvercote nikt nie umarł, Maggie by o tym wiedziała.

– Ale jednak coś się stało. Co to było?

Rhys poruszył się niespokojnie i spojrzał na nią krzywo.

– Niestety, w tym momencie nam przerwano.

Okazało się, że strażnik właśnie przechodził przez pole, a ponieważ tak się złożyło, że był narzeczonym Maggie, dziewczyna zasugerowała Rhysowi, by się prędko wycofał – w każdym znaczeniu tego słowa. Uczynił zadość jej woli i przemknął się, na szczęście niepostrzeżenie, do kuchni dworskiej, gdzie ponownie uradował serca służących dziedziczki, tym razem zabawiając je coraz bardziej sprośnymi pieśniami i zwilżając gardło tamtejszym ale aż do chwili, gdy majordomus dziedziczki wyrzucił go za drzwi. Człowiek ten nie lubił muzyki, szczególnie gdy jej dźwięki docierające przez otwarte okno wrywały go ze słodkiego snu.

Rhys nie wiedział, jakim cudem udało mu się pokonać dziewięć kilometrów, dzielących go od zajazdu, głównie dlatego, że zakochana Maggie dała mu na drogę pełen dzban przedniego ale, by złagodzić smutek rozstania.

– To wszystko, czego się dowiedziałeś?

Bard pokiwał głową.

– Rozumiem. A ten piekarz? Człowiek, którego widziałam w kuchni? Udało ci się z nim porozmawiać?

– Nie było go tam. Podobno krąży tu po okolicy. Do Wolvercote wezwano go tylko

dlatego, że tamtejszy piekarz się pochorował. Bywa na targach w różnych miejscowościach. Maggie powiedziała, że jutro będzie go można spotkać w Wells.

– Dzisiaj – poprawiła go stanowczo Adelia. – Dzisiaj tam będzie. Jest już po północy.

Bard wbił w nią spojrzenie wielkich oczu i zaczął błagać:

– Miej litość, o pani, przecież mnie nie pošlesz...

– Ależ oczywiście, że pošlę. Od samego rana będziesz dźwięcznie śpiewał pieśni na rynku w Wells i prowadził pogawędki z wędrownymi piekarzami. – Poklepała go po ramieniu. – Jestem ci szczerze wdzięczna, Mistrzu Rhysie. Powiem królowi o twoich zasługach.

Jeśli ta pochwała miała dodać Walińczykowi zapału, to nie spełniła swego zadania.

Następnego ranka, gdy Mansur z Adelią wyruszyli do opactwa, z Gylthą i Allie do towarzystwa – Polikarpowi trzeba było zmienić okład – spocili się, gdy tylko wyszli za próg. Skończyły się przyjemne, ciepłe dni; słońce prażyło ziemię żywym ogniem, a na niebie nie pojawiała się ani jedna chmurka. Oznaczało to, że upały potrwać dość długo, przynosząc nieurodzaj – wypalone łany zbóż i wygłodniałe, spragnione bydło. Adelia od razu wróciła do gospody po słomkowe kapelusze, które kupiła po drodze z Walii dla piastunki, córki i siebie.

Doszła do wniosku, że wiek szkieletów można określić, oceniając jedynie stan trumny, w której je pochowano. Nieco zbyt późno zdała sobie sprawę, że powinna zadać Rhysowi jeszcze jedno pytanie. Przyszło jej ono do głowy podczas snu, tym razem, na szczęście, wolnego od koszmarów, ale po przebudzeniu o nim zapomniała.

Wprawdzie bard powędrował już do Wells, okrutnie marudząc i narzekając, ale być może odpowiedź znali Godwyn albo Hilda.

Adelia zajrzała więc przez drzwi do kuchni, przepaszając za najście.

– Zdaje mi się, że Mistrz Rhys wspominał kiedyś o trzęsieniu ziemi, które zdarzyło się wiele lat temu, i o szczelinie na cmentarzu, która się wtedy pojawiła. Czy słyszeliście o czymś takim?

Nie był to najlepszy moment na rozmowę. W kuchni znowu panowało gorąco. Wprawdzie oberżysta zamknął okiennice, by nie wpuszczać słonecznego żaru, ale muchy i tak znalazły drogę do środka i teraz całe ich chmary kłębiły się wokół stołu i wiszących pościeli mięsa.

Godwyn w ogóle się nie odwrócił. Na twarzy Hildy pojawił się rumieniec, widoczny nawet w półmroku. Odłożyła paczkę na muchy i zmierzyła Adelię gniewnym spojrzeniem.

– Skąd mamy wiedzieć, co się tam działo? Nie było nas tam wtedy.

– Oczywiście, że nie. Ależ oczywiście. Co za głuptas ze mnie. Może nie rozpalajcie ognia? Chętnie zjemy wieczorem mięso na zimno.

– To właśnie zamierzałam podać – odparła Hilda. W jej tonie zabrzmiała złośliwość, ale Adelia złożyła to na karb panującego w kuchni zaduchu.

Wróciła na dziedziniec. Rozdała wszystkim kobietom kapelusze i poprosiła Gylthę, by zapytała brata Petera o szczelinę na cmentarzu, jeśli napotka mnicha.

– A kto by śmiał załatwiać się na cmentarzu?

– Szczelina to taka dziura w ziemi, Gyltho. W czasie trzęsienia ziemia się porusza i powstają w niej rozpadliny. Jestem pewna, że Rhys wspominał o takiej rozpadlinie, gdy opowiadał nam o wizji swego wuja Caradoca. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Przy wejściu do opactwa napotkali mnichów, którzy z dłońmi złożonymi do pacierza wychodzili z kuchni opata na tercję.

Mansur i Adelia przyłączyli się do nich. Adelia zapytała opata o rozpadlinę i trzęsienie ziemi.

– Na Boga, czy ci ludzie będą nam przeszkadzać nawet w drodze na mszę? – spytał gniewnie brat Aelwyn.

– Odpowiedz jej, Aelwynie – rozkazał mu opat.

– To prawda, otwarła się wtedy szczelina, dokładnie w dzień po świętym Stefanie, jeśli chce paniusia wiedzieć.

– Między piramidami, prawda?

– Tak jest.

– Czy była głęboka?

– Bardzo, bardzo głęboka. Oczywiście, nikt tego nie mierzył, mieliśmy inne rzeczy do roboty. Zresztą następnego dnia sama się zamknęła.

– To znaczy, że tam byliście, prawda?

Niewielki zapas cierpliwości brata Aelwyna wyraźnie się wyczerpał, ale nieoczekiwanie do rozmowy włączył się brat James.

– Byliśmy tam wszyscy, nieprawda, bracia moi? – zapytał głosem pełnym emocji. – Ach nie, opacie, ciebie jeszcze z nami nie było, wstąpiłeś do klasztoru dopiero później. Myślałem, że nadeszła nasza ostatnia godzina, niech Bóg się nad nami zmiłuje. – Łzy napłynęły mu do oczu. – A ona nadeszła dopiero teraz.

Opat Sigward objął go pocieszająco.

– Jeśli łaska boska nas nie opuści, to Glastonbury powstanie z popiołów, mój synu.

Chodźmy na modlitwy.

Skinieniem głowy pożegnał Adelie i poprowadził swoją trzódkę ku ruinom kościoła.

Gyltha i Allie skierowały się na pagórek.

– Dlaczego pytałaś o tę rozpadlinę? – chciał wiedzieć Mansur.

– Trzeba to sprawdzić – odparła.

Gdy weszli do chatki, wskazała na trumnę, ustawioną pomiędzy dwoma przykrytymi katafalkami.

– Popatrz na nią. Jest w całkiem niezłym stanie, ale dokopali się do niej na głębokości pięciu metrów. Oznacza to, że powinna być bardzo stara, podobnie jak inne szczątki na tej głębokości. A jednak pozostała nienaruszona. Mówiłeś, że były tam inne trumny. Chciałabym je obejrzeć dla porównania. Myślę, że kierując się stanem drewna, będziemy mogli w wielkim przybliżeniu obliczyć wiek szkieletów.

– A jeśli okaże się, że są świeższej daty od pozostałych?

Adelia uśmiechnęła się szeroko.

– To znaczy, że pochowano je dwadzieścia lat temu, gdy w ziemi otworzyła się pięciometrowa szczelina.

– A zatem nie są szczątkami króla Artura.

– Właśnie.

Mansur cmoknął z wrażenia.

– Mnisi nie będą zadowoleni. Król też nie.

Nagle Adeli odechciało się prowadzenia badań i zaprzeczania, że te nieszczęsne szczątki były niegdyś królem Arturem i królową Ginewra.

Przecież tu nie chodziło o ekspertyzę medyczną. Cała ta sprawa urosła do niesłychanych rozmiarów i przygniatała ją swoim ogromem. Stawką była przyszłość wielkiego opactwa, los wiernych ludzi śpiewających mszę, odbudowa całego miasta, przetrwanie obojczy, marzenia tak wielu ludzi... wszystko to zależało od jej decyzji.

Mój Boże, nie każ mi być katem tych wszystkich nadziei.

Nie na darmo jednak nazywała się Vesuvia Adelia Rachel Ortese Aguilar i była medykem wykształconym w szkole w Salerno. Jeśli ukryje prawdę, będzie niczym.

Zagryzła więc wargi i powiedziała tylko:

– Bierzmy się do roboty.

Nie było sensu odpłowywać drzazgi z trumny, najpierw należało wydobyć kawałek drewna z wykopu dla porównania. Wyszli więc z chatki i klucząc między ruinami, minęli nawę, w której mnisi śpiewali Psalm 119, stojąc dokładnie w miejscu, gdzie niegdyś był chór.

*Rozpływa się od smutku dusza moja;
utwierdźże mię według słowa twego.
Drogę kłamliwą oddal ode mnie,
a zakonem twoim udaruj mię⁶.*

Adelia nie mogła na nich patrzeć.

Cmentarz od kościoła oddzielał spory odcinek nienaruszonego muru, który tłumiał śpiew mnichów; brzęczenie pszczoł było tu od niego głośniejsze. Dwie piramidy wydały jej się mniej szokujące, być może dlatego, że przyzwyczaiła się już do ich widoku.

Mansur zaczął rozwijać linę, którą zawiązał w talii pod szatą.

– Poprosiłem o nią Godwyna – wyjaśnił. – Zdaje mi się, że schody w wykopie zaczynają się osypywać.

Adelia uśmiechnęła się do niego. Zabrał linę, bo wiedział, że tym razem będzie się upierała, by zejść do dołu razem z nim.

Gyltha i Allie właśnie wracały ze wzgórza.

– Za duży upał. Zabieram panienkę do domu, zanim się nam ugotuje – oświadczyła piastunka.

– Jak tam Polikarp? – spytała Adelia.

Policzki Allie były rumiane z gorąca i emocji.

– Dużo lepiej. Nawet brat Peter mówił, że mu się poprawiło, choć wcale nie chciał się przyznać, że go to obchodzi, prawda, Gyltho? Jest okropnie niegrzeczny, ale lubi Polikarpa.

– Spytałam tego smętnego... – zaczęła Gyltha, ale ze względu na Allie pohamowała się i zaczęła zdanie jeszcze raz: – Zapytałam go o szczelinę. Był wtedy małym chłopcem, ale mówi, że miała tak gdzieś z pięć, pięć i pół metra głębokości, a potem się zniknęła. – Podejrzliwie popatrzyła na Mansura, który zamocował linę wokół jednej z piramid, a potem odłożył na górę wykopanej ziemi, która rzucała długi cień na cały wykop. – Mam nadzieję, że nie zamierzacie zejść w głąb, prawda? Dziury są niebezpieczne. Wyłażą z nich różne demony.

– Idźcie już do domu, dobrze? Z Mansurem będę bezpieczna.

Adelia przez chwilę odprowadzała pełnym miłości spojrzeniem dwie postaci – wysoką i niską, obie odziane w kapelusze z wielkimi rondami, które upodabniały je do niedobrych wielkością grzybów.

Mansur zrzucił swobodny koniec liny do wykopu. Nie podobało mu się, że Adelia też

⁶ Księga Psalmów, Psalm 119, wers 28-29, Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa.

chce zejść w głąb.

– Tam wcale nie jest przyjemnie.

– Jeśli ty wytrzymałeś, to i ja mogę – upierała się. Chciała obejrzeć wszystko na własne oczy, więc zeszła w ślad za nim.

Stopnie rzeczywiście zaczęły się osypywać, ale wycięto je głęboko, więc bez trudu wytrzymały jej ciężar, gdy zstępowała w dół, trzymając się liny i wyczuwając je stopami.

Wielka kupa wykopanej z dołu ziemi praktycznie odcięła dopływ światła. Zapach gleby przytłumiła mniej przyjemna woń. Kawałki kości prześwitywały bielą i szarością w ścianach wykopu, drewno zmieniło się w brązowe smugi próchnicy.

Zagłębiała się w przeszłość, wędrowała przez wieki. Znalazła się poniżej warstwy, w której spoczywały szczątki wielkich opatów Glastonbury. W dół, w dół... poniżej poziomu, na którym pochowano duchownych służących świętemu Dunstanowi... poniżej miejsca spoczynku mnichów, opierających się najazdom wikingów i broniących chrześcijańskiej kultury przed ich dzikimi zgrajami.

„Znaleźli tam stary kościół, który, jak im powiadano, wybudowali swymi dłońmi uczniowie Chrystusa na Jego rozkaz dla zbawienia dusz. Zaiste, został uświęcony przez Wielkiego Budowniczego wieloma cudami i tajemnymi uzdrowieniami”, pisał kronikarz William z Malmesbury.

Dotknęła stopami dna wykopu. Kto wie, może stała teraz na ich mogiłach? Może spoczywał tam sam Józef z Arymatei, który własnymi rękami zdjął ciało Jezusa z krzyża?

Zadygotała.

– Widzisz trumnę? – Głos Mansura napłynął z ciemności.

Stali odwrócenii od siebie, nie dotykając się plecami, ale na tyle blisko, że zapach ziół, które Mansur nosił w fałdach szat, tłumił ohydny woń. Jego obecność stanowiła pewną pociechę.

– Chyba tak – odparła. W ciemnościach można było dostrzec nieco ciemniejsze kształty. Wyciągnęła dłoń i namacała coś twardszego od otaczającej ją zewsząd gleby. Udało jej się odłamać niewielki kawałek drewna. – Jest tu gdzieś może jeszcze jedna? Przydałoby się parę kawałków.

Boże, co za okropne miejsce.

Podniosła wzrok, by spojrzeć na niebo i uwierzyć, że tam wysoko jest świeże powietrze i życie – i nagle spostrzegła, że światło dzienne gaśnie pod lawiną ziemi, zsuwającej się w głąb wykopu, by ich pogrzebać.

Rozdział 8

Ziemia osuwała się bez przerwy, spadała jej na głowę, zasypywała oczy, wypełniała przestrzeń pomiędzy nią a Arabem.

Poczuła, że coś zaciska się wokół jej talii. To Mansur podnosił ją, krzycząc:

– Gdzie jest lina? Szukaj liny!

Rozpaczliwie zaczęła macać naokoło.

– Nie ma jej nigdzie!

Wreszcie ją znalazła – zupełnie luźną, jakby sama odwiązała się od piramidy i spadła wraz z ziemią.

Lawina nagle ustała. Adelia zamrugnęła, by oczyścić oczy z pyłu.

– Tfu! Dobry Boże, mało brakowało. Ziemia się osunęła.

Spojrzała w dół. Mansur tkwił w ziemi aż po barki; w dalszym ciągu miał uniesione ramiona, bo podtrzymywał ją, by znajdowała się jak najwyżej. Ciężko oddychał ze zmęczenia.

– Gdzie są schody? Nic nie widzę. – Jej postać zasłaniała mu widok.

Rozejrzała się. Stopnie były z tyłu za nimi.

Nagle znowu zobaczyła cień i runęła kolejna lawina czarnej ziemi, spadającej rytmicznymi, koszmarnymi falami. Za chwilę zostaną pogrzebani żywcem.

– Pomocy! – Wołając, zaczęła wdrapywać się pod górę jak pajak walczący z nagłym napływem deszczowej wody. – Ratunku! O Boże, pomocy!

Wiek trumny zamknęło się nad nimi.

Słyszała, jak Mansur zaczyna krzyczeć, a potem dławi się ziemią, która zamknęła mu usta. W dalszym ciągu jednak trzymał ją nad osypiskiem.

– Nie! – wrzasnęła w jego stronę, próbując nogami rozgarniać ziemię wokół jego głowy, by mógł oddychać, ale ziemia praktycznie uniemożliwiała jej ruchy. Jego uścisk osłabł i upadła na bok; w dalszym ciągu jednak wspierała się na jego ramionach.

Skręciła się jak sprężyna, by się do niego dostać. Wciąż widziała jedną z jego rąk z wyciągniętymi palcami. Rozpaczliwie rozkopywała ziemię w miejscu, gdzie dostrzegła skrawek bieli – chustę, którą miał na głowie. Krzyczała rozpaczliwie, garściami rozgarniała ziemię, próbując odsłonić jego ukochaną twarz.

– Nie, nie!

Zapadał się, o Chryste, zapadał się coraz głębiej, oboje się zapadali, nie była w stanie

kopać już szybciej, a ziemia osypywała się na jej ręce.

Nagle poczuła, że jej ciało wygina się w łuk i ktoś ciągnie ją za pas sukni. Zaczęła się bronić. Mansur się dusił, trzeba mu zapewnić powietrze, Boże w niebiosach, pozwól mu oddychać.

– Uspokój się, do diabła! Wyciągnę cię stamtąd.

– Nie! Tam jest Mansur. On umiera!

– Nie dostanę się do niego, jeśli nie zejdziesz mi z drogi, durna babo. Uspokój się wreszcie.

Była zbyt przerażona, by rozpoznać, kto do niej mówi, ale głos wydał jej się znajomy. Ufała mu, kochała go przecież. A jednak nie chciała wydostać się z wykopu, zostawiając w nim przyjaciela. Łzy spływały jej strumieniami po policzkach i, szlochając, wykrzykiwała imię Araba.

Ręka, która trzymała ją w talii, należała do mężczyzny, który zaparł się mocno w ziemne stopnie. Jego z kolei trzymał ktoś leżący na skraju wykopu.

Wyciągnęli ją na słońce jak trzepocącą rybę, która pragnęła powrócić z powrotem do wody.

– Mansur, Mansur – powtarzała. – Mansur jest tam w dole.

– Idę przecież po niego – warknął znajomy, choć nierozpoznany głos, a potem zwrócił się do kogoś innego: – Jezu, przecież ona jest obwiązana liną. Odplącz ją, tylko się pośpiesz.

Czas mijał nieubłaganie. Odwiązano linę, zaciągnięto jakieś węzły, coś tam się działo, ale jej nic nie obchodziło, bo wciąż miała przed oczami widok nozdrzy i gardła zasypanego ziemią. Na pewno już stracił przytomność, nie da się go odratować... Jak długo może wytrzymać człowiek, zanim się udusi?

Podczołgała się do krawędzi wykopu i zobaczyła jego palce jak płotek wystający z czarnej gleby. Czyjaś dłoń złapała go za rękę. Czyjś głos rozkazał:

– Ciągnij. Jeszcze raz. Chryste. Nie mogę go dobrze złapać.

Czas mijał. Zbawca odgarnął ziemię wokół głowy i ramion Mansura. Uwolnił jedno ramię. Obwiązał je liną.

– A teraz ciągnij, Walt. Ciągnij, do licha, jak jeszcze nigdy w życiu nie ciągnąłeś!

Człowiek na skraju wykopu zaparł się w ziemię i zaczął ciągnąć, człowiek trzymający Mansura zrobił to samo i Mansur powoli wynurzył się z wykopu, jak Łazarz powstający z martwych.

Położyli go na słodko pachnącej trawie. Nie oddychał. Adelia przypadła do niego, wydłubała mu ziemię z nozdrzy, oczyściła usta, a potem wdmuchnęła w nie własny oddech.

Poczuła, że jego pierś wznosi się i opada. Uklękła i zaczęła dziękować w trzech językach Bogu, Allahowi i Jehowie, Bogu jej przybranego ojca za to, że łaskawie pozwolili, by ten człowiek przeżył.

Ktoś przyniósł dzban wody. Zmyła nią ziemię z twarzy i głowy Araba. Jego *kefija* zapodziała się gdzieś podczas akcji ratunkowej. Nigdy przedtem nie widziała go z gołą głową, a teraz spostrzegła, że zaczął łysieć.

– Jego chusta – powiedziała. – Znajdźcie jego chustę.

Wiedziała, że bez niej będzie czuł się zhańbiony; nie mogła na to pozwolić.

Po chwili wydostali chustę. Otrzeпаła ją z ziemi. Delikatnie uniosła jego głowę i założyła na nią tkaninę, układając ją tak, jak lubił.

Otworzył oczy; zajrzała w nie głęboko.

– Czy wiesz, kim jestem? – spytała.

– Moim słońcem i księżycem – odpowiedział.

Z ulgą usiadła, opierając się o mężczyznę, który klęczał tuż za nią.

Czas podjął swój bieg. Znowu było ciepło, pachniały łąkowe kwiaty, niebo nad głową było błękitne jak żeglarskie portki, pszczoły brzęczały, a ze zrujnowanego kościoła – Boże, jakie to dziwne – wciąż dochodziły dźwięki chorału. To święci mężowie, nieświadomi niczego, czcili trzecią godzinę dnia. Ośmiodźwiękowa skala ich śpiewu zaprowadzała porządek w jej wszechświecie, w którym przez krótką chwilę panował chaos.

Wreszcie przejrzała na oczy. Nieopodal jakiś młody człowiek trzymał wodze trzech koni. Na jego ramieniu trzepotał wędrowny sokół, a młodzieniec próbował go uspokoić. Nad nią pochylała się znajoma, pełna troski twarz. Adelia uśmiechnęła się, bo był to jej stary znajomy Walt, stajenny z diecezji St Albans.

Odpowiedział uśmiechem.

– Mało brakowało, panienko – oświadczył.

Wtuliła głowę w pierś mężczyzny, który ją podtrzymywał.

– Witaj, Rowley.

Poczuła jego oddech na swoich włosach. Chyba był na nią wściekły.

– Beztroska jesteś, nie ma co. Chryste Panie, czy ja bez przerwy muszę wyciągać cię z różnych opresji? Co ty tam robiłaś, do diabła?

– Chciałam tylko zajrzeć – odparła. – A ty skąd się tu wzięłeś?

– Postanowiłem złożyć nieoficjalną wizytę opatowi Glastonbury w nadziei, że doprowadzę do zawarcia pokoju z biskupem Wells. Czekając, aż skończy tercję, postanowiłem puścić tu mego sokoła. Usłyszałem krzyki dochodzące z dołu wykopanego na

cmentarzu, ruszyłem w tę stronę i zobaczyłem kobietę, wypełzającą z ziemi jak jakiś przeklęty robal. Dzień jak co dzień.

Jak ja go kocham. Chcę zostać w jego ramionach na zawsze.

Puścił ją nagle, aż osunęła się na trawę. Wyprostował się na całą wysokość.

Był teraz biskupem St Albans, duchownym, a dotknął jej tylko ze względu na okoliczności.

– Podziękujmy Zbawcy, który skierował nasze kroki na ratunek tych dwóch dusz w niebezpieczeństwie – zaintonował.

Gdy się modlił, położyła dłoń na piersi Mansura i wyczuła silne uderzenia serca. Rozejrzała się wokół. Rowley, odziany w myśliwski strój, był wciąż wściekły. U jego stóp siedział kędzierzawy pies na kaczki. Zza cmentarnego muru płynął łaciński śpiew: *Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen tuum...* Msza dobiegała końca.

Gdy mnisi wyszli na dwór, hałaśliwie dali wyraz swemu zaniepokojeniu wypadkiem. Chcieli zabrać Mansura do kuchni opata, by go umyć i doprowadzić do przytomności, ale poprosił, by zostawili go na chwilę w spokoju. Przenieśli go więc tylko do cienia, pod mur kościoła.

Adelia postanowiła przy nim zostać.

Rowley zmarszczył brew, ale miał na tyle rozsądku, by zrozumieć, że oboje potrzebują momentu wyciszenia.

– Musimy omówić z opatem Sigwardem wiele spraw – oświadczył, jakby mu się sprzeciwiała.

– No to idźcie porozmawiać – odparła.

– A dziś wieczorem muszę być w katedrze w Wells.

Poczuła ukłucie zazdrości; sprawy boskie były teraz ważniejsze od niej. Oprzytomniała ze złości i natychmiast przypomniała sobie o pewnej ważnej sprawie.

– Przy okazji mógłbyś popytać o lady Emmę Wolvercote – zauważyła i pokrótce opowiedziała mu o tajemniczym zniknięciu przyjaciółki, o tym, jak Allie rozpoznała muła, i o swoich podejrzeniach. – Coś tu się dzieje niedobrego – zakończyła.

Wyraźnie nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Wątpię, by małe dziecko potrafiło odróżnić jednego muła od drugiego – powiedział.
– Emma pewnie zmieniła zdanie i zrezygnowała ze spotkania. Nie przejmuj się, wkrótce się z tobą skontaktuje, gdy nabierze na to ochoty.

– Zapytaj o to, dobrze? – warknęła. Głowa bolała ją coraz bardziej.

– Zapytam.

Tak, na pewno to zrobi, pomyślała. Można mu wierzyć. Przecież przed chwilą uratował życie jej i Mansurowi, zreflektowała się i odezwała łagodniejszym tonem:

– Dziękuję ci, lordzie biskupie.

W dalszym ciągu wydawał jej się niezwykle przystojny. W tym tkwił cały problem. Wszystko w nim ją pociągało: sposób, w jaki chodził, ton głosu, jego piękne ręce, oczy, które tak często się śmiały... do diabła, nie budził w niej religijnych uczuć, tylko zwykłe pożądanie.

Odchodząc, pouczał biskupa, że nie wolno zostawiać niezabezpieczonych wykopów, szczególnie jeśli nad nimi piętrzy się ziemia.

Mansur nie otwierał oczu. Adelia również opuściła powieki, wsłuchując się w jego oddech. W wykopie przepadł jej kapelusz. Na próżno próbowała wytrząsnąć ziemię spomiędzy jasnych włosów. Gdy przeczesywała je palcami, poczuła, że zaplątało się w nich coś twardego. Z trudem uwolniła ten przedmiot: kawałek drewna, zetlały i kruchy, podobnie jak drzazga, której dotknęła w wykopie. Był to dowód na poparcie jej teorii dotyczącej trumny Artura i Ginewry.

Badane przez nią szkielety nie mogły pochodzić z wczesnego średniowiecza, bo drewno z tamtych czasów dawno już uległoby rozkładowi. Trumna, w której pochowano Artura i Ginewrę, była o wiele, o wiele nowsza. Jeśli znalazła się w ziemi na tej głębokości, mogło się to stać tylko w ciągu tych kilku godzin dwadzieścia lat temu, gdy w ziemi powstała rozpadlina o takiej głębokości.

Oznaczało to, że wuj Rhysa nie miał wizji; był świadkiem rzeczywistego zdarzenia.

Poczuła wielki żal. Choć tak uparcie dążyła do ujawnienia prawdy, złota legenda króla Artura poruszyła w jej duszy jakąś strunę. Właściwie nie tyle wzruszała ją sama legenda, ile świadomość, jak wiele dla tutejszych ludzi znaczy historia, że kiedyś, w mrocznych, niebezpiecznych, mglistych czasach pojawił się jeden bohater, który uosabiał sens bycia Brytyjczykiem – i utrwalił go na zawsze. A jej dany został zaszczyt oglądania jego szczątków.

Tak, ogarnął ją wielki żal i rozczarowanie na myśl o tym, że zawiedzie nadzieje wszystkich, dla których magia Artura była sensem życia.

Zagryzła wargi. Magia jest tak ulotna, że nikt nie powinien na nią zważać... ani tym bardziej na niej polegać.

Co pozostało z tej historii teraz, gdy cała magia się rozwiała?

Krępujące fakty...

Leżący obok niej Mansur odezwał się nagle:

– Ktoś chciał nas się pozbyć, Adelio.

Popatrzyła na niego. Był tak wyczerpany, że nawet nie otworzył oczu.

– Pozbyć się nas?

– Przecież ta ziemia nie spadła sama. Leżała tyle tygodni, dlaczego miałyby osunąć się akurat teraz?

Dobry Boże.

Z radości, że ich uratowano, że Mansur żyje i że znowu zobaczyła Rowleya, nie przyszło jej do głowy, że to wcale nie musiał być wypadek. Teraz w myśli prześledziła jeszcze raz bieg wydarzeń: zeszła do wykopu i spojrzała w górę, przywołując uczucie przerażenia na widok spadających zwałów ziemi. W pewnym momencie ziemia przestała się osuwać, a potem wszystko zaczęło się od nowa – tak, jakby ktoś uznał, że nie osiągnął celu i postanowił zasypać wykop do reszty.

Ale kto mógł nas aż tak zniechęcić?

Tylko pojawienie się Rowleya zapobiegło morderstwu, które mogło nigdy nie wyjść na jaw, gdyby zabójca zrealizował swój plan. Oboje z Mansurem zniknęliby po prostu bez śladu. Ludzie uznaliby, że ziemia sama się osunęła.

Nie było czasu na zastanowienie. Skoczyła na równe nogi i popędziła do kuchni opata.

Biskup St Albans i opat Sigward naradzali się przy stole. Byli sami.

– Kto to był? – z naciskiem spytała Rowleya. – Ktoś próbował pogrzebać nas żywcem. Kto to był?

– Słucham?

– Kiedy nadjechaliście, ktoś musiał stać nad nasypem. – Z podniecenia przestępowała z nogi na nogę.

– Zaczął zrzucać ziemię, żeby nas zasypała.

– Nikogo nie widziałem.

– Niemożliwe. Ktoś tam był, Rowley. Cały czas... ziemia spadała i spadała...

– Przysięgam, że nie – oświadczył biskup i rozejrzał się wkoło.

– Walt? Czy zauważyłeś kogoś przy wykopie, gdy szliśmy w tamtą stronę?

– Nie, mój panie.

– Gervase?

Młody człowiek z sokołem pokręcił głową.

– Nikogo tam nie było.

Rowley wstał ze stołka w nagłym przypiływie współczucia.

– To musiało być straszne przeżycie, moje dziecko... Na litość boską, niech ktoś poda jej trochę brandy na uspokojenie. Nie powinienem jej zostawiać samej.

– Ja nie zwariowałam, Rowley – odparła.

– Oczywiście, że nie, ale byłaś w ciężkich opałach. To był wypadek, moja pani. Straszny, przerażający wypadek.

Próbowali ją siłą posadzić, dać coś do picia i namówić, by wypoczęła. Na wszystkich twarzach malował się ten sam wyraz – nie troska, tylko pobłażliwość dla kobiety, która z przerażenia straciła nad sobą panowanie.

– Niech was licho porwie! – krzyknęła. – Przecież ziemia na jakiś czas przestała się osuwać, a potem wszystko zaczęło się od nowa!

Na litość boską, dlaczego tak trudno jest ubrać w słowa to, co widziała na własne oczy? Dlaczego nie potrafi przekazać im, co się naprawdę stało? Ktoś tam przecież był..

Zamilkła. Przecież, gdy walczyła, by zapewnić Mansurowi dostęp powietrza, ziemia nagle przestała się osuwać. Oznaczało to, że sprawca zauważył albo usłyszał nadejście Rowleya i uciekł.

Postanowiono w końcu, że należy porozmawiać z Mansurem, bo jako mężczyzna będzie mniej histeryzował w obliczu zagrożenia niż słaba kobieta.

Z irytującą wyrozumiałością, wciąż proponując jej różne środki na uspokojenie, poprowadzili ją przez ruiny kościoła do muru cmentarnego.

Mansur zniknął.

Adelia z niedowierzaniem wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał.

Rozbiegli się po okolicy, nawołując go z całych sił.

– Pewnie wrócił do gospody – pocieszał ją Rowley.

Zabrali ją do Pielgrzyma. Mansura tam nie było. Musieli wszystko opowiedzieć oberżystom i Gylcie, która słuchała z poszarzałą nagle twarzą.

Wybiegła na zewnątrz. Posłali ludzi, by szukali go na ulicach, a potem dokładniej zbadali teren opactwa.

Walt nie pozwolił Adelii zejść do wykopu; sam zsunął się na linie, podczas gdy ona ze zrozpaczoną miną zaglądała do środka. Wszystko jednak wskazywało na to, że ziemia nie pochłonięła nikogo więcej od czasu, gdy wyciągnięto ich oboje z osuwiska.

Biskup St Albans porzucił wszystkie obowiązki w Wells i przeczesywał wzgórza ze swoimi ludźmi, wykrzykując imię Araba, które echo niosło coraz dalej w noc. Ciemności gęstniały i w końcu niczego już nie było widać. Należało pogodzić się z faktem, że Mansur przepadł bez wieści.

Tak samo jak Emma.

– Wrócę jutro rano, jak tylko słońce wzejdzie – obiecał Rowley.

Skinęła, tuląc w objęciach Gylthę.

– Szok. Był w szoku po tym wypadku, nie ma się czemu dziwić. Pewnie nawet nie wiedział, dokąd idzie, ale nie mógł zająć daleko. Noc jest ciepła, nic mu się nie stanie. Mansur to dzielny człowiek.

Znowu przytaknęła.

– Muszę tam wrócić, rozumiesz? – zapytał, zrozpaczony.

Rozumiała. Czekali na niego dostojnicy z całej diecezji Wells; był jednym z najważniejszych ludzi w Anglii; ciężko pracował, sprawując w zastępstwie Boga władzę nad tysiącami kilometrów kwadratowych. Nie mógł przecież spędzić nocy z kobietą w jakiejś oberży.

– Obiecuję ci, że tym razem ziemia go nie połknęła – zapewnił ją Rowley, próbując obrócić wszystko w żart.

Tłumaczyła mu przecież, że Emma jakby zapadła się w ziemię, prawda? Nie mogła sobie przypomnieć, czy mu o tym mówiła.

– Emma – wykrztusiła z trudem, bo strach nie pozwalał jej mówić.

– Zajmę się tym. A więc niech Bóg cię błogosławi. Zobaczymy się rano.

Troskliwość Hildy, choć niewątpliwie płynąca z dobrej woli, była nieco męcząca dla gości. Zapewniła Adelii i Gylcie wszystko, co dobra oberżystka może zaproponować na poprawę nastroju, od galaretki z nówek ugotowanej przez Godwyna aż po jej własny ziołowy dekolt przeciw melancholii. Wypiły go nieco, by ją uspokoić, a potem umknęły przed nią do sypialni Adelii. Gyltha, by się czym zająć, uparła się, że umyje Adelii włosy i przyniesie czystą odzież. Potem jednak usiadła, wzięła Adelię za rękę i zaczęła się kołysać w rozpaczy.

– Gdzie się podział ten stary dureń? Własnego tyłka nie umie się domacać w ciemności, więc gdzie go poniosło? Co się z nami dzieje, Adelio? Najpierw Emma, teraz on. Gdzie on polazł? Czy ktoś go dopadł? Dlaczego nie siedział spokojnie na miejscu, baran jeden?

Kobieta rozpaczała do chwili, gdy zaczęło działać lekarstwo Hildy. Dopiero wtedy można ją było położyć do łóżka. Zasnęła, ale nawet wtedy nie przestała pochlipywać.

Tylko Gyltha mogłaby uwierzyć, że ktoś zrzucił na nich ziemię do wykopu, a jednak nie wolno jej o tym powiedzieć. Co za ironia losu, pomyślała Adelia. Nie mogą jej też opowiedzieć o mordercy, który czai się na wolności... przynajmniej do chwili, gdy odnajdzie się Mansur. Jeśli się w ogóle odnajdzie.

W pomieszczeniu panowało nieznośne gorąco. Adelia, wysuwając rękę z dłoni śpiącej

kobiety, podeszła do okna, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Dwadzieścia lat temu, pomyślała. Dwadzieścia lat temu popełniono zbrodnię. Dwadzieścia lat temu trzeba było pochować zwłoki mężczyzny i kobiety tak głęboko, by nikt ich nigdy nie znalazł. A teraz, gdy je wykopano, morderca boi się, że zostanie odkryty i stanie przed sądem.

Było to roku Pańskiego 1154, w dzień po świętym Stefanie, czyli dniu, w którym zgodnie z tradycją daje się służbie dzień wolnego na odwiedzenie rodzin.

Czy to ma jakieś znaczenie? Bardzo możliwe. Tego dnia wszędzie widuje się ludzi, którzy zazwyczaj mają ograniczone możliwości podróżowania. W dodatku właściciele dworów zostają w nich sami, bez służby, która ich obserwuje.

Najbardziej podejrzane jest jednak samo opactwo, bo tylko jego mieszkańcy wiedzieli, że na cmentarzu otwarła się szczelina, w której można ukryć zwłoki.

Kto był owego dnia w klasztorze? Prawie setka mnichów... w dodatku wszyscy, z wyjątkiem pozostałej tu czwórki, wędrują teraz po Anglii i Francji, roznosząc wieści o nieszczęściu, jakie zdarzyło się w Glastonbury.

Nie, opata Sigwarda należy wykluczyć – w dalszym ciągu był szanowany jako jeden z wielkich panów i ziemskich posiadaczy, choć zrezygnował z dóbr ziemskich... prawdopodobnie z żalu za synem, który zginął podczas krucjaty.

Przez chwilę myśl Adelii skierowała się ku jaśniejszej bogini, która sprawiła, że Sigward awansował z prostego nowicjusza na opata, pomimo że wielu starszych stażem mnichów czekało w kolejce do tego stanowiska.

Cała pozostała trójka mieszkańców opactwa zachowywała się wrogo wobec niej i Mansura podczas śledztwa. Czyżby kryło się w tym coś więcej niż tylko pragnienie, by szczątki okazały się zwłokami króla Artura i Ginewry?

Czy ktoś z nich był mordercą? A może wszyscy trzej?

Nie, to niemożliwe. Gdyby któryś z nich wymknął się podczas śpiewania tercji na cmentarz, opat by to zauważył i powiedział o tym. Ale czy na pewno?

Gdzieś ukrywał się zabójca, który znał jej plany i zamierzał nie dopuścić do ich realizacji. Nie udało mu się wtedy, ale być może tym razem dopadł Mansura...

A Emma? Czy Emma zniknęła w tej samej pajęczynie i czy pożarł ją ten sam pająk?

Znużona, udręczona niepokojem, z pękającą głową pełną pytań i plecami bolącymi od pracy w wykopie położyła się obok Gylthy, poruszającej się przez sen i pomrukującej coś pod nosem. Zdrzemnęła się. I zaraz nawiedził ją sen...

Jak zwykle znalazła się pod ziemią, w kurhanie, gdzie wielmoże odziani w złoto

wznosili okrzyki na cześć króla Artura, który na czele wojsk konno wyjeżdżał z tunelu. Mijając Adelie, spojrzął na nią łagodnie.

– Znowu ruszamy na smoka – powiedział. – Jedziesz ze mną?

– Muszę szukać Mansura i Emmy – odparła.

– Głupio robisz, bardzo głupio – usłyszała w odpowiedzi.

Ginewra, wciąż odziana w białe pióra, odwróciła się do Adelii tyłem i stanęła w wejściu do tunelu, by pożegnać swego pana i życzyć mu szczęścia w podróży.

Gdy kawalkada galopowała obok niej, jeden z rycerzy króla Artura wywinął mieczem i przeciął Ginewrę na pół. Z kadłuba trysnęła krew i zalała tunel. Prąd porwał Adelie i zaczął nieść coraz głębiej do wnętrza ziemi.

Gdy się obudziła, przez chwilę wydawało jej się, że do jej ciała przywiera mokra odzież splamiona krwią Ginewry. Dopiero gdy nieco oprzytomniała, zdała sobie sprawę, że spociała się z gorąca.

Blask księżyca w pełni kładł się za oknem jak blado srebrna ulica. Panował nieznośny upał. Wstała i znowu wyjrzała przez okno. Na ulicy nie było żywego ducha, więc wychyliła się nieco, by popatrzeć na rynek, pusty jak zwykle.

Gdzie on się podziewa? Ojciec w niebiosach, czuwaj nad nim.

Ktoś na dole zakasłał.

Oho, jest już z powrotem.

Adelia wybiegła z pokoju, przeskoczyła przez śpiącą Millie, zbiegła po dwa stopnie po schodach i odsunęła żelazne sztaby na bramie wiodącej na dziedziniec. Nie było tam nikogo. Wyrzała na ulicę.

– Mansur?

Nagle ktoś chwycił ją za ramiona i położył dłoń na ustach, ktoś inny mocno zawiązał jej przepaskę na oczach i skręcił włosy w węzeł tak ciasny, że zabolęła ją skóra na głowie.

– Jak to miło, że sama wyszła nam na spotkanie – odezwał się męski głos. – Oszczędziła nam włamywania się do domu.

Odpowiedział mu ogólny rechot.

Rozdział 9

Próbowała ugryźć trzymającą ją rękę, ale właściciel dłoni w ogóle na to nie zareagował. Wrzucił ją na grzbiet konia i sam dosiadł wierzchowca.

– Przestań się szarpać, jędo – napomniął ją bezskutecznie, bo kopała na wszystkie strony bosymi stopami. – Nic ci się nie stanie.

Wcale jej to nie uspokoiło, bo głos brzmiał podejrzanie, a mężczyzna trzymał ją mocno, ale jednak przestała się wrywać. Po pierwsze, bolały ją nadwerężone plecy, a po drugie, nie przynosiło to żadnego efektu. Czuła, że napastników było kilku. Nie wiedziała tylko, kim są. Ich niepodkute konie nie czyniły praktycznie żadnego hałasu, a mimo to, sądząc po odgłosach, przyjechali po nią kawalkadą.

Gwałt? Było to całkiem prawdopodobne, wielkie i poważne zagrożenie. Czy ktoś ją sobie upatrzył? Czy po prostu wpadli do oberży, porywając pierwszą lepszą kobietę?

Jechali teraz pod górę; nachylenie gruntu zmusiło ją do oparcia się o przepocony tors porywacza. Wokół było cicho, jeśli nie liczyć śpiewu słowików i pohukiwania sów.

Zmiłuj się, Boże, przecież mogą ze mną zrobić wszystko, co zechcą. Co się stanie z Allie, gdy mnie zabraknie?

Może właśnie coś takiego przytrafiło się Emmie i jej ludziom? I Mansurowi?

Gdy porywacz zdjął dłoń z jej ust, poczuła jeszcze większe przerażenie, bo uświadomiła sobie, że odjechali już daleko i nikt nie przyjdzie jej z pomocą, nawet jeśli zacnie krzyżeć.

Mimo wszystko próbowała zachować spokój.

– Dokąd mnie wieziecie?

– Mówisz w narzeczu tego cudaka, co nie? My go ni czorta nie rozumiemy.

Mansur. Wieźli ją do Mansura, który udawał, że nie rozumie angielskiego. To znaczy, że musi być w prawdziwych opałach, bo inaczej nie pozwoliliby na to porwanie. Ale nie jest źle; ci ludzie potrzebują jej pomocy, a nie ciała.

Bicie jej serca nieco się uspokoiło.

– Czego chcecie?

– Zaraz zobaczysz.

– Nic nie zobaczę w tej śmierdzącej przepasce. Zdejmij mi ją.

– Harda sztuka, co nie? – Porywacze wybuchnęli śmiechem, ale ktoś szarpnął za węzeł i zdjął szmatę z jej głowy.

Rozejrzała się. W świetle księżyca dostrzegła zarysy drzew i krzewów na stromym zboczu, które schodziło w doliny i moczary. Byli więc na jednym ze wzgórz otaczających Glastonbury; nie potrafiła odgadnąć, na którym.

– Gdzie jesteśmy?

– Nie twoja sprawa.

Niezależnie od tego, gdzie byli, właśnie dotarli na miejsce. Jeden z mężczyzn zszedł ją z wierzchowca – który, jak się okazało, był osłem. Wszyscy siedzieli na osłach. Było ich pięciu i cuchnęli równie paskudnie jak te podjezdki, które teraz przywiązywali do palików na polanie.

Ktoś zapalił latarnię. Ktoś inny popchnął ją do przodu. Ruszyła, potykając się o nierówności, i wkrótce dotarła do występu skalnego, przypominającego okno strzelnicze w zboczu wzgórza. Od góry zasłaniała go kurtyna mchów zwieszających się z korzeni olchy, rosnącej nad bystrym strumykiem, który toczył swe wody ze wzgórza. Cóż za przepiękny leśny pejzaż... szkoda, że skażony zapachem, który Adelia знаła aż nazbyt dobrze.

Ktoś rozgarnął korzenie i gałęzie. W wejściu do groty siedziało trzech mężczyzn: Mansur, jakiś mężczyzna, który przykładał mu do gardła ostrze noża – i bard Rhys.

Adelia nie zorientowała się, że Rhys nie wrócił do zajazdu; całe to zamieszanie sprawiło, że w ogóle zapomniała o jego istnieniu. Dla niej liczył się tylko Arab. Przypadła do niego, wyrzucając z siebie kaskadę słów w jego języku:

– Jak się czujesz? Jesteś ranny? Byliśmy zrozpaczeni...

Był wściekły, ale wcale nie na porywaczy.

– Ten syn ładaczny i plugawego wielbłąda... Udawałem, że nie znam angielskiego. Nie wiedziałem, że im zdradzi, gdzie mieszkasz, niech Szęjtan wyrwie mu łeb i używa go zamiast nocnika...

Adelia nigdy nie słyszała takich przekleństw z ust Mansura, choć cieszyło ją, że jej przyjaciel ma dość energii, by pozwolić sobie na taki wybuch gniewu. Rhys – ten zdrajca – wyglądał znacznie gorzej. Był poturbowany i z trudnością powstrzymywał się od płaczu.

– Zabrali mi harfę... Powiedz im, żeby ją oddali... Moja harfa...

Brzmiało to, jakby rozpaczał z powodu amputowanej ręki, więc Adelia automatycznie odparła:

– Dobrze, zaraz. – Ponownie zwróciła się do Mansura. – Jesteś ranny?

– Nie, wszystko w porządku. Ci fellahowie to durnie, ale zdaje mi się, że nie chcą nas skrzywdzić.

– To czego chcą?

Jeden z mężczyzn stanął pomiędzy nimi.

– Przestańcie jazgotać – nakazał i wycelował brudnym paluchem w Mansura. – Ten człowiek to Merlin, co nie? Czarownik, co potrafi rozmawiać z umarłymi, prawda? I oni mu odpowiadają...

– W pewnym sensie tak – odparła ostrożnie Adelia.

– No to niech pogada z tym tutaj. – Mężczyzna przepchnął się obok nich, wszedł do środka i szarpnięciem zerwał zasłonę uplecioną z wikliny, zasłaniającą większą część grotu.

Zapach śmierci przybrał na sile. Ktoś uniósł wyżej lampę, by mogli dokładnie obejrzyć kształt majaczący w półmroku. Był to szkielet.

– Mamy z nim rozmawiać?

– Tak jest. Spytajcie go, gdzie był i co robił przed śmiercią.

Dobry Boże, więc po to porwali Mansura? Dlatego że po prostu nie do końca rozumieli, czym się zajmuje? Czy ci ludzie naprawdę myśleli, że on potrafi rozmawiać ze zwłokami? Że to jest w ogóle możliwe?

Zdumiona niewyobrażalną łatwowiernością pospólstwa, podniosła wzrok, by przyjrzeć się swojemu rozmówcy. Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły twarz, kryjącą się do tej pory w mroku, którego nie rozpraszał wąty blask latarni. Rozpoznała go.

– Jesteś piekarzem – powiedziała. – Byłeś w Wolvercote Manor – dodała i skoczyła na równe nogi z emocji. – Emma. Dama, która tam się zjawiała. Moja przyjaciółka. Ty wiesz, co się z nią stało. Widziałam w twoich oczach, że wiesz.

Zdarzenia nagle zaczęły układać się w logiczny ciąg. Rhys odnalazł tego człowieka, porozmawiał z nim i zdaje się, udzielił mu więcej informacji, niż sam z niego wyciągnął.

– Daj mi spokój. Niech ten przekłety czarownik zabierze się lepiej do roboty.

– Powiedz mi, co się stało z lady Emmą.

– Najpierw on. – Piekarz głową wskazał kształt w grocie. – Może potem się dogadamy.

Przynajmniej upewniła się, że ten człowiek coś wie.

– Co chcesz wiedzieć? – spytała.

– Co się z nim stało. I co zabiło tego starego drania. Bo zdaje nam się, że on nie zrobił tego, o co go oskarżają.

– A o co go oskarżają?

Piekarz machnął nożem w jej kierunku.

– Pytaj jego, powiedziałem. Pytaj, bo przerobię was na karmę dla świń.

– Ale o co mam go pytać?

Jednak Mansur nie marnował czasu; nie zdradzając, że zna angielski, przysłuchiwał się rozmowom bandy i zdobył w ten sposób mnóstwo informacji. Powiedział po arabsku:

– Ten trup to Eustace, którego wszyscy oskarżają o podłożenie ognia w opactwie.

– Ale co ich łączy? – zapytała w tym samym języku.

– Oni wszyscy mają zostać ukarani za jego zbrodnię. Czterech już siedzi w więzieniu w Wells, czekając na zebranie się sądu. Pozostali też boją się aresztowania i oskarżenia o podpalenie. Należą do jego... – tu Mansur przerwał, szukając odpowiedniego słowa, ale ponieważ w arabskim nie istniało podobne określenie, musiał posłużyć się angielskim: – *...tithing*.

Piekarz drgnął na dźwięk tego słowa.

– Hej, skąd ten czarnuch wie o naszej gromadzie? O *tithing*?

– Och, zamknij się – odparła urażona Adelia. Ten człowiek zaczynał jej działać na nerwy. – Pewnie Eustace mu powiedział.

W oczach otaczających ich mężczyzn pojawił się szacunek.

– Dobry jest ten czarownik, co nie? – odezwał się jeden z nich.

A więc chodziło o *frankpledge*, czyli angielski system utrzymania porządku. Przed pobytem w tym kraju Adelia nigdy się z czymś takim nie zetknęła. Wszystkich ludzi z klas niższych, którzy przekroczyli dwanaście lat – klas wyższych naturalnie system nie obejmował – podzielono na grupy liczące po dziesięć gospodarstw domowych. Jeśli jeden z członków takiej gromady popełnił przestępstwo albo wykroczenie, cała dziesiątka ponosiła za to odpowiedzialność zbiorową.

W regularnych odstępach czasu w całym kraju zbierały się sądy, które z żelazną konsekwencją badały „posłuszeństwo *frankpledge*”. Między innymi wzywano wtedy wszystkich członków gromad, którzy musieli przed sądem odnowić przysięgę, że doprowadzą przed oblicze sprawiedliwości członków swojej *tithing*, czyli gromady, którzy dopuścili się jakiegokolwiek przestępstwa, że przyjmują odpowiedzialność za ich działania i że będą ich ścigać za zbrodnie. Kara za nieposłuszeństwo była proporcjonalna do wagi przewinienia.

Było to stare prawo, głęboko zakorzenione w anglosaskiej tradycji. Adelia widziała, jak niewinni ludzie tracili dach nad głową za winy jednego z członków swojej gromady, i uważała, że to niesprawiedliwe. Spytała o to przeora Geoffreya, ale w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– W większości przypadków jednak się to sprawdza – odrzekł tylko.

Jak widać, sprawdzało się i tym razem.

Pięciu ludzi – a nawet dziewięciu, jeśli wliczyć w to uwięzionych członków gromady

– miało ponieść wobec prawa odpowiedzialność za czyny nieboszczyka leżącego w grocie. Jeśli nie udowodnią, że to nie on zniszczył największe opactwo w Anglii, czeka ich kara ponad wszelkie wyobrażenie.

Nie przyszło im chyba do głowy, że zmierzając do swego chwalebego celu, popełnili kolejne przestępstwo, czyli porwanie trzech osób.

– Dlaczego uważacie, że to nie on podłożył ogień? – zapytała.

Piekarz wyraźnie był zdania, że świętej pamięci Mistrz Eustace mógłby odpowiedzieć i na to pytanie. Ale młody człowiek, który spędzał czas na grzebaniu paluchami pod tuniką i nerwowym drapaniu się po jądrach, odpowiedział za niego:

– Widzi pani, Nicpoń nigdy nie brał ze sobą światła, gdy wyprawiał się do opactwa, by się napić. Był sprytny jak lis i widział w ciemnościach.

– To prawda – przytaknął kolejny z porywaczy, jeszcze młodszy od ich rozmówców. – Pewnie pociągnął sobie czasem łyk winka albo wpadło mu w rękę to czy owo...

Piekarz uderzył go w twarz.

– Nie gadaj takich rzeczy, Alf, ty durny gamoniu.

– ...ale ognia by nie podłożył – dokończył Alf.

– To uczciwi ludzie – zapewnił ją Mansur. – Słyszałem ich rozmowy. Wszystko to drobni przestępcy, kłusownicy, których jeszcze nikt nie złapał na gorącym uczynku. Ta grotka to ich schronienie, uciekają tu, gdy robi się gorąco. Chyba lubili tego Eustace'a, przynosili mu jedzenie i przymykali oczy na drobne kradzieże, jak długo wieść o nich nie dotarła do uszu szeryfa. Ale teraz, gdy oskarżono go o podpalenie, zaczęli się bać o siebie.

– Czyli żadni z nich *desperados*, tylko zwykli desperaci – ucieszyła się wyraźnie.

– Desperaci też potrafią być niebezpieczni. Trzeba uważać.

– Ale jak? Jak mamy cokolwiek udowodnić w tej sprawie?

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie.

– Sądząc po wyglądzie, nie żyje od dłuższego czasu.

– Od ponad miesiąca. Znaleźli go tu martwego, dzień lub dwa dni po pożarze... Nie wiedzieli, co mają robić. Potem usłyszeli, że wkrótce przybędzie mag, który rozmawia ze szkieletami.

– To znaczy ty.

– Ja. Czekali więc na mnie. Ciało uległo rozkładowi.

– Niczego innego nie należało się spodziewać, prawda?

W takim upale rozkład następował bardzo szybko. Plecionka, chroniąca zwłoki przed

atakami dzikich zwierząt, nie powstrzymywała much.

– Cały dzień będziecie tak jazgotać? – Piekarz niecierpliwie wymachiwał nożem. – Pokroję was na kawałki, flaki z was wypruję... Właźcie do środka i gadajcie zaraz z umarlakiem. A ty... – zwrócił się do Rhysa, którego nieustanne lamente stanowiły tło całej rozmowy – zaniknij gębę i ani słowa więcej o tej diabelnej harfie!

Mansur z Adelią pochylili się i weszli do groty. Gdyby nie makabryczny widok i zapach, unoszący się z ziemi, w którą wsiąkły płyny z rozkładających się zwłok, zachwyciłoby ich jej piękno. Wschodzące słońce zaglądało wprost do niej – to znaczy, że stoimy zwróceniami twarzami na wschód, pomyślała Adelia – oświetlając elfią zieleń delikatnych paproci wyrastających na skałach i odbijając się od perlanych kropel wody, spływających do strumyka], który szemrał na zewnątrz.

Takie jaskinie były szczególnie cechą tutejszego krajobrazu; opactwo zarabiało spore pieniądze na chorych pielgrzymach, którzy płacili za cudowną, uzdrawiającą wodę ze świętych źródeł. Adelia miała nadzieję, że odwiedzi jedno z nich, gdy czas pozwoli, by sprawdzić, jakie właściwości ma ta sławna woda. Tajemnicze miejsce, w którym się znaleźli, nie należało jednak do świętych klasztornych źródeł – a już na pewno nie w tej chwili.

Razem z Mansurem uklękli po obu stronach zwłok, popatrzyli na siebie i odmówili modlitwy. Śmierć w samotności z pewnością stanowiła wystarczające odkupienie za wszystkie przewiny tego człowieka.

– Odsuńcie się od progu – mruknęła do mężczyzn tłoczących się w wejściu. – Doktor potrzebuje więcej światła. Ruszajcie się.

Po chwili przyniesiono latarnię, a w drzwiach widać było same głowy zaglądające do środka – ciała ich właścicieli posłusznie tkwiły na zewnątrz.

Zwłoki były ubrane, jeśli zakrwawione szmaty można nazwać ubraniem. W przyzwoitym stanie przetrwała tylko krótka, pusta pochwa na sztylet, umocowana na sznurku, który zastępował pas. Nóż, który stanowił do niej komplet, leżał tuż obok lewej ręki; prawa tkwiła w liściach i mchu, które teraz wyglądały wręcz obrzydliwie.

Mężczyźni stłoczeni w grocie zaprotestowali, gdy Mansur zaczął rozbierać zwłoki.

– Spokój – zakrzyknęła ostro Adelia. – Chcecie, żeby doktor zrobił swoje, czy nie?

Nie interesowało jej już nic poza leżącymi przed nią zwłokami – biada temu, kto by rozproszył jej skupienie.

Kości oddzieliły się od ciała, Mansur mógł więc wziąć czaszkę i obejrzeć ją z przodu i z tyłu. Nie było na niej żadnych śladów, w odróżnieniu od głów osób, które Adelia wciąż nazywała Arturem i Ginewrą.

Miejsce, gdzie spodziewali się znaleźć najpoważniejszy uraz, czyli dłoń, pozostawili na koniec badania. Najpierw postanowili sprawdzić, czy umarły odniósł jeszcze inne rany.

Żuchwy, szyja, łopatki, klatka piersiowa, kręgosłup, miednica – wszystko bez śladu urazu.

Kość udowa...

– Hm... czy on utykał? – zapytała Adelia.

Lewa rzepka była nieco nadpęknięta.

Z progu rozległ się pomruk zachwytu.

– Spadł z dachu, jak był dzieciakiem, od tej pory zawsze kulał. Zaczął z wami rozmawiać, co nie?

Trzeba było położyć temu kres.

– Posłuchajcie – oświadczyła ostro. – Mistrz Eustace nie rozmawia wcale z lordem Mansurem; jego dusza odeszła w przeznaczone jej miejsce. Doktor czyta tylko z jego kości.

– Aha, czyta. Czyli że to nie magia?

– Nie.

Głos chłopaka drapiącego się po jądrach był jednak pełen podziwu.

– No, ale żeby czytać...

Żaden z tych ludzi nie posiadał tej umiejętności. Choć nieco ich rozczarowała, i tak uznali, że są świadkami cudu.

Kość strzałkowa, piszczel.

Zaczęli badać ręce: kość ramieniowa, promieniowa, łokciowa. W końcu odwinęła liście z dłoni.

– W jaki sposób stracił palce?

Z progu odpowiedział jej chór zdziwionych głosów.

– Nic o tym nie wiemy.

– Jakie palce?

– Psiakrew, ostatni raz, jakżem go widział, to miał wszystkie.

Wszyscy ruszyli do środka, żeby poszukać brakujących palców, jakby Eustace schował je celowo na półce albo pod stołem.

– Jazda z powrotem – warknęła Adelia. – Kto z was widział go ostatni?

– Pewnie ja – odparł Alf. – Przyniosłem mu kawał dziczyzny na kolację...

Piekarz znowu go uderzył.

– Chcesz nas wszystkich wydać parszywym strażnikom?

Adelia znowu się zaniepokoiła. Trochę za dużo dowiedzieli się o tych ludziach. Mało

prawdopodobne, że ujdą z tego z życiem. Jeśli Eustace dostawał do jedzenia dziczyznę, na pewno pochodziła ona ze zwierzyny, na którą ci ludzie polowali bez zezwolenia. W oczach królów i wielmożów rozkochanych w polowaniu kłusownictwo było najstraszniejszą zbrodnią, a strażnicy leśni, pilnujący łowisk, sprawowali sądy, które często skazywały kłusowników na odcięcie kończyn. Wieszano je potem w lesie, w którym nieszczęśnicy dopuścili się zbrodni.

– ...i miał jeszcze wtedy wszystkie palce – dokończył Alf buńczucznie. – To było w noc przed pożarem. Co mu się stało?

– Mhm.

– Zauważyłaś, co jest z tyłu tej groty? – szepnął do niej Mansur po arabsku.

Oświetlił to miejsce latarnią; jej światło padło nie na skalną ścianę, jak można by się spodziewać, ale na mur wzniesiony z kamieni.

Adelii zakręciło się w głowie. Pamiętała, jak w Cambridge za takim murem zamknięto żywą, grzeszną kobietę, którą Kościół postanowił ukarać w ten sposób.

– Co jest za tymi kamieniami z tyłu? Lord Mansur musi to wiedzieć! – zawołała rozkazująco.

– Nic takiego – huknął w odpowiedzi Will. – Nie wasza sprawa.

Na szczęście Alf w tej samej chwili odparł:

– Tato Eustace’a odbudował tę ścianę po trzęsieniu ziemi, prawda, Will? Żeby demon nie wylazł.

– Demon?

– Siedzi tam paskudny demon. Wyleciał z wrzaskiem na tatusia Eustace’a, kiedy mur zawalił się po trzęsieniu, więc musieli go zamurować na nowo. Ale od tej pory tato Eustace’a był już nie ten sam.

– Przedtem też był niewiele wart – zauważył ponuro chłopak drapiący się po jądrach.

Mansur i Adelia spojrzeli na siebie. Znowu to trzęsienie ziemi.

Owego dnia dwadzieścia lat temu w Glastonbury wydarzyło się wiele rzeczy oprócz nieoczekiwanej aktywności sejsmicznej...

Will wrzaskliwie ponaglał ich, by brali się do roboty, więc musieli zrezygnować ze sprawdzania, co znajduje się za murem, ale Adelia obiecała sobie, że gdy tylko nadarzy się okazja, wróci, by to obejrzeć. Być może, była to zupełnie inna historia. Z drugiej strony, mogła być związana ze sprawami, które ją interesowały...

Jednak w tej chwili miała co innego do roboty. Skinęła głową. Mansur zgarnął pozostałości prawej ręki Eustace’a i wyniósł je na świeże powietrze, by mogli im się

przyjrzeć w blasku wschodzącego słońca. Zapowiadał się kolejny upalny dzień.

– Hm.

Dziwne. Najbliższe dłoni paliczki trzech środkowych palców przecięto tak, że brakowało górnych stawów, zaś kciuk i mały palec pozostały nienaruszone, jak drzewa stojące na straży trzech martwych pni.

Czy w tym Glastonbury nie ma ani jednego kompletnego szkieletu?

– Walka na miecze? – spytał Mansur.

– Nie. Wydaje mi się, że cięcie mieczem, który jest zwykle dość długi, pozbawiłoby go wszystkich palców. Wygląda to jak... Wydaje mi się... jakby sam odciął sobie trzy palce, odginając kciuk i mały palec, by nic im się nie stało.

Zastanawiała się dalej.

– Mów coś – ponagliła go, bo koniecznie chciała podtrzymać iluzję, że to on wszystkim kieruje. On potrafił zrobić wrażenie na tej bandzie; ona nie miała na to szans. Poza tym ktoś mógłby rozpuścić plotkę, że w Glastonbury grasuje czarownica – pod warunkiem że oboje z Mansurem uszliby z życiem z tej przygody.

– Czy potrafisz odgadnąć, dlaczego zginął? – zapytał Mansur. – Bo jeśli nie... to powiedzieli nam zbyt wiele.

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedziała i przerzuciła się na angielski.

– Lord doktor chce zobaczyć nóż Eustace'a.

Mężczyźni hurmem rzucili się, by mu go podać.

– Ostry jak brzytwa – zauważył jeden z nich. – Nicpoń bez przerwy go ostrzył.

Podali go Mansurowi, który, nie przerywając rozmowy, przytrzymał go tak, by Adelia również mogła go obejrzeć. Ostry był, to prawda, ale miał w połowie wyraźną szczerbę.

– Kiedy to się stało? – spytała.

Alf już otwierał usta, ale piekarz wymierzył mu kuksańca, tym razem we właściwym momencie. Zdaje się, że nóż Eustace'a uległ zniszczeniu w trakcie kolejnej podejrzanej eskapady.

– To było rok temu – oświadczył mężczyzna. – Nie wasza sprawa.

Adelia starała przyjrzeć się kikutom palców z jak najmniejszej odległości, pod pewnym kątem, ale cały czas stwarzała pozory, że to Mansur je bada. Przy końcu paliczka należącego do trzeciego palca widniała rysa, jakby kości nie odcięto do końca, tylko wyrwano ją, wyszarpując dłoń z czegoś, w czym tkwiła. Mój Boże, to straszne. Co za ból...

– Zdaje mi się, że sam to sobie zrobił – powiedziała po arabsku. – Wziął nóż i odciął sobie palce.

– Ale po co?

Przymknęła oczy, próbując wyobrazić sobie ludzką dłoń, a potem otworzyła je, by przyjrzeć się kościom małego palca. Tak, jedna z nich była zadrapana.

Mansur mówił coś od rzeczy.

– Lord doktor chciałby wiedzieć, w jaki sposób Eustace przedostawał się przez mur opactwa, gdy szedł kraść jedzenie – zapytała. – Mur jest prawdopodobnie wysoki. Czy musiał się na niego wspinać?

Piekarz zaczerwienił się ze złości.

– Kto powiedział, że on kradł? – wybuchnął.

Ale Alf, patologicznie prawdomówny Alf, teraz już bez reszty oczarowany wróżbiarskimi umiejętnościami Araba, znowu włączył się do rozmowy:

– Z jego nogą? Nicpoń nawet na babę by nie wlaźł. Podkopał się pod mur jak królik!

Młody człowiek, który wciąż drapał się pod tuniką, też miał coś do dodania:

– Jezu, jak ten stary brat Christopher nienawidzi królików. Wyjadają mu całą sałatę. Jezu, strasznie ich nienawidzi. Zresztą brat Chris właściwie nienawidzi wszystkiego, co żyje. Zastawia wnyki na każdego zwierzaka – na lisy, borsuki, ptaki... Nicpoń ciągle narzekał na te wnyki. Bez przerwy na nie natrafiał. W końcu nauczył się, gdzie mnich je zastawia. Ani razu nie dał się złapać.

Adelia pokiwała głową. Króliki sprowadzono do Anglii stosunkowo niedawno. Z początku normańscy lordowie hodowali je w zamknięciu, dla futer i mięsa, ale wkrótce zwierzaki wymknęły się spod kontroli i zaczęły dokuczać ogrodnikom.

Dowiedziała się czegoś jeszcze. Ludzie, wśród których się znalazła, doskonale znali zwyczaje mnichów w opactwie. Musieli je znać, jeśli kłusowali, polując na zwierzynę łowną, i dopuszczali się drobnych kradzieży jak Eustace.

Ich informacje prawdopodobnie pochodziły z jednego źródła – od świeckiego brata Petera. Gaduła Rhys tym razem nie zawinił. Peter i piekarz byli prawdopodobnie bliskimi krewnymi – zdradzało to ich podobieństwo. Peter opowiedział członkom gromady o umiejętnościach Mansura, więc porwali go, nie bacząc na konsekwencje. Kiedy okazało się, że nie mogą się z nim porozumieć, porwali i ją jako tłumaczkę.

– Pokażcie nam to miejsce – zażądała. – Lord Mansur chce obejrzeć, którądy Mistrz Eustace przedostawał się na teren opactwa.

– A po czorta mu to? – dopytywał się piekarz.

– Zobaczysz – odparła i dodała, wskazując na Mansura: – Ten wielki wróżbita, czytający z ludzkich kości, sądzi, że być może uda mu się udowodnić, że wasz przyjaciel nie

zaproszył ognia w opactwie. Żąda jednak w zamian dwóch rzeczy. Po pierwsze, wypuscicie nas oboje... – tu przypomniała sobie o Rhysie, który wciąż smutno nucił pod nosem, i poprawiła się: – ...nas troje na wolność, nie czyniąc nam krzywdy. Po drugie, opowiecie wszystko, co wiecie o naszej przyjaciółce, lady Emmie.

Najstarszy z bandy, który do tej pory się nie odzywał, zabrał teraz głos:

– Hej, Willu, nie możesz ich teraz puścić żywcem. Doniosą na nas.

A więc piekarz miał na imię Will. Adelia zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Był najinteligentniejszy z gromady, więc też najbardziej przerażony, a zatem niebezpieczny. Ale będąc inteligentny, musiał wiedzieć, że Adelia dysponuje bronią o mocy przewyższającej wszystko, co on miał do dyspozycji. Jeśli uda jej się wraz z Mansurem dowieść niewinności Eustace'a, trzeba będzie zachować ich przy życiu, by opowiedzieli władzom o swoim odkryciu.

– Tylko kto wtedy uwierzy w wasze słowa? – zapytała.

To było oczywiste: nikt by w nie nie uwierzył. Świecka osoba składająca dowody przed sądem? Nieokrzesani ludzie o wątpliwej reputacji? Bardzo trudna sprawa, brak świadków? Niecierpliwy sędzia – a wszyscy sędziowie orzekający w sprawach *frankpledge* byli bardzo zniecierpliwieni, bo mieli za dużo spraw do rozsądzenia w zbyt krótkim czasie – nawet nie zechce ich wysłuchać.

Czekała.

Wreszcie się odezwał. Po raz pierwszy w jego głosie brzmiały pojednawcze tony.

– Ale nie doniesiecie na nas, prawda? O dziczyźnie i takich rzeczach... i nie powiecie, w jaki sposób was tu... eeee... zaprosiliśmy?

– Nie – odpowiedziała. Rzeczywiście, wcale nie zamierzała tego robić. Jak dotąd, nie zrobili krzywdy ani jej, ani Mansurowi, ani nawet Rhysowi. Szkoda było jej tych ludzi, niewykształconych i tak ubogich. Pewnie i tak czeka ich kara za złodziejskie wyprawy Eustace'a, ale będzie ona niczym w porównaniu z karą za podpalenie opactwa.

– Przysięgacie? – spytał Will.

– Na co?

Adelia poczuła wzruszenie. W jaskini naturalnie nie było Biblii ani modlitewnika. Ci ludzie widywali takie rzeczy jedynie w kościele. Ale dla nich źródło bijące w ukrytej grocie było równie tajemnicze i magiczne, jak słynne źródła w opactwie.

– To źródło Artura – wyjaśnił Alf. – Znalazł je tatko Eustace'a, ale umarł i tylko my o nim wiemy. Nicpoń nam o nim powiedział, prawda, chłopaki? Jednego razu widział, jak sam Artur z niego pije, klęcząc, a światło bije z jego królewskiej korony.

– Nicpoń widywał różne rzeczy – warknął Will. – Fioletowe węże, na ten przykład.

Tak więc Mansur, Adelia i Rhys przyklękli, złożyli dłonie pod lśniąca spiralą tryskającej wody i przysięgli na dobrego króla Artura, że jeśli uda im się udowodnić niewinność Eustace’a, to nikomu nie doniosą o rzeczach, które wyszły na jaw w rozmowach z członkami gromady.

Ci z kolei jeden po drugim przysięgli, że jeśli dobry doktor i jego pomocnica udowodnią niewinność Eustace’a, to nie poderzną gardeł rzeczonemu doktorowi i jego pomocnicy.

– Mojego też nie – przypomniał Rhys.

Ani barda Rhysa.

– A oddacie mi moją harfę?

I oddadzą mu jego harfę.

Wszystko to było bardzo piękne. Słońce grzało ich w głowy, porannemu chórowi ptactwa zawtórował świergot pasikoników...

Tylko co będzie, jeśli niczego nie udowodnię? – pomyślała Adelia.

Gromada przyprowadziła jeńców do grotu okrężną trasą; w rzeczywistości opactwo znajdowało się całkiem blisko. Zaczęto się więc spierać, czy lepiej zabrać osły, czy też je zostawić i pójść pod mur piechotę.

Przenikliwy dźwięk rogu rozwiązał problem.

– A to skurczybyki! – mruknął Will. – Szukają was już.

To na pewno Rowley. Zebrał myśliwych i przeczesuje lasy.

Nagle poczuła, że nie chce, by ją odnalazł. Jeszcze nie teraz. Ma robotę do zrobienia, zagadkę do rozwiązania, jest mistrzynią sztuki śmierci i właśnie czyjeś zwłoki odezwały się do niej z rozpaczą.

– Ilu ich jest, Toki? Gdzie są teraz? – spytał Will.

Gromada znieruchomiała, by Toki, który wciąż drapał się po jądrach, mógł spokojnie rozejrzeć się wkoło i wsłuchać w odgłosy pogoni. Adelia nadśluchiwała wraz z nimi, ale do jej uszu docierał tylko śpiew kosa i szmer źródelka.

W końcu Toki, drapiąc się jak szalony i obracając dookoła, orzekł:

– Piętnaście koni. Nie ma psów. Nie wiem, ilu pieszych. Dochodzą do Wearyall.

– Kiedy tu będą?

Wzruszył ramionami.

– Zależy od tego, w którą stronę pójdą potem. Może tutaj. Może do St Edmund’s, a może do Chalice.

Wymienił nazwy wzgórz wokół Glastonbury, więc drogą eliminacji Adelia wywnioskowała, że znajdują się na Tor, dziwnym, stożkowym pagórku, najświętszym ze wszystkich wzgórz wyrastających z płaskiej równiny wokół opactwa.

Do diabła, nie zamierzała przesiedzieć całego dnia w grocie, czekając, aż pogoń się oddali, szczególnie w towarzystwie Eustace'a.

Nie wzięła jednak pod uwagę doświadczenia, jakie mieli członkowie gromady. Przywykli do pogoni; choć mieli bardzo ograniczoną wiedzę, wyrobili w sobie rzadkie w jej świecie umiejętności.

– No, to jazda – zarządził Will. Zwracając się do niej, dodał: – Trzymaj nisko głowę. Odezwij się choć słowem, a będziesz trupem. Powtórz to czarnuchowi. – Obrócił się jak fryga w stronę Rhysa: – Tylko piśnij, a złamię ci kark, a twoją przeklętą harfę rozłupię na drobne drzazgi.

Osły wprowadzono do groty, a wejście zamaskowano gałęziami. Kłusownicy uznali, że w dole wzgórza jest gęstsze poszycie i że lepiej będzie tam przeczekać nagonkę.

Zeszli w dół. Później Adelia zawsze twierdziła, że były to najpiękniejsze chwile jej życia.

Dzieciństwo dziewczynek zwykle bywa smutne, bo muszą jak najszybciej dorosnąć i opanować wszystkie umiejętności przydatne kobietom. Adelia, dla odmiany, uczyła się, jak być medyką, a potem anatomem. Nikt jej do tego nie zmuszał, przybrani rodzice bez przerwy namawiali ją, by oderwała się od nauki, ale ona wciąż siedziała nad książkami. Wiedza była dla niej wszystkim.

Za to teraz, schodząc ze świętego wzgórza, po raz pierwszy w życiu zaznała przygód, jakie są chlebem powszednim każdego wiejskiego chłopaka, który wspina się na drzewa, podbiera ptasie jaja, kradnie ludziom jabłka z sadów i chowa się przed rozwścieczonymi myśliwymi. Ponieważ w przypadku odkrycia groziło jej coś więcej niż cios pięścią w ucho, można powiedzieć, że zmieniła się raczej w żołnierza, który wędruje do domu przez wrogie terytorium, bez mapy i bez pomocy.

Była tym szczerze zachwycona.

Z początku schodzili szybko, przemykając między drzewami na wypadek, gdyby ktoś wśród pogoni był obdarzony słuchem i wzrokiem równie doskonałym, jak Toki.

Dźwięki rogu rozbrzmiewały coraz bliżej. Adelia usłyszała, jak ktoś woła ją po imieniu. Hałas wciąż narastał.

Przeszukawszy już wzgórze Wearyall, Rowley na czele swego oddziału ruszył prosto na Tor.

– Na ziemię, chłopaki – szepnął Will. Zwracając się do Adelii, zapytał: – Wydasz nas teraz?

– Nie.

Na wszelki wypadek trzymał się blisko niej z nożem w dłoni. Pozostali ludzie pilnowali Mansura i Rhysa, gotowi stłumić ich krzyki.

Pogoń bardzo sensownie rozpoczęła poszukiwania od szczytu wzgórza, idąc w dół po spirali.

Gromada wraz z jeńcami skryła się w gąszczu. Pod stopami i kolanami wyczuwali drgania ziemi pod kopytami koni.

Rozpoczęła się cudowna gra. Wszystko było grą, życiem na prymitywnym poziomie. W ten sposób gatunki walczyły o przetrwanie – powodowane sprytem i strachem. Adelia czuła przerażenie swoich kompanów; po plecach chodziły jej dreszcze, jakby życie zależało od tego, czy przetrwa w ukryciu. Całą jej istotę przepelniała dzika radość zwierzęcia będącego w swoim żywiole. Była łasicą przemykającą wśród pachnących traw, była wężem, pełznącym na brzuchu; gęsta kępa fioletowej tojeści dawała jej schronienie, pas niegościnnego, niepozornego kolcolistu zapewniał jej bezpieczeństwo.

Gdy pogoń była o krok, Adelia poczuła się jak prawdziwa banitka w bandzie wyjętej spod prawa; obnażyła zęby, jakby trzymała w nich nóż. Nigdy przedtem nie bawiła się w chowanego, ale teraz, kryjąc się w ciemnym wnętrzu spróchniałego dębu, z satysfakcją obserwowała, jak Rowley przejeżdża tuż obok, wołając ją po imieniu, i czaiła się, nie odpowiadając na jego wezwania – podobnie jak dzik ukryty w swym legowisku nawet nie mruknął, by nie zwracać uwagi przebiegających psów.

Gdy konni przejechali, poszukała wzrokiem Willa, który leżał na gałęzi tuż nad nią. Spojrzeli na siebie z szacunkiem. Zrozumiała, że ten człowiek teraz już jej nie zabije, niezależnie od tego, co się wydarzy. On z kolei wiedział, że Adelia go nie zdradzi. Połączyło ich leśne braterstwo – razem przecież zadrwali z pogoni myśliwych.

Stojąc na skalnym nawisie, z którego roztaczał się widok na opactwo i wrzosowiska, gromada – połączona jednym celem – obserwowała pogoń, kierującą się na wzgórze Chalice.

– Pora trochę odpocząć. Zasłużyliśmy na to – stwierdził Will i wskazał głową opactwo, z którego dobiegał gregoriański śpiew. – Zaraz skończą tercję.

Była więc już trzecia godzina od wschodu słońca. Minęło sto osiemdziesiąt minut od chwili, gdy Adelia trafiła do groty Eustace'a, i każdą z tych minut miała odtąd wspominać z dziką radością.

Czekała, leżąc w trawie na brzuchu. Z jednej strony miała Willa, z drugiej Alfa;

pierwotne popędy powoli w niej zamierały i z pewnym żalem stała się znowu rozsądną poważną Vesuvią Adelią Rachel Ortese Aguilar, doktorem ze szkoły w Salemo, mistrzynią sztuki śmierci i wysłanniczką króla Anglii Henryka II, przyjaciółką kobiety, która gdzieś zaginęła, kochanką mężczyzny, który większym uczuciem darzył Boga i swego króla...

– Patrzcie, już idą – odezwał się Will, gdy cztery postaci, z tej odległości przypominające czarne chrząszcze, pojawiły się w ruinach kościoła. – Do licha, zapomniałem, że dziś jest trzeci piątego miesiąca! – dodał.

Okazało się, że chrząszcze, zamiast powrócić do kuchni opata, rozeszły się po okolicy; jeden ruszył ku nabrzeżu, gdzie czekał na niego Godwyn, oparty o wiosło łodzi.

– Płyną na Wyspę Łazarza – domyślił się Will. – Opat będzie udzielał komunii trędowatym.

– Chyba się mną za bardzo nie przejmuję – stwierdziła Adelia, nieco rozczarowana, że jej zniknięcie nie zakłóciło życia w opactwie.

– Jest punktualny jak kalendarz. Wypływa co trzy tygodnie, żeby zadbać o ich duszyczki, i nic nie może mu w tym przeszkodzić.

– Ten człowiek to święty – oświadczył Alf. – Za żadne skarby bym tam nie pojechał.

– Trąd nie jest aż tak zaraźliwy – mruknęła Adelia.

– A co to niby znaczy?

– Że się tego tak łatwo nie łapie.

– Lepiej nie ryzykować, mówię wam.

– Mi tam żal jest tych biedaków – stwierdził Toki. – Jak sobie pomyślę, że gniją tak na tej błotnistej wyspie i nie mogą z niej odejść...

– No cóż, ówczesny opat, ten wredny stary skąpiec... Jak mu tam było... Valerian albo jakoś tak... zajął wszystkie dobre ziemie, a trędowaci dostali Wyspę Łazarza.

– Nie mogą po prostu stamtąd pójść? – dopytywała się Adelia.

Z góry widać było mozaikę traw, tataraku i drzew rosnących na mokradłach. Mieniły się różnymi barwami zieleni, otaczając niewysokie pagórki wychylające się z bagnistej toni. Wydawało się, że ziemia jest tam całkiem stabilna. Z kolei przez jeziora i strumienie, w których odbijał się błękit nieba, można było bez trudu przepłynąć lub przebrnąć.

– To zabronione – odparł Toki. – Prawo nie pozwala. A poza tym nie mają łodzi.

Według niego, gdy opat Sigward albo Godwyn odwiedzali nieszczęśników na wyspie, musieli przyczepiać łódkę do pomostu łańcuchem z kłódką, do której tylko oni mieli klucz.

– W dodatku po mokradłach Avalonu potrafią chodzić tylko ci, co znają je od urodzenia – tłumaczył Will. – Zresztą, i tak lepiej tego nie robić. Pełno tam bagiennych

diabłów, co łapią wędrowców za nogi i wciągają pod wodę. Łażą tu i tam, dranie jedne, nigdy nie wiadomo, gdzie się je napotka. Wszędzie ich pełno, i tyle.

– Ale widziałam ludzi na szczudłach...

Szybko jej jednak wytłumaczono, że szczudlarze nigdy nie zapuszczają się zbyt daleko, wiedząc, jakie to ryzykowne. Tak czy siak, mieszkańcy Wyspy Łazarza przekonali się na własne oczy, że ucieczki zawsze kończą się tragicznie, i pogodzili się z losem.

– Było paru trędowatych, co dali radę się stamtąd wydostać, ale ślad po nich zagał.

Wśród zieleni opactwa znowu zaczęły pełzać chrząszcze. To bracia Aelwyn, James i Titus chodzili tu i tam, wykonując przeróżne codzienne prace. Jeden z nich wylawiał ze stawu pstrągi na rybną polewkę: był piątek, więc mnisi mogli jeść tylko ryby.

Gromada ukryta na pagórku czekała ze zwierzęcą cierpliwością, aż mnisi oddalą się do kuchni opata. Czekać, obgadywali ich, ile wlezie.

– Titus pewnie zaraz poleci na obiad, żarłok jeden.

– Dzban ale go woła. Stary opat pozbył się Nicponia za pijaństwo. Szkoda, że nie wie, ile Titus potrafi wytrąbić, jak nikt go nie widzi. Przepiłby biednego Nicponia jak nic, w każdej chwili.

– Patrzcie, stary James znowu łązi w kółko i gada do siebie. Kompletny z niego wariat, lepiej go nie denerwować, bo może zrobić krzywdę.

Will trącił ją łokciem.

– Pewnie nie wiesz, dlaczego brat Aelwyn nie chciał was wpuścić na cmentarz.

– Nie wiem. Dlaczego?

– Bo tam jest pochowana dwójka małych dzieci.

– Dzieci?

Will wygiął usta w krzywym uśmiešku.

– Ano dzieci. Och, powiadają, że w dawnych czasach niejedna baba tam zachodziła, choć mnisi mają być prawiczkami, co nie? Któraś urodziła bliźniaki, podobno stary Aelwyn je zrobił, i zostawiła je na progu opactwa. Powstało z tego niezłe zamieszanie. Mnisi musieli je pochować na własnym cmentarzu.

– Dobry Boże, jak to się stało, że umarli?

Will niechętnie przyznał, że z tego co wie, bliźniaki zmarły naturalną śmiercią.

Przysłuchując się tym opowieściom, Adelia zaczęła nabierać przekonania, że pożar nazaczył opactwo blizną jak piętnem ludzkiej słabości i niedoskonałości.

Tylko o opacie Sigwardzie nikt nie powiedział złego słowa.

– Od chwili jego wyboru skończyły się wszystkie brudne sprawy – stwierdził Will. –

Nie najgorszy z niego staruszek, jak na mnicha.

– Jak ktoś może zostawić takie bogate życie po to, żeby co dzień klepać modlitwy? – spytał Toki z niedowierzaniem.

– Zrobił to przez pamięć syna, tego co umarł w bitwie z przeklętymi Saracenami – wyjaśnił Alf. – Sigwarda to załamało, mówię wam. Dziwne tylko, że nie posłał nikogo po ciało. Sir Gervase’a, co mieszkał w Street, przywieźli do domu, i pochowali w kościele, z mieczem, ze skrzyżowanymi nogami i w ogóle.

– Może czarnuchy pocięły go na kawałki i mało co po nim zostało? A może nie miał znajomych, którzy by przywieźli jego zwłoki do domu? Może i umarł jak bohater, ale za życia wcale nie był dzielny. Taki mizerota, pokurcz, byle co. Hilda nigdy go nie uważała, mówiła, że to maminsynek, że ciągle tylko marudzi i narzeka na zimno.

– No to na krucjacie pewnie mu się podobało – stwierdził Will. – W tamtych krajach jest strasznie gorąco, co nie?

– Nie za bardzo, mniej więcej tak jak tutaj – odpowiedziała Adelia. Zerwała liść łopianu i osłoniła nim gołą głowę przed słońcem. Drugim odganiała muchy, które krążyły wokół jej spoconej twarzy.

– Czy ci mnisi nigdy nie pójda na obiad? – spytała zirytowanym tonem.

– A jak już ten czarnuch udowodni, że Nicpoń jest niewinny, i będziemy go mogli pochować, to co zrobimy z jego nożem? – zapytał Toki.

– Wrzucimy go do rzeki – odparł Will.

– A do której?

Przywódca bandy wzruszył ramionami.

– Pewnie do Brue. Nicpoń lubił łowić w niej ryby, co nie? Król Artur też tam wrzucił swój Excalibur. Nicpoń pewnie chciałby, żeby jego broń poszła w to samo miejsce.

– Chcecie wrzucić jego nóż do rzeki? – zdziwiła się Adelia.

– Tak się należy – odparł krótko Will.

– Dlaczego?

– Bo trzeba go oddać.

Zainteresowało ją to. Na jej ukochanych moczarach rybacy często wyciągali z głębin porzewiałą broń i, z modlitwą na ustach, z powrotem wrzucali ją w toń wody. Niemal instynktownie wypełniali w ten sposób polecenia z zamierzchłych legend, mówiących o tym, że miecz albo tarcza dawno zgasłego wojownika, choćby nie wiadomo jak cenne, muszą powrócić do tajemniczego źródła, z którego czerpały swoją moc. Jej przybrany ojciec przekonał się podczas podróży, że zwyczaj ten był powszechny niemal na całym Wschodzie.

– To starożytny rytuał – opowiadał. – Składanie ofiary bogom w imieniu duszy zmarłego właściciela broni.

Przypomniała sobie, że Rhys przecież nie raz śpiewał o tym, jak miecz Excalibur wrzucono z powrotem do jeziora, z którego głębin ongiś dłoń kobiety podała go Arturowi.

Tradycja przetrwała. Pogańska, lecz wciąż piękna.

W końcu tereny opactwa opustoszały. Gromada zeszła do podnóża pagórka i kryjąc się pośród poszycia, zbliżyła do pozostałości muru.

Will wskazał na niewielki kawałek ziemi, pokryty poczerniałym od ognia gruzem.

– W tym miejscu Nicpoń zawsze przechodził pod murem, tylko teraz nie widać podkopu, bo kamienie się zawaliły.

– Usuniecie je więc – odparła Adelia. – Lord doktor chce obejrzeć wszystko dokładnie.

Nagle uświadomiła sobie, że nie musi im wydawać poleceń przez Mansura; ci ludzie należeli do tak niskiej warstwy społecznej, że kobiety musiały pracować na równi z mężczyznami, by zapewnić utrzymanie rodzinom. Były robotnikami rolnym i warzyły ale, prały odzież, prowadziły kramy na rynkach, a nieraz nawet kradły. Dzięki zarobionym pieniądzom miały w społeczności pozycję równą mężczyznom. Tylko klasy wyższe, w których damy były zależne od swoich lordów, mogły pozwolić sobie na traktowanie kobiet jako istot niższych. Od chwili, gdy członkowie gromady zaakceptowali Adelię jako osobę godną zaufania, bez zastrzeżeń godzili się z faktem, że to ona podejmuje decyzje, choć należy do płci pięknej.

Jednak mimo wszystko lepiej było pozostać przy mistyfikacji, bo któryś z tych ludzi mógłby przypadkiem zdradzić prawdę jakiejś niepowołanej osobie.

Z niejakim trudem usunięto kamienie, odsłaniając podkop, przez który świętej pamięci Eustace przedostawał się pod murem.

– W ten sposób. Patrzcie. – Alf położył się na brzuchu na wypadek, gdyby lord Mansur i jego tłumaczka nie zrozumieli, jak to się robi.

– Poczekaj – powstrzymała go Adelia. – Doktor uważa, że po drugiej stronie jest pułapka.

– Jezu, przecież Nicpoń wiedział, jak sobie radzić z pułapkami.

– Z tą chyba sobie nie poradził – odparła Adelia, odsunęła Alfa na bok i poleciła: – Podajcie mi jakiś kij.

Kij szybko się znalazł i kobieta, zgięta we dwoje w podkopie, ostrożnie rozgarnęła nim popioły i świeżo wyrosłe chwasty po stronie opactwa.

Coś zabrzęczało.

Rzeczywiście, leżała tam pułapka. Nie zwykła pętla, która zaciska się na szyi lub nodze zwierzyny, ale metalowa paść, nieco nadtopiona od gorąca, ale wciąż łatwa do rozpoznania. Wyglądała okropnie. W dodatku przymocowano ją łańcuchem do jednego z kamieni w murze.

Brat Christopher, doprowadzony do rozpaczyny nocnymi wyczynami zająca w ludzkiej postaci, który dobierał się do zapasów opactwa, zlekceważył przykazanie zabraniające duchownym rozlewu krwi, i zrobił wszystko co w jego mocy, by rabuś wpadł mu w ręce.

Członkowie *tithing* byli wstrząśnięci.

– Zamorduję tego katabasa, jak tylko wróci – groził Will.

– Po co mu to było? – chciał wiedzieć Alf. – Nicpoń nie robił szkód, tylko podpijał to wino, żeby się dobrze poczuć, albo czasem skubnął rzepę lub główkę sałaty. Do diabła, przecież to najbogatsze opactwo na świecie, stać je było na taką jałmużnę, co nie?

Jednak brat Christopher był innego zdania, więc ukrył w trawie przy podkopie Eustace'a mechanizm, składający się z pary stalowych szczęk oraz sprężyny, która je zatraskiwała. Umocował pułapkę solidnie i ustawił w taki sposób, by Eustace wydostający się z otworu wsadził w nią rękę i by szczęki zaniknęły się na jego palcach.

Nie była to pułapka na ludzi, którą Adelia widziała w dawnych czasach – wciąż starała się zatrzeć w pamięci wspomnienie widoku pochwyconego w nią człowieka. To urządzenie było o wiele mniejsze, ale niestety okazało się równie śmiertelne.

W wyobraźni usłyszała szczęk zatraskującego się żelaza i zobaczyła, jak Eustace bezskutecznie próbuje się uwolnić z paści...

– Ale to żaden dowód – odezwał się Will po zastanowieniu. – Powiedzą, że włożył inną drogą, zaproszył ogień i wpadł w pułapkę, jak wychodził.

– Doktor jest innego zdania – oświadczyła Adelia, głową wskazując Mansura. Odpowiedział skinieniem. – Jego zdaniem Eustace odciął sobie palce swoim nożem. Zrobił to, bo od tego zależało jego życie. Jasne?

Członkowie *tithing* pokręcili głowami. Nikt przecież nie odetnie sobie prawej ręki z własnej woli – chyba że znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Eustace poczekałby na nadejście kogoś, kto by go uwolnił, a potem pokornie poniósłby karę, która zresztą pewnie nie byłaby zbyt sroga, gdyż opat był łagodnym człowiekiem.

– Nie – tłumaczyła dalej Adelia. – Eustace koniecznie musiał się uwolnić. Chciał przedostać się przez dziurę, żeby znowu coś ukraść. Zobaczcie... Rozgarnęła kijem chwasty i znalazła dowód, który musiał tam być. Prawie zemdląła z ulgi, widząc, że się nie pomyliła.

– Patrzcie. – Czubkiem kija wskazała na trzy kawałki przypalonej kości. – To jego

palce.

W dalszym ciągu nie rozumieli.

– Palce są od strony opactwa – wyjaśniła – wskazują w tamtą stronę. Gdyby... nie dotykaj, Alf, ich ułożenie jest dowodem w tej sprawie. Nie rozumiecie? Gdyby Eustace wracał z krypty, palce byłyby po drugiej stronie pułapki. To znaczy, że wpadł w nią, wchodząc. Myślę, to znaczy, doktor uważa, że ogień wtedy już szalał i właśnie przenosił się w kierunku muru. Gdyby Eustace nie odciął sobie palców, spłonąłby żywcem.

Oczyrna wyobraźni zobaczyła bezsilnego Eustace'a, którego płomień niemal lizały po twarzy. Wyjął nóż, przeciął nim własne ciało i kość, żeby się uwolnić, wyrwał mały palec z zębów paści, która wcześniej odszczypała czubek paliczka znajdującego się najbliżej dłoni.

Widziała, jak opatruje straszliwą ranę mchem i trawą, resztką sił wspina się na wzgórze i kona z upływu krwi albo z powodu zakażenia, modląc się do Boga – a może do Artura – o ratunek, który nigdy nie nadszedł.

– Biedny Nicpoń – szepnął Alf.

– To co, powiesz o jego niewinności, żeby dali nam spokój? – zapytał Will.

– Tak – odpowiedziała. – Opowiem wszystko biskupowi St Albans, a on porozmawia z szeryfem.

Pochyliła się nad pułapką jeszcze raz powtarzając w myśli przebieg wydarzeń. Odsunęła chwasty, by nie zasłaniały ułożenia spalonych kości palców.

Mansur wydał głośny okrzyk.

Odwróciła się, przestraszona.

Gromada zniknęła. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stali rośli mężczyźni, widać było tylko wypalone kamienie i stok wzgórza, jakby roztopili się w promieniach słońca.

– Wracajcie, wracajcie! – zawołała. – Nie powiedzieliście mi nic o Emmie!

Ale na jej krzyk tylko stadko przestraszonych świstunek wyfrunęło z niskich krzewów.

Jedynym świadectwem istnienia ludzi z *tithing* była harfa spoczywająca w ramionach Rhysa.

Rozdział 10

Rowleyowi wściekłość niemal odebrała głos.

Adelia z kolei była tak zmęczona, pomimo drzemki, do której zmusiła ją powrocie rozradowana, uspokojona Gyltha, że drażniło ją jego zachowanie. Może mieli ją zgwałcić albo zamordować, żeby poczuł się lepiej?

Okazało się jednak, że jej główną przewiną było zignorowanie nawoływań pogoni oraz fakt, że nie zeskoczyła z drzewa, rzucając się pod kopyta jego konia z wdzięczności za ratunek.

– Nie potrzebowałam ratunku. – Nachmurzyła się. – Nic mi nie groziło.

– Według ciebie porwanie z gospody przez bandę rzezimieszków, którzy chcą, żebyś obejrzała jakiś szkielec, to zaproszenie na przyjemną wycieczkę, tak?

– To nie byli bandyci, tylko członkowie gromady Eustace’a. Spotkaliśmy ich wieczorem na drodze, poprosili, bym pojechała z nimi do groty, gdzie znaleźli zwłoki, więc się zgodziłam.

– Normalna rzecz – oświadczył ironicznie.

– Myślałam, że powiedzą mi coś o Emmie.

– O tej twojej przyjaciółce, która zniknęła? No tak, oczywiście, nie miałaś więc innego wyjścia.

Zignorowała jego sarkastyczną uwagę.

– Dowiadywałeś się o nią?

– Tak, naturalnie. Wczoraj zmarnowałem mnóstwo czasu, wypytując o nią szeryfa. Wezwałem go do pałacu biskupiego... – Na krótką chwilę gniew Rowleya skierował się w inną stronę. – Boże święty, co za niekompetencja, napady na drogach zdarzają się tu powszechnie. „Czekaj no, niech tylko Henryk o tym usłyszy, to ci oberwie jaja” – tak powiedziałem temu skurczybykowi. Król nie lubi, gdy bandyci napadają na podróżnych w jego kraju.

– Co z Emmą? – przypomniała Adelia.

– Nikt nie zawiadomił ich o napadzie na kawalkadę tego rodzaju. Mało prawdopodobne, by zniknęła bez śladu, bo bandziory z lasu napadają tylko dwu-, najwyżej trzyosobowe grupy. Mówiłem ci, nie zwracaj sobie nią głowy, na pewno pojechała gdzie indziej.

Tak, oczywiście.

Teraz zwrócił się do Mansura, pytając po arabsku:

– A ty gdzie się podziewałeś? Też dostałeś bardzo uprzejme zaproszenie na spacer do lasu w towarzystwie tej bandy?

Mansur skinął głową. Ledwie patrzył na oczy ze zmęczenia – spał jeszcze krócej niż Adelia.

Uzgodnili taką wersję wydarzeń po drodze z opactwa do gospody. Przedostali się przez mur na własną rękę, by nie niepokoić mnichów.

Adelia miała wielką, naprawdę wielką ochotę, by donieść na Willa piekarza i pozostałych członków gromady, bo nie wywiązali się z obietnicy w sprawie Emmy, ale przecież oboje z Mansurem złożyli przysięgę, a przysięgę należy dotrzymywać.

Adelia nie chciała po raz kolejny wracać do opactwa, więc opowiedziała Rowleyowi o dowodach niewinności Eustace'a, znajdujących się nieopodal muru. Gdy odszedł, udała się na górę, by wziąć kąpiel, przebrać się w czystą odzież i wysłuchać przemowy Gylthy, która postanowiła ukarać ją za przeplakaną ze strachu noc. W tym celu solidnie i boleśnie wyszczotkowała jej włosy.

– Martwiłyśmy się... to znaczy Allie się nie martwiła, bo powiedziałam jej, że wezwano cię do chorego.

Adelia uśmiechnęła się do córki.

– Skąd to masz? – zapytała.

Dziewczynka siedziała na podłodze i z wielką uwagą wpatrywała się w klatkę, w której trzepotała zięba.

– Od Millie. Ptak wleciał do domu, gdy sprzątała. Znalazła gdzieś klatkę i dała ją małej. Wcale nie jest taka głupia, na jaką wygląda – odparła Gyltha.

– Absolutnie nie.

Głuchych i niemych zazwyczaj uważano za niedorozwiniętych i tak ich traktowano. Adelia przekonała się jednak, że Millie jest spostrzegawcza, a co za tym idzie, inteligentna.

– Następnym razem, jak będziesz chciała oddalić się bez słowa, zostaw mi jakąś wiadomość, żebym się nie denerwowała – złościła się Gyltha, ciągnąc ją za włosy.

– Au... przepraszam cię bardzo... au... Akurat nie miałam ze sobą tabliczki i ryłca.

– Nawet gdybyś miała, to i tak nic bym z tego nie wyczytała. – Zdaniem Gylthy czytanie i pisanie było dobre dla mięczaków. – Powinnaś zostawić gałązkę albo coś. Żebym wiedziała, że to od ciebie.

– Mówiłam ci, że mnie porwali. Nie było czasu...

Teraz też trzeba było się pośpieszyć – na schodach zadudnił głos Rowleya, który żądał,

by natychmiast zeszła do salonu.

– Boże, a ja jestem nieubrana.

– Włóż to. – Gyltha przez cały wieczór cięła i zszywała kupon zielonego jedwabiu, kupiony po drodze z Walii.

Adelia popatrzyła na powstałą w wyniku jej starań zgrabną tunikę.

– Chcesz, żebym się dla niego stroiła. Wystarczy ta stara, brązowa.

– Nie, ma być ta. – Gyltha tak się uparła, że Adelia zrezygnowała ze sprzeciwów.

Po chwili obie kobiety, w towarzystwie Allie bawiącej się klatką, zeszły po schodach do salonu. Adelia postanowiła tym razem nie rozstawać się z córką.

Wyglądało na to, że opat Sigward powrócił już z Wyspy Łazarza, więc Rowley zabrał go wraz z braćmi Aelwynem, Jamesem i Titusem do oberży na konferencję.

Czterech mnichów siedziało w milczeniu po jednej stronie długiego stołu. Ich czarne szaty i kaptury odbijały się w wypolerowanym blacie, ostro kontrastując z barwną odzieżą pozostałych uczestników – szczególnie z zieloną szatą Adeli.

Hilda, która tylko czekała, by wygłosić swoje zdanie, oparła się o okienko w drzwiach kuchni, przypominające klasztorny refektarz. Z za drzwi dochodziły szczerkanie patelni i smakowity zapach; to Godwyn przygotowywał posiłek.

Brakowało tylko dwóch osób mieszkających w gospodzie. Rhys smacznie spał na górze, z harfą w objęciach. Millie poszła pozamiatać dziedziniec.

Allie usiadła na podłodze. Bez przerwy rozmawiała z ptaszkiem w klatce i dawała mu smakowite kąski, by sprawdzić, co lubi najbardziej. Jej słodki, miły głosik stanowił stały kontrast dla surowego tonu mężczyzny, który był jej ojcem.

Rowley, choć wciąż odziany w strój myśliwski, wyglądał jak prawdziwy biskup. W pełni panował nad sytuacją.

– A zatem ustaliliśmy. Szeryfowi należy powiedzieć, że Eustace jest niewinny. – Gdy w odpowiedzi nie padło ani jedno słowo, Rowley zapytał: – Lordzie opacie?

Spod kaptura opata dobiegło westchnienie.

– Tak, tak. Koniecznie trzeba to zrobić. Pożar wybuchł przypadkowo.

– Zwykle tak bywa – odparł Rowley. – Ale kto był sprawcą tego przypadku?

– Omówimy to na osobności między sobą.

– Nic z tego. – Biskup St Albans nie zamierzał się tym zadowolić. – Rzucono fałszywe oskarżenie na niewinnego człowieka, obciążono winą jego gromadę i jedynie dzięki wysiłkom lorda Mansura udało się stwierdzić jego niewinność. W płomieniach zginął mnich. Oprócz opactwa spaliło się miasto. Jest to zatem również sprawa cywilna i ci z nas, którzy są

w nią bezpośrednio zaangażowani, mają prawo znać imię winnego.

On wie, kto to był, pomyślała Adelia. Domyślił się. Porozmawiał ze świeckim bratem, posłuchał Hildy... dobry Boże, ja też chyba wiem.

Hilda, stojąca pod drzwiami, wtrąciła arogancko:

– Jakaś stara pułapka niczego nie dowodzi. To Nicpoń wywołał pożar. Przecież brat Aloysius, nieboraczek, powiedział nam, że to Eustace, zanim umarł od oparzeń.

– To ty tak twierdzisz.

Hilda wybuchnęła potokiem wymowy.

– Słyszałam to na własne uszy, bo przecież to ja przykładałam maść na jego rany. Biedaczek... „Eustace, Eustace”, powtarzał bez przerwy. Z tymi słowami umarł, kochaneczek.

– Brat Peter również przy tym był i twierdzi, że nie brzmiało to aż tak wyraźnie – sprzeciwił się spokojnie biskup.

– No to „Eu... Eu...” albo coś takiego – upierała się w dalszym ciągu Hilda. – Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że miał na myśli Nicponia. Wiem to na pewno.

– Jesteś pewna, że to nie było: „Ty... ty...?” Na kogo spoglądał, gdy wypowiadał te słowa?

Nagle zapadła cisza. Słysząc tylko pieszczotliwe poćwierkiwanie Allie:

– Śliczny ptaszek, białe paski, śliczny dzióbek...

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały dłoń opata o błękitnych żyłach i długich palcach, zaciśniętych kurczowo na brzegu stołu. Dłoń starego człowieka... Twarz ukrywał pod kapturem, podobnie jak reszta mnichów.

Odczytując nieme polecenie Adelii, Gyltha pochyliła się, by podnieść Allie wraz z klatką.

– Śliczny ptaszek musi teraz pooddychać świeżym powietrzem – powiedziała i zabrała dziewczynkę na dwór.

W pomieszczeniu nadal panowała cisza, nabrzmiewając jak balon, który musi w końcu pęknąć.

Brat Titus przerwał ją rozpaczliwym krzykiem:

– Przestańcie. Przestańcie już. To ja. On patrzył na mnie. Święta Mario, Matko Boża, to byłem ja. Poszedłem na wino do krypty, byłem pijany – ryknął i zaczął walić głową w stół.

Pozostali mnisi nawet nie drgnęli.

– Zostawiłeś zapaloną świecę? – Rowley nie znał litości.

– Przewróciła się. Zajęła się od niej zasłona... Ja nic nie zauważyłem... – Mnich zwrócił się do opata. Na czole, którym uderzył w stół, pojawiła się plama krwi. – Dobry

Boże... jak mi wybaczysz... Cały czas... żyłem jak w piekle, jak u szatana. Biczowałem się aż do krwi, bo chciałem... ale to było zbyt straszne, wszystko, wszystko poszło z dymem. Najdroższy Aloysius... nie mogłem uwierzyć... nie mogłem... Wybacz mi, ojcze.

Wtulił twarz w ramię opata i łkał jak olbrzymi, niegrzeczny dzieciak, który szuka pocieszenia u matki.

Zaś Sigward tulił go jak prawdziwa matka.

– Wiem, mój synu, wiem... – powtarzał.

Tak, pomyślała nagle Adelia. Wiesz, jak to jest, prawda?

Wstała i opuściła pokój. Mansur udał się za nią: to były sprawy Kościoła.

Wyszli na dziedziniec, gdzie Allie stała z klatką w ręku, wyraźnie podejmując jakąś decyzję.

– Mogę, Gyltho? Naprawdę mogę?

– To twoja sprawa – odparła piastunka.

Allie wzięła głęboki oddech.

– No to chyba tak zrobię – powiedziała. Rozplotła witkę zamykającą drzwiczki klatki i otworzyła je na oścież. Zięba zatrzepotała, na chwilę przysiadła na studni i odleciała w stronę dal.

– Tak jest lepiej, prawda? – spytała Allie i rozplakała się jak bóbr.

Adelia objęła ją i ucałowała.

– Kocham cię, Aleison. Bardzo cię kocham.

Po dłuższej chwili usłyszeli, jak ktoś otwiera frontowe drzwi. Potem rozległy się ciężkie kroki Titusa, którego bracia prowadzili do opactwa.

Na dziedziniec wyszedł Rowley.

– To by było na tyle – powiedział.

– To wszystko? Co zamierzasz z tym zrobić?

Wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Pewnie nic. To był wypadek, co się stało, to się nie odstanie. *Quieta non movere.*

Lepiej nie wywoływać wilka z lasu, prawda? – pomyślała Adelia.

– Opat wiedział o wszystkim – powiedziała na głos.

– Raczej podejrzewał.

– I nic nie mówił.

Rowley się zdenerwował.

– Na Boga, Adelio, czego ty ode mnie oczekujesz? Przed chwilą zobaczyłaś, jak życie

człowieka legło w gruzach. Jeszcze ci mało?

Tak, to prawda. Nie było to przyjemne. Tylko że zamiast niego podejrzewano niewinnych ludzi.

Dobry opat Sigward... teraz będzie o nim myślała inaczej.

– Między nami a szatanem stoi tylko Kościół, jak matka – oświadczył biskup. – Jeśli utraci szacunek, wszystkich nas czeka potępienie.

– A ty czego płaczesz? – zwrócił się do córki.

Resztki gniewu, tłącego się w jego sercu, sprawiły, że w pytaniu zabrzmiała irytacja zamiast zamierzonej zapewne troski.

Adelia natychmiast stanęła między nimi.

– Płaczę, bo wypuściła ptaka na wolność.

– Dlaczego? Wydawało mi się, że się jej spodobał.

– To prawda, i dlatego nie chciała, by siedział w klatce. Wołała dać mu wolność.

– Boże, jak dorosnie, będzie taka sama jak ty. – Z tymi słowy odwiązał konia, wskoczył na jego grzbiet i odjechał.

I to jest właśnie sedno wszystkich naszych problemów, pomyślała Adelia.

Weszła do środka i natknęła się na Hildę. Oberżystka była wściekła.

– Coś ty zrobiła mojemu kochanemu opatowi! I co, szczęśliwi jesteście teraz, ty i ten czarnuch?

Adelia miała dość wszystkiego. Ta kobieta od samego początku oskarżała Eustace'a o zaproszenie ognia, choć w głębi serca wiedziała, że to nie on.

– Sam sobie na to zasłużył – zasyczała w odpowiedzi, przepuściła Gylthę z Allie, weszła na górę do pokoju, położyła się... i zaczęła śnić.

Tym razem czyjeś ręce zamurowały królową w jaskini; kolejne warstwy kamienia wyrastały same z siebie, a władczyni błagała Adelię, by powstrzymała murarzy. W końcu ostatni kamień trafił na miejsce i głos królowej zamilkł na wieki.

Adelia obudziła się ze słowami:

– Dobrze, już dobrze. Idę do ciebie.

Zabrała ze sobą Mansura, Gylthę i Allie. Upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi, zaczęli się wspinać na górę Tor, poczynając od wykopu pod murem opactwa. Drogę wskazywały im połamane gałązki i pognieciona trawa, gdy poprzedniego dnia cała gromada szła w dół. Gyltha niosła koszyk z jedzeniem, Mansur miał żelazny łom i latarnię, Adelia nóż skradziony z kuchni w zajeździe, a Allie żabę i różne chrząszcze pozbierane po drodze.

Mimo wyraźnego śladu grotę osłoniętą gałęziami można by było z łatwością

przeoczyć, gdyby nie kupka oślich odchodów wysychających na słońcu.

Po usunięciu wiklinowej zasłony w grocie rozszedł się fetor, który sprawił, że Gyltha zatkała nos i powiedziała do Allie:

– My zostajemy na zewnątrz, panienko.

Adelia uznała jednak, że to byłoby niesprawiedliwe, bo które dziecko oprze się wejściu do ukrytej groty? Poza tym kości Eustace'a zostały zebrane w jedno miejsce i przykryte połatanym płaszczem należącym do Olliego – najbardziej milczącego członka gromady.

Allie była oczarowana. Uklęła z matką i odmówiła modlitwę za duszę Eustace'a, wysłuchała opowieści o jego śmierci, a potem, zauważywszy, że na zewnątrz było więcej żywych stworzeń niż w środku, wybiegła, by przyłączyć się do Gylthy i razem z nią pospacerować po lesie. W tym czasie Adelia z Mansurem zabrali się do rozbierania muru.

Szło im ciężko. Ściana była lekko wybrzuszona do zewnątrz; dawny budowniczy dopasował kamienie tak, że przylegały do siebie ściśle jak deski łączone na pióro i wpust. Ojciec Eustace'a, choć pewnie przerażony z powodu demona, też wykonał solidną robotę.

Wydlubanie pierwszego kamienia zajęło im kwadrans; potem poszło łatwiej, ale i tak dopiero po godzinie wykuli dziurę na tyle dużą, by móc się przez nią przecisnąć.

Przez cały czas żadne z nich nie zajrzało do środka. W pomieszczeniu panowała taka cisza, że wydałoby się to im brakiem szacunku.

Powietrze, dochodzące z otworu, było zaskakująco świeże, bez zapachu zgnilizny. W środku, zamiast spodziewanej ciemności, panował zaledwie półmrok.

– Grobowiec świętego? – spytał Mansur.

Adelia wzruszyła ramionami, nie poddając się atmosferze świętości, przenikającej to miejsce – Arab w ten sam sposób mówił o opactwie. Wzięła do ręki latarnię. Mansur pomógł jej przejść przez otwór.

Znalazła się w czymś na kształt celi – wielkiej, pustej komnacie mieszczącej się pod powierzchnią wzgórza, częściowo zniszczonej w wyniku trzęsienia ziemi sprzed dwudziestu lat. W miejscu, gdzie pięknie dopasowane kamienie ścian i sufitu powinny łączyć się, tworząc kształt, który przypominał okrągły ul, powstała rysa, zza której prześwitywała naga skała.

Szczeliny pojawiły się nie tylko na górze, ale i w ścianach, dzięki czemu w ciemność wpadały promyki słońca, przesączaające się przez mchy i paprocie, które zabarwiły je na zielono. Przypominało to mikroskopijne włócznie przenikające przez otwory strzelnicze.

W środku pomieszczenia znajdowała się sadzawka o wodach spokojnych jak lustro. Mansur przeciskający się przez otwór spowodował ruch powietrza, który wzburzył jej

powierzchnię.

Dalej, wśród kamieni, które odpadły z przeciwległej ściany, leżała ludzka czaszka.

Boże, tylko nie to, pomyślała Adelia. Tylko nie kolejne morderstwo.

Mieli przed sobą demona, który wystraszył ojca Eustace'a.

Czaszka, rozszczepiona niemal do granicy czoła, została połączona metalową opaską przypominającą kobiece przybranie głowy. Opaska przekrzywiła się nieco, sprawiając wrażenie, że śmierci zebrało się na żarty. Wyszczierzając zęby w uśmiechu, czaszka wpatrywała się w sadzawkę; jej odbicie odpowiadało uśmiechem. Stąd pewnie wziął się drugi demon.

Kropła wody z sufitu z pluskiem spadła do wody, wydając dźwięk jak harfa Rhysa. Gładka tafla znów się zmarszczyła; demon w sadzawce zadygotał, jakby chciał rzucić się na przybyszów, a potem przybrał taki sam wygląd jak jego brat bliźniak.

Po dłuższej chwili Mansur obszedł sadzawkę. Szepcząc arabskie modlitwy, delikatnie ujął czerep w obie dłonie, położył go na ziemi, a potem zaczął przekładać zwalone na stos kamienie. Skinieniem palca wezwał do siebie Adelię.

Była tak oszołomiona, że musiała zamrugać i potrząsnąć głową, żeby oprzytomnieć, zanim do niego podeszła.

Wśród kamieni leżały kości i pogruchotany hełm, niemal przecięty na pół, podobnie jak czaszka. Straszliwy cios toporem lub mieczem rozłupał i metal, i głowę nieznanego wojownika.

Adelia zanurzyła dłoń, by sprawdzić głębokość sadzawki. Poczowała piasek pod palcami.

Piasek? Czyżby w dawnych czasach morze podniosło się aż tak wysoko, a potem cofnęło?

Dotknęła ramienia Araba i gestem wskazała, że powinni wyjść.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, Mansur powiedział:

– To pewnie były kiedyś drewniane mary pogrzebowe. Godnie go pochowano.

– Na pewno.

Gyltha usłyszała ich głosy i zapytała, co znaleźli.

– Wydaje nam się, że to był jakiś wojownik – odpowiedział Mansur.

– Być może – ostrożnie zgodziła się Adelia. – Na pewno został zabity, bo ma ogromną dziurę w czaszce. Może to jakiś święty? Oni też podobno ginęli w bitwach z Danami.

Ani Mansur, ani Gyltha nie mieli wystarczającej wiedzy historycznej.

– Dlaczego w takim razie mnisi nic o nim nie wiedzą? – spytał Mansur.

To był dobry argument. Zresztą cela nie wyglądała jak miejsce pochówku świętego.

Mówimy o nim, jakby żył w bardzo dawnych czasach, uświadomiła sobie nagle Adelia.

– Na pewno pogrzebano go przed trzęsieniem ziemi – stwierdził Mansur.

– Ale jak dawno? Może niewiele wcześniej niż Artura i Ginewrę? Do diabła, szkoda, że nie potrafimy określić wieku jego szczątków.

– Daj sobie spokój – poradziła jej Gyltha. – Nie musisz się zajmować każdym umarlakiem w okolicy. Pójdę rzucić na niego okiem.

Pomogli jej przejść przez otwór i poczekali na zewnątrz, obserwując, jak Allie brodzi bosymi nóżkami w strumieniu i wypuszcza do wody swoją żabę.

Gyltha wróciła po dłuższej chwili w dziwnie pokornym nastroju.

– I co o tym sądzisz? – spytała Adelia.

– Myślę, że powinniśmy złożyć biedaka do kupy i odbudować mur. Zostawmy go w spokoju. Tak się należy.

Miała rację, jak zwykle. Poszli więc za jej radą.

Nie sposób było odbudować całej celi; ledwie starczyło im czasu na zamurowanie otworu.

Nie mieli też młotka ani gwoździ, by odtworzyć mury pogrzebowe, więc tylko usypali ze zwalonych kamieni rodzaj platformy i ułożyli na niej szkielet, by nie leżał na gołej ziemi. Przeszukali dokładnie kamienie i udało im się odnaleźć większość porzucanych kości.

Znaleźli też inne przedmioty: ochraniacze na łydki, przypominające te noszone przez ówczesnych rycerzy, pięknie wykonaną broszkę, która niegdyś spinała płaszcz na ramieniu zmarłego i, zdaniem Mansura, mogła być wykonana ze złota, oraz brązową szyjkę bukłaka, którego skórzane części zbutwiały dawno temu.

Był tam też barbarzyński naszyjnik o skręcanych ogniwach, prawdopodobnie również ze złota, z ogromnym krzyżem wpisanym w koło. Grobowca nikt nie obrabował, ale z drugiej strony, żaden z tych przedmiotów nie wydawał się szczególnie cenny – nic nie przypominało dóbr, jakimi niegdyś otaczano zmarłych wodzów. Z wyjątkiem naszyjnika wszystko było zużyte i bardzo praktyczne.

A jednak zwłoki ukryto w pięknie wymurowanej, tajemnej grocie.

Allie przedostała się do nich przez otwór.

– Patrzcie, patrzcie, znalazłam ropuchę!

W grocie po raz pierwszy rozbrzmiał ludzki głos. Do tej pory dorośli pracowali w milczeniu. Natychmiast uciszyli dziewczynkę, powodowani dziwnym impulsem.

Z pomocą towarzyszy Adelia zaczęła odtwarzać szkielet na platformie. Allie

ochlapywała kostropatą skórę ropuchy wodą z sadzawki, by ją ochłodzić. W pewnym momencie płaz wyskoczył jej z ręki i zakopał się w piasku. Zaczęła go szukać.

– Au, tu jest jakiś kamień! – pisnęła.

Zanurzyła rękę, by go poszukać, i wyciągnęła ociekający wodą miecz.

– Pokaż mi go – poprosiła Adelia.

Nie zrobił na niej szczególnego wrażenia – był prawie czarny, wyszczerbiony na ostrzu, ale zdumiewająco lekki. Mogła nim bez trudu wymachiwać.

– Dlaczego wrzucili go do sadzawki? – zapytała Gyltha.

– Zdaje się, że jest taki zwyczaj – wyjaśniła Adelia, przypomniawszy sobie, że gromada Eustace’a chciała wrzucić jego nóż do rzeki Brue.

Zrobili, co mogli. Szkielet został starannie ułożony na podwyższeniu, ochraniacze znalazły się na piszczelach, złoty łańcuch na szyi. Broszę umieścili na piersi, przykryli ją hełmem, a na niej skrzyżowali ręce. Obok szkieletu położyli pozostałości bukłaka.

Gyltha przyjrzała się kościom.

– Może i był to wielki wojownik, ale nie wzrostem.

Rzeczywiście, był zdecydowanie niski. Nawet Adelia go przewyższała.

– Tak czy siak, niepospolity musiał być z niego człowiek – dodała piastunka.

Mansur, jako samozwańczy rzecznik praw zmarłego wojownika, sprzeciwił się, gdy Adelia zaproponowała, by zabrać miecz do gospody.

– To był wojownik, jego broń powinna zostać razem z nim.

Jednak Adelia, która wciąż zastanawiała się, dlaczego tak dobrze ukryto zwłoki, upierała się, że chce dowiedzieć się, kiedy zmarł. Nie znała się wprawdzie na mieczach, ale podejrzewała, że ich kształt zmieniał się w zależności od mody, podobnie jak kobiece suknie, i przypuszczała, że w końcu znajdzie kogoś, kto jej pomoże.

Mansur zamurował otwór, a one we trzy czekały na niego na zewnątrz. Gdy skończył, usiedli przed grotą i w ciszy posilili się przyniesionymi zapasami, popijając krystalicznie czystą wodą ze źródła.

Tej nocy Adelia znowu miała sen. Piękny, elegijny sen.

Widziała siebie, jak stoi w towarzystwie odzianych w zbroje rycerzy nad wodami rzeki Brue, niedaleko od rynku w Glastonbury. Z dala dochodził żałobny śpiew kobiet. Jeden z rycerzy uniósł miecz. Blask księżyca zaśnił na długim ostrzu i drogich kamieniach w rękojeści.

Pieśń zmieniła się w rozpaczliwy lament:

*Arturus, Arturus. Rex quondam, rexque futurus*⁷.

Rycerz wyrzucił miecz do góry; broń, zakreślając lśniący czernią i srebrem łuk, wpadła do wody. Excalibur zniknął z widoku.

Lament zmienił się w rytmiczny jęk, punktowany skrzypieniem wiosła. Z dala przyплыnęła łódź, przypominająca kształtem łabędzia.

Odziani na czarno wiosłarze osłaniali twarze kapturami, ale kobieta stojąca na dziobie, zwrócona plecami do Adelii, miała na sobie śnieżnobiałe szaty.

Gdy łódź przybiła do brzegu, jeden z rycerzy wystąpił z szeregu. W jego ręku błysnął topór...

– Nie! – Adelia z wysiłkiem wyrwała się ze snu, zanim ciało Ginewry zostało rozrąbane na dwoje.

Przez chwilę leżała, dygocąc, pełna urazy.

– Nic mi się nigdy nie śni, nie wierzę w sny. Co mi chcesz powiedzieć?

Wstała, wciąż pomrukując z niezadowolenia. Boże, jak ja nienawidzę Avalonu. Jest zbyt piękny i zbyt straszny zarazem. Królowie czasów minionych i przeszłych... wsadźcie ich sobie głęboko.

Ściągnęła z wieszaka zieloną tunikę, bo miała ją tuż pod ręką, włożyła na siebie, wciągnęła buty, sprawdziła, czy Allie śpi, i po cichu wyszła z pokoju.

Pod zamkniętym oknem na półpiętrze leżała Millie, skulona na jakiejś szmacie, rzucając się przez sen. Przykrycie zsunęło się z jej ciała i w świetle księżyca widać było gołe plecy. Ze śladami uderzeń.

Mój Boże, ci ludzie biją ją do krwi.

Adelia zbiegła po schodach, z hukiem odsunęła skoble i wyskoczyła na dziedziniec, chwytając w płuca powietrze, niewiele świeższe niż wewnątrz gospody.

Na obmurówce studni siedziała biała postać. Przez chwilę wydawało jej się, że to Ginewra znowu przyszła ją nawiedzić.

Na szczęście był to tylko Mansur. Trzymał w dłoni miecz z groty i przyglądał mu się uważnie.

Podeszła i usiadła tuż obok.

– Też nie możesz spać?

Jego sny na pewno były jeszcze straszniejsze – przecież niedawno o mało co nie

⁷ (łac.) – Artur, król czasów minionych i przyszłych (przyp. tłum.).

pogrzebano go żywcem.

Pokręcił głową.

– Mansurze, oni biją tę małą Millie do krwi.

Westchnął.

– Zdaje mi się, że to nie są dobrzy ludzie.

Westchnęła do wtóru.

– Czy w dalszym ciągu uważasz, że Glastonbury to *omphalos*?

– Obawiam się, że tak – odpowiedział.

Poklepała jego dłoń.

– Idź już spać, przyjacielu. Idź do Gylthy; ta kobieta to prawdziwy cud świata.

Wstał i skłonił się przed nią.

– Idziesz na górę?

– Posiedzę tu jeszcze chwilę. W środku jest za gorąco.

Przepełniona miłością do tego człowieka, patrzyła, jak z godnością zmierza ku drzwiom gospody.

Wstała, opuściła wiadro do studni – zawsze lubiła ten głuchy odgłos pluśnięcia, dochodzącego z wielkiej głębokości – i wyciągnęła je do góry. Woda była chłodna. Napila się odrobinę, a resztę wylała sobie na głowę.

Ktoś uchylił okiennicę; spojrzała i zobaczyła gniewną twarz Hildy, którą obudził grzechot łańcucha.

Adelia wystudiowanym ruchem położyła sobie miecz na kolanach, ujęła poczerńiałą głownię i odwzajemniła spojrzenie.

Okiennica zamknęła się z trzaskiem.

Masz, coś chciała, pomyślała Adelia.

Z tyłu rozległy się szybkie kroki. Ogarnął ją znajomy zapach potu i brudnej odzieży.

Ktoś złapał ją od tyłu i zaczął ciągnąć pod ścianę.

Wymierzyła do tyłu cios płazem miecza. Poczula, jak trafia w czyjaś łydkę.

– Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Will puścił ją, by rozetrzeć obolałe miejsce.

– Do czarta, skąd to masz? – zapytał z niesmakiem.

– Znalazłam.

– Zabierz go ze sobą, może się przydać.

– Nigdzie się nie wybieram – odparła, trzęsąc się ze złości.

– Myślałem, że chcesz się czegoś dowiedzieć o przyjaciółce.

Oczy Adelii rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Naprawdę? Mów szybko. Co się stało z Emmą?

– Przymknij się trochę, dobra? – Pociągnął ją w stronę wyjścia. Usłyszała, jak ktoś znowu uchyla okiennicę.

Próbowwała mu się wyrwać.

– Muszę powiedzieć komuś, że z wami idę.

Nawet się nie zatrzymał.

– Właśnie powiedziałaś. Całe przekłete miasteczko usłyszało, że wybierasz się w drogę. Jazda. Nie mamy czasu na takie ceregiele.

Na drodze czekali pozostali członkowie gromady, siedząc na osłach. Obok stał przeznaczony dla niej podjezdek.

Wyraźnie się niecierpliwił.

– Pośpiesz się trochę, dobra?

Tym razem byli tylko we trzech: Will, Toki i małomówny Ollie.

– Gdzie Alf? – spytała.

– Czeka na nas. Siadaj na tego durnego muckyka – polecił. Pomógł jej usadowić się za Tokim, a sam wskoczył na swojego zwierzaka i poprowadził grupę drogą w stronę lasu.

– Dokąd jedziemy? – spytała, kurczowo zaciskając miecz w dłoni.

– Posłuchaj no – odezwał się przez ramię chrapliwym głosem, podkreślającym wagę jego słów. – Chcesz się dowiedzieć, co przytrafiło się twojej przyjaciółce? Dobra, dowiedz się, ale pamiętaj – jedna skucha i wszyscy pożegnamy się z gardziółkami. Słyszysz, co mówię? Zapomnij o Glastonbury i Wells. To jego las i jego droga. On jest tu królem. Wyświadcza nam przysługę, a to się rzadko zdarza.

– Kto taki? Kto wyświadcza nam przysługę?

– Dał nam trzy godziny, ale nie można mu wierzyć... zmienny jest... Słodki Jezu, naprawdę lepiej mu nie wierzyć. Jeśli zmieni zdanie, to już po nas!

– Ale o kogo chodzi?

– Nieważne. Nazywamy go Wolf.

– I on mi powie, co się wydarzyło?

– Powiedział to nam. I zgodził się, żebyśmy ci to pokazali.

Na szczycie wzgórza skręcili w drogę do Wells.

Obejmując ramiona Tokiego, zapytała po cichu:

– Czy to Wolf ich zabił? Gdzie on jest?

– Powiedział nam, że dziś w nocy napadnie na Pennard, ale nie można mu wierzyć.

Raz jest tu, raz tam, taki jest zmienny – odparł równie cicho.

– Czy moi przyjaciele żyją?

W tym momencie skręcili w leśną drogę. Will zwolnił i obejrzał się na nich.

– Zacząłeś nadśluchiwać, Toki?

– Tak, Willu.

Ściągnęli wodze i osły przeszły w stęp, poruszając się niemal bezgłośnie po miękkim gruncie. Olbrzymi, żółty księżyc prześwitujący przez gałęzie doskonale zastępował światło latarni; zresztą Will i tak na pewno nie pozwoliłby jej zapalić. Adelia, wczepiona w plecy Tokiego, czuła, jak mężczyzna dygoce.

Bał się. Wszyscy się bali. Wokół nich gęstniała atmosfera strachu.

Dotarli na polanę z chatką węglarzy, wypalających drzewny węgiel. Poznała to po kwaśnym zapachu popiołu. Ktoś zsadził ją z siodła. Ktoś inny zaprowadził osły do chatki i zamknął za nimi drzwi.

– Dalej pójdziemy piechotą – szepnął Will.

Ruszyli przed siebie bez słowa. W lesie wcale nie było cicho: niewidoczne stworzenia szeleściły w gałęziach, gdzieś z dala rozbrzmiewał gardłowy śpiew lelka; gdzieś zabeczało jakieś zwierzę. Przez ścieżkę przeszedł borsuk i zniknął w poszyciu.

W pewnym momencie kompani podnieśli Tokiego, który podciągnął się na gałąź drzewa i wspiął się na jego czubek. Wszyscy czekali w absolutnej ciszy. Po kilku minutach mężczyzna zsunął się na ziemię.

– Zdaje mi się, że koło Pennard coś się dzieje, Willu. Słyszałem krzyki. Chyba dotrzymał słowa i jesteśmy bezpieczni.

– Mam taką nadzieję – odparł Will i przeżegnał się szerokim gestem. W dalszym ciągu się bał.

Adelia również się bała. Niewiele wiedziała o tych mężczyznach, ale zdążyła się przekonać, że nie łatwo jest ich przestraszyć. Nic nie wiedziała o ich pochodzeniu, domyślała się tylko, że stracili pracę po pożarze Glastonbury i walczyli o przetrwanie, poruszając się na granicy prawa, choć woleliby prowadzić normalne, godne życie. Przecież dołożyli niesłychanych starań, by udowodnić, że Eustace nie podpalił opactwa. Dowiedli przez to również i własnej niewinności...

Ale tu, w lesie, znajdowali się w królestwie przerażającego Wolfa – wyrzutka społecznego, który nie uznawał prawa ludzkiego, istoty – och, biedna Emmo – która rzucała się na podróżnych opuszczających Wells i pozbawiała ich życia oraz majątku.

Gromada знаła go wystarczająco dobrze, by z jednej strony poprosić o przysługę, a z

drugiej – bać się go śmiertelnie.

Zmienny... mogło to oznaczać niestabilną psychikę.

Najdziwniejsze było to, że ci ludzie, by dotrzymać umowy, niemal dosłownie wleźli w paszczę wilka i zaryzykowali wyprawę do jego legowiska. Może i byli drobnymi złodziejaskami, ale mieli swój honor – większy niż całe chrześcijańskie opactwo.

W świetle księżycy kępy naparstnic, dzwonków i arcydzięgla wydawały się bezbarwne, choć za dnia pokrywały las kolorowym, czerwcowym dywanem. Spróchniałe gałęzie drzew rzucały na drogę cienie, przywołujące na myśl razy od kańczuga na plecach służącej.

Toki znowu się zatrzymał; z oddali dobiegło ich wycie. Prawdziwe wilki? Szaleńcy? Will natychmiast kazał im wejść do strumienia i pójść z jego biegiem, by zatrzeć ślady. Woda chłodziła zmęczone stopy Adelii. Tym razem wcale nie odczuwała radości, jaka ogarnęła ją, gdy wymknęli się pogoni na Tor. Gdyby wtedy ich odkryto, nic by jej się przecież nie stało; poza tym cała eskapada miała na celu udowodnienie niewinności gromady. Ale teraz prowadzono ją na oględziny zwłok.

Małeńki Pippy. Jak znieść widok jego drobnego ciała? Jak wytrzymać widok zwłok Emmy?

To prawda, potrafię dokonywać strasznych odkryć. Moje uszy wypełniają krzyki umarłych. Dlatego też nie mam wyjścia, muszę iść na spotkanie tego, co mnie czeka.

W końcu dotarli na polankę. Powitał ich rozdygotany ze zdenerwowania głos Alfa:

– Ale żeście się grzebali.

Obok niego piętrzyła się niewielka górka ziemi. Stał na krawędzi długiego, płytkiego grobu.

– Powrzucał ich tu byle jak. Poukładałem ich trochę porządniej – wytłumaczył.

Will szybko zapalił latarnię. Członkowie gromady w całkowitym milczeniu zdjęli czapki z głów. Wzruszyło ją to i jeszcze bardziej pogłębiło jej rozpacz.

A więc wszyscy nie żyli... od tygodni... Napadnięto ją na drodze, którą wędrowali, nie znalazłszy schronienia w Wolvercote. Uzbrojone, dwunogie bestie wyskoczyły spomiędzy drzew, waląc pałkami, wymachując nożami... Krzyki, walka o życie. Straszny koniec.

Will podał jej latarnię.

– Nie mogę... nie mogę – wykrztusiła.

– Nie gadaj, tylko ruszaj – odparł krótko.

Wzięła więc latarnię. Uświadomiła sobie, że wciąż ściska w dłoni miecz martwego wojownika. Nie chciała się z nim rozstawać; dzięki niemu czuła się nieco bezpieczniej w tym

koszmarnym miejscu.

Z latarnią w jednej ręce, a mieczem w drugiej, zaczęła iść wzdłuż grobu, który wydawał się nie mieć końca. Alf poukładał zwłoki w szeregu, twarzami do góry, z rękami złożonymi na piersiach. Torf w rowie, do którego wrzucił je Wolf, zakonserwował kawałki ciała, ale owady i drobne zwierzęta zrobiły swoje, więc twarze były nierozpoznawalne. Uszy pękały jej od odgłosów walki i rozpaczliwych krzyków, jakby zmarli wciąż opowiadali o starciu z Wolfem i jego bandytami – o ostatnim wydarzeniu w ich życiu.

Oto ojciec Septimus; pogryzione przez zwierzęta dłonie spoczywają na drewnianym krzyżu, który zawsze miał zawieszony na szyi.

Dwóch stajennych Emmy; byli tacy dobrzy dla Allie... to straszne, ale nie pamiętała ich imion... Obu rozebrano do bielizny, bo ich skórzane kaftany były zbyt cenne, by je pozostawić na nieboszczykach. Nie sposób było odróżnić zwłok od siebie.

Giermek Mistrza Roetgera, Alberic. Zmarł tak daleko od swej rodzinnej Szwabii... jego kaftan również ktoś zabrał; na żebrach znać było ślad potężnego ciosu mieczem.

Zatrzymała się na chwilę; nie była w stanie iść dalej. Will popchnął ją lekko.

– Nie możemy tu zmarudzić całej nocy.

Teraz zbliżała się do kobiet. Boże... zbliżała się do kobiet. Ta jasnowłosa to Alys, pokojówka Emmy. Była naga.

Na myśl o tym, co zrobiono tej dziewczynie przed śmiercią, Adelia mocno zacisnęła powieki.

– Dalej, kobieto.

Obok leżała Mary, starszawa piastunka młodego Pippy'ego. Patrząc na odartą z ciała czaszkę, trudno było doszukać się dobroci i cierpliwości, których niania tak wiele okazywała za życia. Jej zwłoki również były obnażone.

– Zgwałcił je? – zapytała cichym, spokojnym głosem.

Nikt się nie odezwał, co samo w sobie stanowiło odpowiedź.

Zrobiła kolejny niechętny krok. Blask latarni oświetlił krawędź grobu, która tonęła w gąszczu gałęzi i krzewów leśnego poszycia. Doszła do końca mogiły.

Odwróciła się do Willa.

– Czy to już wszyscy? – spytała.

Skinął głową w odpowiedzi.

– Ale tu jest ich tylko sześcioro. – Jej głos przeszedł nagle w krzyk, który tak dziwnie zabrzmiał w otaczającej ciszy, że natychmiast go stłumiła. – Przecież było ich dziewięcioro. Gdzie jest Emma? Gdzie jej dziecko? Gdzie rycerz? – Adelia upuściła latarnię i miecz i

zaczęła szarpać Willa za ubranie. – Ty diable, co z nimi zrobiłeś?

Otaczający ją mężczyźni westchnęli z ulgą.

– Tak sobie myśleliśmy – odezwał się Alf.

– O czym? – Obróciła się ku niemu jak fryga.

– Że może twojej przyjaciółce udało się uciec. Tylko nie wiedzieliśmy, czy to była ona, bo przecież mogła być wśród tych trupów, co nie?

– Uciec? Emmie udało się uciec?

– Ano, to było tak. – Will posadził ją na zwalonym pniu drzewa, podniósł z ziemi miecz i oddał go jej, jak matka podająca zabawkę dziecku, by je uspokoić. Przykucnął obok niej. Alf zaczął zasypywać ciała ziemią. – Wolf powiada, że z tymi ludźmi był taki wielki chłop z nogą w koszyku...

– W koszyku – zawtórował mu Alf, przerywając na chwilę zakopywanie dołu.

– Roetger. – Adelia z trudem otwierała usta.

– Cudzoziemiec? – zainteresował się Will.

– Niemiecki rycerz, mistrz miecza – udało jej się wykrztusić.

– Co to znaczy niemiecki? – spytał Alf.

– Bierz się do roboty, Alf, zasyp tych nieboraków, bo jak się stąd prędko nie zabierzemy, to nas pochowają zaraz tam obok – napomniął go Will.

– Mistrz miecza? – zwrócił się do Adelii. – Rzeczywiście walczył jak mistrz, tak mówią. Trzymał ludzi Wolfa z dala od wozu, jednego dźgnął w oko, drugiemu uciął rękę na amen, a trzeciego całkiem porąbał.

– Wolf stracił czterech ludzi tej nocy – wtrącił się znowu Alf. – Och, nie spodobało mu się to, mówię wam.

– Ale co się stało z lady Emmą i jej synkiem? Co z nią?

– To mieli z sobą dzieciaka? – zapytał Will. – Wolf opowiadał, że chyba słyszał płacz dzieciaka. To by wszystko wyjaśniało. Strasznie dzielnie walczyła. Znaczący, ta kobieta, jedyna, której nie dopadł... Miała z sobą sztylet, wbiła go w gardło jednego z ludzi Wolfa, który dostał się na przód wozu – no i to właśnie jest ten czwarty, którego Wolf pochował.

Adelia skinęła głową. Wiedziała, że Emma nie poddałaby się bez walki. Wokół ginęli służący, na wozie był Pippy; na pewno walczyłyby do upadłego.

– Ano, Wolfa to trochę zaskoczyło. Zatrzymał się, a ta dama zacięła konie i wóz ruszył pędem przed siebie. Wolf zaczął go gonić, ale z tyłu siedział ten niemiecki bamber i dalej wymachiwał mieczem, więc Wolf nie mógł skoczyć na wóz. Musiał go puścić... i tyle.

– Puścił wóz?

Willie skinął głową.

– Kobiety, Niemca, wóz i wszystkie załadowane dobra. No i jeszcze za tym wozem poleciał juczny muł. Wolf na niczym nie położył łapy.

A więc uciekli.

Złapała Willa za ramiona i zaczęła nim szarpać.

– Dokąd pojechali?!

– Nie wiem, do licha, skąd mam wiedzieć? – Odepchnął jej ręce i poprawił ubranie.

– Jak to, nie wiesz? Co się z nimi stało?

Wzruszył ramionami.

– Skąd mamy wiedzieć? – spytał Alf. Toki i Ollie dołączyli do niego. Widać było, że są rozczarowani. Tyle dla niej zrobili, ryzykowali życie, zbliżając się do tego zmiennego w nastrojach Wolfa, tyle się dowiedzieli – a ona wciąż była niezadowolona.

– Ale... oni zniknęli – odpowiedziała. – Od tego czasu nie dali znaku życia. Gdyby żyła, na pewno by się ze mną skontaktowała. Jestem o tym przekonana. – Adelia z trudem powstrzymywała łzy.

– Nie nasza wina – odparł Will.

Powiedzieli jej wszystko, co wiedzieli. Zrobili swoje.

– Dobry Boże.

Co za gorzka, okrutna prawda. Przeszła przez to wszystko, ale los Emmy pozostał równie nieznany, jak na początku.

– Ostatnio widziano ich, jak galopowali w stronę Glastonbury, co nie, Willu? – Alf starał się być pomocny.

– Tak twierdzi Wolf – odparł Will, wstając. Był pełen urazy z powodu niewdzięczności Adelii. – Z tą szybkością mogli dojechać nawet do Street albo wpaść do Brue. Nic mnie to nie obchodzi. Skończyłeś z tym grobem, Alf?

– Już kończę, Willu.

– To zabierajmy się stąd. Mamy czas tylko do świtu, a ja muszę się, psiakrew, brać do pieczenia tego zakichanego chleba.

Jego zakichany chleb mógł poczekać. Adelia nie zamierzała tak po prostu odwrócić się od tego grobu plecami.

Podeszła do świeżo poruszonej ziemi, która przykrywała zwłoki, uklękła i odmówiła modlitwę.

– O Panie, niech światłość wiekuista świeci tym drogim ludziom, na wieki wieków. Niechaj ich dusze spoczywają w spokoju. Amen.

W duszy obiecała zmarłym, że nie zostawi ich w zapomnieniu. Wolf był groźnym bandytą, ale tylko bandytą. Anglia dumnie zaliczała się przecież w poczet cywilizowanych krajów... no cóż, niestety cywilizacja nie wszędzie jeszcze dotarła. Wprawdzie skłóceni ze sobą dostojnicy kościoła z Glastonbury i Wells nie potrafili zapewnić bezpieczeństwa na drodze i w lesie między swoimi posiadłościami, ale Adelia wiedziała, kto poradzi sobie z tym bez trudu.

Król Henryk na pewno zrobi to na jej prośbę.

Podniosła wzrok. Otaczający ją mężczyźni pozdejmowali czapki z głów. Ponieważ tak nieuprzejmie ich potraktowała, dodała jeszcze:

– I pobłogosław tych tu przyjaciół, którzy nie licząc się z ryzykiem, przyprowadzili mnie do tego miejsca. Jestem im za to wdzięczna.

Wyraźnie poczuli się tym zakłopotani. Alf zaczął przyklepywać ziemię łopata. I nagle przestał.

Wszyscy wyprostowali się i zaczęli nadśluchować. Słyszała świszczący oddech Willa.

Gałęzie poruszyły się, choć nie było wiatru.

Ze znużeniem skierowała wzrok ku skrajowi polanki, w ślad za przerażonymi spojrzeniami jej towarzyszy.

Jeden z krzewów się zakołysał, za nim zamajaczyło coś zielonego.

– Witajcie, chłopcy – odezwał się jakiś głos.

– Zdawało nam się... zdawało nam się, że poszedłeś dziś w nocy do Pennard, Wolfie – odparł Will, z trudem łapiąc oddech.

– Trochę tak, Willu... a trochę nie.

Głos był suchy jak szelest jesiennych liści. Gdyby drzewa umiały mówić, odzywałyby się podobnie.

Istota ta mogła być równie dobrze goła, jak i ubrana, bo jej ciała nie było widać spoza płataniny gałązek, jaką miała na sobie; na głowie sterczał nieporządnym wianek... może zresztą były to skołtunione włosy, i ogólnie wyglądała bardziej jak roślina niż jak zwierzę – jak jakiś stwór, który wędrował po lasach przed pojawieniem się rodzaju ludzkiego. Nawet broń, jaką miała w ręku, była z drewna – dzierżyła w niej ostro zastrugany kołek.

Will cofnął się ze strachu.

– Powiedziałeś... trzy godziny, Wolfie. Powiedziałeś, że możemy ją przyprowadzić.

– Ależ oczywiście, oczywiście, Willu. Jak mógłbym odmówić takiego smacznego

kąska? – Wśród liści załśniły obnażone zęby. – Lubimy smaczne kąski, prawda, Scarry?⁸

Cała gromada jęknęła zgodnie; z lasu wychynał kolejny dziwny stwór i przyłączył się w podskokach do pierwszego, wydając radosny okrzyk:

– *Puellael*

– Tym razem tylko jedna, mój miły Scarry, tylko jedna. Ale jedna nam wystarczy. Najpierw ty, a potem ja, co ty na to?

– Ty i ja, Wolfie, ty i ja. – Ta wyższa, szczuplejsza, wiotka postać również była opleciona gałązkami.

Will ujął się za Adelią.

– Nie rób tego, Wolfie... Nie wolno...

Jednak nawet mówiąc te słowa, ciągle cofał się w stronę lasu. Adelia zdała sobie sprawę, że pozostali mężczyźni również się od niej odsuwają. Alf zaprotestował głośno:

– Wolfie, przecież obiecałeś! Powiedziałeś, że...

Łopata wypadła z jego drżących dłoni i on również zaczął się cofać jak przestraszony pies.

Czuła się jak we śnie. Rzeczywistość gdzieś nagle odpłynęła, pozostawiając ją w mrocznym świecie, gdzie istniały tylko drzewa i drapieżniki.

– Zmykajcie stąd, chłopcy – powiedział Wolf, ponaglając towarzyszy Adelii, którzy i tak po cichu jednomyślnie wycofywali się z polany. – Zostawcie panią z nami. Najpierw ja, a potem ty, Scarry. Co ty na to, Scarry?

Odpowiedzią był wybuch radości.

– *Mirabile visu*. Pozwól im zostać, Wolfie, mój wilku. Najpierw ty, potem ja. Niech sobie popatrzą.

To nie ludzie, to satyry, pół kozły, pół mężczyźni. Dokonają na mnie rytualnego gwałtu tu, w tym lasku. Rozedrą mnie na kawałki, na chwałę jakiegoś pogańskiego bogu. Nie potrzebują broni, wzbudzają taki strach, że nikt im się nie oprze; sam ich smród tak przeraża normalnych mężczyzn, że rozpierchają się jak spłoszone ptaki.

Siedziała na pniu zupełnie sparaliżowana ze strachu, jakby martwe drzewo nagle wypuściło pędy i unieruchomiło jej ciało.

Człowiek zwany Wolfem zbliżył się posuwicie i stanął naprzeciwko niej; rozdzielał ich tylko świeży grób. Lśniące, ukryte pod maską z liści oczy świdrowały ją spojrzeniem.

⁸ W dalszej części tego rozdziału okaże się, że przezwisko Scarry'ego to zdrobnienie od nazwiska Scarlett lub Scathelock. Samo zdrobnienie jest dwuznaczne: „scary” oznacza straszny, przerażający, a „scarry” – pokryty bliznami (przyp. tłum.).

– Jesteś moją dłużniczką – powiedział. – Ta, co uciekła, zepsuła mi zabawę. A ja lubię zabawę: Obiecali mi ją, prawda, Scarry?

– Tak, Wolfie. Obiecali damę. *Filia pulchrior*.

– Ale wziąłem te, co zostały z tyłu, prawda, Scarry? Z nimi też była zabawa, prawda?

– Och, beczwały, beczwały. Wolfie. Jagnięta idące na rzeź. *Is agnus, ea caedes est*. Och, gwałt, gwałt...

– A teraz wezmę ciebie – powiedział Wolf. – Ja mogę wszystko.

Nie spuszczając jej z oczu, zaczął manipulować przy kroczu. Coś polało się na ziemię. Sikał, wymachując penisem na wszystkie strony, oblewając moczem mogiłę swoich ofiar.

Drugi stwór rżał z zachwytu.

Nagle Adelię ogarnęła zimna furia. Wstała, nie wiedząc, co się z nią dzieje ani dlaczego – wiedziała tylko, że jest ostatnią ostoją cywilizacji w tym strasznym miejscu. Przed nią stali ludzie bez duszy, nieznający granic, niemający hamulców – pozbawieni wszelkiej przyzwoitości, jaką rodzaj ludzki narzucił sobie, by odróżnić się od dzikich bestii. Powrócił pierwotny chaos i ogarnął ludzi, których pomordowano i pozbawiono czci. Ogarnie i ją, ale – choć jest osamotniona – musi stawić mu czoło, broniąc honoru umarłych.

Wolf uśmiechnął się tylko.

Nie była sama. Ktoś zbliżył się do niej, mamrocąc niewyraźnie:

– Ale powiedziałeś... obiecałeś nam... To nieuczciwe, Wolfie, nieuczciwe, i już.

Przy niej stał Alf, który wrócił, walcząc z przerażeniem jak z potężną wichurą. Pokonał je jednak i stanął przed Adelią, zasłaniając ją przed napastnikiem.

Wilk w ludzkiej skórze uśmiechnął się ponownie, wywinął kołkiem, który trzymał w ręku, i uderzył Alfa w szyję. Mężczyzna padł u stóp Adelii, wciąż szepcząc słowa protestu, jakby same cisnęły mu się na usta:

– Powiedziałeś... powiedziałeś... obiecałeś... to nieuczciwe.

– Zatlucz parszywca – powiedział z obojętnością stwór, zwany Scarrym.

Wolf znowu obrócił w dłoniach kołek, rzucił go w powietrze i złapał, kierując ostrze w dół. Księżyc oświetlił zaostrzoną końcówkę kija.

Szaleniec uniósł ją wysoko i zrobił krok do przodu, rozkoszując się tą chwilą. Wyglądał jak kapłan, mający dokonać ofiary.

Adelia poczuła zapach ziemi.

Później wmawiała sobie, że zabiła go z własnej woli.

Wtedy jednak poczuła tylko, że miecz, o którym zupełnie zapomniała, sam z siebie drgnął w jej dłoni, uniósł się i uderzył.

W jednej chwili ujrzała przed sobą nagą ludzką pierś, z której wystawał kawałek klingi i wibrująca rękojeść.

Przed długą, długą chwilę, jakby przez cały wiek, kobietę i szaleńca łączył kawałek żelaza; oczy Wolfa zamrugały ze zdziwienia. Inaczej miało być.

Zakasłał.

Z głośnym cmoknięciem ostrze wysunęło się z ciała, które upadło na plecy.

W polu widzenia Adelii pozostał tylko ociekający krwią czubek miecza.

– Dobry Boże – powiedziała.

– Coś ty zrobiła, dziewczko jedna? – Scarry w dziwacznym podskokach przebiegł przez polanę i rzucił się na ciało swojego kompana, jęcząc głośno.

Oczy Wolfa, w których nie zagasło jeszcze zdziwienie, zwróciły się na niego. Próbował coś powiedzieć, ale z jego piersi wydobywał się tylko suchy kaszel.

Scarry podniósł wzrok i rozejrzał się po polanie, jakby szukając bogów, którym oddawał cześć.

– Jest ranny. Zróbcie coś, na litość boską. Zróbcie coś.

To płuco, uświadomiła sobie Adelia. Miecz trafił w płuco. Groteskowa istota, której tak się bała, zmieniła się nagle w pacjenta. Ten człowiek cierpi, pomyślała. Uklękła i zaczęła słuchać świstu w klatce piersiowej. Powietrze bulgotało, przedostając się przez dziurę w opłucnej.

– Zrób coś! – krzyczał do niej Scarry, jak człowiek, któremu świat się kończy.

Adelia usłyszała w myślach głos swego przybranego ojca, który pochylał się nad ciałem człowieka, zranionego nożem podczas bójki w Salerno. Z piersi rannego dobiegał taki sam świst.

– Gdybyśmy mogli otworzyć klatkę piersiową i zszyć rozdarte płuco... Jednak nie zdołamy tego zrobić... Umrze za kilka minut.

Oczy Wolfa zasnuwała już mgła. Twarz pod maską liści bladła i nieruchomiała.

– Przepraszam – powiedziała. – Bardzo przepraszam. Nic się nie da zrobić.

– Ależ da się – odezwał się ktoś z przekonaniem. Will, starając się ją podnieść, odezwał się gorączkowo: – Wiejmy stąd, i to już.

Scarry całował twarz umierającego i błagał go:

– *Te amo*. O mój Lupusie, nie opuszczaj mnie. *Te amo, te anto*.

– W nogi – powtórzył Will. Wyjął jej miecz z ręki i wskazał nim szlochającego Scarry'ego. – I to szybko. Nie puści nam tego płazem.

Podnieśli ją siłą. Toki z Olliem złapali za ramiona potykającego się Alfa.

– W nogi! – wrzasnął Will na cały głos. – Bo nas, do diabła, pozabija!

O Boże, co to było, co tu się działo, jakie to straszne miejsce...

Ktoś pociągnął ją za rękę i zmusił do biegu.

Umknęli z polanki, pognali pędem przez las.

Za ich plecami wciąż rozlegał się jękliwy lament, od którego drżały liście drzew.

– O mój Lupusie, wróć do mnie. *Te amo. Te amo.*

Przeskakiwała przez jakieś gałęzie, potem bez tchu pędziła wzdłuż strumienia... nie wiedziała, czy to las wokół niej gna jak szalony, czy ona biegnie przed siebie...

Chatka węglarzy. Zatrzymali się, dysząc ciężko.

– Ściga nas, Toki? – wykrztusił Will. Adelia słyszała tylko bicie własnego serca.

– Ściga – potwierdził Toki.

Wsadzili ją na osła, sami dosiedli swoich podjezdaków i pognali galopem przed siebie.

Gdy dotarli do drogi, uświadomiła sobie coś nagle i zawołała na głos:

– Boże drogi, ja go przecież zabiłam.

Mężczyźni nie zwrócili na to uwagi. Wbili pięty w boki osłów i pognali jeszcze szybciej.

Dotarli w końcu do groty na wzgórzu Tor. Posadzili ją przy strumyku. Wokół panował spokój.

Wciąż była noc, choć teraz, tak blisko letniego przesilenia, mrok nigdy nie stawał się nieprzenikniony. Nawet gdy słońce wciąż kryło się za horyzontem, wciąż było widać jego promienie, coraz mocniejsze, jakby ktoś odsłaniał jeden filtr za drugim. W powietrzu trzepotały nietoperze.

– Toki? – zapytał Will.

W ciszy rozległa się samotna piosenka pierwszego kosa.

Toki pokiwał głową i wydał policzki w westchnieniu pełnym ulgi.

– Zgubiliśmy go.

– No to wracaj na dół i zatrzyj nasze ślady. Scarry potrafi wywęszyć trop w ciemnościach.

Adelia podniosła na nich wzrok.

– Zabiłam go – powtórzyła.

– Szkoda, że przy okazji nie załatwiłaś i Scarry’ego – stwierdził Will. – Zły będzie, że zabiłaś Wolfa, oj, zły.

Ollie odezwał się po raz pierwszy:

– Scarry nie wie, gdzie ona mieszka, prawda, Willu?

– Nie wie – potwierdził Will z zadowoleniem. – Powiedziałem Wolfowi, że jesteś z Wells.

– Zabiłam go.

Przysięgała przecież ratować ludzkie życie, a musiała je komuś odebrać. Czy oni nie rozumieli, co to dla niej znaczy?

– Uratowałaś Alfa – uspokoił ją Will. – Załatwiłby go, jak nic.

Alf.

Przynajmniej jemu mogła pomóc. Położyli go na trawie. W miejscu uderzenia kijem skóra na gardle była spuchnięta i czerwona. Oderwała rąbek swej zielonej tuniki, namoczyła go w zimnej wodzie ze źródła i przyłożyła do rany. Próbowala napić mężczyznę wodą, ale przełykanie sprawiało mu ból, więc pociągnął tylko kilka małych łyków.

– Możesz mówić, Alf? – zapytała łagodnie.

Mruknął coś w odpowiedzi.

– Wylizę się z tego? – zapytał Will.

– Myślę, że tak. Głos mu wróci, gdy tylko zejdzie opuchlizna.

– Szkoda – odparł szorstko. – Z jego gadania mamy więcej kłopotu niż korzyści. Nic, tylko by prawdę klepał. Wszyscy powinni trzymać gębę na kłódkę. A on jest gorszy niż zadra w tyłku.

Adelia popatrzyła na niego ze złością. Nagle zorientowała się jednak, że Will wstydzi się ich tchórzostwa w zagajniku i czuje się pohańbiony, że ją opuścił w potrzebie i tylko Alf przyszedł jej z pomocą.

– Taki już jest, Willu, inaczej nie potrafi – uspokajał go Ollie.

To właśnie jest najbardziej zdumiewające: on nie potrafi inaczej, pomyślała. Odgarnęła tłuste włosy z młodej, poznaczonej dziobami po ospie twarzy Alfa, myśląc o tym, że ten człowiek to skarb. Bóg jeden wie, dlaczego w duszy drobnego złodziejaska prawda płonęła jasnym płomieniem. Nie była to uczciwość ani szacunek dla cudzej własności, ale goła, czysta prawda. Choć bronił się ze wszystkich sił i jęczał ze strachu, umiłowanie prawdy kazało mu stanąć u jej boku tam, w zagajniku – z gniewu, że Wolf złamał przysięgę daną gromadzie. Chciał ocalić jej życie; w zamian ona ocaliła jego. Właśnie dlatego zabiła człowieka i należało o tym pamiętać.

Gdy Toki wrócił do groty, zaczęło już świtać. Mężczyźni poczęstowali Adelię suszonym mięsem; żuła je, nie zastanawiając się nad jego pochodzeniem. Potem pociągnęła łyk mocnego, ożywczego alkoholu z brudnego bukłaka. Jednak, gdy Will oczyścił jej miecz i położył go obok, przed jej oczyma znowu pojawiła się postać Wolfa z dziurą w piersi, przez

którą ze świstem wydobywało się powietrze z opłucnej.

– Nie chcę go – powiedziała.

– Bierz i nie gadaj. – Zdenerwował się. – I prosz Boga, żebyś go już nigdy więcej nie potrzebowała.

Ta niezwykle pobożność tak ją zaskoczyła, że spytała:

– Kto to jest Scarry?

Will wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Wolf pochodzi z Quantocks. Zawsze był chory na głowę. Zadużył swoją matkę, jak był młody, tak przynajmniej mówią, i od tej pory mieszkał w lesie. Miał zmienne nastroje, ten Wolf. Nikt po nim nie zapłacze, więc przestań się uzalać. Świat będzie dużo lepszy bez tego drania.

Może i tak, ale odsyłając go z tego świata, wzięła na siebie brzemię, którego się nigdy nie pozbędzie. Zadygotała.

– A Scarry? Mówił po łacinie.

Will przytaknął i otulił się płaszczem. Widocznie i jemu zrobiło się zimno na myśl o tej bestii.

– Scarry ma wykształcenie. Nikt nie wie, skąd się wziął. Zdaje się nam, że z północy. Podobno naprawdę nazywa się Scarlett, Scathelock albo jakoś tak. Mówią, że był księdzem, ale tak nabroił, że Kościół się go wyrzekł. Może był zresztą jakimś szlachcicem wyjętym spod prawa za zbrodnie. Ze trzy, cztery lata temu przyłączył się do Wolfa i od razu poczuł się jak ryba w wodzie. Kochał to. Lubił zabijać. Nie wiem, który był bardziej zmienny, on czy Wolf.

– Krzyczał, że kocha Wolfa...

Ten straszny krzyk: *Te amo, te amo*.

– Ano, tak. – Will poruszył się niespokojnie. – To była taka dziwna para. Co tam?

Alf pociągnął go za rękaw, bełkocąc coś niewyraźnie.

– Chce, żebyś powiedział wszystko do końca, Willu – wyjaśnił Toki.

Will splunął.

– U licha, Alf, chcesz, żebym stracił najlepszego klienta?

Z niewyraźnego szeptu można było wywnioskować, że rzeczywiście mu o to chodziło.

Toki znowu wystąpił w roli tłumacza.

– Alf powiada, że jest z ciebie najlepszy piekarz w okolicy i nie potrzebujesz pracować dla tej starej ropuchy.

Przerwał na moment.

– Will, mnie też się zdaje, że powinniśmy jej o tym powiedzieć. Powinna to usłyszeć.

– Jakiej starej ropuchy? – zainteresowała się Adelia.

– Dobrze już, dobrze. – Will usiadł koło niej, zerwał źdźbło trawy i zaczął je nerwowo żuć.

– Ano, to było tak. Widzisz, Wolf dobrze wiedział, że ta twoja dama będzie przejeżdżała tą drogą. Właściwie na nią czekał.

– Ale skąd mógł to wiedzieć? – Boże, znowu robiło się gorąco, powietrze gęstniało i odbierało jej dech.

Will dalej ssał trawkę.

– Ano, tu wokół są duże dwory. Kiedyś Wolf strasznie im dokuczał. Grabił bydło, owce, zbiory... nic nie było przed nim bezpieczne. A nasz stary szeryf, ten niezguła, nic nie robił, żeby temu zaradzić... w Glastonbury ani Wells też nikt nawet palcem nie kiwnął.

– Więc?

– No, dziedzicom zrobiło się ciężko, więc się z nim dogadali. Zaczęli mu płacić, żeby się trzymał z dala od ich ziem, co nie?

Okup. *Dane geld*. Ziemianie opłacali swój spokój i bezpieczeństwo. W tej chwili było to bez znaczenia, ale Alf, z którego ust zawsze płynęła prawda, jak przezroczysta woda ze źródła, uznał, że powinna to wiedzieć..

– Rozumiem – potwierdziła.

– No więc, tej nocy, kiedy twoją przyjaciółkę odpędzono od bram Wolvercote... – zaczął Will.

Nagle zrobiło jej się duszno, jakby powietrze nabrało ciężaru.

– No więc, tej nocy Wolf dostał stamtąd wiadomość, że jedna bogata pani ze świtą będzie jechała po nocy z Wolvercote. Może się nieźle obłowić. Pojadą w jego stronę. Tak było napisane.

– Wiadomość? – zdziwiła się naiwnie Adelia. Alf skinął głową. Nagle zrozumiała, o co chodzi.

– Sprzedała ich? Tak po prostu sprzedała?

– Nic o tym nie wiem – odparł Will, wstając. – Opowiadam tylko, jak było.

Sprzedała ich. Dla dziedziczki Wolvercote Emma i jej dziecko byli tylko zagrożeniem. Postanowiła ich się pozbyć. I poszczuła wilkami.

– Nie ma co się martwić o Eustace'a – pocieszył ją Will. – Zostawiliśmy go w kościele w Street. Jak nas puszczą wolno, to pochowamy nieboraka, razem z palcami, co wciąż leżą pod tym przeklętym murem.

Adelia wędrowała myślami daleko od Eustace'a. Nie obchodziło jej nic poza zdradzieckim napadem na Emmę. Wciąż myślała o zwłokach w płytkim leśnym grobie... zamordowano je dwakroć – z ręki kobiety, która zamknęła przed nimi swe drzwi i wysłała na pewną śmierć, by zamordowało ich to zwierzę w ludzkiej postaci.

Kto ponosił za to większą winę? Ten bydlak? Czy ta dama w aksamitach?

Wargi Adeli zadrgały.

– Sprzedała ich.

Emma, Roetger i Pippy. Dusze ofiar dziedziczki wołały do niej w głos. Ale gdzie znajdowały się ciała?

Ogarnęła wzrokiem błękitno-zielony labirynt wrzosowisk, by uspokoić umysł – precyzyjny umysł anatoma, który nie znosił niejasności i nieporządku, więc drobiazgowo analizował nawet najstraszniejsze historie.

Na pewno nie żyją, pomyślała. Umarli z ran odniesionych w potyczce z Wolfem. Na litość boską, czy w tym zakazanym kraju wszystkie ciała muszą zniknąć bez śladu? Czy mają tu jakąś czarną dziurę, która wsysa ludzi i nic po nich nie zostaje?

Wyraźnie jak na jawie widziała wciąż jeden obrazek: Emma, siedząc na wozie, pogania galopujące konie, Roetger wymachuje mieczem, broniąc ich przed pogonią, mały Pippy płacze ze strachu... z tyłu galopuje juczny muł.

A potem pustka. Zniknęli. Nigdzie ich nie widać.

– Czy mogli trafić do Glastonbury, Alfie? Mówiłeś, że ostatni raz widziano ich, jak galopowali w stronę Glastonbury. Chodzi mi o ten wóz, o moją przyjaciółkę.

Alf zgodził się mruklawie.

– Ale nie dotarli do oberży.

– Może konie się spłoszyły i poszły w las. Może pozabijali się o pnie.

Tak, to brzmiało logicznie; trzy kolejne trupy rozkładające się w tym piekielnym lesie, niezauważone przez nikogo oprócz ptaków, żerujących na zwłokach.

Adelia w wyobraźni pozbierała ciała, które wypadły z wozu podczas wypadku, delikatnie ułożyła je w mogile obok służby pomordowanej przez Wolfa, złożyła ich dłonie do modlitwy i odmówiła pacierz za spokój ich dusz...

Nie widziała ich twarzy, tylko same sylwetki – jedną wysoką, drugą nieco niższą i trzecią zupełnie maleńką.

Same sylwetki.

– Dobrze się czujesz, panienko? – zatroszczył się Toki i znowu podsunął jej tę okropną butelkę. – Pociągnij jeszcze łyk, bo strasznie ciężko oddychasz.

– Nie.

Kształty. Sylwetki. Jedna wysoka, druga nieco niższa, trzecia maleńka. Cudzoziemiec, kobieta i małe dziecko. Wieści, wiadomości. Sylwetki.

– O mój Boże! – powiedziała na głos.

– Co jest?

– Muszę wrócić do Pielgrzyma – wykrzyknęła i skoczyła na równe nogi.

– Lepiej zaczekajmy. Toki, zejdź pierwszy i sprawdź, czy wszystko jest w porządku.

Nie mogła czekać. Zbiegła ze wzgórza. Mężczyźni ruszyli za nią. Przed oczyma miała tylko drzwi gospody i trzy stojące przed nimi sylwetki: jedną wysoką, drugą nieco niższą, a trzecią maleńką. Słyszała, jak się dobijają do drzwi.

Wreszcie zrozumiała, dlaczego oberżysta z Pielgrzyma zemdlął na progu zajazdu.

Rozdział 11

Adelia dobiegła do zacienionego muru opactwa i zwolniła. Wiedziała, że musi opanować emocje; należało wymyślić jakiś plan.

Gdy zdyszana gromada dopędziła ją wreszcie, szła zatopiona w myślach, pocierając czoło palcami.

Powiodła wzrokiem po ich twarzach.

– Potrzebuję pomocy i chciałabym prosić was o jeszcze jedną przysługę.

– Co znowu? – warknął Will. Był zmęczony; wszyscy odczuwali znużenie.

– Chciałabym, żebyście zabrali wszystkich moich towarzyszy z Pielgrzyma i przewieźli ich do Wells. Wszystkich, razem z lordem Mansurem, moją córką, piastunką i Walijczykiem. Zaprowadźcie ich do pałacu biskupa i oddajcie pod opiekę biskupowi St Albans, który się tam zatrzymał – poprosiła powoli i wyraźnie.

– Po co?

– O do diaska, stary Godwyn chyba aż tak źle nie gotuje? – zażartował Ollie, najmłodszy i najbardziej milczący.

Adelia odpowiedziała uśmiechem.

– Ależ skądże, po prostu czas stamtąd się wynieść. Czy można się teraz bezpiecznie poruszać po drodze? – zapytała Willa.

Will popatrzył na Tokiego.

– Co mówią twoje uszy, Toki?

– Nic. Spokój wszędzie.

Will zastanawiał się przez chwilę.

– Zdaje mi się, że teraz, po śmierci Wolfa, oni wszyscy są w rozsypce. Muszą sobie wybrać nowego przywódcę. Pewnie będzie spokój. – Nagle spojrzał podejrzliwie na Adelię. – Chcecie z tym czarnuchem zwać po nocy? Zostawić starego Godwyna bez zapłaty?

– Coś w tym stylu – odpowiedziała. – Ale wam zapłacę, jak tylko będę miała w ręku sakiewkę.

– Daj spokój, Willu – odezwał się Toki. – Mówisz, jakby Hilda nigdy w życiu cię nie oskubała.

– Prawda – odparł Will. – Dobra, w takim razie pojedziemy z nimi do pałacu, ale osły muszą trochę odpocząć i napić się wody, zanim ruszymy w drogę.

– Jeszcze jedno – dodała Adelia. – Ja z wami nie jadę. Powiecie moim ludziom, że już

jestem u biskupa i czekam tam na nich.

Ucieczkę bez płacenia za kwaterę zrozumieli aż za dobrze, ale ta decyzja zupełnie nie trafiła im do przekonania.

– Znaczy się, zostajesz tutaj?

– Dokładnie. Gdyby o tym wiedzieli, toby z wami nie pojechali.

Gyltha za nic nie ruszyłaby w drogę w kompanii ludzi o tak podejrzanej reputacji, polegając tylko na ich słowie, a już z pewnością nie zabrałaby ze sobą Allie.

Przez mur przechylała się osmalona jabłoń; jedna z jej gałęzi wciąż się zieleniła. Adelia zerwała niedużą witkę i podała ją Willowi.

– Daj to mojej towarzyszce, ma na imię Gyltha. Kiedy dostanie ten znak, oboje z lordem Mansurem zrobią to, o co ich poprosicie. Gdy dojedziecie do pałacu, powiedzcie biskupowi St Albans, że moi bliscy muszą koniecznie zostać u niego, a on ma przyjechać do mnie, do Pielgrzyma. Będę tu na niego czekała.

– Jasne. – Will podniósł oczy do nieba. – Biskup zawsze robi, co mu każemy, co do joty. Codziennie, do diaska, gadamy z różnymi biskupami, co nie, chłopaki?

Słusznie. Potrzebowali kolejnego znaku rozpoznawczego.

– Powiedzcie mu... – Zastanawiała się nad hasłem, które przekona Rowleya, że nic jej się nie stało, ale że potrzebuje jego obecności. – Powiedzcie mu, że czeka na niego Ariadna.

Nazywał ją tak, gdy byli kochankami.

Kazała Willowi powtórzyć to imię kilka razy, aż przyzwyczał się do jego cudzoziemskiego brzmienia.

Gromada nie chciała zostawić jej samej. Najbardziej protestował Alf.

– Boi się, że Scarry po ciebie przyjdzie – wyjaśnił Toki.

Adelia w końcu się zniecierpliwiła. Czekano ją sporo roboty. Wzeszło słońce, opactwo z mnichami było tuż obok – świat wyglądał zupełnie inaczej niż w nocy w lesie. Minione wydarzenia powoli traciły rzeczywisty wymiar, miała wrażenie, że po prostu uczestniczy w koszmarnym śnie. Źródłem największego niebezpieczeństwa byli teraz ludzie mieszkający w zajezdzie.

– Willu, sam powiedziałaś, że ten człowiek nie ma pojęcia, gdzie mnie szukać.

– Może i tak. Ale z drugiej strony, Alf mądrze gada. Scarry'emu zależało na Wolfie, więc będzie się mścił na wszystkich, a szczególnie na tobie. To ty załatwiłaś Wolfa.

Czy rzeczywiście tak było? W dalszym ciągu wydawało jej się, że tylko obserwowała tę scenę, nie biorąc świadomego udziału w tym, co się wydarzyło. No cóż, będzie się o to martwić później. Teraz nie ma na to czasu.

– Najpierw będzie musiał mnie znaleźć.

– Pewnie – zastanowił się. – Najpierw musi pochować Wolfa. Potem będzie miał trochę roboty, żeby zaprowadzić porządek w bandzie. Po śmierci Wolfa każdy będzie chciał być hersztem. Jesteś pewna, że biskup do ciebie przyjedzie, jak mu to powiemy? – spytał, patrząc na nią podejrzliwie.

– Na pewno.

Alf mruknął coś pod nosem.

– Mówi, że z tobą zostanie – przetłumaczył Toki.

– Nie. – Wzięła głęboki oddech i zaczęła od nowa. – Chcę, żeby moi bliscy dojechali do Wells. Im więcej was będzie, tym bezpieczniej.

Allie, Gyltha i Mansur potrzebowali jak największej eskorty na tym niebezpiecznym trakcie. Czterech mężczyzn i tak stanowiło słabą ochronę.

– Może i ma rację. – Will z irytującą opieszałością zaczął wymieniać argumenty, odliczając je na palcach: – Po pierwsze, Scarry myśli, że ona jest w Wells, bo tak powiedziałem Wolfowi. Po drugie, musi się zająć pogrzebem i wziąć bandę z powrotem za łeb po śmierci Wolfa. Po trzecie, jeśli biskup przyjedzie tu jeszcze dziś, to z nim będzie bezpieczniejsza niż z nami. – Przechylił głowę i spojrzał na zaciśnięte palce. – No dobra, zdaje mi się, że nie będzie tak źle.

W milczeniu przebyli drogę. Na dziedzińcu panowała cisza. Okienne wcięż były pozamykane: o tej porze nawet Millie jeszcze smacznie spała.

Adelia ukryła się w stajni, a Will zaczął dobijać się do tylnych drzwi.

Dopiero po dłuższej chwili w jednym z okien pojawiła się twarz Gylthy. Wymiana zdań między nimi trwała dość długo. Gyltha była wyraźnie zirytowana, ale Will cierpliwie wymachując gałązką, odegrał swoją część zdumiewająco dobrze i w końcu przekonał ją, że Adelia czeka na nich w Wells.

Ktoś odsunął ciężkie skoble. Gyltha otworzyła drzwi.

– Co ona sobie wyobraża, przesyłając wiadomości przez taką hałastę? Musicie tu zaczekać, aż spakuję rzeczy. Po diabła pojechała do pałacu? Lepiej wejdźcie do środka, pomożecie nosić rzeczy. Tylko wytrzyjcie buty.

Adelia nie słyszała dalszego ciągu tej przemowy, ponieważ gromada weszła do środka, potulnie wycierając obuwie i otrzepując odzież z kurzu.

Po chwili przyszedł Toki, któremu kazano przyprowadzić osły. Pociągał ale ze sporego kufla.

– Ta twoja Gyltha nałapała nam po kufelku – powiedział, wchodząc do stajni. –

Godwyna i Hildy nie ma w zajezdzie.

– Nie ma ich? A gdzie się podziali?

Cały sens jej planu polegał na tym, by śledzić ich ruchy z ukrycia. Dlatego schowała się w stajni.

Toki nie wiedział.

– Twoja Gyltha też tego nie wie. Wieczorem byli w oberży, a teraz zniknęli. Może zwiali?

– Aha...

Po dłuższej krzątaniu na podwórku Adelia ujrzała wreszcie przez szparę w drzwiach, jak Mansur i Gyltha z Allie na rękach dosiadają dwóch osłów, a ich pakunki zostają przytroczone do kolejnego podjezdka. Rhys miał jechać razem z Tokim, bo obaj niewiele wazyli.

Gdy Will, udając, że chce zabrać wiązkę siana, wszedł do stajni, spytała go pośpiesznie:

– Czy będą bezpieczni na drodze?

– Miejmy nadzieję – odparł i przechylając głowę, zapytał: – Myślisz, że tu grozi im jakieś niebezpieczeństwo?

– Tak.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Później. Na razie zabierz ich stąd.

Jego przyjazna twarz przybrała wyraz niesmaku.

– Nie podoba mi się, że zostajesz sama.

To niesamowite, jak bardzo polubiła tego szorstkiego człowieka. Chcąc go uspokoić, odparła:

– Potrafię o siebie zadbać. Sam widziałeś.

Mruknął coś pod nosem.

– Willu... – Położyła dłoń na jego rękę. – W tym lasku... to były demony, a wy nie mieliście broni. Nie mogliście nic zrobić.

Spojrzał na nią krzywo.

– Dobra, tylko nie rozstawaj się z tym przeklętym mieczem.

Patrząc, jak wyruszają w drogę, modliła się o ich bezpieczeństwo. Wysyłając ich z Glastonbury do Wells, chciała zmniejszyć zagrożenie, wybierając mniejsze zło. Ale jeśli się myliła? Jeśli ludzie Wolfa znowu wyszli na żer?

Próbowała się uspokoić: był ranek, drogą na pewno podróżowało wiele osób...

Panie Boże, miej ich w swojej opiece.

Wydało jej się dziwne, że oberżysta i jego żona opuścili zajazd. Może Hilda podsłuchiwała jej rozmowę z Willem poprzedniej nocy? Do diabła...

W takim razie można skorzystać z okazji. Drzwi na dziedziniec były otwarte, więc z mieczem w dłoni weszła do zajazdu.

W kuchni przestraszone jej widokiem szczury zaczęły wyskakiwać z garnków. Wszędzie łążyły muchy. Od ognia w piecu było nieznośne gorąco. W powietrzu czuć było zapach wczorajszego jedzenia i skwaśniałego mleka. Godwyn zwykle utrzymywał w swym królestwie czystość i porządek – panujący obecnie nieład sugerował ucieczkę w pośpiechu.

Otworzyła okiennice, by wpuścić światło i powietrze. Na suficie wisiała szynka. Odcięła kawałek, wyrzuciła go i ukroiła następny, nieruszony przez muchy. Odłamała kawałek suchego chleba z bochenka, przykrytego kawałkiem płótna i napełniła kufel ale – cały czas nadsluchując, czy oberżysta nie wraca.

Znalazła kawałek sznurka i obwiązała się nim w tali, by mieć do czego przypasywać miecz. Przez myśl przemknęło jej wspomnienie Wolfa, który zbliżał się ku niej na polanie, oraz smutne *memento mori*⁹: „Zabiłaś człowieka”.

Boże, ależ jestem zmęczona. Pomyślę o tym kiedy indziej.

Wróciła z łupem do stajni, wspięła się na stryszek i ułożyła wygodnie na sianie, ukryta za snopkiem, który zasłaniał widok od strony wejścia.

Pomyślała, że Rowley będzie zadowolony z jej ostrożności: choć miała to i owo do zrobienia, nie narażała się na ryzyko samotnej eskapady.

Ziewnęła, zastanawiając się, czy domyśli się, o co chodzi, i weźmie ze sobą paru ludzi. Może i by się przydali, ale raczej nie ma takiej potrzeby...

Ależ tu gorąco...

Zasnęła głębokim, regenerującym snem ludzi wyczerpanych, bez marzeń sennych i bez majaków. Dopiero pod sam koniec pojawiła się Ginewra: wyszła z mgieł, otulona wijącymi się pędami roślin. Jak zwykle była ubrana na białło, ale tym razem miała welon na twarzy. Adelia nigdy jeszcze nie widziała jej twarzy. Tym razem nie groziło jej rozplątanie mieczem, bo była zupełnie sama. Towarzyszyły jej tylko ptaki, trzepocące wokół niej na wietrze jak obszerny płaszcz. Jeden z nich usiadł jej na ramieniu. To była sowa, a właściwie płomykówka. Zwróciła głowę w stronę Adelii i wpatrywała się w nią wielkimi oczyma. Nagle zorientowała się, że upiór nie jest Ginewra, tylko Emma.

⁹ (łac.) – dosłownie: „pamiętaj o śmierci”.

– Nie. Nie chcę tego widzieć – powiedziała.

Ale ptak rozpostarł skrzydła i zaczął wznosić się ku niebu, trzymając w dziobie welon...

Obudził ją własny krzyk. Machając ręką, spędziła z twarzy muchy, przywabione zapachem potu. Na stryszku było gorąco jak w łaźni, bo przysłaniając wejście snopkiem słomy, zatamowała przepływ powietrza. Poza tym zrobiło się ciemno.

Ciemno? Czyżby przespała siedemnaście godzin?

Z tyłu znajdowały się drzwiczki. Przysunęła się do nich i nieco je uchyliła, by popatrzeć, co się dzieje.

Od zachodu szła potworna chmura, przesłaniająca cały horyzont jak ciężka kapa zakrywająca słońce – jeśli słońce jeszcze świeciło. Niosła ze sobą ogromną ulewę: błyskawice przecinały niebo, uderzając w odległe mokradła.

Nie widząc słońca, nie potrafiła określić, jak długo spała. Może już jest wieczór... a Rowley nie przyjechał. A może przegapiła jego przyjazd i odjechał, nie zastawszy jej w oberży?

Rozdarta pajęczyna zwisająca z drzwi stryszku przypominała welon Ginewry czy też Emmy. Komary tańczące w półmroku na zewnątrz uformowały ten sam kształt; wiedziała już, że jest nawiedzona... że ktoś ją ściga.

Cofnęła się, znalazła drabinę i zeszła na dziedziniec.

To było ryzykowne; gdyby Hilda i Godwyn wrócili, mogliby ją zauważyć.

W oberży jednak panował spokój. Ciężkie powietrze ani drgnęło. Rośliny mdlały z gorąca między kocimi łbami podwórka. Ptaki zniknęły z nieba, jakby bały się tego, co nadciągało. Od zachodu rozległ się długi, basowy grzmot.

Marzyła o tym, by wyciągnąć ze studni wiadro wody, napić się i ochlapać, ale grzechot spuszczanego łańcucha zdradziłby jej obecność. Zamiast tego podeszła do drzwi oberży i ostrożnie pchnęła je na oścież, krzywiąc się, gdy zawiasy zaprotestowały skrzypnięciem.

Ani żywej duszy.

W środku było ciemno. Wydawało się, że cały upał skoncentrował się wewnątrz budynku jak ropa we wrzodzie.

Dlaczego Rowley nie przyjechał? Czy Gyltha z Allie i Mansurem do niego nie dotarli? Czy leżeli nieżywi w lesie? Allie z rączkami skrzyżowanymi na piersi... widziała to wszystko dokładnie.

Weź się w garść. Najprawdopodobniej biskup był gdzieś poza pałacem, może na jakiejś konwokacji albo na chrzcie... jak zwykle Bóg był ważniejszy od niej. Tak, ważniejszy

od niej. A może po prostu nie chciał sobie zawracać głowy jej sprawami.

A, do diabła z tobą, pomyślała. Sama zacznę poszukiwania.

Wiedziała, że w kuchni prawdopodobnie nie znajdzie dowodów potwierdzających jej przypuszczenia, więc oddała ją w posiadanie szczurom i ruszyła korytarzem do izby jadalnej.

Słabe światło wpadające przez okienko do kuchni rzucało cienie na stół. W fotelu na drugim jego końcu siedział jakiś człowiek z kokardą na głowie.

Adelia westchnęła spazmatycznie, a potem przyjrzała mu się jeszcze raz.

Okazało się, że to nie kokarda, tylko pusta klatka zięby, którą ktoś zawiesił na oparciu fotela. Wzięła ją na moment do ręki, a potem zaczęła przeszukiwać kredensy.

W jednym talerze, w drugim cynowe kufie, świece i lichtarze, pudełko ostrych noży dla gości. Nic ciekawego, choć w ciemnościach trudno było rozejrzeć się dokładnie.

Wróciła do kuchni, tupnięciem przepłoszyła szczury, rozdmuchała żar pod kuchnią i zapaliła od niego świecę. Cienie na zewnątrz zaczęły tańczyć w jej płomieniu, więc idąc na górę, musiała poskromić wyobraźnię, która podpowiadała, że ktoś skrada się jej śladem.

Pokój Godwyna i Hildy był skromniejszy niż pokoje gości. Jeśli uciekli, to nie zabrali ze sobą ubrań, bo w niewielkiej skrzyni leżały starannie poskładane tuniki, spódnice, bluzki, spodnie i kilkanaście czystych fartuchów, poprzekładanych gałązkami bagna na mole.

Odskoczyła na widok postaci ukrytej za drzwiami. Zorientowała się jednak, że to tylko dwa płaszcze wiszące na wieszaku. Pusta kanka i miednica, obok miska korzenia mydlnicy. Na półce brzytwa, grzebienie i jakieś słoiki – sprawdziła wszystkie, ale były w nich tylko medykamenty.

Butelka z gorzko pachnącą tynkturą z łopianu, zdradzająca, że jedno z nich miało problemy z trawieniem. Pewnie Godwyn, pomyślała Adelia, przypominając sobie, że na twarzy oberżysty stale gościł wyraz niezadowolenia.

Uklękła i zajrzała pod łóżko, ale stał tam tylko nocnik. Odwróciła siennik i obejrzała deski, na których leżał. Opukała całą podłogę, sprawdzając, czy nie ma skrytek.

Nic. Pokój wyglądał niewinnie.

Wspólna sala, w której niegdyś sypiali pokotem biedniejsi goście, była czysto zamieciona i pusta, z wyjątkiem ogromnego podwyższenia służącego jako łóżko oraz wielkiej skrzyni z bielizną, z której dochodził przyjemny zapach ususzonych listków rozmarynu i szaławii, włożonych między tkaniny.

Obok był pokój, który dzieliła z Allie. Weszła tam, mając mizerną nadzieję, że Gyltha, pakując rzeczy, zostawiła coś, w co mogłaby się teraz przebrać. Nocna przygoda mocno nadwreżyła jej tunikę.

Naturalnie, nic nie znalazła; Gyltha nawet szpilki by nie zostawiła... za to w dzbanie wciąż była woda do mycia...

Drzwi od pokoju Gylthy i Mansura stuknęły, jakby ktoś je popchnął.

Zamarła. To na pewno nie wiatr. Powietrze było nieruchome.

Ależ nie, właśnie, że zawiał wiatr – pierwszy podmuch przed nadchodzącą burzą. W korytarzu zrobił się przeciąg.

Adelia błyskawicznie wpadła do pokoju i zamknęła drzwi na zasuwę. Czuła, że niezależnie od tego, co czai się w ciemnościach, woli temu stawić czoła umyta. Najlepiej byłoby zresztą nie stawiać temu czoła, tylko bezpiecznie ukryć się w pokoju.

Dygocąc, rozebrała się i zaczęła szorować ciało z obłądną energią, oszczędzając wodę, by wystarczyło jej na umycie włosów, które zaplotła w warkocz, bo jej czepek był podarty przez gałęzie i nadawał się tylko do wyrzucenia.

No, dobrze. Teraz przynajmniej będzie świeżo umytą ofiarą, jeśli to coś czające się w korytarzu zamierza ją zamordować. Ale po chwili, ubierając się w podartą tunikę, odkryła swoje prawdziwe motywy: głupia, ciągle masz nadzieję, że Rowley tu przyjedzie.

Odsunęła zasuwę i ze świeczką w dłoni, ściskając rękojeść miecza zawieszono na sznurku, ruszyła ku podejrzanym drzwiom. Były otwarte i poruszały się lekko w nasilającym się przeciągu. Krople deszczu zaczęły uderzać o dach jak groch; gdzieś trzaskała niedomknięta okiennica.

– Ostrzegam, jestem uzbrojona – krzyknęła i kopniakiem otworzyła drzwi. W tej samej chwili przeciąg zgasił świecę.

Nie. Nie mam aż tyle odwagi.

Gdy skoczyła ku schodom, nad domem rozszalała się burza. Po niebie przetoczył się grom, rozcinając je na połowy. Przez otwarte frontowe drzwi wpadały strumienie deszczu. Światło błyskawicy wydobyło z mroku szczupłą połyskującą w deszczu, zakapturzoną postać, która zbliżała się do schodów, rozcapierzając ramiona jak strach na wróble.

– Chciałem cię złapać – tłumaczył się Rowley. – Wydawało mi się, że zaraz spadniesz.

– Mało brakowało – odparła. Wciąż siedziała na schodach, bo nie była w stanie ustać na uginających się nogach. – Czy Allie jest bezpieczna?

– Tak. Gyltha też. I Mansur. Wszyscy byli przekonani, że będziesz na nich czekać. Kazałem im zostać w pałacu i obiecałem, że pojedę sprawdzić, co się dzieje. Czy mogłabyś mi uprzejmie wyjaśnić, o co chodzi?

Oboje przekrzykiwali ryk burzy; na zewnątrz deszcz smagał bruk podwórka, jakby jakiś gigant zalewał świat olbrzymimi wiadrami wody.

Rowley wydobył skądś manierkę i podał ją Adelii; potem zdjął skórzany płaszcz i kaptur, otrzepał je z wody na zewnątrz i zamknął drzwi.

– Zasuń skobel – powiedziała.

Uniósł brew, ale spełnił jej prośbę.

Wypiła łyk brandy. Zakasłała, ale poczuła się lepiej. Teraz mogła stawić czoło wszystkim tajemnicom tego domu.

Rowley wziął latarnię. Weszli do jadalni i usiedli po przeciwnych stronach stołu. Biskup zaczął rozmowę, nie wychodząc z roli dobrego pasterza.

– Cóż więc, moje dziecko?

Nie nazywaj mnie tak, powiedziała w duchu. Jednak, z wdzięczności za to, że przybył do oberży, postanowiła nie zaczynać starej sprzeczki. Opowiedziała mu o wyprawie do lasu, o zwłokach w zbiorowej mogile i o tym, co się później wydarzyło.

– Widzisz... Och, Rowley, ja zabiłam człowieka.

– I bardzo dobrze.

Zrozpaczona, pokręciła głową.

– To żaden powód do chwały.

– Dlaczego nie? Co innego mogłaś zrobić? Przebiłby kołkiem tego twojego Alfa, a potem by cię zgwałcił... – Przerwał i zapytał tonem pełnym namaszczenia: – Czy chcesz się wypowiadać, moje dziecko?

– Daj spokój – warknęła. – Rozmawiamy jak przyjaciele. – Pokazała mu miecz. – Miałam wrażenie, że zrobił to bez mojego udziału.

– Na litość boską, skąd wzięłaś ten antyk?

– Mniejsza o to.

Mieli inne sprawy do omówienia. Opowiedziała mu o napadzie na drodze, o roli dziedziczki Wolvercote w wydarzeniach i o swoich przypuszczeniach co do losu Emmy, Pippy'ego i Roetgera po ucieczce.

Mówiła głośno, by przekrzyczeć dudnienie deszczu na zewnątrz, nerwowo podskakując przy każdym rozbłysku za oknem; gdy uderzał grom, musiała przerywać swoją opowieść.

– Rozumiesz, to kwestia zbiegu okoliczności – tłumaczyła. – Wyobraź to sobie. Kiedy ich ostatnio widziano, galopowali w stronę Glastonbury, by ocalić życie. Zakładam, że zauważyli gospodę, bo to jedyny budynek przy drodze, i postanowili się w niej schronić.

– Można tak przypuszczać – zgodził się ostrożnie biskup.

Ledwie stłumiła irytację. Do diabła, dlaczego jej nie wierzy? Czy nie widzi w

wyobraźni tej trójki, dobijającej się do drzwi Pielgrzyma i błagającej o ratunek?

Mimo wszystko stanowczo opowiadała dalej:

– Hilda i Godwyn otrzymali królewski rozkaz, mówiący, że mają zapewnić kwatery trójce gości: cudzoziemcowi, który będzie badał szkielety w opactwie, damie i jej dziecku. I oto na ich progu pojawili się Mistrz Roetger, który przecież jest cudzoziemcem, oraz Emma z Pippym. Doskonale pasowali do opisu.

– Więc?

– Więc... – Adelia wzięła głęboki oddech. – Uważam, że zostali zamordowani.

– Co?

– Zamordowali ich. Okoliczności zgadzały się idealnie: przybywa trójka gości bez żadnej eskorty. Nikt nie wie o ich przyjeździe...

– Bez żadnej ochrony? Co ty wygadujesz, kobieto, Emmie towarzyszył mistrz miecza.

– Ale miała też dziecko. Nie mówię, że zamordowano ich na miejscu. Najprawdopodobniej zaproszono ich do środka i poczekano, aż się rozgoszczą. Pamiętaj, rodzice zgodzą się na wszystko, byle nie skrzywdzono ich dziecka.

Rozdrażniona, otarła łzy z oczu. Sama przeżyła coś takiego, gdy Allie była malutka; bez protestu poszła niemal na pewną śmierć, gdy zabójca zagroził, że zamorduje jej córkę.

– Wystarczyło, by Godwyn złapał Pippy'ego i pomachał nożem. Zmusił w ten sposób Emmę i Roetgera do wypełniania jego poleceń. Dlatego chciałam, żeby Allie była daleko stąd. Do takiego szantażu wystarczy jedna osoba z bronią.

– Ale dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

– Na pewno ma to jakiś związek z tymi szkieletami. Jeśli udowodnimy, że to nie jest Artur ani Ginewra, opactwo ucierpi finansowo. Podobnie jak Pielgrzym.

– Twierdzisz więc, że trzy osoby bezwolnie czekały, aż ktoś im poderżnie gardła? Fantazujesz, moja miła. Na miłość boską, Godwyn jest po prostu zwykłym oberżystą. Chuderlawym, niedużym człowieczkiem. Oberżyści raczej nie mordują swoich gości. W każdym razie nie robią tego nagminnie, choć przyznam, że zjadłem w swoim życiu parę posiłków, które...

Adelia zagryzła zęby.

– Chuderlawy, nieduży człowieczek, który zemdłał, gdy przybyliśmy do gospody z Mansurem i Allie. Uświadomił sobie wtedy, że zabił niewłaściwe osoby. – Pochyliła się do przodu. – Rowley, wiem, że to się stało. Co muł Emmy robi na pastwisku opactwa? Hilda i Godwyn sprzedali rzeczy Emmy, gdy ją zabili – konie, wóz, odzież i klejnoty. Szukałam śladów, gdy tu dotarłeś. Szukałam czegoś, co należało do Emmy.

Rowley zaczął się bujać na krześle. Latarnia, stojąca między nimi na stole, oświetlała jego twarz, uwydatniając kości policzkowe i rzucając cień na oczodoły. Zawsze był wysoki i potężnie zbudowany, ale przez tych kilka lat na tronie biskupim zrobił się niemal pulchny – sprawiła to niewątpliwie smakowita kuchnia klasztorna i kolacyjki w gronie duchownych. Teraz jednak był szczupły – szczuplejszy niż kiedykolwiek. Było mu z tym do twarzy... Ale, do diabła, znowu przybrał ten pełen wyższości, nieomylny ton. Pewnie to jedna z pułapek władzy. Zbyt często słyszy słowa: „Tak, lordzie biskupie, ależ oczywiście, lordzie biskupie”.

– Znalazłaś coś? – spytał takim tonem, jakby znał odpowiedź.

– Nie.

– A widzisz.

Adelia wstała. Mogli tak spędzić całą noc: ona podawałaby kolejne argumenty, a on by je odrzucał. Zamierzała tego uniknąć.

– Chodź, pomożesz mi szukać – powiedziała, biorąc latarnię ze stołu. Westchnął ciężko, ale ruszył za nią.

Dopiero gdy weszli na schody, przypomniała sobie o hałasie w pokoju Mansura i Gylthy.

– Tu ktoś może być – ostrzegła, wskazując na drzwi. Teraz mogła już być odważna.

– Krwawy oberżysta? – zapytał i dramatycznym gestem wyciągnął miecz z pochwy. – Niech go tylko dopadnę. Przebiję go jak szczura.

Uniosła latarnię, by oświetlała drogę im obojgu, i poszła za nim. Grom i błyskawica, niemal jednocześnie, sprawiły, że oboje podskoczyli z przerażenia, a jakaś postać przebiegła przez pokój i ukryła się pod łóżkiem. Usłyszeli jęk.

Adelia odetchnęła z ulgą.

– Millie, to ja. Nie bój się, to ja. Ten pan to mój przyjaciel – zaczęła uspokajać dziewczynę. Nagle uświadomiła sobie, że nic to nie da. Cóż znaczą słowa dla niesłyszącego?

Poleciała Rowleyowi gestem, by schował miecz, i oświetliła latarnią twarz przerażonej Millie.

Zabrali dziewczynę na dół do jadalni. Rowley podał jej brandy.

– Mówisz, że nie słyszy grzmotów?

– Myślę, że nie. Ale biedactwo czegoś się boi. Coś wie...

Adelia delikatnie ujęła twarz dziewczyny w dłonie i zaczęła wyraźnie wymawiać poszczególne wyrazy:

– Millie, co... stało się... z panią... i chłopczykiem... którzy... tutaj... przyjechali?

Och, to bez sensu.

Pochyliła się nad stołem i narysowała palcem na cienkiej warstewce kurzu trzy postacie – dużą z mieczem w dłoni, obok kobietę i na koniec małe dziecko.

– Millie, powiedz coś o nich – poprosiła błagalnie. – Przyjechali tutaj. Co się z nimi stało?

– Nie powie ci, nawet gdyby mogła – stwierdził Rowley. – Będzie chronić swoich pracodawców.

– Nie sądzę. Za wszystko ją biją. Popatrz...

W oczach Millie błysnęło zrozumienie. Pokiwała głową, palcem dodała kreskę pod rysunkiem Adelii, wstała i gestem pokazała, by szli za nią. Poprowadziła ich do tylnych drzwi, otworzyła zasuwę, zatrzymała się na chwilę, a potem w strumieniach deszczu pobiegła do stajni. Adelia z Rowleyem popędzili jej śladem.

Burza zagłuszyła odgłosy przyjazdu Rowleya. Zanim wszedł do oberży, rozsiadł swego konia i wprowadził go do boksu. Wierchowiec, przerażony grzmotami, kopął w deski przegrody.

Rowley pogłaskał go uspokajająco po głowie, mówiąc:

– Spokojnie, stary, spokojnie. To tylko burza. – Ale wzrokiem śledził Millie, która podeszła do stosu drewna przy wejściu i odkładała na bok polana, jakby chciała odsłonić coś, co kryło się pod nimi.

Potakująco kiwając głową, wyciągnęła ze stosu wygięty, połamany kawałek drewna, podobny do kilku leżących obok, i podała go Adelii.

– Co to jest? – spytał Rowley.

Adelia obejrzała gięty, wypolerowany, dębowy pałąk.

– Kawałek podpórki z wozu Emmy. Mocowano do niej płótno plandeki. Połamali ją i przeznaczyci do spalenia.

Nie płacz, napominała się surowo. Przecież wiedziałaś to już wcześniej.

Jednak, mimo wszystko, cały czas miała nadzieję, że się myli.

– Jezu, dlaczego to zrobili? – Rowley zaczynał jej wierzyć. – Dlaczego ich zabili?

– Dla zysku. Boże święty, Rowley, pomyśl o tym malcu. Emma tak go kochała.

Millie pokazywała im dłoni z trzema wyprostowanymi palcami, osłaniając je drugą ręką, dając do zrozumienia, że wie, o kogo chodzi. Trzy osoby w wozie z płócienną budą.

Adelia skinęła głową i wyraźnie wymawiając słowa, zapytała:

– Gdzie oni są?

Twarz dziewczynki przybrała gniewny wyraz. Stało się coś bardzo, bardzo złego. Teraz można wreszcie wszystko ujawnić. Wstała i pociągnęła Adelię za sobą do gospody.

Rowley ruszył za nimi, rozchlapując wodę, która sięgała po kostki. Deszcz jeszcze przybrał na sile, choć wydawało się, że to niemożliwe; rynsztok nie był w stanie odprowadzić takiej ilości wody.

Millie weszła do kuchni. Wskazała wielką kadź w kącie i zaczęła ją odciągać na bok, ale okazała się za ciężka na jej siły.

Rowley odstawił latarnię i pomógł małej służącej. Kadź poruszyła się, ale zawadziła o coś dnem, i trzeba było ją odwrócić na bok i odtoczyć.

Pod spodem zobaczyli metalową rączkę przytwierdzoną do jednej z kamiennych płyt podłogi.

– Do diabła! – odezwał się Rowley.

Millie ponownie podniosła trzy palce, obnażając zęby w rozpaczliwym grymasie, a potem wskazała na uchwyt.

– Niech ich Bóg zachowa – powiedziała cicho Adelia. – Są tam.

Nadzieja rozbłysła w niej jak kolejna błyskawica.

– Podnieś to szybko. Być może jeszcze żyją, tylko siedzą w zamknięciu.

Płyta była ciężka. Rowley z trudem przesunął ją na bok. Z dołu przypląnął zapach stęchlizny i alkoholu – ale nie zapach rozkładu, którego obawiała się Adelia.

Rowley ukląkł.

– Halo? Emma? Halo! – zawołał. Odwrócił głowę, nadsluchując, ale ciszę zakłócał tylko szum deszczu i grzmoty, od których drżały ściany kuchni. – Tu są schody – rzekł.

– Nic dziwnego. To piwnica – odparła Adelia. – Daj mi latarnię.

– Najpierw trzeba się wzmocnić.

Wciąż klęcząc nad otworem, Rowley wyjął manierkę, podał ją Millie, która upiła łyk i oddała ją Adelii. Ta, niecierpliwie kręcąc głową, zwróciła ją właścicielowi.

Pociągnął solidny łyk. Uświadomiła sobie, że niechętnie schodzi do tej dziury – nigdy nie lubił zamkniętych pomieszczeń.

Wzięła latarnię i już chciała odsunąć go na bok, gdy zabrał jej światło i ze słowami: „Idę już, idę”, ruszył po schodach.

– Uważaj, Rowley – zawołała, przestraszona – tam może siedzieć Godwyn.

Zwracając się do Millie, pokręciła głową i gestem kazała jej zostać na górze, by nie narażała się na ewentualne niebezpieczeństwo.

– Zostań tutaj – poleciła.

Głos Rowleya odbijał się echem od ścian.

– Nikogo tu nie ma, ale to nie jest zwykła piwnica. Odchodzi stąd jakiś tunel. Uważaj

na schodach, są śliskie.

Ostrożnie zeszła w ślad za nim. Miał rację, rzeczywiście było ślisko. W dodatku stopnie biegły bardzo stromo w dół.

Znalazła się w wielkiej piwnicy; w jednym kącie przechowywano stoły i ławki; niektóre wymagały naprawy. Pod resztą ścian stały beczki z ale. Ciekawe, jak je stąd wynoszą po tych schodach, pomyślała, ale za chwilę spostrzegła pochylnię z drzwiczkami, które prawdopodobnie prowadziły prosto na dziedziniec. Beczki spuszczano pewnie na dół prosto z wozu piwowara.

Po drugiej stronie stał Rowley z mieczem i latarnią. Obok czerniał otwór w ścianie. Mężczyzna podszedł do niej, zatrzymując się na chwilę obok stojaka z przeróżnymi butelkami z winem, znajdującego się u podnóża schodów.

– Szklane butelki – stwierdził z podziwem, zdejmując jedną z półki. – Pielgrzym rozpieszcza swoich gości.

Tych, których nie morduje, dopowiedziała w myśli. Jednak nigdzie nie było widać śladów morderstwa, przynajmniej na razie.

Odwróciła się do Millie, która z niepokojem zaglądała do piwnicy. Pokazała gestem, że oboje z Rowleyem pójdą w głąb tunelu.

Nagle rozległ się trzask, ale nie był to grzmot, tylko coś cichszego i bardziej złowróżbnego. Oczy Millie utraciły blask, a jej ciało upadło obok otworu. Adelia ruszyła w górę schodów na pomoc. Zobaczyła, jak czyjeś ramię odciąga dziewczynę za włosy na bok, a potem zamyka wejście kamienną płytą.

– Rowley! Boże, Rowley, zabili Millie. Zatarasowali wyjście.

Rozległ się brzęk, gdy butelka wypadła mu z dłoni i roztrzaskała się na podłodze. Rowley odsunął Adelię na bok, podał jej latarnię i wbiegł na schody, by wypchnąć klapę do góry.

Oboje usłyszeli szuranie; ktoś z powrotem postawił na niej ciężką kadź.

Rowley wyteżył siły.

– Niech to licho, nie dam rady – powiedział. – Chodź tędy. Wyjdziemy przez pochylnię.

Zaczął wdrapywać się po rampie, by otworzyć drzwiczki prowadzące na dziedziniec.

Znowu usłyszeli szuranie; ktoś zastawił je czymś ciężkim.

Klnąc i wrzeszcząc, Rowley napierał na nie raz po raz. Nawet nie drgnęły.

Po chwili stoczył się na dół. Przez moment leżał bez ruchu na pochylni. Potem wstał i oświadczył z uśmiechem:

– No cóż, kochanie, musimy zbadać ten tunel – i to szybko, zanim te dranie zablokują wyjście z drugiej strony. – Wziął latarnię i gestem zaprosił ją do wejścia, nie przestając przemawiać: – Tunele mają pewną niepodważalną zaletę – zawsze jest drugie wyjście. Wcale mnie nie dziwi podziemne przejście w tym miejscu. Wyjście jest gdzieś na terenie opactwa – jestem tego pewny jak Ewangelii. Opaci zawsze zostawiali sobie drogę odwrotu na wypadek napadu albo ataku ze strony własnych mnichów. Założę się, że brat Titus wędrował tędy nie raz, by posmakować ale...

– To Hilda uderzyła Millie – stwierdziła Adelia. – Poznałam ją po sukni.

– Na razie nic nie możemy zrobić w tej sprawie – powiedział i pociągnął ją za rękaw, prowadząc do tunelu.

Wejście było obszerne, ale jeśli brat Titus rzeczywiście przemykał czasem tunelem, to musiał poruszać się w wielkiej ciasnocie, bo ściany niemal od razu zbliżyły się do siebie, a sufit obniżył. Przeciskali się przez niewielki, kwadratowy korytarz, szeroki i wysoki może na półtora metra, zginając się wpół. Rowley szedł prawie na czworakach; Adelia wzięła latarnię i przesunęła się do przodu, by oświetlać drogę. Mniej więcej co trzydzieści metrów tunel rozszerzał się, tworząc niewielkie komnatki, niezbędne, by rozprostować kości i nieco odpocząć. Jednak Rowley nie pozwalał na odpoczynek.

– Ruszaj się. Szybciej – poganiał ją. Oboje ciężko dyszeli.

Tunel był wyraźnie dziełem rąk dobrego rzemieślnika; całe sklepienie było żebrowane. Nie miała jednak czasu, by je podziwiać. Posuwała się jak najszybciej do przodu z pochyloną głową. Widziała tylko błoto pod stopami.

Ile jeszcze? Jezu, ile jeszcze trzeba będzie tak iść? Całkiem straciła poczucie kierunku i upływu czasu. Dławiła się własnym oddechem i walczyła, by zaczerpnąć świeżego powietrza, które przepływało słabo pod sklepieniem. Wysokie niebiosa nie dbały o małe myszki przemykające podziemnym tunelem.

W pewnym momencie wydawało jej się, że słyszy kroki; wyobraziła sobie, że to Godwyn albo Hilda biegną, by zablokować wyjście po drugiej stronie tunelu, ale było to tylko bicie jej serca, które dudniło w uszach. Jesteśmy zbyt głęboko, by docierały do nas jakiegokolwiek odgłosy z powierzchni, pomyślała i znowu zaczęła się dusić. Zwolniła kroku. Rowley uderzył ją głową i mało nie upuściła latarni. Musiała złapać ją drugą ręką i oparzyła się w palce. Boże, gdyby znaleźli się tu bez światła...

W następnej komnatce zatrzymała się i usiadła, by odetchnąć, rozprostować plecy i poślinić oparzone palce. Rowley obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

– Ruszaj się, nie mamy czasu.

– Idź sam – odpowiedziała. – Ja muszę odpocząć.

Osunął się na ziemię obok niej. Przeciskanie się przez niski tunel było dla niego jeszcze trudniejsze niż dla niej. Popatrzył na świeczkę w latarni, która ledwie się ćmiła, a potem poruszył się, jakby coś go uwierało.

– A co to takiego?

Wyciągnął spod siebie niedużą drewnianą skrzynkę, zamkniętą na zatyczkę przełożoną przez skobelek.

– Chyba odkryliśmy, gdzie oberżysta z żoną trzymają kosztowności.

Wzięła pudełko do ręki. Zagrzechotało. Być może w środku jest coś, co należy do Emmy... Ale i zatyczka, i skobel były tak zardzewiałe, że nie dawały się otworzyć.

Rowley w końcu się zniecierpliwiał.

– Nie będziemy chyba tu siedzieć i badać zawartości, co? Zbieraj się.

Przyciskając do siebie skrzynkę, ruszyła za nim jak Eurydyka idąca śladem Orfeusza. Przypomniała sobie, że Eurydykę skazano w końcu na pozostawanie w ciemnościach i nigdy już nie ujrzała światła dziennego.

Szli już bardzo długo, za długo. Jeśli ten koszmarny tunel gdzieś się kończył, Hilda z Godwynem na pewno dawno dotarli do jego wyjścia i zamknęli je na wieki, grzebiąc ich pod ziemią jak Emmę, Pippy’ego i Roetgera.

– Co się dzieje? – Idący z przodu Rowley zaczął kłąć jak szewc.

– Zostawiłem miecz w tej przeklętej piwnicy.

– Ja mam swój.

Kusiło ją wcześniej, żeby go gdzieś zostawić, bo cały czas obijał jej się o nogi.

– Bardzo nam się przyda ten pordzewiały rożen.

Zabił człowieka w mojej obronie, pomyślała. Boże, nie każ mi się teraz nad tym zastanawiać.

Jak dotąd, nie znaleźli, na szczęście, ani śladu po więźniach. Czyżby Millie ich oszukała? Nie, to niemożliwe. Ale jeśli tak się stało, to została boleśnie ukarana – zemdląca naprawdę, nie udawała niczego. Tamta wariatka po prostu powaliła ją na ziemię jak drwał, ścinający toporem młode drzewko.

Wariatka. Na górze. Odcięła im wyjście.

Adelia zaczęła się modlić w rytm swoich kroków po błotnistym podłożu:

– Wszechmogący Boże, uratuj nas. Uratuj nas, Wszechmocny Panie w łasce swojej, zmiłuj się nad nami. – Zwracała się do istoty, która łączyła judaistyczne i chrześcijańskie wierzenia jej rodziców, a nadto miała też coś z Allaha, którego czcił Mansur.

Jako dziecko wyrobiła w sobie przekonanie, że każda z tych trzech ukochanych przez nią osób zwraca się do tego samego Boga, zgodnie i w harmonii. Taką atmosferą było przesiąknięte jej całe dzieciństwo. Teraz także, potykając się, ciężko dysząc i łkając ze zmęczenia, modliła się do bezimiennego boga, nie dbając o teologię. Modliła się o pomoc bez słów, myślą, która przebijała się przez zwały ziemi prosto do gwiazd.

– Uratuj nas – powtarzała.

Całe światło świata zawężiło się do blasku latarni w ręce Rowleya. Jedynym pomocnym przedmiotem był skraj jego płaszcza, który kurczowo zaciskała w dłoni. Nagle z pamięci wypłynął obraz jego nagiego ciała w łóżku – tak wyraźny, że aż bolesny. Tym razem, w tak dramatycznej chwili, nie potrafiła oprzeć się słodkiemu pragnieniu.

Kochałam go, on kochał mnie, a to już coś, drogi Boże. To naprawdę coś.

Jakby w odpowiedzi na jej modlitwy, sklepienie zaczęło się podnosić; jej mężczyzna mógł się wreszcie wyprostować, podobnie jak i ona.

Tunel wiódł ich teraz ku górze; w końcu pojawiły się stopnie, biegnące pod samo sklepienie. Rowley przemierzył je skokami, wrywając rąbek płaszcza z jej dłoni.

Adelia ruszyła za nim z pewnym trudem; nagle uświadomiła sobie, że jej suknie stały się dziwnie ciężkie. Z radości, że dotarli do końca tunelu, nie zwróciła nawet uwagi, że od kilku dobrych metrów brodziła w wodzie po kostki.

Świeca w latarni zadygotała. Przez chwilę jej płomień trzepotał jak ćma na wietrze, a potem zgasł.

Zapanowały kompletne ciemności; nawet w bezksiężycową noc na powierzchni ziemi pojawiają się odbłaski, stanowiące punkt odniesienia dla oka; mrok w tej piwnicy był zaprzeczeniem światła, absolutną, nieprzeniknioną pustką. Usłyszała swój bezsensowny jęk, odbijający się dygotliwym echem od ścian, ale miała wrażenie, że wyszedł on z ust jakiejś obcej osoby.

Wyżej rozległo się skrobanie i metaliczny brzęk, a potem potok przekleństw, wylewających się z ust biskupa St Albans.

– Co robisz? – krzyknęła.

– Tu jest wszędzie metal. Jakieś zamknięcie albo płyta. Nieważne. A jak ci się wydaje, co robię? Próbuję to otworzyć.

– Może uda ci się namacać jakąś zasuwę...

– Och, dziękuję bardzo, pani doktor. Już to zrobiłem. Nic tu nie ma. Albo zamknęli wszystko na głucho, albo na zewnątrz jest jakaś dźwignia, co to otwiera. Postukam w to trochę, może ktoś nas usłyszy.

A kto miałby usłyszeć? Mimo wszystko Adelia odczepiła miecz od pasa i wyciągnęła go w górę. Dotknęła nim buta Rowleya.

– Masz, może się przyda.

Poczuła, jak maca wokół dłonią i natrafia na podany mu miecz. Po chwili rozległ się dźwięczny brzęk metalu o metal. To wydawało się skuteczniejsze. Tylko kto ich usłyszy? Chyba tylko ta para, która ich tu pogrzebała – a oni na pewno niczego nie otworzą.

Zasłoniła uszy, bo od hałasu zakręciło jej się w głowie. Pomiedzy uderzeniami Rowley wykrzykiwał wezwania o pomoc i klął. Mało od tego nie oszalała.

Zaczęła badać dłońmi stopnie i uświadomiła sobie, że nadal kurczowo trzyma drewnianą skrzynkę. Rzuciła ją na podłogę, a potem podniosła ręce i poczuła metal pod palcami. Obmacała wszystko dokładnie, ale na niewiele to się zdało. Wyjście zamykała lekko wybrzuszona do wewnątrz żelazna płyta, zupełnie gładka, bez żadnego otworu, w którym mógłby ukrywać się zamek lub zapadka.

– Widzisz? – Rowley odsunął ją na bok i znowu zaczął uderzać mieczem. Właśnie na tym polegał cały problem: nic nie widziała. Oczy w tych ciemnościach na nic się nie przydawały. Można było kierować się tylko dotykiem, słuchem... i strachem.

Hałas trwał w nieskończoność. W końcu poczuła, że dłużej tego nie znieśnie. Dotknęła w ciemności jego ramienia.

– Wracajmy do piwnicy – zaproponowała.

Na samą myśl o wędrówce przez ciemności poczuła przerażenie... ale tam było mnóstwo miejsca i przydatne rzeczy – na przykład beczki... Może Millie wcale nie umarła i jakoś ich wypuści... może coś wymyśli.

Nagle coś sobie przypomniała.

– Przecież kłapa od pochylni dla beczek była drewniana. Może uda nam się wyciąć dziurę.

– Albo przynajmniej zapijemy się na śmierć – odparł Rowley.

Wreszcie przestał hałasować i kląć. Z ulgą powitała jego ironiczne słowa, które były jak balsam dla jej duszy. Wiedziała, że wytrzyma wszystko, jeśli on się nie załamie.

Usiadła i ostrożnie wyczuwając stopnie, zsunęła się na dół. Gdy usłyszała, że Rowley jest już blisko, rozpostarła ramiona, dotykając palcami szorstkich ścian tunelu po obu stronach i zaczęła brodzić przez błoto, kierując się z powrotem w dół.

Brnęła bez końca. Wreszcie woda sięgnęła jej po kolana. Ruszyła dalej przed siebie i zanurzyła się aż po pas.

Zaczęła się głupio zastanawiać, czy poszli jakąś inną odnogą tunelu i trafili na

olbrzymi podziemny kanał. Ale przecież tunel się nie rozwidłał...

Ktoś oświadczył:

– Tu jest pełno wody, Rowley.

Ktoś inny odezwał się w odpowiedzi:

– Widzę, kochanie. Lepiej zawróćmy.

Poczuła na twarzy dotyk ręki, która, trafiając na ramię, pomogła jej się odwrócić i poprowadziła ją, aż dotarli do schodów. Gdy wydostali się na podest, przywarła do Rowleya.

– Skąd się bierze ta woda? Co się dzieje?

– Powiem ci, co się dzieje... – Słyszając, jak cedzi słowa, mogła sobie wyobrazić gniewny wyraz jego twarzy. – Nasz szacowny oberżysta otworzył właz w piwnicy. Wyjął tę piekielną płytę. To jest deszczówka, która nas zalewa.

– Deszczówka?

– Może trudno było to zauważyć, ale padał deszcz. Pewnie jeszcze pada. Cała woda spływa do tej diabelnej dziury. Zalała już piwnicę, a teraz zatapia tunel.

– Ale... na to trzeba wielu godzin.

– Kochanie, siedzimy tu już bardzo długo.

W wyobraźni Adelia ujrzała wzgórza otaczające Glastonbury. Ulewny deszcz nie był w stanie wsiąknąć w wysuszoną, twardą jak kamień ziemię, więc spływał wartkimi strumieniami ze zboczy, prosto na High Street. Teraz, gdy usunięto płytę, cała woda wlewała się do piwnicy przez otwór...

– Całe ale tego łajdaka zmieni się w pomyję – powiedział Rowley z satysfakcją.

– Czy woda dotrze aż do nas?

W odpowiedzi usłyszała kolejny ogłuszający hałas. To Rowley znowu walił głownią miecza w żelazną pokrywę.

Głupie pytanie: skąd niby miał to wiedzieć? Wszystko zależało od tego, kiedy przestanie padać. Zresztą i tak umrzemy, nawet jeśli nie przestanie, pomyślała. Znajdowali się w niewielkiej, wypełniającej się wodą komorze z cegieł, zamkniętą od góry żelazną pokrywą. Wszystkie materiały były szczelne. Wkrótce zabraknie im powietrza. Kiedyś w Salerno przeprowadzała sekcję zwłok mężczyzny, który wpadł do wielkiej, pustej kadzi na wino; wymachując ramionami, strącił pokrywę, która szczelnie zamknęła otwór.

– Udušenje – orzekła na koniec badania.

– Tak jest – potwierdził ojciec. – Efekt pozostawiania w małych, zamkniętych pomieszczeniach.

– Wiem – odparła – ale dlaczego tak się stało? Przecież to była ogromna kadź,

dłaczego nie mógł już oddychać? Dlaczego ludzie duszą się w zamkniętych pomieszczeniach?

– Z powodu głodu powietrza – odpowiedział. – Oddychając, zużywamy powietrze albo w jakiś sposób je zatrujemy. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje.

Zatem czekała ich śmierć. Uduszą się, jak tamten człowiek w kadzi.

– Allie – jęknęła. Znowu miała wrażenie, że ten krzyk rozpaczycy dochodzi z ust jakiejś obcej osoby.

Uderzenia ustały.

– Niczego jej nie zabraknie. Spisałem testament – odpowiedział Rowley.

– Allie...

Żaden dokument nie potrafi utulić dziecka do snu ani pocałować zadrapanego kolanka, ani zastąpić matki, której nie będzie.

Jeszcze jedno rozpaczliwe uderzenie... ostatnie... usiadła z impetem, nie potrafiąc ocenić odległości w ciemnościach. Rowley potrącił ją niechcący, sadowiąc się obok.

– Niech cię piekło pochłonie, kobieto. – Poczula jego oddech koło ucha. – To wszystko twoja wina. Dlaczego, do diabła, nie chciałaś za mnie wyjść za mąż?

No właśnie, dlaczego? Sama siebie nie mogła zrozumieć.

– Mielibyśmy śliczny zameczek – szeptał niemal bezgłośnie. – Wychowywalibyśmy ją razem. Ty haftowałabyś na werandzie, a ja uczyłbym ją robić mieczem na dziedzińcu.

Chciał ją rozbawić i prawie mu się to, o dziwo, udało, ale w jego męźnych słowach słyszała gorący gniew z powodu tego szczęścia, które oboje utracili.

To moja wina, pomyślała. Co za koszmarny błąd. Cóż warta jest niezależność w porównaniu ze szczęściem – jego, Allie i moim? Mniej niż nic.

– Teraz postąpiłabym inaczej – powiedziała.

– Trochę, do diabła, za późno. – Poczula jego oddech na skórze. – Przez ciebie pójde do piekła, wiesz? Moja dusza jest potępiona. Grzeszyłem podczas prymy, jutrzni i laudy, wznosiłem hostię do Pana, marząc, że to twoje szczupłe ciało. Co ja w niej widzę, zastanawiałem się stale. Przesłoniłaś mi cały świat. – Westchnął. – Obraziłem mego słodkiego Pana. Po tym wszystkim święty Piotr na pewno nie wpuści mnie za niebieskie wrota.

– Nie dbam o piekło, jeśli będę tam z tobą – odparła, wyciągając do niego ramiona. – Będziemy się razem przypiekać na ruszcie.

Głosy w mroku, mówiące o miłości. Przygasające płomyki.

Coraz ciężiej było oddychać.

Po chwili poczuła, jak jego głowa ciężko opada na jej pierś. Nie odpowiedział, gdy odezwała się do niego.

– Nie – zaczęła błagać. – Poczekaj na mnie. Nie odchodź beze mnie.

Nagle rozległ się głęboki, dudniący odgłos: to pokrywa nad ich głowami zaczęła powoli się unosić, jakby ostrożny kucharz zaglądał pod przykrywkę patelni.

Smród śmierci wypełniający pomieszczenie ulotnił się do góry – czuła, jak przemyka obok niej, niby wiatr, wypierany przez wilgotne, świeże powietrze.

– Obyśmy zdążyli na czas – rozległ się czyjś głos.

Ledwie przytomna, tuląc do siebie ciało Rowleya, spojrzała w górę. Zobaczyła nad sobą twarz opata z Glastonbury, a obok niego oblicze Godwyna. Na obu malował się niepokój.

Z tyłu szarpała się Hilda.

– Zostawcie ich tam! Zostawcie ich! – wykrzykiwała.

Tylko szerokie ramiona brata Titusa nie pozwalały jej skoczyć i przeszkodzić w uratowaniu pary, którą skazała na śmierć.

Rozdział 12

Adelia kazała im najpierw wyciągnąć Rowleya; trzeba było do tego użyć połączonych sił brata Jamesa i Aelwyna; brat Titus musiał cały czas przytrzymywać wrzeszczącą i wrywającą się Hildę.

Po chwili przyszła kolej na Adelię: poczuła, jak ręce mnichów wydobywają ją z szerokiego otworu i kładą na stos gruzów, który niegdyś był domostwem opatów Glastonbury i znajdował się w pobliżu pomostu.

Mnisi od razu chcieli przenieść Rowleya do kuchni opata, ale Adelia nie zgodziła się na to. Ukłękła obok niego, błagając, by wrócił do przytomności. W końcu spostrzegła, że zaczął spokojnie oddychać przez nos. Otworzył oczy, spojrzał na nią przytomnie i wypowiedział jej imię. Wyprostowała się i odmówiła najgorętszą modlitwę dziękczynną, jaka kiedykolwiek przebiła się przez pokrywę chmur, przemieszczających się błyskawicznie pod bladym, obojętnym księżycem, i sięgnęła Boga, który udzielił jej łaski kolejnego zmartwychwstania.

Dopiero wtedy pozwoliła Aelwynowi i Jamesowi poprowadzić Rowleya przez wypalony trawnik do kuchni. Titus ciągnął za nimi Hildę, która wciąż histerycznie wrzeszczała. Adelia szła z tyłu, ciężko opierając się na ramieniu opata.

– Nie, nie – bronił się, gdy próbowała mu dziękować. – Zawdzięczacie życie wyłącznie temu dobremu człowiekowi – oświadczył, kładąc rękę na ramieniu Godwyna, kroczącego w milczeniu za nimi. – Sami nigdy byśmy na to nie wpadli. Zupełnie zapomniałem o istnieniu tego tunelu. Pewnie zbudował go jeden z moich poprzedników, może nawet w czasach duńskich inwazji. Zamek przerdzewiał z upływem czasu. Kiedy Godwyn zorientował się, że sam go nie stworzy, przybiegł do nas po pomoc, prawda, mój synu? – Oberżysta nie odpowiedział, więc opat mówił dalej: – Obawiam się, że należy nam się odpowiedź na kilka pytań, ale poczekajmy z tym, aż nasz dobry biskup całkiem dojdzie do siebie.

Adelii było zimno. Cała się trzęsła. Ociekająca wodą suknia jeszcze pogarszała sytuację. Po burzy nastąpiło ochłodzenie; rześkie powietrze pachniało świeżością, oddychała więc pełną piersią, choć wcale nie robiło się jej od tego cieplej. Fakt, że uratowano ich od pewnej śmierci, nie zatarł głębokich emocji, jakie przeżyli tam w dole. Otaczający ją ludzie, włącznie z rozhisteryzowaną Hildą, sprawiali wrażenie cieni poruszających się po obrzeżu jej świata. Z całą pewnością tysiące pytań domagało się odpowiedzi, ale w tej chwili owe pytania

trzepotały jak ćmy, pozostając poza jej świadomością.

Ciało Adelii z radością powitało ciepło, panujące w kuchni, ale wciąż liczył się dla niej tylko Rowley, którego posadzono na jedynym krześle, które zachowało się w opactwie.

– Ukwap – powiedziała automatycznie. – Inhalacje z ukwapu.

Zioło to pobudzało układ oddechowy.

– Do diabła z tym. Dajcie mi brandy – wydyszał.

Słowa te zabrzmiały jak muzyka dla jej uszu, bo oznaczały, że w pełni odzyskał zmysły. Zaczęła rozglądać się wokół siebie. Jej wzrok padł na oberżystę.

Godwyn, którego imię oznaczało „coś dobrego”.

Musiała przyzwyczać się do tej myśli; przez dzień lub dwa ten człowiek jawił jej się jako uosobienie wszelkiego zła.

Mnisi wciąż mieli trudności z poskromieniem Hildy. Mrucząc modlitwy, mające odwrócić przekleństwa, które na nich rzucała, Titus i James zwiążali ją w końcu, mocując sznur do haka w ścianie. W przeciwnym razie rzuciłaby się z pięściami na swojego męża. Czepek zsunął się jej z głowy, a rozczochrane włosy upodabniały ją do rudo-siwego borsuka. Z wyszczerzonych zębów zwisały pasemka śliny.

Opat popatrzył na nią, kręcąc głową, i oświadczył ze szczerym żalem w głosie:

– Obawiam się, że biedaczka oszalała.

– Podobno kobiety w pewnym wieku są na to podatne – dodał brat Aelwyn. Opat skinął głową, potwierdzając tę hipotezę.

Godwyn stanął przed nią i starał się ją uspokoić, tłumacząc pojednawczo:

– Nie mogłem tego zrobić, kochanie. Chyba to rozumiesz. Dla dobra twojej duszy, nie mogłem na to pozwolić. Nie mogłem tego zrobić ani tym dwojgu, tym bardziej że jedno z nich to biskup, ani tamtej trójce.

Hilda splunęła na niego.

– Tamtej trójce? – zapytał opat ostro.

– Nie! – Hilda szarpnęła się w więzach, ale sznur trzymał mocno. – Zdrajca, zdrajca, zdrajca...

Tamtej trójce? Jakiej trójce? Adelia z trudem przypomniiała sobie, że przecież zeszli do tego tunelu z Rowleyem, by szukać zwłok – i nie znaleźli niczego. Było to jak objawienie. Rozpacz po śmierci Emmy i jej synka ustąpiła nagle szalonej nadziei.

– Czy oni żyją? Gdzie są?

– Czy chodzi o tę zaginioną damę? – spytał opat, zdumiony ponad wszelkie wyobrażenie.

– Widzicie, nie mogłem dopuścić do ich śmierci – obciążłyby przecież jej duszę. Mieli też ze sobą dzieciaczka – tłumaczył Godwyn. – Tylko że nie mogłem ich uwolnić, boby na nią donieśli. Nie mogłem, prawda? Teraz poszedłem do was, bo nie umiałem jej zatrzymać. – Na chwilę zwrócił się do żony. – Nie chciałaś przestać, kochanie. Biskup, ta dama... tak nie mogło być dalej. Nie mogło, prawda? – powtarzał z twarzą zalaną łzami.

– Gdzie oni są?

– Na Wyspie Łazarza.

– Na Wyspie Łazarza? – spytał gniewnie opat. – Trzymałeś tam trzy osoby przez miesiąc? To niemożliwe! Trędowaci by mi powiedzieli.

Godwyn pochylił głowę.

– Postraszyłem ich, że jeśli ci, panie, o tym powiedzą, to więcej cię do nich nie przywiozę. Wstyd mi bardzo, ale myślałem, że wszystko się uspokoi i Hilda nabierze rozumu. – Poszukał wzrokiem żony. – Ale nic to nie dało, kochanie. Było z tobą coraz gorzej i gorzej.

Opat Sigward pokręcił głową i usiadł.

– Ano, tamci mieli się coraz gorzej, bo za długo siedzieli w tunelu. Źle z nimi było, bardzo źle, szczególnie z tym rycerzem i chłopcem, no i ta kobieta zgodziła się na wszystko, byle tylko zachować ich przy życiu. Musiałem poczekać, aż moja gdzieś pojedzie, i dopiero wtedy ich wypuściłem. Powiedziałem im, że jeśli chcą ocalić życie, muszą robić, co im każe. Potem zawiozłem ich na Wyspę Łazarza – wyrzucił z siebie. Przygarbił ramiona i dodał: – Koniec z tym wszystkim, na zawsze. Nie mogłem na to pozwolić, prawda? Ona nie chciała przestać.

Hilda znowu na niego splunęła.

– To już za nami, kochanie – zapewnił ją pojednawczym tonem i zwrócił się znowu do opata: – Uniewinnia ją, prawda, panie? Nie wiedziała, co czyni, bo zwariowała. Wy tłumaczysz im, dobrze? Robiła to dla ciebie. Wszystko robiła przecież dla ciebie.

– Dla mnie? – Sigward wbił w niego wzrok.

– Powiedz tylko, że żyją – wtrąciła ostro Adelia. Inne sprawy mogły poczekać. – Żyją?

– Nie wiedziałem, co mam robić – tłumaczył Godwyn, wciąż zwracając się do opata. – Przecież by na nią donieśli. Jak tylko mogłem, wozilem im tam po cichu jedzenie. – Zgarbił się jeszcze bardziej. – Wszystko skończone, tak czy owak, i niech Bóg zmiłuje się nad naszymi duszami.

Trędowaci. Emma była wśród trędowatych.

Adelia chwyciła opata za ramię.

– Musimy ich tu przywieźć. Jak najszybciej. Błagam, jedźmy po nich od razu.

Choć Sigward z trudem nadążał za biegiem wydarzeń, zachował jednak zdrowy rozsądek.

– Nigdzie nie będziemy jechać po ciemku. Ruszymy tam rano, moje dziecko. Kiedy nadejdzie świt, zrobimy wszystko, co trzeba.

Tak, o świcie... Była przecież ciemna noc. Adelia miała kłopoty z rachubą czasu, ale doszła do wniosku, że zaledwie dzień wcześniej, rankiem, obserwowała ze swej kryjówki w stajni odjazd Gylthy, Allie i Mansura, którzy udali się do Wells. W kilka godzin później nadeszła burza, ulewa i ciemności, w których Millie...

Millie.

Adelia ponownie chwyciła opata za ramię.

– Millie, ta dziewczyna z oberży. Hilda rzuciła się na nią...

– Gdzie to było?

– W oberży. Widziałam, jak upadła... muszę się nią zająć...

– Zostaniesz tutaj – odpowiedział twardo. – Bracie Jamesie, jesteś tu? Ruszaj, proszę, do oberży.

Mnich skłonił się i wyszedł w noc, by zająć się ostatnią osobą, za którą Adelia czuła się odpowiedzialna. Teraz dopiero ogarnęło ją osłabienie.

Poprowadzono ją do ławy przy stole. Poczowała, że ktoś przykłada jej do warg wygładzoną krawędź naczynia. Do gardła spłynął jej łyk brandy. Przełknęła i oparła głowę na stole, przysłuchując się histerycznemu bełkotowi Hildy i jakimś pytaniom, które opat Sigward zadawał Rowleyowi. Zasnęła.

Sen wydał jej się irytujący już w chwili, kiedy go śniła. Ginewra okazała się bez znaczenia i Adelia nie chciała nią sobie zawracać głowy, ale kobieta o twarzy kościotrupa znowu wyszła z oparów mgły, tym razem z Excaliburem w ręku. Trzymając w ręku miecz, odezwała się do niej: „Jesteś już blisko. Zbliżasz się do mnie. Podejdź jeszcze kawałek”.

Adelia obudziła się, zniecierpliwiona. Nie bała się już, bo żaden sen nie mógł być straszniejszy od koszmarnej rzeczywistości. Czuła tylko urazę, że ktoś przeszkodził jej w odpoczynku i obciążył poczuciem dojmującej odpowiedzialności.

Na zewnątrz było wciąż ciemno, ale odbłask ognia wy dobył z ciemności zarysy wielu nieruchomych postaci. Gdyby nie uspokajający odgłos pochrapywania, można by pomyśleć, że to ofiary kolejnej masakry.

Naprzeciw niej spali James i Aelwyn, wspierając zakapturzone głowy na stole jak na poduszce. Inni, ledwie rozpoznawalni w ciemnościach, leżeli na podłodze na paluszach, które przyniesiono z jakiegoś schowka. W hamaku zawieszonym na dwóch hakach wyciągnął się

wygodnie biskup St Albans. Adelia pośpiesznie podeszła do niego i zdjęła płaszcz, którym ktoś okrył go na noc.

Rowley oddychał regularnie, a jego cera odzyskała naturalny odcień. Nie budząc go, Adelia odgarnęła mu z twarzy włosy i zaczęła się przyglądać pozostałym śpiącym.

Opat leżał na boku, podłożywszy piękną dłoń pod policzek, jakby się nad czymś zastanawiał, choć powieki miał zamknięte. Obok przycupnął brat Titus, chrapiący najgłośniejszym ze wszystkich. Oparł głowę na kolanach, nawet we śnie nie oddalając się od Hildy, która rozciągnęła się pod ścianą, wciąż przywiązana liną do metalowego haka. Oczy kobiety były półprzymknięte, a obnażone zęby nadawały jej wygląd psa na uwięzi, który, choć jest pozornie uśpiony, może w każdej chwili rzucić się do ataku.

Zanim Adelia zasnęła, Rowley, Sigward i wszyscy mnisi ustalili, że Hildę należy traktować jak szaloną. To eleganckie, wyjaśniające wszystko rozwiązanie miało ją ocalić od szubienicy, ponieważ zgodnie z prawem wariaci, jako nieodpowiadający za swoje czyny, nie mogli być karani śmiercią. W ten sposób mężczyźni rozwiązali problem tajemniczej agresji, która – jak im się wydawało – była typową przypadłością kobiet w okresie menopauzy. Zmęczona Adelia nie brała udziału w dyskusji. Rowley upierał się stanowczo, że Hilda w swoim szaleństwie chciała ocalić Glastonbury, uniemożliwiając ustalenie prawdziwej tożsamości szczątków Artura i Ginewry.

Prawdę mówiąc, nie było powodów, by sądzić inaczej; Hilda niewątpliwie straciła rozum. Wydawało się też oczywiste, że przyszłość Pielgrzyma i opactwa zależała od przybycia tłumu wędrowców, żądnych odwiedzenia grobu króla Artura.

A jednak, zdaniem Adelii, to rozwiązanie niczego nie wyjaśniało. Wyglądało na to, że Hilda chciała również zasypać ją i Mansura w grobie na cmentarzu opactwa – ta kobieta zdradzała wyraźne upodobanie do grzebania ludzi żywcem. Takie okrucieństwo wymagało głębszego, bardziej przekonującego uzasadnienia – jeśli takie uzasadnienie w ogóle istniało.

Adelia przesunęła się dalej, by spojrzeć na osobę leżącą najbliżej drzwi. Dzięki Bogu, była to Mille. Dziewczyna oddychała spokojnie i miała na głowie opatrunek umocowany płóciennym bandażem. Jej ziemista cera nie wydawała się bledsza niż zwykle. Kolejna osoba, która na szczęście nie ucierpiała zbyt podczas tej koszmarnej nocy.

Brakowało tylko Godwyna.

Adelia wyszła na dwór za potrzebą. Ponieważ odrzucił ją – jak to elegancko określano – *odeur de merde*, unoszący się z wykopanej w ogrodzie latryny, z elegancko wyciętą w desce dziurą, pogardziła tym jakże korzystnym dla warzyw udogodnieniem, znalazła pod murem odpowiednio gęstą kępę krzewów, a potem poszła się umyć pod pompą w pobliżu kuchni.

Na wschodzie niebo zaczęło się już rozjaśniać, a nad jej głową rozległa się pierwsza poranna piosenka drozda, który ukrył się wśród gałęzi.

Nadchodził świt; jeśli miłosierny Bóg po raz kolejny okaże swoją wielkoduszność i zachowa przy życiu trzy dusze, przebywające na Wyspie Łazarza, ona, Vesuvia Adelia Rachel Ortese Aguilar, zostanie Jego dłużniczką na wieki.

Jakaś postać, łowiąca podbierakiem pstrągi przy świetle latarni, pozdrowiła ją okrzykiem i ruszyła w jej stronę.

Brat Peter zachowywał się dużo przyjaźniej niż poprzednio.

– Ano, ten czarniawy czarownik jest rzeczywiście mistrzem. Dobrze się sprawił... wiesz dla kogo – powiedział i puścił do niej oko. – Myślisz, że smakowałyby mu moje dynie? Doskonale dojrzały w tym upale. Mam nadzieję, że burza ich nie zniszczyła.

– Tak – odparła Adelia z westchnieniem – lord Mansur chętnie przyjmie dynie w zamian za uratowanie Willa i całej gromady.

Ociągał się jeszcze.

– Słyszałem, że w nocy było tu niezłe zamieszanie. Co wyście robili z biskupem w tej piekielnej dziurze.

– Nic przyjemnego, zapewniam cię – odparła.

– Ta cała Hilda jest kompletnie pomyłona. Zawsze taka była. Nie mam pojęcia, jak ten biedny Godwyn z nią wytrzymuje.

Adelii nagle coś się przypomniało.

– Czy mógłbyś mi pomóc z jednym drobiazgiem, bracie Peterze?

Poszli razem ku wejściu do tunelu. Pokrywa wciąż leżała obok. Adelia nie chciała nawet zaglądać do otworu, ale brat Peter chętnie zszedł na dół i zgodnie z jej wskazówkami wydobył skrzynkę i miecz, leżące na stopniach. Nie zamokły, woda do nich nie dotarła, bo rzeczywiście zaczęła odpływać, zgodnie z przypuszczeniami Rowleya.

– Skąd się to wzięło? – zapytał zdziwiony mężczyzna.

– Czy mogę pożyczyć twoją latarnię?

Kiedy podał jej żądany przedmiot, podziękowała mu krótko i odeszła, zanim zdążył zadać kolejne pytania.

Skrzynka zaintrygowała Adelię; nie umieszczono by jej w głębi tunelu, gdyby nie zawierała czegoś wartościowego. Albo kompromitującego. Albo i jedno, i drugie.

Prawdopodobnie znajdowały się w niej kosztowności Emmy. Zakładając, że Emma

wciąż żyła, cudownie byłoby zwrócić jej te drobiazgi na znak, że wkrótce odzyska wszystko, co do niej należy.

A potem, jak niegdyś Pandora, pomyślała: Do diabła z tym wszystkim, muszę wiedzieć, co tam jest w środku.

Akurat był dobry moment, żeby to zrobić. Potem, gdy ruszą na pomoc Emmie, będzie za dużo zamieszania. Lepiej jednak nie wchodzić do kuchni, bo niepotrzebnie pobudzi zmęczonych mnichów – przy otwieraniu zardzewiałego skobla na pewno będzie dużo hałasu.

Zabrała więc latarnię, miecz i skrzynkę i poszła w jedno jedyne miejsce, gdzie znajdował się odpowiedni do pracy stół i gdzie nikomu nie przeszkadzała.

Pomimo otaczającego ich ubóstwa i przemoczonych deszczem całunów szczątki Artura i Ginewry zachowały godność, przynależną milczącym, nieruchomym zwłokom.

Adelia, przepaszając za zakłócenie spokoju, zsunęła tkaninę okrywającą stopy Artura, wsunęła między nie latarnię, a następnie dopuściła się takiej samej niegodnej poufałości wobec Ginewry, ustawiając skrzynkę pomiędzy jej kośćmi.

Uchyliła drzwi, by wpuścić blade dzieńne światło dochodzące z zewnątrz i dodatkowo oświetlić pomieszczenie.

Narobiła sporo hałasu. Niełatwo było wsunąć czubek miecza pod zamknięcie. Ostrze chrobotowało nieprzyjemnie do wtóru przekleństw, jakie mruzczała pod nosem, sapiąc przy tym ze zmęczenia.

W końcu zamknięcie poddało się jej wysiłkom. Adelia odłożyła miecz i uchyliła wieczko.

Wewnątrz nie było klejnotów, tylko kości. Kości miednicy.

Ktoś z tyłu zakaszał.

Obróciła się, jakby przyłapano ją na czymś niegodnym, i zasłoniła skrzynkę przed wzrokiem intruza.

W progu stał Godwyn. Godwyn Dobry – człowiek, który uratował życie jej, Rowleyowi, a być może i Emmie. Godwyn Zły – mąż, który zgodził się, by jego szalona żona próbowała uciszyć niewygodne dla niej osoby. Godwyn, który nie zakazał jej bicia Millie.

– Czego chcesz? – warknęła. Przeszkodził jej w dokonaniu odkrycia, a poza tym nie chciała, by zobaczył skrzynkę. Być może stanowiła jego własność, ale jej zawartość na pewno należała do kogoś innego.

Człowiek, który ją tak zirytował, jak zwykle okazał się nieskończenie, przerażająco cierpliwy. Nawet nie drgnął. Na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia, tylko w oczach czaiła się rezygnacja wołu idącego na rzeź.

– Ujmie się pani za nią, prawda? – zapytał. – Biskup cię szanuje, powiedz mu więc, że ona nie wie, co czyni. Nawet jeśli stanie przed sądem, jedno słowo Jego Wysokości wystarczy... dzięki niemu nie skażą jej...

Adelia pokręciła głową nie po to, by zaprzeczyć, ale by powróciła jej jasność myślenia. Uznała, że powinna wysłuchać tego człowieka, który ocalił im życie, choć jego żona chciała je odebrać... a teraz walczył również o życie tej kobiety.

Godwyn mówił i mówił; prawdopodobnie przez pół nocy spacerował po opactwie, układając tę prośbę o ułaskawienie.

– Szkoda, że jej pani nie widziała w dzieciństwie... Miała ogniste włosy i ciągle paplała... jak świerszcz za kominem. Och, piękna była wtedy, ta moja Hilda. Przyszła do nas, jak miała jedenaście lat i została mleczarką. Doiła krowy naszego pana...

Skup się; ten człowiek mówi o czymś ważnym. Chce ci wyjaśnić, jak to się stało, że ze ślicznej mleczarki wyrosła morderczyni.

– Waszego pana? – zapytała dla jasności. – To znaczy opata Sigwarda?

– Wtedy był lordem Sigwardem, opatem został później. Ja zacząłem jako jego stajenny. Widzi pani, byłem przypisany do jego rodziny jak mój ojciec, a przedtem jeszcze ojciec mojego ojca. Dobrzy to byli panowie, wszyscy jak jeden mąż, pod warunkiem że uczciwie im służyliśmy i nie szczydziliśmy rąk przy pracy. Wkrótce zostałem masztalerzem, a Hilda jego gospodynią.

– Czy to znaczy, że zawsze ją kochałeś? – zapytała impertynencko. Wiedziała, że wykorzystuje bezbronnego, który był na jej łasce, ale musiała się tego dowiedzieć. Relacje między tą parą prawdopodobnie stanowiły klucz do całej historii.

Pytanie go zaskoczyło; poczuł się urażony. Gdyby tak bardzo nie potrzebował jej pomocy, pewnie odwróciłby się i odszedł.

– Robotna była zawsze – odpowiedział. Nie należało oczekiwać niczego więcej. Miłość to uczucie zarezerwowane dla klas wyższych i poetów. Spróbował się jednak uśmiechnąć. – Warta była starania, to pewne. Długo żem się do niej zalecał, prawda. Przez długie lata nawet patrzeć na mnie nie chciała.

– Dlatego że kochała się w waszym panu? – Skalpel wszedł głęboko, ale źródło zakażenia tkwiło jeszcze głębiej.

Godwyn był pełen urazy.

– Nigdy nie zaszło między nimi nic nieczystego – odpowiedział. – Nigdy, ale to nigdy. On prawie wcale nie zwracał na nią uwagi. Tak samo, jak teraz.

To była prawda, Adelia widziała to na własne oczy. Opat Sigward darzył swoją byłą

gospodynię takim samym uczuciem, jak ulubionego myśliwskiego psa.

– A mimo to dalej mu służyłeś?

To znowu go zaskoczyło.

– Był przecież moim panem. To nie jego wina ani Hildy, ani moja. Było, jak było. Taka służba. Dobry sługa, dobry pan, lojalni wobec siebie, i tyle.

– Rozumiem – oświadczyła Adelia, ale tak naprawdę wcale tego nie rozumiała. Osoba, która nie wyrosła od dziecka w systemie feudalnym, nie mogła zrozumieć tej więzi między członkami klas panujących i służebnych, ich wzajemnej akceptacji, tej wielowiekowej tradycji, która utrzymywała dystans pomiędzy nimi. System ten dopuszczał wprawdzie straszliwy wyzysk, ale potrafił też budować więzi lojalności i miłości – tak jak w domu Sigwarda przed jego przystąpieniem do stanu duchownego.

– Czy jego syna też kochałeś? – spytała.

Pytanie to sprawiło mu ból. Obnażył zęby w grymasie pełnym rozpacz i przytknął do ust zaciśnięte pięści. Był jednak bezradny. Jeśli chciał, by kobieta, przed którą stanął, uratowała jego żonę, musiał odpowiadać na jej pytania.

– Żal mi go było – wyjaśnił. – Mały, smutny chłopaczek, zupełnie jak jego matka, zanim umarła. Wszystkiego się bał. Posadziłem go kiedyś na kuca, ale tego też się bał. Jego ojciec był inny. Niczego się nie lękał, ten nasz pan. Za to chłopiec... – Godwyn przez chwilę szukał odpowiednich słów – ...lubił kwiatki, książki, malowidła i takie tam rzeczy. Nigdy nie narzekał, trzeba mu to przyznać. Rzygał za każdym razem, gdy pan brał go na polowanie, ale szedł, gdzie mu kazali, nawet nie pisnął.

– I tak samo poszedł na krucjatę?

Po co ja go tak dręcę, pomyślała ze zdziwieniem. Miała wrażenie, że to nie ona pragnie usłyszeć tę opowieść, że to szkielety leżące z tyłu ją do tego przymuszają.

Posunęła się za daleko. Spłoszone spojrzenie Godwyna zdradzało chęć ucieczki.

Wzięła go za rękę.

– Ujmę się za nią, Godwynie. Zrobię co w mojej mocy. Biskup też pomoże, przyrzekam ci to.

Tyle tylko mogła zrobić dla tego niedoskonałego, a jednak wspaniałego człowieka.

Oberzysta skinał, a potem zdjął czapkę z głowy i przyłożył ją do piersi gestem tak pełnym uległości, że zachciało jej się płakać.

– Pójdę przyszykować łódkę – powiedział.

Obserwowała, jak idzie w stronę pomostu: jego krępa, niczym niewyróżniająca się postać odcinała się od złocistoróżowej poświaty wschodzącego słońca.

Odwróciła się. Miała mało czasu, a musiała się o czymś przekonać. Pomimo wszystko uklękła na kilka sekund przed katafalkiem Ginewry, zanim odsłoniła całun i odsunęła górną część szkieletu od dolnej, pozostawiając makabryczną pustkę w miejscu, gdzie powinna znajdować się miednica. Pośpieszonymi ruchami zaczęła układać kości znalezione w skrzynce.

Niektóre były kompletnie pogruchotane, ale inne uniknęły zniszczenia i pozostały niemal nietknięte, choćby główka prawej kości udowej, która idealnie dopasowała się do panewki stawu biodrowego.

Kręgosłup został przecięty jednym potężnym uderzeniem. Dzięki temu trzy połączone ze sobą kręgi lędźwiowe doskonale połączyły się z resztą krzyża, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do swego pochodzenia.

Adelia odsunęła się o krok i spojrzała na swoje dzieło. Niewątpliwie, Ginewra stała się całością. Kości pasowały do siebie. Wszystko było w porządku.

Albo i nie.

Zaczęła robić pomiary, posługując się mieczem zamiast linijki. Zaznaczyła paznokciem odległości na patynie klingi. Przyjrzała się dokładnie kościom biodrowym; choć były strzaskane, wyraźnie widziała na nich typowe, charakterystyczne krawędzie. Zapominając o przeprosinach, ściągnęła całun ze szczątków Artura i powtórzyła pomiary, porównując jego łuk łonowy z kośćmi, które znalazła w skrzynce.

Z powrotem do Ginewry.

W końcu uzyskała pewność. Tu nie mogło być pomyłki.

– A więc to próbowałeś mi powiedzieć przez cały ten czas – odezwała się miękko.

Ginewra była mężczyzną.

Przykryła oba szkielety i usiadła na ziemi, opierając głowę o katafalk Artura.

Dwaj mężczyźni. Pochowano ich razem. Obaj zabici, jeden okrutnie okaleczony w okolicach genitaliów. Dwadzieścia lat temu.

Niuanse, pojedyncze zdania, sny, poszlaki, na które natrafiała w ciągu minionych dni, nie zwracając na nie uwagi – wszystko to napłynęło do jej umysłu i ułożyło się w logiczną całość.

A więc odpowiedzią była miłość. Miłość stanowiła jedyne możliwe powiązanie między żywymi a umarłymi, do których należały te nieszczęsne szczątki. Tak, połączyła ich miłość – uczucie, które potrafi przybierać tak wiele postaci. Może być niszcząca, cielesna, piękna, opiekuńcza i zachłanna. Miłość, która o mało co nie zabiła jej i Rowleya. Miłość, która doprowadziła do śmierci parę, którą później nazwano Arturem i Ginewrą.

Jakie to smutne.

Adelia wyszła, cicho zamykając drzwi wiklinowej chatki.

Ciepłe, poranne słońce wypijało wilgoć z nasączonej ziemi, zamieniając ją w mgłę. W niebo strzelał ogromny, odwrócony stożek – wir, który pojawił się nagle, nie wiadomo skąd. Znikały w nim jaskółki w pogoni za owadami, a po chwili pojawiały się znowu.

Nie wiadomo, czy Glastonbury rzeczywiście było czarodziejskim miejscem, które Mansur określił jako *omphalos*, ale tego ranka na pewno z ziemi emanowała magia. Adelia czuła, że tu właśnie jest Avalon; tu tajemne zaklęcia potrafią tchnąć siłę w niespokojne dusze, które ścigają ją i nawiedzają, zmuszając do odkrycia prawdy o sobie.

To niezwykle miejsce emanowało zapierającym dech w piersiach pięknem, które potrafiło zachwiać nawet najbardziej realistycznym światopoglądem.

Adelia, obdarzona umysłem prawdziwego naukowca, oparła się jednak jego czarowi. Sny o Ginewrze nie były mistyczne; ich źródłem musiały być wątpliwości, które trapiły ją od początku, gdy tak łatwo przystała na to, że szkielet Ginewry należy do kobiety, sugerując się opinią ogółu.

– Nie ma mowy, nigdy w to nie uwierzę – oświadczyła zirytowanym głosem.

A jednak sunęła po mglistych łąkach Glastonbury, nie widząc ziemi pod swymi stopami...

W końcu ruszyła w stronę pomostu. Ciszę przerywały tylko krzyki mew i kwilenie ptaków, które wychowywały swoje małe w kępach tataraku i pałek. Rzeka przybrała po deszczu; jeszcze nigdy nie widziała, by jej fale toczyły się aż tak bystro. Wyglądała jak granatowa wstążka, przewijająca się między wyspami po drodze do morza. Nieopodal był niewielki hangar, a przy nim Godwyn ładował zapasy do dużej łodzi, którą mieli popłynąć na Wyspę Łazarza, na spotkanie z uwięzioną tam Emmą.

Módlmy się, by nie było za późno.

Adelia zdjęła zniszczone, zdeformowane od wilgoci, poszarzałe buty i usiadła na pomoście. Zanurzyła stopy w wodzie i pomachała nimi, tworząc beztroskie, tęczone rozbryzgi.

Piękno otoczenia wydawało się zapewniać ją, że świat wrócił do normy i że Emma, Pippy i Roetger na pewno przeżyli i mają się świetnie pośród tych cudownych wzgórz, a wielki, starodawny król na pewno wybrał tę krainę na miejsce swego ostatniego spoczynku.

Żałowała, że nie potrafi uwierzyć w te życzenia. Jak miło byłoby zapomnieć o ludzkiej podłości, zachwycić się cudami przyrody, odrzucić dowody i potwierdzić, że pokiereszowane

kości w chatce to szczątki Artura i Ginewry, którzy zginęli w legendarnej bitwie, stoczonej w tak zamierzchłych czasach, że krzyki i szczęk oręża dawno już ucichły i stały się tylko westchnieniem na wietrze i piękną opowieścią.

Niestety, te krzyki i odgłosy ciosów rozlegały się całkiem niedawno, przed dwudziestoma laty. A ona była tym, kim była, i miała swoje zobowiązania wobec umarłych.

Poczuła, jak pomost dygoce pod czyimiś krokami. Po chwili ujrzała obok swoich nóg długie, białe, odziane w sandały stopy opata Sigwarda.

– Szukaliśmy cię, moje dziecko. Czy przyjdiesz coś zjeść przed wyjazdem?

Popatrzyła na niego z ukosa, osłaniając oczy dłonią.

– W jaki sposób zginął twój syn, panie? – spytała.

Przez chwilę siedział nieruchomo, jakby opuściło go życie. Nie odwracała od niego spojrzenia.

– A więc jesteś moją Nemezis – powiedział w końcu.

Skinęła głową.

Twarz opata nagle wypiękniała, jakby opromieniło ją wewnętrzne światło.

– Od dwudziestu lat czekam na to pytanie – wyznał, rozkładając szeroko ręce, jakby chciał pochwycić w objęcia cudowny krajobraz, niby kormoran, który rozpościera skrzydła, by wysuszyć je w promieniach słońca. – Spójrz, jaki piękny dzień wybrał Pan na tę spowiedź. Zapewnił mi nawet towarzystwo biskupa – rzekł z uśmiechem. – Zaczekaj tu, moje dziecko. Pójdę i sprowadzę resztę – dodał i ruszył do kuchni. Po chwili jednak zatrzymał się i spojrzał wprost na nią. – Sam go zabiłem – wyjaśnił.

Później, za każdym razem, gdy Adelia wspominała podróż na Wyspę Łazarza, uderzał ją ten kontrast. Takie opowieści należy snuć w ciemnościach, a przynajmniej powinny rzucać cień, który mrozi wszystko, co żywe. Tamtego dnia jednak płaskodenka popychana przez Godwyna gładko sunęła po powierzchni rzeki skąpanej w słońcu, a jej pasażerowie, czyli Sigward, Adelia, Rowley i Hilda, wyglądali, jakby płynęli na piknik.

W pewnym momencie opat przerwał swoją spowiedź, wyciągnął kosz, spakowany przez brata Titusa, otworzył go i wyjął dzban miodu oraz owsiane herbatniki.

– Jedzcie, pijcie – zachęcał, częstując wszystkich podróżnych.

Zachowywał się jak natchniony. Siedząc na jednej ze środkowych ławeczek, twarzą do biskupa St Albans, wyznawał swoje grzechy niemal z radością, trochę po łacinie, a trochę po angielsku, jakby obawiając się, że Adelia, jego Nemezis, która przycupnęła na rufie za Rowleyem, może czegoś nie zrozumieć.

Hilda – opat uparł się, że muszą ją zabrać – przysiadła na dnie łodzi, już uspokojona,

opierając głowę na jego kolanie jak znużony pies.

Opat opowiadał – bo była to bardziej opowieść niż spowiedź – o strasliwym cięciu toporem, które rozpołowiło ciało młodego człowieka. Mówił im o trzęsieniu ziemi, które nie tylko otworzyło w ziemi szczelinę, ale także zmieniło Sigwarda, pana na włościach, w Sigwarda, pokornego mnicha z opactwa Glastonbury, a z czasem opata.

Mówił o nich jak o dwóch różnych osobach:

– Lord Sigward był przekonany o słuszności swoich racji – tłumaczył. – Dawał jałmużnę biednym, budował kościoły i oratoria, by Bóg stale pamiętał o jego cnotach. Rządził swym królestwem sprawiedliwie, z Biblią w ręku, wiedząc, że kieruje się jej zasadami. Nurzał się w podziwie swego otoczenia. Służba słusznie go kochała... – z roztargnieniem poklepał Hildę po ramieniu – ...przynajmniej ci, którzy wytrwali w jego majątku, bo karał ludzi bez zwłoki i srodze i szybko pozbywał się tych, którzy byli mu niechętni.

Adelia, żałując, że musi wysłuchiwać tego wszystkiego, wpatrywała się w toń rzeki, przebierała palcami w wodzie i obserwowała ślad, jaki zostawiały na jej powierzchni. Zaniepokojona jego widokiem kurka wodna pośpiesznie zaganiała swoje pisklęta w przeciwną stronę...

– Lord Sigward starannie wybrał sobie żonę, ale rozczarowała go wielce: nie rozumiał, czemu się go bała. Urodziła mu syna i umarła. Nie miało to większego znaczenia, bo doczekał się spadkobiercy. Wydał więc wspaniałą ucztę, by pochwalić się potomkiem przed całym Somerset. Niestety, chłopak także go zawiódł. Był słabeuszem, podobnie jak matka. Kulił się ze strachu, gdy ojciec zwracał się do niego, nie radził sobie z bronią i marny był z niego myśliwy. Nad męskie rozrywki przedkładał książki, jak jakiś gryzipiórek.

Adelia popatrzyła na wyprostowane plecy Rowleya; biskup odwrócił twarz od człowieka, który siedział naprzeciwko, jakby ukryli się w zaciszu konfesjonału. Przed odjazdem nie miała nawet chwili, by uprzedzić go, co się szykuje. Gdy opat przeżegnał się i wygłosił formułkę: „Wysłuchaj mnie, ojcze, i pobłogosław, bo bardzo zgrzeszyłem”, jej ukochany drgnął i cofnął się, jakby chciał zaprotestować.

Nienawidził spowiedzi.

– Kimże jestem, by wydawać wyrok na grzeszników? – irytował się zawsze. Podobnie jak Tomasz Becket został mianowany przez króla, nie przez Kościół, a jego powołanie na stolicę biskupią było dosłownie kwestią chwili – jednego dnia został wyświęcony, a następnego był już kościelnym dostojnikiem.

Płaskodenna łódź przyspieszała i zwalniała, gdy Godwyn, z twarzą wypraną z wszelkich emocji, raz za razem zanurzał drąg i odpychał go od dna. Wydawało się, że słowa

płynące z ust jego dawnego pana mają dla niego nie większy sens niż piosenka trznadli ukrytych w szuwarach.

– Gdy chłopak skończył szesnaście lat, lord Sigward uznał, że czas już, by odzyskać szacunek okolicy i zdobyć zasługi u Pana. Postanowił więc wysłać jedynego syna na krucjatę. Wyposażył go szczerze we wszelką broń i ekwipunek, dał mu do jazdy wspaniałego rumaka... który był dla niego za duży. – Po raz pierwszy głos opata się załamał; mężczyzna zrobił głęboki wdech i podjął swoją opowieść. – Wydano pożegnalną ucztę dla całego hrabstwa, by życzyć paniczowi zwycięstwa i wychwalać ojca, który, choć zaspokoił swoją dumę, z zalem patrzył, jak chłopak rozkwita na samą myśl, że znajdzie się z dala od niego.

Nad powierzchnią wody przemknęła ważka. Na chwilę przysiadła na burcie jak przezroczysty klejnot i odleciała.

– Minęły cztery lata bez jednego słowa od młodego lorda. Do innych ojców docierały różne wieści, przywożone z Ziemi Świętej przez towarzyszy ich synów. Czasem donoszono, że ich dzieci żyją, czasem, że pomarły. Tylko lord Sigward nie wiedział nic o swoim potomku. W końcu uwierzył, że jego chłopak także umarł, może nawet padł w bitwie pod Ascalonem – potężną fortecą, gdzie z rąk zwycięskich Saracenów zginęło wielu chrześcijańskich rycerzy. Gdyby tak się rzeczywiście stało, mógłby wydać kolejną ucztę, tym razem pożegnalną – przecież to wielki zaszczyt dla lorda Sigwarda, że jego syn oddał życie, walcząc, by Ziemia Święta powróciła do Boga.

Adelia obserwowała, jak zimorodek, który przysiadł na gałązce olchy, nagle przemienił się w tęczową smugę, zanurkował w wodzie i wynurzył się z ząbą w dziobie.

Robiło się gorąco. Opat Sigward zdjął kaptur i wystawił tonsurę na słońce. Wciąż był pełen emocji, ale jego palce zaciśnięte na podolku wyraźnie pobielały – dochodził do kluczowego momentu swojej opowieści.

Adelia próbowała wmówić sobie, że ten dźwięczny głos, niosący się nad mokradłami, to po prostu głos bazarza, snującego opowieści na rynku. To było dwadzieścia lat temu, tłumaczyła sobie w myśli. Oni nie żyją już od dwóch dziesiątków lat. Dzisiejszy opat i tamten morderca to dwie różne osoby.

Nieprawda. To on ich zabił.

Zdarzyło się to w wigilię dnia świętego Stefana 1154 roku, opowiadał opat. Noc była bardzo niespokojna.

Święta Bożego Narodzenia minęły radośnie. Lord Sigward, jako dobry pan, pozwolił służącym rozjechać się z wizytą do swoich rodzinnych wsi, jak co roku.

– Oprócz Hildy – tu opat poklepał po głowie skuloną obok niego kobietę – która nie

chciała go zostawić, i oprócz Godwyna... – uśmiechnął się do mężczyzny, popychającego łódź – ...który nie chciał zostawić Hildy. Poza nimi we dworze nie było nikogo.

Gdy lord Sigward samotnie spożywał wieczerzę w jadalni, Godwyn, pełniący rolę odźwiernego, usłyszał głośnie stukanie do bramy i pośpieszył ją otworzyć. Stało w niej dwóch młodych mężczyzn. Po chwili lord Sigward znalazł się w objęciach swojego syna. Z płaszcza młodziana kapłała woda, zostawiając ślady na jedwabnych szatach ojca.

– Jesteśmy w drodze z Outremer od trzech miesięcy, ojcze, i strasznie chce nam się jeść.

Lord Sigward natychmiast poczuł przyływ gniewu; gdyby syn zawiadomił go wcześniej, mógłby zaprosić sąsiadów i zgotować mu powitanie godne bohatera. Jednak zachował cierpliwość i wezwał Hildę, by podała wieczerzę.

Gdy obserwował posilających się mężczyzn, jego gniew wciąż potężniał.

– Powinien się cieszyć – opowiadał opat – bo jego syn wreszcie stał się mężczyzną, jak się patrzy. Lata spędzone w Ziemi Świętej dodały mu pewności siebie. Patrzył ojcu prosto w oczy; nie lękał się go już. Zachowywał się, jakby był mu równy – i lord Sigward nie mógł tego znieść.

Podobnie drażnił go miły uśmiech, z jakim jego syn zwracał się do przyjaciela, a nie do swego ojca.

Obaj młodzi ludzie mieli na wyblakłych tunikach ślady po znaku krzyża, który widocznie odpruli. Kiedy lord Sigward zapytał, dlaczego pozbyli się szczytowego symbolu krzyżowców, jego gniew znalazł wreszcie uzasadnienie.

– Naigrawali się ze świętości krucjaty, żartowali ze szlachetnego celu, którym było wygnanie Saracenów z ziemi, po której stapał Jezus. Tłumaczyli, że mają dość widoku śmierci i że krucjata tylko rozwścieczyła mahometan. Jaki jest sens w mordowaniu arabskich mężczyzn, kobiet i dzieci, jeżeli z każdym zabitym przybywa kolejna setka wyznawców proroka, która płonie nienawiścią do chrześcijan? Czy tak należy wypełniać nauki Pana Naszego?

Lord Sigward, przepełniony zbyt wielką furją, by z nimi rozmawiać, opuścił jadalnię i udał się do łóżnicy. Nie mógł jednak spać, gdyż obawiał się, że grzeszne poglądy syna okryją hańbą jego nazwisko. Wstał więc w środku nocy i poszedł do jego pokoju, by się z nim rozmówić.

– Jego syn był w łóżku ze swym przyjacielem – opowiadał opat. – Byli nadzy i oddawali się sodomii.

Lorda Sigwarda ogarnęła ślepa furia. Bezszelestnie zamknął drzwi wiodące do

komnaty kochanków i poszedł po topór.

Opat opowiadał dalej:

– Lord... nie, nie powinienem myśleć o sobie w trzeciej osobie. To byłem ja. Ja ich zamordowałem. Z toporem w dłoni wpadłem do łóżnicy i zabiłem ich, gdy leżeli w swoich ramionach. Wymierzałem cios za ciosem, bez końca i bez opamiętania, nawet gdy już od dawna byli martwi.

Po obu stronach rzeki pojawiły się gęste kępy sitowia; Godwyn potrącał swoim drągiem złote lilie wodne. W zaroślach na brzegach śpiewały brodzce piskliwie, w słodkim kontrapunkcie z wypranym z emocji ludzkim głosem.

– Wydawało mi się, że dobrze zrobiłem. Czyż nie poszedłem w ślady Pana, który ukarał za grzech mieszkańców Sodomy i Gomory? Czyż w Księdze Kapłańskiej nie napisano, że mężczyzna, który pokłada się z innym mężczyzną jakoby z kobietą, dopuszcza się czynu zdróżnego, zasługującego na karę śmierci?

Lord Sigward, cały zalany krwią, zszedł więc na dół i zasiadł za stołem, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń.

Hilda usłyszała krzyki i przybiegła, by zobaczyć krwawą jatkę. Pomordowani chłopcy mieli dla niej drugorzędne znaczenie: liczył się tylko jej ukochany pan. Nikt nie powinien dowiedzieć się o tym, co stało się tej nocy we dworze.

Zajęła się wszystkim. Kazała Godwynowi zrobić trumnę, a sama zabrała się do szorowania i prania. Ciała ułożono na prześcieradle, pościel spalono.

– Jednym z większych grzechów, jakie popełniłem tej nocy, było wciągnięcie w tę sprawę pary moich dobrych służących – przyznał opat Sigward, spoglądając na Godwyna. Oberżysta uparcie wpatrywał się w rzekę.

Ciała włożono do trumny, by je pochować w tajemnicy gdzieś na terenie majątku...

Wtedy właśnie zatrzęsa się ziemia.

– Świat zachwiał się w posadach. Ziemia się otwarła. Rozległ się straszliwy hałas, jakby głos Boga ozwał się z bliska, ogłaszając przez chmury nadejście zniszczenia.

Opat kiwnął głową na potwierdzenie własnych słów.

– I tak było, zaiste tak było. Usłyszałem Go. Czy twoją rzeczą jest potępiać ludzi, morderco? Czy po to posłałem na ziemię mego Syna, by mówił o miłości i przebaczeniu? Kimże jesteś, by stawać przeciwko niemu? Zabiłeś synów dwóch matek, Sigwardzie. W twojej arogancji i podłości dwakroć popełniłeś synobójstwo i ponownie ukrzyżowałeś Syna Człowieczego.

Taki sam głos usłyszał Saul na drodze do Damaszku.

Głos ten zmusił lorda Sigwarda, by przyjrzał się swoim uczynom. Przeraziło go to, co zobaczył. Był ludzką bestią, pełną nienawiści i pychy, bezlitosnym rzecznikiem wszystkich praw, z wyjątkiem tych najważniejszych. Był mordercą. To on zabił swoją łagodną żonę, która zmarła, nie zaznawszy miłości. Ujrzał otchłań, która na niego czekała, i nie było w niej płomieni, tylko rozpacz i pustka, jak w duszy Sigwarda. Wiedział, że będzie w niej dygotał samotnie przez całą wieczność.

– Zacząłem tarzać się w prochu, błagając o litość i wiedząc, że nie zostanie mi ona okazana, bo sam jej nikomu nie okazałem – opowiadał opat. – Posadzka kołysała się pod mną to Bóg zesłał na mnie karę i potępienie.

Gdy trzęsienie ziemi dobiegło końca, z ziemi podniósł się inny człowiek, choć ledwie mógł stać na nogach, tak był przerażony swoimi uczynkami. Wiedział już, że nie wolno mu pochować chłopców w niepoświęconej ziemi; aby ułagodzić rozgniewanego Boga, postanowił zabrać ich ciała do najświętszego miejsca, jakie znał – do pobliskiego opactwa Glastonbury.

– Naturalnie, byłem tak podły, że próbowałem układać się z Bogiem. Postanowiłem, że jeśli moja zbrodnia wyjdzie na światło dzienne, to poniosę karę. Jeśli nikt się o niej nie dowie, to oddam Mu wszystkie moje ziemie i majątki, a ja przez resztę moich dni będę służył z miłością Jego Synowi. – Zwrócił się do Adelii. – Mówiłem kiedyś pani, że jestem hazardzistą. To był mój hazard.

Pokiwała głową.

Tylko jednej rzeczy nie był w stanie zrobić.

– Nie mogłem pochować syna w całości. W gniewie rozciąłem jego ciało na trzy części i rzuciłem genitalia na podłogę. Nawet teraz... Matko Boska, co za obłęd... Nawet teraz nie chciałem go ponownie pogrzebać, jakbym wciąż chciał ukrywać jego naturę. Hilda zajęła się szczątkami, pochowała je osobno – i to był kolejny grzech, który dla mnie popełniła.

To nie Hilda, pomyślała Adelia. To Godwyn. Po twarzy oberżysty spływały łzy. To był on. Boże, jakże cudowna i niezwykła jest natura ludzka... Przez chwilę zastanawiała się, co oberżysta uczynił z tym przerażającym kawałem ludzkiego ciała, gdzie go przechował do chwili, gdy pozostały same kości i mógł je przyzwoicie pochować... Przecież zawsze kochał tego chłopca i było mu go serdecznie żal.

Owej strasznej nocy trumnę ze zwłokami kochanków załadowano więc na łódź i przewieziono na pomost, należący do opactwa. Nie było tam żywego ducha, bo wszyscy mnisi ukryli się na górze Tor, błagając o zmiłowanie.

Sigward, Hilda i Godwyn jakoś dociągnęli trumnę na cmentarz, gdzie chowano

zmarłych mnichów.

– W ziemi ziała szczelina, jakby sam Bóg przygotował miejsce pochówku dla naszego brzemienia. Opuściliśmy do niej trumnę, a ja pomodliłem się o litość nad tymi dwiema duszami, i nade mną. Zapłakałem nad nimi, chyba pierwszy raz w życiu.

– Jak miał na imię twój syn? – spytała Adelia, unosząc głowę.

Rowley drgnął; chyba zapomniał o jej obecności. Opat jednak o niej pamiętał.

– Artur. Nazywał się Artur – odparł z uśmiechem.

Wszystko było jasne.

– A ten drugi chłopiec? – zapytała, koniecznie chcąc nadać szczątkom jakąś tożsamość.

– Niech mi Bóg wybaczy, ale zapomniałem, nawet jeśli mi go przedstawiono – powiedział i wyciągnął ku niej dłoń, pytając: – Czy mnie potępiasz?

Nie ona powinna o tym decydować. Ten człowiek nosił potępienie w swojej duszy. Dla Adelii ważniejsze było, czy ten straszliwy grzech i jego dalekie konsekwencje, czyli wysiłki Hildy zmierzające do ukrycia zbrodni, spowodowały śmierć trzech kolejnych osób. Jak daleko jest jeszcze do wyspy? Za każdym razem, gdy mijali jakąś wysepkę – na większości pasły się tylko owce i bydło – odczuwała nieznośne napięcie, a potem rozczarowanie.

Krajobraz zmieniał się powoli: w powietrzu czuło się morską sól, w miejsce tataraku pojawiły się brązowe trawy, rosnące na brzegach, na które przyływ przyniósł dość morskiego piasku.

Adelia, znużona ciągnącą się w nieskończoność spowiedzią, wpatrywała się w ledwie widoczną na horyzoncie wysepkę, która przerywała prostą, jakby odrysowaną przy linii, granatową linię horyzontu.

Opat opowiadał, że gdy tylko przywdział mnisi habit, zaczął prowadzić życie pełne wyrzeczeń i surowych pokut.

– Nawet wtedy ja, wielki grzesznik, nie potrafiłem ujawnić swoich uczynków, choć codziennie wyznawałem je Bogu i błagałem Go o przebaczenie.

Jego przykładowe zachowanie sprawiło, że po śmierci starego opata mnisi powierzyli mu tę funkcję.

Przyjął ją jako znak, że Bóg okazał mu swą łaskę i być może udzieli mu przebaczenia, jeśli dzięki niemu Glastonbury jeszcze bardziej zasłynie świętością i dostatkiem.

– Udało mi się to, z bożą pomocą – powiedział po prostu. – Z każdym kolejnym ulepszeniem zyskiwałem pewność, że Pan mi w końcu wybaczył. – Pokręcił głową. – Ale

pamięć naszego Pana jest dłuższa, niż mi się wydawało, podobnie jak pamięć pewnego walijskiego barda. Gdy król Henryk nakazał nam kopać między piramidami, zacząłem się zastanawiać, czy spotkam wreszcie swoją Nemezis. Wiedziałem, że przyjmę wszystko, co los mi przyniesie. Ale nie, Pan oszczędził mnie po raz kolejny: uznano, że w trumnie spoczywają szczątki króla Artura i Ginewry. Pomyślałem więc, że oto Pan pozwala mi jeszcze ciężiej pracować dla swojej chwały. Być może pożar, który pochłonął moje opactwo, był ostateczną karą i pielgrzymi wkrótce powrócą do Glastonbury.

Zaskoczona Adelia popatrzyła na opata. Zaśmiała się. Naprawdę się zaśmiała.

– Nasz Pan ma poczucie humoru – powiedział do Rowleya. – Wiedziałeś o tym? Przesłał do mnie prawdziwą Nemezis w przebraniu Saracena i kobiety – przedstawiciele rasy i płci, które dawny Sigward darzył najgłębszą pogardą.

Adelia odwróciła się znowu, zadowolona, że opat zakończył swoją opowieść. W ciszy słysząc było tylko klangor gęsi ciągnących w stronę łądu.

– *Deinde, ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti*¹⁰.

– Rowley udzielał rozgrzeszenia głosem, który ledwie rozpoznała.

– Udziel też temu biednemu dziecku rozgrzeszenia za grzechy, które popełniła z mojej winy – poprosił Sigward. – Zrób to, Hildo, od razu poczujesz się lepiej – tłumaczył, jakby chciał namówić przycupniętą u jego stóp kobietę do przyjęcia niesmacznego lekarstwa.

Po chwili Hilda mruknęła coś niechętnie i Rowley, nie mając innego wyjścia, jej również udzielił rozgrzeszenia w imieniu swojego Boga.

Wyspa Łazarza była już blisko. Teraz dopiero Adelia zrozumiała, dlaczego stała się więzieniem dla trędowatych. Rzeka Brue rozlewała się tu leniwie wśród piaszczystych łąch podchodzących pod sam brzeg; między łąkami błyskały lusterka wody. Bagienny mech, ten doskonały środek opatrunkowy do zanieczyszczonych ran, pokrywał wszystko gęstym kożuchem. Jednak miejsce to było bardzo niezdrowe: poduszki mchu stale dygotały i wydzierały zapach zgnilizny, a ruchome piaski pod spodem wydawały odgłosy przypominające siorbanie zupy.

A do tego...

– Och nie... spójrzcie, co tam się dzieje – powiedziała nagle.

Nieopodal jeleń nastąpił na jedną z tych pięknych poduszek mchu. Natychmiast się pod nim zarwała. Zapadł się w piasek. Gorączkowo zaczął bić kopytami przednich nóg w mech i bagno... szarpał rogatą głową, jakby chciał wyrwać ciało z wsysającej je otchłani i

¹⁰ (łac.) – Odpuszczam ci grzechy w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego (przyp. tłum.).

rozpaczliwie ryczał.

– Pomóżmy mu! Czy możemy mu jakoś pomóc?

Opat popatrzył na Godwyna.

– Czy można mu pomóc? – powtórzył.

Oberżysta pokręcił głową.

– Nic z tego.

– Moglibyśmy go przecież wyciągnąć – błagała Adelia.

– Za ciężki – wyjaśnił. – Ten piasek... ten piasek wciąga ciało w głąb i sprawia, że staje się dziesięciokrotnie cięższe. Równie dobrze moglibyśmy holować cały dom. Wciągnąłby nas za sobą.

– Udusi się – rozpacziała. Nie mogła na to patrzeć, nie mogła tego słuchać.

– Nie – odparł łagodnie Godwyn. – Nie zapadnie się głębiej. Będzie unosił się na powierzchni. Dzisiaj jest przypływ – jesteśmy w ujściu rzeki. W końcu się utopi, biedaczysko. To lżejsza śmierć.

Adelia była innego zdania, podobnie jak jeleń. Choć opłynęli już wysepkę i zbliżali się do pomostu, wciąż słyszeli jego rozpaczliwy ryk.

Przed nimi rozciągały się zabudowania, przypominające zadbaną wioskę. Gliniane chaty, pokryte strzechami z sitowia, były otoczone ogródkami. Dalej ciągnęły się pola i pastwiska z owcami i bydłem. W środku wznosił się kamienny kościółek z dzwonnica. Widać było, że opat Sigward – cokolwiek by o nim myśleć – zapewnił swoim podopiecznym wszystkie możliwe wygody. Ktoś uderzył w kościelny dzwon; na mołu pojawił się tłum ludzi, którzy radośnie witali opata.

– Nie wyglądają na trędowatych – odezwał się Rowley do Adelii.

Z tej odległości rzeczywiście nie różnili się od zdrowych ludzi. Niektórzy mogli jeszcze chodzić i pracować; inni nie zarazili się trędem, ale musieli pozostać na zawsze w kolonii jako nosiciele choroby.

Nie spostrzegła wśród nich Emmy, Roetgera ani Pippy'ego. Choć były tam dzieci... tak, na miłość boską, były tam dzieci...

– Dzieci? – spytał Rowley.

– Tak jest – odparł pogodnie opat. – Kościół nakazuje trędowatym żyć w czystości, więc nie powinienem udzielać małżeństw, ale nie trzymam się tego. Chrzcę też ich dzieci. Nauczyłem się, że miłość ludzka jest równie cenna jak boska.

Ludzie zgromadzeni na pomoście wyglądali dostatnio, podobnie jak ich domy. W odróżnieniu od zwykłych wieśniaków, mieli na sobie identyczne czarne kapelusze o szerokich

rondach, przypominające nakrycia głowy pielgrzymów. Gdy łódź dobiła do pomostu i Godwyn troskliwie przywiązał ją, a potem zabezpieczył łańcuch kłódką, trędowaci hurmem ruszyli w stronę Sigwarda, pomogli mu wysiąść, zaczęli go obejmować, całować po rękach i witać. Niektórzy ciągnęli go do domów, by pobłogosławił chorych, którzy nie mogli już wstać.

Adelia, choć niespokojna i przestraszona, przyglądała im się okiem naukowca, wypatrując pierwszych objawów choroby: wychudzenie spowodowane brakiem apetytu, powykęcane dłonie, wypryski i rany na twarzach. Przyjazd opata wytrącił ich wszystkich z typowej dla trądu obojętności.

Gdyby nie Emma, chętnie by tu została, by ich zbadać i zadać kilka pytań. Co to jest trąd? Czy rodzice przekazują go dzieciom? Dlaczego niektórzy nim się zarażają, a inni nie? Jakie warunki sprzyjają zarażeniu, a jakie mu zapobiegają?

Jednak w tej sytuacji...

– Gdzie są moi przyjaciele? – zapytała Godwyna ostrym tonem.

Rowley, krzywiąc się na widok ludzi na pomoście, niechętnie wysiadł z łodzi i przylączył się do oberżysty i Adelii czekających nań na pomoście. Starannie omijał tłumek, cisnący się wokół Sigwarda.

Hilda pozostała na kolanach na dnie łodzi, opierając głowę o ławeczkę, na której siedział opat. W jej oczach malowała się pustka.

– Zaraz wrócę, kochanie – zapewnił ją mąż. Nawet nie drgnęła.

Pozostawiwszy opata wśród trędowatych, Rowley z Adelią ruszyli w ślad za Godwynem piaszczystą drogą, biegnącą przez wioskę – tyle że teraz osada w żaden sposób nie przypominała już normalnej ludzkiej siedziby. Ludzie siedzący w progu domów nie plotkowali ze sobą, nie tkali ani nie zajmowali się dziećmi; choroba zjadała ich żywcem, jak szczur, który odziera padlinę z ciała. Byli do siebie straszliwie podobni – to trąd nadał ich twarzom wyraz lwich pysków.

Nie mieli już czucia w kończynach, więc czasem przypalali sobie nieświadomie skórę albo ranili się, nie wiedząc o tym; nieraz zdarzało się, że tracili w ten sposób palce, które oszczędziła nekroza. Jakiś ślepy, bosonogi mężczyzna siedział w progu, nie czując, że mewa dziobie go w kikut.

Adelia przepędziła ptaka, pochyliła się i zakryła nogi chorego skrawkiem koca, na którym siedział. Rowley odciągnął ją na bok.

– Na litość boską, nie dotykaj go. Nie możesz zajmować się wszystkimi – mruknął i pociągnął ją za sobą.

Wszystko, co widziała w tej wiosce, krzyczało o pomoc, wiedziała jednak z opowieści swojego przybranego ojca, że wprawdzie z początku opium może uśmierzyć ból, ale chorzy w zaawansowanych stadiach choroby już na nie nie reagują. Umierają powoli, centymetr po centymetrze. Nic nie jest im oszczędzone, nie wyłączając smrodu gnijącego ciała.

– Pierworodni śmierci – zacytował Rowley z Księgi Hioba.

Nic dziwnego, że według uczonych Kościoła ci ludzie nie pójdą po śmierci do piekła; poznali je przecież za życia. Z jednego z domków rozległo się niewyraźne wołanie o wodę. Nie sposób było odgadnąć, czy to krzyk mężczyzny, czy kobiety. Po chwili pojawiła się dziewczynka z wiadrem i pobiegła do studni. Adelia wiedziała jednak, że woda na nic się nie zda; pragnienie konających wydawało się nie do ugaszenia.

W końcu minęli wioskę; w oddali zamigotało morze. Nadchodził ożywczy przypływ, który odświeży powietrze nad mokradłami, oczyszczając ich pamięć z tych strasznych widoków i zapachów.

Och, niech wreszcie zdarzy się coś dobrego, rozpaczliwie myślała Adelia. Niech okaże się, że Emma i Pippy żyją. I Roetger też.

– Gdzie oni są?

Godwyn wskazał na pasterską chatę, ukrytą w niewielkim zagajniku.

– Nie chciałem zostawić ich blisko trędowatych – wyjaśnił.

Adelia ruszyła biegiem, płosząc po drodze owce. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, z komina unosiła się cienka smuga dymu: ktoś gotował posiłek.

Nad pobliskim strumykiem jakiś dzieciak w łachmanach budował tamę z patyków. Adelia przeskoczyła przez strumyk i chwyciła go na ręce, okrywając pocałunkami umorusaną twarzyczkę.

Na progu chaty ukazała się wychudzona kobietą która wyglądała jak czupiradło. Osłoniła oczy dłonią, a potem upadła na kolana, niby kukielka, której nagle ktoś przeciął sznurki.

Adelia przygarnęła ją do siebie i uściśnęła tak mocno, że o mało nie zgmiotła Pippy'ego.

– Już dobrze, Em, już dobrze, moja kochana dziewczynko. Wszystko będzie dobrze.

W najgorszym stanie z całej trójki był Roetger – wycieńczony gorączką i słaby.

– Był taki dzielny, Delio – powtarzała ze łzami Emma. – Bez niego byśmy pomarli.

Rowley pomógł mu iść, podpierając go z jednej strony. Z drugiej rycerz wspierał się

na prowizorycznej kuli. Godwyn chciał pomóc, ale Emma splunęła na niego.

– Nie zbliżaj się do nas. Idź precz.

– Przecież Godwyn uratował wam życie – ujęła się za nim Adelia.

– Nic mnie to nie obchodzi. Trzymaj go z dala od nas.

Oberżysta poprowadził ich naokoło wioski, by oszczędzić im widoku nieszczęsnych chorych przy głównej ulicy. Gdy wędrowali ścieżką na tyłach domów, usłyszeli głośny okrzyk, dochodzący z pomostu.

Po chwili powietrze rozdarły kolejne krzyki. Godwyn ruszył biegiem. Jego niedawni więźniowie, wciąż osłabieni, nie mogli dotrzymać mu kroku. Adelia niosła małego Pippy’ego.

We wsi odezwał się kościelny dzwon – powoli, miarowo obwieszczając czyjąś śmierć.

Wreszcie ujrzeli łódź. Była pusta. Godwyn stał na pomoście, szarpiąc się z przytrzymującymi go mężczyznami i krzyczał rozpaczliwie.

Zdumiona Adelia skierowała wzrok w miejsce, na które wskazywali podnieceni ludzie.

– Święta Mario, Matko Boża, zmiłuj się nad nami – wyszeptał Rowley.

Wysoka postać – opat Sigward, którego sylwetka wydawała się drobna z tej odległości – szedł prosto na bagna. Otaczał ramieniem Hildę, która rozpaczliwie tuliła się do niego, i zachęcał ją do wejścia na mokradła. Brodzili po kostki w wodzie, bo przyływ właśnie się zaczynał.

– Można pójść za nimi? – Zwrócił się Rowley do stojących obok mężczyzn.

– Lepiej nie – odparł jeden z nich, z twarzą zalaną łzami. – Ruchome piaski. Boże, zmiłuj się nad nimi.

Można było tylko patrzeć. Dzwon w wiosce bił miarowo. Dwie postaci szły już po kolana w wodzie, ale opat wciąż kroczył do przodu, choć musiał siłą ciągnąć kobietę, która wydawała się całkiem bezwolna.

Nagle postaci znieruchomiały, jakby coś niespodziewanie chwyciło je za nogi; po chwili zaczęły powoli tonąć. Wzbierająca szybko woda sięgała im do ramion. Opat uniósł kobietę, by jej głowa znalazła się na tej samej wysokości, co jego. Trwali tak przez minutę lub dwie – czas, który wydawał się wiecznością.

W końcu opat uniósł dłoń, wyraźnie rysującą się na tle błękitnego morza, i dał się słyszeć jego głos, który echo poniosło ponad wodami:

– Panie Jezu, Synu Boży, zmiłuj się nad nami grzesznymi.

Rozdział 13

Musieli użyć siły, by powstrzymać Godwyna, który wrywał się, pragnąc wydobyć żonę z ruchomych piasków. Po długiej walce ucichł, osłabł i przestał szarpać się z przytrzymującymi go ludźmi. Przez cały czas nie odwracał oczu od miejsca, gdzie opat i Hilda pogrążyli się w wodzie.

Wszyscy wokół byli w stanie szoku; trędowaci nie rozumieli, co się stało.

– Przecież był taki radosny – powtarzał wciąż jeden z nich. – Udzielił nam komunii i błogosławieństwa. To święty człowiek. Dlaczego to zrobił?

Jakaś kobieta zaczęła jęczeć.

– Co my teraz zrobimy? Co z nami będzie bez niego?

– To był wypadek – oświadczył stanowczo Rowley. Zaskoczona Adelia aż podskoczyła na dźwięk jego głosu. – Poszedł z tą kobietą na spacer. Była zdenerwowana, więc chciał ją uspokoić. Zapomniał o ruchomych piaskach.

Wyjaśnienie wydawało się śmiesznie naiwne, ale Rowley powtarzał je uparcie, gdyż było łatwe do przyjęcia dla wszystkich. Trędowaci szybko je podchwycili i zaczęli lamentować po stracie swego świętego, zapomniawszy o tym, co widzieli przed chwilą na własne oczy.

To samo powie mnichom po naszym powrocie, pomyślała Adelia i w sumie przyznała mu rację.

Było jej żal Godwyna oraz tych dwóch dusz, które spotkał tak smutny koniec; współczuła też wszystkim trędowatym, ale najpierw musiała się zająć trójką wygnańców, którzy najbardziej potrzebowali teraz jej troski. Nie dbając o konwenanse, zapędziła ich pośpiesznie do łodzi. Biskup St Albans nie mógł jednak tak szybko opuścić przerażonych nieszczęśników na molo. Musiał najpierw wypełnić duszpasterski obowiązek wobec żałobników oraz obiecać, że wspólnota nie zostanie pozostawiona własnemu losowi.

Godwyna musieli wnieść do łódki. Osunął się na miejsce, które poprzednio zajmowała jego żona, i zamarł bez ruchu, milczący i nieszczęśliwy. Biskup St Albans ujął więc w dłonie drąg i zawiózł ich wszystkich z powrotem do Glastonbury.

Emma, przytulona do Adelii, zasnęła od razu, jakby do tej pory trzymała się tylko ze względu na Roetgera i swojego syna. Teraz wreszcie mogła odpocząć, bo ktoś inny czuwał nad ich bezpieczeństwem. Wychudła okropnie; oboje z Roetgerem odmawiali sobie jedzenia, oddając Pippy'emu skromne racje przywożone od czasu do czasu przez Godwyna. Trędowaci

traktowali ich uprzejmie i proponowali jedzenie, ale Emma bała się przyjąć od nich cokolwiek i odpędzała ich krzykiem.

Młody lord Wolvercote, choć potwornie brudny, był w całkiem dobrej formie. Adelia przytuliła go do siebie, by nie widział, co stało się na piaskach. Wprawdzie rozpacz otaczających go ludzi bardzo go zaniepokoiła, ale był jeszcze na tyle mały, że szybko o niej zapomniał. Bał się tylko, że wróci do Pielgrzyma i będzie musiał znowu siedzieć zamknięty w tunelu.

– Nie chcę do czarnego pokoju – powtarzał. – Mama bała się złej baby.

– Nie wrócisz do żadnego tunelu, chłopcze, a złej baby już nie ma – uspokoił go Rowley. Popatrzył przy tym pytająco na Adelię.

Skrzywiła się w odpowiedzi.

– Musimy zamieszkać w oberży – odpowiedziała po łacinie. – Żadne z nich nie wytrzyma dłuższej podróży, szczególnie Roetger.

Najbardziej martwiła się o rycerza; Emma tylko wychudła, za to on całkiem zmarniał. Nie miała okazji zaobserwować, czy stawia na ziemi chorą nogę, i podejrzewała, że nie może tego uczynić. Wprawdzie na nic się nie skarżył, ale oddychał z widocznym trudem, co wskazywało na ograniczenie powierzchni płuc.

– Pośpiesz się – błagała Rowleya.

– Szybciej nie potrafię – sapnął. – Ostatni raz pływałem puchówką jako mały chłopiec.

I tak nieźle sobie radził. Adelia miała wrażenie, że od ich wyjazdu do powrotu upłynęło kilka dni, ale gdy wreszcie przybili do pomostu w Glastonbury, słońce ledwie minęło południe.

Emma ostro zaprotestowała, gdy zorientowała się, że zmierzają do Pielgrzyma.

– Za nic. Nie chcę tam wracać.

– Nie ma innego wyjścia – ucieła Adelia. – Mistrz Roetger ledwie dyszy. Popatrz tylko na niego.

Emma spojrzała na rycerza i jej gniew ustąpił miejsca przerażeniu.

– Delio... on był naszą opoką. Ci bandyci na drodze pozabijaliby nas, gdyby nie on. Ja nie mogę... och, Delio, ja nie mogę bez niego żyć.

– To połóżmy go prędko do łóżka i wszystko będzie dobrze – uspokoiła ją Adelia, mając nadzieję, że te słowa okażą się prawdą. Jej podopieczni z trudem pokonali łagodne wzniesienie, na którym stała gospoda. Z ulgą powitała Millie, która stojąc w drzwiach, osłaniała dłonią oczy i z lękiem przesuwała spojrzeniem po twarzach.

Nie było czasu, by odpowiadać na pytania, nawet gdyby służąca umiała je zadawać.

Millie jednak była na tyle inteligentna, że od razu zorientowała się w sytuacji i poszła przygotować łóżka dla chorych.

– A ty, Godwynie, musisz przygotować coś do jedzenia. Jest mi bardzo przykro, ale trzeba to zrobić. Jeśli masz wino, to je dla nich podgrzej. Pośpiesz się.

Oberzysta był wciąż oszołomiony, ale znalazłszy się w znajomym otoczeniu, wziął się w garść i ruszył w stronę kuchni, kiwając głową jak automat.

Emma nie chciała jeść; pragnęła tylko siedzieć przy łóżku Roetgera i zalewać się łzami. Adelia siłą zaciągnęła ją na dół do jadalni, gdzie Pippy zjadał się rosołem.

– Zjedz coś – poleciła surowo. – Pójdę przygotować dla was kąpiel.

Wiedziała, że gorąca woda przywróci siły obojgu; i Pippy, i jego matka bardzo tego potrzebowali. Mówiąc szczerze, pomyślała, jej też by się przydało wymoczyć w gorącej wodzie. Hilda chlubiła się tym, że oberża miała wannę, „bo lepsi państwo są do tego przyzwyczajeni”, powiadała. Adelia zaczęła jej więc szukać. W końcu znalazła ogromną, pełną płótna kadź w stodole, gdzie przechowywano ją w okresach, gdy w oberży nie zatrzymywał się nikt ze szlachty. Hilda używała jej wtedy do prania.

Zagotowano wodę i Millie zaczęła ją nosić wiadrami przez podwórko.

– A ty wykąp Roetgera na łóżku – poprosiła Adelia Rowleya. – Jeśli ja to zrobię, będzie się czuł skrzepowany.

– A jak to się robi? – spytał biskup z wyrazem lekkiego przerażenia na twarzy.

Nagle wypełniło ją poczucie wielkiego szczęścia. Zaczęła się śmiać. Jej miły był tak bliski śmierci, a teraz stoi tu przed nią. Chciała mu powiedzieć, że wydarzenia w tunelu zmieniły jej spojrzenie na wszystko, że zgodzi się z nim być na każdych warunkach, jeśli tylko on zechce... ale zamiast tego tylko oddychała głęboko, radując się każdym wdechem i wydechem.

Panujące w oberży zamieszanie i ruch nie sprzyjały jednak czułym wyznaniom. Pomyślała, że powie mu to wszystko później, gdy będą już sami. Zadba o to, żeby pięknie wyglądać, i wybierze odpowiedni moment.

Podesłała na górę czysty ręcznik i kolejne wiadro wody – tym razem zimnej, by zbić gorączkę pacjenta – i wydała kolejne polecenia.

Późnym popołudniem mogła odetchnąć – zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Wykąpani matka z synem spali w jednym pokoju, a poszarzały na twarzy rycerz, wsparty na poduszkach, odpoczywał w drugim. Niestety, wcale nie wyglądał lepiej. Jego oddech wciąż się pogarszał.

Adelia odłożyła łyżkę z syropem, który próbowała podać choremu.

– Nie wiem, co będzie, Rowley – powiedziała. – Nadchodzi kryzys i... sama nie wiem.

– Posiedziałbym tu z tobą – odpowiedział – ale muszę iść do opactwa. Trzeba powiadomić mnichów.

– O wypadku?

– Tak właśnie powiem. Dlaczego miałbym pogłębiać ich rozpacz? Król, naturalnie, dowie się prawdy, ale żałoba po śmierci Sigwarda obejmie całą Anglię, a nawet dalej. Nie ma sensu rozgłaszać, że dobry opat wybrał piekło.

– Naprawdę tam poszedł?

– Samobójstwo to grzech przeciwko Bogu – odparł krótko biskup i wyszedł.

Czy rzeczywiście? A może to jedyny wolny wybór dla człowieka, który od tak dawna próbował odkupić jeszcze większy grzech?

Poza tym zabrał ze sobą Hildę, po której nie płakał nikt z wyjątkiem Godwyna. Co by się z nią stało, gdyby tego nie zrobił? W najlepszym wypadku zamknięto by ją z innymi wariatkami. Czy dlatego tak postąpił? Czy ta kobieta była w stanie to zrozumieć?

Boże, nie umiem wydawać takich sądów. Pomyślę o tym później.

Gdy zaczęło zmierzchać, Roetger spociał się, a jego oddech stał się lżejszy. Adelia podziękowała niebiosom za to, że ludzkie ciało potrafi być tak wytrzymałe, ułożyła go wygodniej i poszła po Millie, by dziewczyna zastąpiła ją przy pacjencie.

Po drodze weszła z nią do jadalni i narysowała kilka postaci na zakurzonej blacie stołu, który służył im jako tablica.

– Patrz – powiedziała wyraźnie, by Millie mogła czytać z ruchu jej ust.

– To jest opat, w tym wielkim kapeluszu. A to jest nieszczęsna Hilda.

Nad głowami obu postaci nakreśliła falistą linię.

– A to jest morze. Do diabła, muszę cię po prostu nauczyć czytać.

Millie, z niepokojem przenosząc wzrok z jej twarzy na stół, wskazała palcem ku mokradłom, a potem w stronę okienka kuchennego, za którym słychać było bezradny płacz Godwyna.

– Tak. Odeszła, Millie. Nie będzie cię już więcej biła.

Obie kobiety się przeżegnały. Adelia znowu zaczęła się zastanawiać, czy Hilda z własnej woli weszła na ruchome piaski, towarzysząc mężczyźnie, którego wielbiła i dla którego gotowa była zabić.

Boże, miała już dosyć śmierci; odnosiła wrażenie, że sama ją w jakiś sposób prokuruje i zakaża nią wszystkie napotkane osoby. Potrzebowała oczyszczenia, potrzebowała życia, pragnęła Rowleya, chciała się wykapać.

Napełniła gorącą wodą wannę w stodole, wzięła świeczkę, ręcznik i zerwała nieco mydlnicy z grządki rosnącej pod murem oberży, i zanurzyła się w wodzie, z rozkoszą wdychając słodki zapach mydlin i pozwalając, by znużony mózg skupił się na prostych pytaniach: skąd wziąć czystą odzież i czy uda jej się oddechem doprowadzić mydlną bańkę aż do wideł, wiszących na ścianie.

Ktoś gwałtownie otworzył drzwi stodoły. Podskoczyła ze strachu, ale był to tylko Rowley.

– No, już po wszystkim.

Do diabła. Chciała dla niego ładnie wyglądać, nie życzyła sobie, by oglądał ją przykucniętą w monstrualnie wielkim wiadrze, z włosami związanymi sznurkiem na czubku głowy.

Zawstydzona, okryła się ręcznikiem i spytała rzeczowo:

– Jak przyjęli wiadomość?

– Fatalnie. Powiedziałem im, że to był wypadek.

– A powiedziałaś, że to on zabił Artura i Ginewrę?

– Oczywiście, że nie. Powiadomiłem tylko, że szkielety należą do dwóch mężczyzn. Nie wspominałem o tym, jak zginęli ani z czyjej ręki. Pochowają ich gdzieś po cichu.

– A co z Hildą?

– Kolejny wypadek. Adelio, na litość boską, przecież oni prawie wszystko stracili. – Ujął się za mnichami, jakby odpowiadał na jej niemy sprzeciw.

Pewnie się nie mylił. Nie mieli już opactwa, nie mieli też opata. Prawda mogła kosztować Kościół jeszcze drożej, więc biskup St Albans musiał dokonać wyboru i położyć na jednej szali dwadzieścia lat pokuty Sigwarda, a na drugiej jego straszliwą zbrodnię.

Sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Jej zadaniem było ujawnienie prawdy, ale nie mogła wpłynąć na to, co ludzie zrobią z jej odkryciem.

Być może Rowley miał rację – być może na świecie było już tyle ohydy, że ludzie nie znieśliby kolejnego koszmaru.

– Przesuń się – powiedział i zaczął się rozbierać.

– Na litość boską, przecież nie możemy tak we dwojkę... – zaprotestowała.

– Masz na myśli kąpiel, czy co innego? W obu przypadkach odpowiedź brzmi: spokojnie, jakoś podołamy.

Miał rację. Na chwilę zapomnieli o wszystkim oprócz siebie nawzajem, a na dziedzińcu Pielgrzyma rozlegały się plusk i pomruki rozkoszy.

Później w łóżku powiedział:

– Nie pozwolę ci odejść. Znudziło mi się wyciąganie cię z różnych dziur, w które się uparcie pakujesz.

– Wiem, ukochany. Też nie umiem żyć bez ciebie. Tak się nie da. Do diabła z królem: niech sobie szuka innej mistrzyni sztuki śmierci. Ale jak to urządzić?

Znajdowała ukojenie w jego ramionach, ale był przecież także namaszczonego biskupem, któremu nie wolno było się żenić. Należał do Boga.

Oczywiście, to ona do tego doprowadziła. Obawiała się, że małżeństwo z tym ambitnym mężczyzną nie pozwoliłoby jej wykonywać zawodu medyka i anatoma, bo cały czas musiałaby poświęcać obowiązkom domowym i towarzyskim. Nie znosiła tego, więc z czasem zaszkodziłaby jego karierze i oboje byłiby nieszczęśliwi.

W dodatku okazało się, że od dnia, gdy król Henryk pośpiesznie skorzystał z okazji, by obsadzić swoim zaufanym podwładnym kluczowe stanowisko w obozie przeciwnika, Rowley sprawiał się wyśmienicie. Był mniej zacofany w poglądach i o wiele bardziej przeniknięty chrześcijańskim duchem niż prałaci, którzy grozili swoim trzódkom potępieniem, a sami żyli w grzechu.

Rowley kochał ją, ale był świadom, że postępuje jak hipokryta. Żartobliwy ton nie mógł ukryć jego niezadowolenia z sytuacji.

– Ukryję ciebie i Allie w jakimś zakątku, który będę mógł odwiedzać bez świadków... podobnym do miejsca, jakie Henryk znalazł dla Rozamundy. Może chciałabyś zamieszkać na Wyspie Łazarza, co? – Łobuzersko trącił ją łokciem.

Roześmiała się, ale po chwili oboje zamilkli.

„...w jakimś zakątku, który będę mógł odwiedzać bez świadków... podobnym do miejsca, jakie Henryk znalazł dla Rozamundy”.

Czyli, że ona przez resztę życia będzie utrzymanką, a Rowley będzie musiał walczyć z poczuciem winy za każdym razem, gdy otworzy usta do modlitwy.

Nie, nie jesteśmy ludźmi tego rodzaju. W ten sposób oboje utracimy resztki honoru, pomyślała. Oboje będziemy stale zdradzać jego Boga, tak jak teraz. Będziemy spotykać się ukradkiem jak wiarołomni małżonkowie. To piętno naznaczy nas oboje. Czy ja to wytrzymam? A on? A czy wytrzymamy bez siebie?

Potem pomyślała o szczątkach martwych ludzi, których tyle się naoglądała w minionym tygodniu, i o tym strasznym momencie w tunelu, gdy myślała, że Rowley do nich dołączy.

– Zgoda – odparła.

Zaskoczony, wsparł się na łokciu, by na nią popatrzeć.

– Naprawdę?

– Tak. Pod warunkiem że Gyltha i Mansur zamieszkają z nami.

– Będę musiał dużo jeździć po kraju, wiesz o tym?

– Chcesz być ze mną, czy nie?

Ucałował jej dłoń i ułożył się wygodnie na plecach.

– Jak będziesz grzeczna, to od czasu do czasu przywiozę ci jakiegoś nieboszczyka do zabawy.

Dom, ojciec dla Allie, bezpieczeństwo, miłość... mam już dość niezależności.

Jednak, nawet gdy pozwoliła sobie odpocząć i leniwie marzyć o tych wszystkich przyjemnościach, wiedziała, że utraci coś... jak to nazwać? Cnotę? Nie, nie cnotę, cnotę miała gdzieś... że utraci coś ważnego, co było z nią od samego urodzenia.

Następnego ranka w oberży pojawił się kapitan Bolt z eskortą, by powiadomić ich, że w mieście Wells zbierze się wędrowny sąd królewski i że król nakazuje biskupowi St Albans uczestniczyć w jego posiedzeniach jako jeden z sędziów.

– Król przebywa obecnie w Anjou, ale wkrótce powróci do Anglii – oświadczył kapitan.

Wiadomość ta miała za zadanie napęlić niepokojem wszystkich, którzy ją słyszeli, i doskonale spełniła swoje zadanie.

– Król życzy sobie, by lord Mansur napisał raport o wydarzeniach w Glastonbury, o szkieletach i o wszystkich innych sprawach.

Henryk nie będzie zadowolony, pomyślała i dodała na głos:

– Niechaj zatem lord Mansur powróci tu do nas, przywożąc ze sobą pergamin i inkaust oraz moją córkę z jej piastunką.

Rowley miał ją opuścić, ale zamiast niego będzie się cieszyć towarzystwem najbliższych.

Bolt, który wraz ze swymi żołnierzami popijał ale na słonecznym dziedzińcu gospody, dorzucił jeszcze:

– Proszę jutro nie wchodzić do lasu, będziemy go oczyszczać. Królowi Henrykowi nie podoba się, że ktoś zakłóca spokój ludzi podróżujących królewskim traktem. – Podrapał się po głowie, by przypomnieć sobie dokładnie dalszą treść rozkazu. – Jeśli spór między Wells a Glastonbury nie zostanie rozstrzygnięty do tego czasu, nastąpi interwencja Korony. *Le roi le veult*. Tak jest, to wszystko. Spadniemy na łby tym bandytom jak sfora terierów na szczurze

gniazdo.

To powinno rozwiązać problem Scarry'ego, który tak niepokoił gromadę. Pomyślała, że dobrze byłoby przesłać im wiadomość, by trzymali się z daleka od lasu. Najlepiej przez świeckiego brata Petera. Poprosi go, by przekazał ostrzeżenie Willowi i reszcie.

Opowiedziała Boltowi o napadzie na Emmę i jej ludzi oraz o mogiłach w lesie, starając się dokładnie opisać ich położenie.

– Lady Emma chciałaby móc urządzić tym ludziom przyzwoity pochówek.

– Zajmiemy się tym – odparł Bolt. Wiedziała, że można mu ufać.

Po chwili żołnierze ruszyli do Wells, uwożąc z sobą jej ukochanego.

Przez warstwę popiołów przebijały żółta trawy. Pędy waleriany i dzikiego wiciokrzewu strzelały spomiędzy kamieni. Jaskółki nurkowały w nisze jedynej ściany nawy, która przetrwała pożar, karmiły małe i odlatywały, bez reszty pochłonięte rodzicielskimi obowiązkami.

Przyroda przepięknie śpiewała o życiu; mnisi na zrujnowanym chórze śpiewali równie pięknie o śmierci.

Adelia słuchała obu tych pieśni, klęcząc obok katafalków w wiklinowej chatce.

*In paradisum deducant te Angeli;
in tuo adventu suscipiant te martyres...*

Ciekawe, kiedy będą błagać, by i wasze dusze przyjął anielski orszak. Czy wy również zasiądziecie wśród męczenników? Czy też nikt nad wami nie odprawi egzekwii i wrócicie po cichu do bezimiennego grobu?

Może nie ma to dla was znaczenia, jak długo jesteście razem.

Zaśpiewała dla nich, dołączając swój fałszujący głos do pieśni mnichów:

*Anielski orszak niech twą duszą przyjmie,
uniesie z ziemi ku wyżynom nieba.*

Gdy pieśń umilkła, Adelia wstała i schowała się w cień, rzucany przez ruiny katedry.

Po chwili pojawił się brat Peter, ocierając załzawione oczy.

– Nie wytrzymałem już dłużej, oni tak będą śpiewać przez cały dzień.

Nie zdziwił się na jej widok.

– Dlaczego to zrobił? No, dlaczego? Biskup mówił, że to wypadek, ale on przecież znał mokradała. Hilda zresztą też.

Adelia ze współczuciem pokręciła głową, nie odpowiadając na te retoryczne pytania.

– Bracie Peterze, powiedz ode mnie Willowi i innym, żeby jutro nie szli do lasu kłusować.

– Kłusować? – zdziwił się, jakby pierwszy raz w życiu usłyszał to słowo.

Przytaknęła.

– Tak jest. Jutro niech nie wchodzi do lasu.

Świecki brat wpatrywał się w nią, mrużąc oczy.

– Ano, tak, widziałem w oberży żołnierzy. Dybią na Wolfa i jego bandę, co nie?

– Nie mogę ci powiedzieć.

Być może i tak powiedziała za dużo, może Peter miał kontakty z bandytami i przekaże im ostrzeżenie. No cóż, widać brat nie powiedział mu jeszcze, że Wolf nie żyje.

Na twarzy mężczyzny malowała się ulga.

– Najwyższy czas, żeby ktoś zrobił porządek z Wolfem. Wszystkich tu zastraszył, skarż go Bóg.

– Ostrzeżesz Willa?

Wzruszył ramionami.

– Zastanowię się.

Nie podziękował jej ani słowem, zresztą nie oczekiwała tego. Peter był równie szorstki jak jego brat; należeli do tej samej kategorii ludzi, których poznała we wschodniej Anglii. Wdzięczność okazywali czynem, a nie słowami.

To chyba ma coś wspólnego z życiem na mokradłach, pomyślała.

– Hej – zawołał, gdy odwróciła się, by odejść. – Willa razem z chłopakami wezwali przed sąd, żeby odpowiedzieli za ten pożar, co go niby Eustace wzniecił. Powiedz temu swojemu czarniawemu doktorowi, żeby tam się pofatygował i opowiedział sędziom, jak było.

– Zastanowię się – odparła.

Allie, Gyltha i Mansur, pod eskortą wojska, powitali ją radośnie na progu Pielgrzyma następnego dnia rano. Bard Rhys przyjechał wraz z nimi.

Po drodze widzieli kapitana Bolta, galopującego w las na czele co najmniej czterdziestu uzbrojonych po zęby królewskich ludzi. Słyszeli też odgłosy potyczki. Zaczęło się oczyszczanie lasu.

– Mansur powiedział, że będą zabijać węże – pisnęła Allie – ale węże tak nie krzyczą, prawda, mammo?

Adelia przytuliła ją do siebie.

– Te węże są inne.

– Jak już o tym mowa, to co to za historia z tym Rowleyem? – spytała chłodno Gyltha.
– Tyłek powinnam ci wygarbować za to, żeś nas tak odesłała.

– Nigdy więcej tego nie rób – napomniął ją spokojnie Mansur swym chłopięcym głosem. – Jestem twoim opiekunem albo jestem nikiem.

Odsyłając ich do Wells; zraniła dumę Araba. Gyltha też czuła się urazona. Adelia próbowała im wytłumaczyć, że obecność Allie dawałaby przewagę przeciwnikom; Hildzie przecież udało się pojmać Emmę i Roetgera tylko dlatego, że pochwyciła Pippy'ego i zagroziła, że mu poderżnie gardło.

– Dobrze wiedziałam, że beze mnie nigdzie nie pojedziecie – tłumaczyła się potulnie.
– Nie pojechalibyście, prawda?

Gyltha tylko prychnęła.

Kolejne jej prychnięcie nastąpiło, gdy Rhys ujrzał Emmę i zakochał się w niej bez pamięci.

– Czy słyszałaś, jak wzywałem cię pieśnią, o pani? – zapytał, zrywając pośpiesznie czapkę z głowy. – Czy to ona sprowadziła cię tu z twej samotni na gór szczycie?

Emma spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Ona nie była w górach – sprostowała Adelia. – I nie słyszała twoich pieśni. Poza tym kocha się w kimś innym.

Mogła sobie oszczędzić fatygi. Lady Emma stała się utraconym, śnieżnobiałym ptakiem, który cudem wrócił do domu. Bard pod jej nieobecność składał żalobne rymy, ale teraz, gdy stanęła przed nim jako istota z krwi i kości, blada, wiotka i piękna, natychmiast ujrzał w niej swój ideał – istotę tak eteryczną, tak nieskończenie go przewyższającą, że mógł bezpiecznie darzyć ją niespełnioną miłością trubadura. Natychmiast zaczął dostrajać harfę.

– Patrzcie go tylko – rzuciła Gyltha z niesmakiem. – Szczęśliwy jak świnia w kartoflach, bo znów ma powód do lamentów.

Studnię przykryto starannie, by nie stanowiła zagrożenia dla dzieci, bawiących się na dziedzińcu. Dorośli weszli do oberży, zasiedli przy długim stole i wysłuchali opowieści

Adelii o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu dwóch minionych dni i nocy.

Tylko Roetger był nieobecny; jego rekonwalescencja nie przebiegała tak gładko, jak Adelia tego oczekiwała. Zbyt słaby, by zwlec się z łoża, nie chciał jeść, nic go nie interesowało i czuł się wielce skřępowany, gdy Adelia lub Millie pomagały mu załatwić potrzebę do nocnika. Emmie nie pozwalał się wtedy zbliżyć do siebie.

Podobnie jak Mansur, czuł się pohańbiony, gdyż nie potrafił ochronić swej damy. Nie mógł się z tym pogodzić.

– Żaden rycerz ze mnie jest – wyznał w pewnym momencie Adelii.

Emma była innego zdania.

– Ciagle mu powtarzam: co można było wtedy zrobić? Nic! Ta wiedźma, Hilda, przyłożyła Pippy’emu nóż do gardła. Musieliśmy robić, co kazała. Za to jaki był dzielny, gdy napadli nas tam, na drodze... Szkoda, że go nie widziałas. Był ranny, a walczył jak tygrys. Gdyby nie on, dawno byśmy nie żyli, i ja, i mały Pip. Och, Delio... nie dbam o to, co ludzie pomyślą. Chcę wyjść za niego za mąż. Jak myślisz, czy król się na to zgodzi?

– Na pewno.

Szczerze mówiąc, wcale nie była co do tego przekonana. Emma stanowiła cenną partię, a król mógł wydać ją za mąż wedle swego wyboru. Poprzednio, gdy Adelii udało się rozwikłać pewną tajemnicę, nakłoniła Henryka, by nie oddawał Emmy za mąż bez jej zgody. Ale teraz, gdy rozwiązanie nie było po myśli króla...

Niemca najbardziej trapiła utrata miecza, który oznaczał dla niego przynależność do rycerskiego stanu. Hilda zmusiła go, by odłożył broń, i teraz nie sposób było jej odnaleźć.

– Na pewno go nie sprzedała – upierał się. – To była zbyt piękna broń. Musiała go gdzieś wyrzucić. Dlaczego i mnie nie wyrzucicie? Do niczego już się nie nadaje.

Adelia na razie nie uświadomiła Emmie, że za napadem w lesie stała jej teściowa. Czekala z tym, aż jej przyjaciółka nabierze sił. Jednak trzeba jej było o tym powiedzieć, więc tego dnia, gdy zebrali się wokół stołu, nie zataiła żadnych szczegółów, a potem czekała na wybuch gniewu, który sama czuła w duszy.

Wolf i wdowa dziedziczka. Para morderców.

Reakcja Emmy ją rozczarowała. Przecież ta kobieta przeżyła straszne rzeczy: Wolf i jego banda napadli na nią na drodze, później, kiedy zdawało jej się, że dotarła bezpiecznie do Pielgrzyma, ta wariatka Hilda zamknęła ich w tunelu. Potem Godwyn zmusił ich do życia na wyspie trędowatych... takie przeżycia mogły złamać każdego.

Na wieść o zdradzie Gyltha wydała okrzyk niedowierzania, a Mansur zmełł w ustach ohydne arabskie przekleństwo.

Emma tylko płakała, wspominając pomordowaną służbę.

– Czy da się to udowodnić? – zapytał Mansur.

– Nie wiem – odparła Adelia, która nie zastanawiała się nad praktycznymi aspektami tej sprawy. – Powinno się ją co najmniej wypędzić z Wolvercote raz na zawsze.

Emma potrząsnęła głową.

– Nic z tego. Nie pozwolę Roetgerowi walczyć na kolejnym sądzie bożym... Wolę stracić Wolvercote... Bóg jeden wie, że pragnęłam tego majątku dla Pippy'ego... ale nie chcę, by mój mężczyzna znów został ranny.

– Do diabła z sądem bożym – stwierdziła Gyltha – ale ta harpia musi posmakować stryczka.

Emma nieprzerwanie płakała.

To nie był dobry moment, by jej powiedzieć, że Roetger i tak już nigdy nie stanie do walki; jego noga była w fatalnym stanie.

Adelia nie wspominała o tym rycerzowi, ale z jego niespokojnego zachowania wywnioskowała, że sam się tego domyślił.

Gdy Millie zajęła jej miejsce przy łożu chorego, Adelia wróciła do swego pokoju i wyjęła ze skrzyni miecz ze wzgórza, zawinięty w kawałek materiału. Usiadła na łóżku, żeby mu się przyjrzeć.

Gdy Mansur dowiedział się, że miecz uratował jej życie, przestał ją namawiać, by odniosła broń do groty.

– Oto Allah wyrwał z raju, zobaczył, że potrzebna ci będzie broń i podarował miecz tego oto wojownika.

Całkiem niezła wymówka dla rabusia grobów, pomyślała.

Z trudem przyznawała sama przed sobą, że wtedy w lesie, w chwili największej potrzeby, miecz zaczął żyć własnym życiem. Z nikim nie podzieliła się tą myślą. Miecz zabił człowieka w jej obronie, jakby wiedział, po co go zrobiono, i czerpał z tego siłę.

Co gorsza, sprawiło mu to radość.

A może to nie miecz? Może to ja się radowałam?

Wiedziała, że to niemożliwe. Wolf był zakałą okolicy, mordował ludzi, zabiłby Alfa i ją, zabijałby bez końca. Szczerze mówiąc, ktoś musiał to ukrócić, i okoliczności wskazały właśnie na nią. Cierpiała z tego powodu, i zawsze będzie żałować, że musiała to zrobić, bo jej zawód polegał na ratowaniu życia, ale Rowley miał rację – nie miała innego wyjścia.

Pozostało jedno pytanie: czy ten miecz rzeczywiście stał się jej własnością? Miała poczucie, że tak. W chwili gdy uniósł się w jej obronie, przestał należeć do martwego wojownika, oddając się w ręce żyjącej osoby. Mimo że nienawidziła broni i innych narzędzi zniszczenia, ten przedmiot o rękojeści pokrytej rdzawymi wypryskami, przypominającymi krosty na grzbiecie ropuchy, stanowił wyjątek. Mając go w ręku, czuła się bezpieczna, a co więcej, odważna. Mogła bronić swoich racji przeciwko całemu światu, mogła rzucić wyzwanie nieprzyjacielowi, który nie odważy się teraz jej tknąć.

Tak właśnie zaczynają się wojny, pomyślała.

Weź mnie, przekonywał ją miecz. Chociaż jesteś kobietą, staniesz się wojowniczką, broniącą wszystkich słabych dam.

Jego głos był wysoki i słodki, jak muzyka harfy Rhysa.

Zrozumiała, że to właśnie jest magia Glastonbury: legendy, święte źródła, sny, duchy, miecze, które żyją własnym życiem... iluzje, nic, tylko iluzje. Mistrzowie, którzy uczyli ją miłości do nagiej prawdy, przyglądali jej się teraz z góry, z niesmakiem marszcząc brew.

W końcu podjęła decyzję. Jesteś tylko przedmiotem, powiedziała do miecza. Należałeś do wojownika, który nie może już cię używać, ale ja jestem medykiem i mam pacjenta, któremu bardzo się przydasz.

Następnego dnia rano opowiedziała wszystko Roetgerowi i oddała mu miecz.

– Jest brzydki i stary – przepraszała – ale dopóki nie znajdziesz lepszego...

Broń wyraźnie go zaintrygowała. Od czasu powrotu z Wyspy Łazarza nie widziała go tak ożywionego – zupełnie, jakby zwróciła mu męskość.

– Ach – powiedział, gładząc klingę – może i jest stary, ale na pewno nie brzydki. Zobaczysz sama, jak go wyczyszczę. Wdzięczny ci jestem.

Millie posłano do kuchni po środki do czyszczenia, a Adelia zostawiła pacjenta z nowym lekarstwem, zeszła na dół i zasiadła do pisania raportu dla króla. Dłużej nie sposób było tego odkładać, bo następnego dnia miał przybyć po niego kapitan Bolt.

Zaczęła spisywać długą listę nieszczęść, coraz bardziej przekonana, że raport raczej nie wzbudzi królewskiego entuzjazmu.

Artur i Ginewra okazali się parą homoseksualnych kochanków. Ulubiony opat króla okazał się mordercą i samobójcą, który w dodatku spowodował straszliwą śmierć pewnej wariatki. Glastonbury spłonęło z powodu beztroski mnichów. W lesie ukryto mogiłę podróżnych, zamordowanych na królewskim trakcie. Jedna z miejscowych arystokratek, wdowa dziedziczka z hrabstwa Somerset okazała się morderczynią.

A do tego brak dowodów śmierci króla Artura, co niewątpliwie wzbudzi wściekłość

Henryka.

Ssąc czubek pióra, zastanawiała się, czy jest jakaś szansa, by jej dramatyczne przeżycia wzbudziły współczucie króla. Doszła do wniosku, że nic z tego, bo Henryk nie wie przecież, co to jest współczucie.

Zresztą to koniec naszej współpracy, Henryku Plantagenecie, postanowiłam bowiem zostać kochanką biskupa.

Będę kochanką, pomyślała leniwie, kurtyzana. Przypomniała sobie kilka hurys, które widziała w lektykach na ulicach Salerno; były umalowane, okryte welonami i odziane w cienki jedwab. W ślad za nimi snuła się woń ciężkich perfum.

Uśmiechnęła się na tę myśl.

No cóż, Rowley będzie musiał sprawić przyzwoitą odzież swej nieprzyzwoitej kobiecie. Na razie ona, Emma i Millie nosiły suknie, zakupione od krawcowej z pobliskiego miasteczka, która, łagodnie mówiąc, przedkładała odzież siermiężną i trwałą nad elegancję i polot. Pomysł ten wydał jej się więc całkiem atrakcyjny.

Po raz kolejny miała jednak wrażenie, że tożsamość osoby zwanej Vesuvia Adelią Rachel Ortese Aguilar gdzieś ulatuje. Po raz kolejny też wytłumaczyła sobie, że to niewielka cena za miłość.

Z dziedzińca dochodził śpiewny głos Rhysa, koncertującego pod oknem Emmy:

*Opuść oręż, o pani, bo już marnie ginę
ukryj twe włosy faliste, ukryj twe oczy przejrzyste,
bo przesyjesz me serce jak włócznią...*

Adelia westchnęła i powróciła do pisania raportu.

Gdy przelała na papier swe dwa zwycięstwa, uznała, że nie ma się czym chwalić. Co to obchodzi Henryka, pana wielkiego imperium, że jakiś tam Eustace, zwykły pijaczyna, został uniewinniony? Dlaczego ma się ucieszyć, że lady Emma i młody lord Wolvercote zostali uratowani, jeśli wcale nie wiedział o tym, że na nich napadnięto?

Mój Boże...

Zaciskając zęby, zanurzyła pióro w kałamarzu i pisała dalej, rozwodząc się nad kwestią, która zajmowała ją najbardziej, czyli nad perfidią wdowy dziedziczki:

„...Ty, panie, który przedkładasz sprawiedliwość nad wszystko inne, będziesz wiedział, jak naprawić wielkie zło popełnione przez tę kobietę, zgodnie z życzeniem twej

najbardziej oddanej służy, Adelii Aguilar”.

Następnie, na wypadek, gdyby pismo trafiło do rąk jakiegoś niedoinformowanego królewskiego urzędnika, wydrapała swoje imię i podpisała się jako Mansur.

Szukała właśnie wosku do pieczęci, gdy Allie otworzyła drzwi na oścież i zaczęła wołać z entuzjazmem:

– Mamo, mam, chodź coś zobaczyć!

Adelia ruszyła z nią na dziedziniec, gdzie Pippy z uwagą obserwował niewielkie stworzenie, przywiązane kawałkiem sznurka do studni.

– A co to takiego, na litość boską?

– Szczeniaczek – wyjaśniła wniebowzięta Allie. – Jest cały mój.

Adelia nigdy w życiu nie widziała bardziej pokraccznego stworzenia; piesek był bardzo mały, więc ledwie trzymał się na długich, chudych łapach. Miał zmierzwioną sierść i włochate brwi, rosnące w górę, jak u wiekowego staruszka.

– Niedobrze – oświadczył Mansur. – To posokowiec.

– Kłusowniczy pies – dodała Gyltha. – Nie wolno trzymać takich mieszańców. Jak strażnik dopadnie takiego w lesie, to go musi okulać. Odcina mu piętę. Te psy wytropią i zagryzą każdą sarnę i w ogóle wszystko, co się rusza.

Allie otoczyła ramionkami szyję zwierzęcia.

– Nie pozwolę okulać Eustace’a – powiedziała.

Pies polizał ją po twarzy.

– Kogo?

– Przyszli tu jacyś panowie, dali mi go i powiedzieli, że ma na imię Eustace. Patrz, mam, jakie ma śliczne brązowe oczy. Jest bardzo inteligentny.

Jakże to typowe dla Willa i jego gromady, pomyślała Adelia. Dostałam od nich prezent, który jest nielegalny. Ale co się stało, to się nie odstanie. Allie już serdecznie przywiązała się do pieska.

– No cóż – oświadczyła słabym głosem – po prostu nie będziemy puszczać Eustace’a do lasu.

Oddając zwój kapitanowi następnego ranka, Adelia zapytała, czy król jest już w Anglii.

– Jeszcze nie, pani. Ale z pewnością już wyruszył z Normandii. – Bolt pomachał raportem. – Z niecierpliwością czeka na to pismo, więc może wyślemy je łodzią. Ucieszy się, gdy je dostanie.

– Nie, kapitanie – odparła smutno. – Na pewno się nie ucieszy.

W dwa dni później Roetger, kuśtykając, zszedł na parter oberży i poprosił Adelię, by przysłała do jadalni, bo chcieliby z Emmą coś jej pokazać.

Na stole przed nimi leżał miecz zmarłego wojownika, w drewnianej pochwie, którą Roetger specjalnie wystrugał.

Rycerz był pełen energii; niecierpliwie czekał, aż Adelia usiądzie. Sam stanął tyłem do okna, wsparty na kuli, i zaczął drobiazgowo objaśniać, w jaki sposób zabrał się do oczyszczenia miecza.

– Dużo pracy nam na tym zeszło, nieprawdaż? – zwrócił się do Emmy.

Skinęła głową. Zaimki „my” i „nasz” były u nich teraz w częstym użyciu.

– Najpierw skrzyp z kuchni – powiedział. – Millie nam go dała.

Teraz na Adelię przyszła kolej, by przytaknąć skinieniem głowy. Pędy tej rośliny stanowiły doskonale czysciwo do garnków; mleczarki używały go do szorowania wiader na mleko.

– Nie udało się – opowiadał Roetger, potrząsając głową. – Octu zatem próbowaliśmy. I znowu nic.

– Wiesz, co w końcu poskutkowało? – wtrąciła się zniecierpliwiona Emma, równie podniecona jak Niemiec.

– Nigdy nie zgadniesz. Konfitury jabłkowo-śliwkowe ze spizarni Godwyna.

– Konfitury?

Emma, zdaje się, wybaczyła oberżycie wszystkie przewiny, wdzięczna za specjał, który przywrócił mieczowi dawną świetność.

– Nie przyznaje się, czego tam domieszał, mówi, że to tylko jabłka i śliwki, ale efekt jest po prostu wspaniały.

– Konfitury jabłkowo-śliwkowe?

– Mikstura niezwykle skuteczna – potwierdził Roetger.

– I co? – zapytała zachęcająco.

Miecz ledwie było widać, bo wielka postać rycerza prawie całkiem zasłaniała okno.

Roetger opowiadał szczegółowo, jak po każdym czyszczeniu schodziły kolejne warstwy patyny.

– Jest stary... bardzo stary – zachwycał się nieustannie. Wreszcie odsunął się i promień światła padł na rękojeść.

Adelia westchnęła z podziwu. Tam, gdzie kiedyś szarzały bąble patyny, teraz jarzyły się szlachetne kamienie osadzone w metalu.

– Co to za klejnoty?

– Topazy – odparła Emma ze znawstwem.

Roetger przytaknął.

– Z mojej rodzinnej Saksonii, tak mi się zdaje. To kamień mocy.

– Czyni też swego właściciela niewidzialnym w razie potrzeby – wymądrzała się Emma. – Zmienia kolor w obecności trucizny, prawda, Roetgerze? I wszystko leczy, nawet hemoroidy.

– Ma wielką moc. – Jej rycerz zmarszczył brwi.

– Och, tak – zgodziła się Adelia.

Nie wyjmując broni z pochwy, Roetger rozprawiał o dźwięku ostrza, o żłobieniu, ciężarze, wyważeniu, o sposobach mocowania głowni do klingi, o „kamieniu życia” wprawionym w rękojeść, o krawędziach uformowanych tak doskonale, jakby wykonano je pilnikiem, a nie na kowadle.

– Taką broń bogowie robią raczej – oświadczył. – Może nawet sam Woland, który boskim kowalem jest przecież.

– A co to za pierścień, tu, przy samej głowni?

– Ach, to. – Roetger przybrał ton, którym ojciec Adelii zawsze odpowiadał na inteligentnie zadane pytania. – To pierścień ślubowania, pierścień wielkiego wodza.

– Widzisz – zaczęła Emma – według Roetgera, a on wie wszystko o historii mieczów, więc według niego każdy wódz albo wasal króla, który składał przysięgę wierności, musiał ukłęknąć i ucałować ten pierścień.

To prawda – bard Rhys niegdyś śpiewał pieśń o mieczu:

Pośród nich jeden, kunsztownej roboty...

pierścień na głowni, ostrze wielkiej cnoty...

lękiem napelnia...

– Rzeczywiście...

– Popatrz, zatem – oświadczył Roetger. Odłożył kulę, by ująć miecz, jakby chciał zatuszować swoje kalectwo. Poprosił Adelię, by wstała i jednym ruchem wydobyl ostrze z pochwy.

To było niesłychane. Z wyjątkiem szczyrby, ostrze lśniło, jakby wyszło prosto z rak płatnerza...

Rhys śpiewał przecież:

*W niejednej bitwie krwią hartowany,
nie zawiódł nigdy dłoni rycerza,
który w czas wojny nim się zamierzał,
by śmiałym ciosem dosięgnąć wroga.
Oto orężę dla chwały Boga...*

– Poczekaj, przyjrzyj się dobrze – nalegał Roetger. – Popatrz na żłobienie.

Adelia, która zupełnie nie знаła się na broni, uznała, że żłobienie oznacza rowek biegnący wzdłuż klingi. Pochyliła się nad mieczem i dopiero wtedy spostrzegła rysunek, przypominający rzeczne fale. We wzór wkomponowano jakieś litery.

– Co to takiego?

– Przyjrzyj się dobrze.

Wyteżyła wzrok.

– Czy to jest „A”? A... R... T...

– Arturus – powiedział rycerz.

Zapadła cisza.

Poczuła dreszcze i gęsią skórkę na plecach. Wzruszenie odebrało jej głos.

Emma podskakiwała na fotelu, piszcząc z radości jak dziecko.

– Excalibur – rzekł Roetger z szacunkiem i łkając, dodał: – Cóż innego? Cóż innego? Czyż nie jesteśmy w Avalonie?

– Ale... – Przesunęła spojrzeniem po ich twarzach. – Ale to oznacza... że ten szkielet na wzgórzu...

– Tak – odparł po prostu Roetger.

Emma również załkała.

– Król wieków minionych i przyszłych – powiedziała z trudem.

Roetger wznosił rękę z mieczem, który rozjarzył się w świetle jak bursztyn, a potem podał go Adeli.

Po jego twarzy ciekły łzy, ale mimo to uśmiechał się łagodnie.

– Mansur powiada, że przekazano go tobie. Jestem niegodny. Ta broń należała do człowieka o wielkim sercu i musi pójść w ręce człowieka o wielkim sercu.

– Ty powinnaś ją dostać – rzekła Emma. – Nie znamy nikogo godniejszego.

Rozdział 14

Jadąc na spokojnej wierzchowce z Millie za plecami, Adelia kłusowała drogą do Wells na czele sporej kawalkady. W jednym z juków znajdowało się wezwanie do stawienia przed obliczem Henryka, króla Anglii, rezydującego w Pałacu Biskupim. Z drugiego wystawał długi, płócienny pokrowiec, z rodzaju tych, w których zwykle przechowuje się wędki. Znajdował się w nim przedmiot, za który większość monarchów i opatów Europy oddałaby życie – jeśli nie swoje, to przynajmniej cudze.

Kapitan Bolt, który przybył do Pielgrzyma, by eskortować ją wraz z Mansurem do króla, spoglądał na pakunek z ukosa, ale nie powiedziała mu, co jest w środku.

– Niespodzianka dla króla – oświadczyła i zawstydzila się swoich słów.

Gdy Gyltha i Mansur weszli do jadalni, ujrzeli Excalibur i dowiedzieli się, kto spoczywa w celi na górze Tor, w ich oczach pojawił się ten sam płomień, co w oczach Emmy i Roetgera – niby odbicie ogni palonych na wzgórzach, by przekazać ważne wieści.

Potem nastąpiła kompletna cisza. Nikt nie rozprawiał na ten temat, jakby wszelkie komentarze były bluźnierstwem.

Rhys, jako Celt, miał prawdopodobnie największe prawo, by się tego dowiedzieć, ale nic mu nie powiedzieli w obawie, by nie zaczął komponować pieśni.

Wtedy Adelia uświadomiła sobie, że niezależnie od tego, z kim walczył Artur z tym mieczem w dłoni, jego legenda była wartością samą w sobie, gdyż stanowiła zarzewie, wokół którego mógł się skupić cały naród. Żadna religia świata, żaden przekaz o braterstwie ludzi nie zaspokoją potrzeby posiadania własnego, niepowtarzalnego narodowego bohatera. Nieważne, że istnienia Artura nie potwierdzały żadne źródła historyczne, w odróżnieniu od Karola Wielkiego we Francji, Cyda w Hiszpanii i Omara bin Al-Khattaba w Arabii. – Jak można zmienić w niewolników ludzi, którzy urodzili się wolni? Gdzieś, kiedyś zapłonął pierwszy z tych ogni na wzgórzach, a jego blask przetrwał przez wieki nieprzeniknionej ciemności.

To przecież baśń, pomyślała z rozpaczą. A ja jestem strażniczką tej baśni. Chcąc, nie chcąc, otrzymałam do rąk ten jasny ogień, i nikt nie pytał, czy w niego wierzę, czy nie.

A teraz zamierzam go zdradzić.

Adelia chciała poprosić króla o niejedną przysługę, a miecz w rybackim pokrowcu miał być za to zapłatą. Paktując z Henrykiem Plantagenetem, dobrze mieć coś w zanadru, podobnie jak przy układach z diabłem. Można powiedzieć, że różnica była niewielka.

– Jak król zareagował na raport lorda Mansura, kapitanie? – zapytała.

– Podobno był... rozczarowany.

– Czy chcesz eufemistycznie powiedzieć, że znowu gryzł dywany?

Wprawdzie kapitan Bolt nie wiedział, co oznacza słowo „eufemistycznie”, ale sądząc z jego reakcji, król zachował się zgodnie z jej przewidywaniami – tyle że zamiast dywanów gryzł deski pokładu, bo raport wręczono mu podczas przeprawy przez kanał La Manche.

Excalibur nie był zatem darem przypieczętowanym pokój, lecz argumentem przetargowym. Czuła się z tym okropnie, jakby sprzedawała Brytanię za miskę strawy.

Oby okazał się go godny, myślała. Ach, jak on będzie wykorzystywał martwego Artura... Położy kres marzeniom Walińczyków, wykorzysta królewskie szczątki do odbudowy Glastonbury, będzie zachowywał się jak małomiasteczkowy szalbierz, bijący w bęben, by przyciągnąć tłumy żądne widoku cichej celi na zboczach wzgórza.

Tak więc Adelia, dziwnie niezdecydowana, jechała do Wells, lękając się decyzji, którą będzie musiała podjąć tuż po przyjeździe.

Jednym z powodów jej rozterki było zmęczenie. Gdy Emma z Roetgerem odjechali przed kilkoma dniami, by stawić się na wezwanie sądu, zabierając ze sobą Pippy'ego, miała nadzieję, że spędzi ten czas, wypoczywając i bawiąc się z Allie. Na początku rzeczywiście tak było, ale w pewnym momencie obrazy przeszłości zaatakowały jej umysł jak dzikie psy, jakby tylko czekały na chwilę, gdy pozwoli sobie na odprężenie. Urok spokojnych wędrówek po mokradłach zepsuły wspomnienia Sigwarda i Hildy wchodzących na ruchome piaski, dramatycznych chwil w tunelu i śmierci Wolfa.

W tym czasie wezwano ją wraz z Mansurem przed oblicze biskupa St Albans, by zaświadczyli o niewinności Eustace'a w obecności ławy przysięgłych, która miała wydać wyrok na gromadę przed królewskim sądem. Okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewała, bo wszyscy członkowie ławy rekrutowali się spośród okolicznych mieszkańców i dobrze znali się na pułapkach. Choć z początku krzywo patrzyli na Mansura, musieli uwierzyć biskupowi, że ten Arab jest królewskim śledczym i ekspertem, mającym zezwolenie władcy na zbadanie sprawy pożaru w Glastonbury. W końcu król Henryk, sam będący cudzoziemcem, mógł mieć dziwaczne gusty w doborze swoich sług.

– Miałem nadzieję, że sprawa zostanie umorzona, gdy opactwo wycofa oskarżenie przeciwko Eustace'owi – opowiadał jej Rowley – ale pożar był tak wstrząsającą katastrofą, że sąd musi się nią zająć. Gromada będzie musiała się przed nim stawić.

Adelia z kolei miała nadzieję, że Rowley spędzi z nią noc; potrzebowała ciepła jego ciała nie tyle dla przyjemności, ale by odpędzić koszmary. Niestety, nie mógł uwolnić się od

obowiązków królewskiego sędziego w Wells i wkrótce odjechał na czele swoich przysięgłych.

W dodatku, gdy jechali leśną drogą w ten piękny, słoneczny dzień, co i raz natykali się na leżące na poboczu fragmenty ludzkich zwłok; tu leżała czyjaś noga, tam w kępie krzewów zwisał z gałęzi czyjś tors bez głowy. Bynajmniej nie działało to uspokajająco na jej znużony umysł.

Kapitan Bolt z oddziałem starannie oczyścili las z brygantów Wolfa oraz innych osób, które nie miały prawa ani powodu, by przebywać w królewskich włościach.

– Raz-dwa przed sąd leśny, wyrok i ciach! – opowiadał obrazowo.

– Czy trzeba ich tak... wystawiać na widok publiczny? – spytała.

– Rozkaz królewski – odparł. – Dzięki temu wszystkie inne sku... inni złoczyńcy dobrze się zastanowią, zanim pójdą w ich ślady.

Oto dzieło króla, którego uważałam za cywilizowanego, pomyślała gorzko.

Właściwie był cywilizowany: ocalił jej życie, gdy tutejszy Kościół skazał ją na śmierć, bywał uroczy, potrafił doprowadzić ją do śmiechu. Wniósł do prawa angielskiego nowe, śmiałe koncepcje. Jednak gdzieś pod tym wszystkim kryła się dzikość, typowa dla ludzi owych czasów. A ona wciąż miała nadzieję na więcej.

Jakie to wszystko mylące, pomyślała znużona. Czy powinnam mu oddać miecz Artura? A może lepiej nie?

Drwale wycinali drzewa, by zgodnie z prawem las był oddalony od drogi o strzał z łuku, więc powietrze wibrowało od uderzeń toporów i pachniało żywicą – z wyjątkiem chwil, gdy powiew wiatru przynosił odrażającą woń rozkładu.

Z tyłu za końmi – w pewnym oddaleniu, ze względu na niepokojącą obecność królewskiego oficera – jechała na osłach gromada. Zdaniem kapitana Bolta, ich obecność znacznie pogarszała prezencję kawalkady.

Alf już odzyskał głos. Adelia słyszała wyraźnie, jak razem z kompanami komentuje widoki, które mijali, i miała nadzieję, że ich słowa nie dochodzą do uszu kapitana, na którego głowie tkwił solidny, żelazny hełm. Gromada przeważnie próbowała dociec, do kogo należą krwawe członki umieszczone przy drodze.

– Jak myślisz, Willu, czy to Scarry?

– W żadnym wypadku. Scarry miał na rękach czarne włoski. To chyba Abel. On miał takie pokrzywione palce, jak te.

– A, rzeczywiście.

Ku żalowi Adelii Gyltha została w Pielgrzymie. Allie nie chciała się rozstać ze swoim

kundelkiem, a ponieważ psy klusujące były *canis non grata*¹¹ wśród myśliwskiej braci, która miała tłumnie stawić się na zgromadzeniu sądowym, Gyltha postanowiła zostać wraz z małą w gospodzie.

– Widziałam już Wells i mam go dosyć, za dużo tam hałasu – oświadczyła.

– To niepodobne do ciebie – zdziwiła się Adelia, bo Gyltha uwielbiała ruchliwe miasteczka.

– Zaczekaj, aż sama zobaczysz. Nie ma czym oddychać.

Ponieważ Adelia musiała mieć przyzwoitkę, postanowiła zabrać ze sobą Millie. Trudno powiedzieć, ile dziewczyna zrozumiała z rysunków, którymi Adelia próbowała jej opowiedzieć o podróży i o jej celu.

Gyltha miała rację co do Wells; hałas było słychać na kilometr od granic miasteczka.

Wędrowny sąd królewski był straszliwą zgorą, nowomodnym pomysłem Henryka II, dzięki któremu król wprowadził powszechne prawo dla całego kraju, nadrzędne wobec lokalnych i nierzadko stronniczych wyroków orzekanych przez szeryfów, baronów i właścicieli ziemskich.

Podobnie jak młyny boże, żarna sprawiedliwości meły powoli – sąd gościł w Wells od dwóch tygodni i końca nie było widać. Pracowały z drobiazgową dokładnością, słuchając apelacji, wniosków i pozwów, badając stan hrabstwa i działalność praktycznie wszystkich jego mieszkańców, wysłuchując oskarżeń o morderstwa, gwałty, kradzieże i rabunki, a nawet dbając, by najmniejsze choćby piekarnie i piwiarnie odmierzały swoje towary uczciwą i jednolitą miarą.

Instytucja ta była zupełną nowością w Somerset, napełniając jego mieszkańców lękiem i niechęcią. Sędziowie – wielcy, potężni panowie na tysiącach akrów, posiadający własne zamki w Anglii i Normandii – musieli gdzieś przecież zamieszkać, nie wspominając o ich służbie i setkach sekretarzy, niezbędnych do prac sądowych. Gdzie ich przenocować?

Wybór padł na Wells, największe miasto w hrabstwie.

Co gorsza, niech Bóg się nad nami zmiłuje, sam król przybył, by obserwować prace swojego sądu, a nawet zasiadać pośród sędziów. Tylko, gdzie znaleźć mu godną kwatere?

W końcu biskup Wells oddał pałac na potrzeby władcy, choć przyprawiło go to o chroniczny ból głowy.

Na ulicach tworzyły się zatory. Zewsząd zjeżdżały zakratowane wozy, pełne mężczyzn i kobiet trzymany w więzieniach w odległych zakątkach hrabstwa. Tu i ówdzie przemykali

¹¹ żartobliwa przeróbka zwrotu „*persona non grata*” – osoba niemile widziana na „*canis (...)*”, czyli pies niemile widziany (przyp. tłum.).

sądowi sekretarze, wzywając ludzi przed sąd. Urzędnicy, którym zlecono próbowanie jakości piwa, lekko chwiejąc się na nogach, sprawdzali, czy w oberżach nie dolewa się zbyt wiele wody do tego szlachetnego trunku z jęczmienia i drożdży. Piekarze czekali, aż bochny chleba ich roboty zostaną zważone i porównane z wzorcem. Handlarze, przezornie wywieszając na straganach odpowiednie zezwolenia, zachwalali swoje towary. Żonglerzy, akrobaci i gawędziarze zabawiali grupki gapiów. Tu i ówdzie sprzedawano konie, gdzie indziej kojarzono małżeństwa. Wielu ludzi ściągnęło do miasta z daleka, by choć rzucić okiem na swego króla.

Kapitan Bolt i jego ludzie torowali sobie drogę w tłumie, rozdzielając razy płazem miecza.

Na przestronnej łące przed Pałacem Biskupim ustawiono płócienne daszki, pod którymi siedzieli na ławach wędrowni sędziowie, jarlowie, baronowie i biskupi, cieszący się zaufaniem Henryka. Przed nimi stawali oskarżeni, świadkowie i sędziowie przysięgli. Z tyłu czekali kaci, dzierżąc topory i żegadła do oślepienia skazańców.

W końcu kopyta koni zastukały po drewnianym moście nad fosą i kawalkada dotarła do pałacu drogą wiodącą poprzez wspaniałe ogrody różane biskupa.

Mansur pomógł Adelii i Millie zsiąść z ich wierzchowca i wyjął z juków pokrowiec na wędki.

– Nie spuszczań go z oka – poleciała Adelia.

Stajenny zabrał konie, ale skrzywił się na widok osłów.

– Przecież tych chabet nie postawię w stajni.

Kapitan Bolt podsunął mu pod nos wezwanie.

– Biskup St Albans pragnie widzieć tych ludzi.

– Co, ich? – Stajenny przeniósł wzrok z pieczęci na twarze gromady, a potem na Mansura. – Jego też?

– Zamknij się i rób swoje – poradził mu kapitan.

Podobna wymiana zdań powtórzyła się kilkakrotnie, zanim dotarli do wrót pałacu i wprowadzono ich do holu wejściowego. Biskup zjawił się po krótkiej chwili. Czekańc na niego, członkowie gromady spacerowali, przyglądając się malowidłom i ornamentom. Im z kolei przyglądał się bacznie majordomus, z miną człowieka, po którego dywanach przebiegło stado ubłoconych owiec.

– Popatrz no, Willu. – Alf oglądał szczególnie piękny arras. – To chyba Noe buduje arkę, jak ci się widzi?

– Ktoś się niezłe narobił igłą, Alfie. Niezłe pieniądze musi kosztować taki dywanik –

objaśniał go Will ze znanstwem.

– No, ale arki to nijak nie zbuduje, bo toporek trzyma na odwrót, co nie?

Rowley zmierzał ku nim wielkimi krokami. Wyglądał dostojnie w mitrze i biskupiej szacie, ale widać było, że jest zmęczony.

Skłonił się przed Mansurem.

– Co ty tu masz, do diabła? – zapytał.

– To wiklinowy pokrowiec na wędki – odparł eunuch zgodnie z prawdą. Mówił po arabsku ze względu na przysłuchujących się ludzi.

Rowley uniósł brwi, ale nic nie odpowiedział. Skłonił się Adelii, skinął głową ku członkom gromady.

– Idziemy – oświadczył.

– Milordzie, muszę jak najprędzej zaprowadzić panią Adelię do króla – sprzeciwił się kapitan Bolt.

– Król właśnie rozmawia z papieskim legatem i nie skończy tak prędko – wyjaśnił Rowley. – W tym czasie ta dama musi tłumaczyć słowa lorda Mansura, jeśli zajdzie taka potrzeba. To nie potrwa długo.

Biskup poprowadził ich ścieżką wiodącą przez teren sądów. Przypominało to spacer pośród rojów rozdrażnionych pszczoł. Członkowie ławy przysięgłych, obyczajem od niedawna wprowadzonym przez króla, składali sędziom wyjaśnienia dotyczące oskarżonych i całej sprawy. Oto jakaś kobieta pobiła swoją sąsiadkę, bo tamta obrzuciła błotem jej pranie wiszące na sznurze...

– Ale między nimi zawsze była zła krew – mówił właśnie przewodniczący. – Onego roku Alys pobiła Margaret, a poszło im o dzban z mlekiem. Zdaje nam się, że jedna warta drugiej i że...

Adelia chętnie wysłuchałaby sentencji wyroku w sprawie Alys i Margaret, ale Rowley wciąż ją popędzał.

Kolejny sąd orzekał właśnie, że jakiś niegodziwiec zostanie zgodnie z wyrokiem sądu skazany na wygnanie. Wprawdzie nie orzeczono jego winy w sprawie gwałtu, bo skarżąca nie potrafiła tego udowodnić, ale ława przysięgłych uznała, że człowiek ten ma zły charakter i ukrzywdził niejedną kobietę.

Adelia poczuła przyływ sympatii do Henryka Plantageneta. O wiele uczciwiej było zdać się na osąd ławy przysięgłych, niż pławić ludzi w sadzawkach, by sprawdzić, czy będą unosić się na powierzchni, dowodząc swej winy, czy też utoną, dając świadectwo niewinności. Król miał nadzieję, że próby wody ojedną wkrótce w niepamięć.

Usłyszała jeszcze końcówkę wyroku:

– ...a jego dobra przejdą na własność Korony.

Oczywiście. Ależ oportunistą z tego Henryka. Nawet miedziaka nie wypuści z garści.

Z drepcącą za nimi Millie, której rozbiegane oczy chłoneły widowisko, nadrabiając niedostatek dźwięków, dotarli wreszcie do celu – polany z rozłożystym jesionem, pod którym na niewielkim podwyższeniu siedział sędzia i z irytacją wymachiwał packą na muchy przed swą spoconą twarzą. Z pobliskiego, bardzo zatłoczonego aresztu, gdzie przetrzymywano oskarżonych mających wystąpić tego dnia, wyprowadzono czterech mężczyzn, prawdopodobnie pozostałych członków gromady Eustace’a, którzy przebywali w więzieniu.

Obok sędziego, przy niższym stole, siedział sekretarz z wygoloną tonsurą, a przed nim piętrzył się stos pergaminów.

Woźny o posturze Goliata wprowadził Willa, Alfa, Tokiego, Olliego i jeszcze jednego członka gromady, który – jak się Adelia dowiedziała – miał na imię Jesse, i kilkoma kuksańcami ustawił obok kompanów.

Sekretarz ujął jeden z pergaminów:

– Milordzie, sprawa dotyczy *frankpledge*. Opat Glastonbury oskarża niejakiego Eustace’a z Glastonbury należącego do tej gromady, która stoi przed tobą, o wzniesienie wielkiego pożaru...

Sędzia obrzucił gromadę wściekłym spojrzeniem.

– Spodziewam się, że jest tego winny. Co za potwór. Zresztą oni wszyscy wyglądają jak podpalacze.

– Tak, milordzie, ale...

– W dodatku przez nich musiałem tu siedzieć i czekać. – Wskazał na Willa z towarzyszami. – Samo to jest już przestępstwem.

– Tak, milordzie, ale oskarżenie zostało wycofane.

– Wycofane? – szczerknął sędzia jak lisica, której zabrano małe.

– Zarówno opat Glastonbury, jak i Eustace nie żyją, milordzie, a ponadto...

Gniew sędziego nieco przygasł.

– Dobry człowiek był z tego opata Sigwarda. Spotkałem go kiedyś w Winchester w samą Wielkanoc. Święty człowiek. Zamyślił się, ale po chwili wziął się w garść. – Jednak z faktu, że oskarżyciel i oskarżony nie żyją, nie wynika, że Eustace był niewinny i że tych tu łotrzyków można zwolnić z ich zobowiązania.

– Jednakże tego nie zrobił, mój panie.

– Na pewno? A skąd mamy to wiedzieć? Czy ktoś zaświadczy o jego niewinności?

Ten pożar to wielka tragedia, ktoś musi za to zapłacić.

– Tak, mój panie, ale...

Rowley wystąpił naprzód.

– Jestem przedstawicielem opactwa w tej sprawie, milordzie. Mnisi są wciąż w żałobie po swoim opacie i nie mogli się stawić. W ich imieniu wycofuję oskarżenie.

Sędzia wstał i skłonił się przed nim.

– Lordzie biskupie.

– Milordzie. – Rowley odpowiedział ukłonem. – Dowiedziono, że Eustace nie ponosi winy za zaproszenie ognia...

– Przez kogo? – Sędzia nie chciał łatwo wyrzec się swego łupu.

– Pożar wzniecili przypadkiem sami mnisi. – Rowley podał sędziemu dokument przewiązany złotym sznurem. – Oto zeznanie brata Titusa...

– Bez wątpienia przyjmuje na siebie winę w imię chrześcijańskiego miłosierdzia... Jesteście pewni, że ten cały Eustace nie przyłożył do tego ręki?

W odpowiedzi sekretarz wskazał dwunastu mężczyzn, którzy czekali nieopodal.

– Milordzie, aby się o tym upewnić, powołano ławę przysięgłych, ludzi którzy udali się do opactwa obejrzeć dowody niewinności Eustace'a.

Woźny przywołał zdenerwowanych członków ławy przysięgłych.

Widać było, że sędzia ma o nich równie mizerną opinię, jak o gromadzie, gdyż należeli do tej samej klasy społecznej.

– Powołani w sposób należyty?

– Tak jest, milordzie. Oglądali zarówno pogorzelisko, jak i dowody.

– A zatem były jakieś dowody?

– Milordzie, ten smagły dżentelmen pokazał nam wszystko po kolei i objaśnił... tam była pułapka i odcięte palce, bardzo to było sprytne... – zaczął odważnie wyjaśniać przewodniczący ławy przysięgłych.

Sędzia zainteresował się Mansurem.

– Saracen? Co on tam trzyma w ręku? Jakąś cudzoziemską broń?

Przewodniczący brnął dalej:

– Znaczy, ta dama będzie nam tłumaczyć, co on gada, bo mówi tym samym językiem co on...

– Czyli po arabsku? – Wzrok sędziego spoczął na Adelii. – Pewnie taka sama z niej chrześcijanka, jak i z niego. I to mają być świadkowie?

– Milordzie – odezwał się biskup St Albans. – Lord Mansur jest śledczym Jego

Królewskiej Mości...

– Skąd on ich bierze? – zapytał sędzia, kierując wzrok ku niebu i dodał: – Jak dla mnie, może być sobie nawet specjalnym wysłannikiem archanioła Gabriela. Tu decyduje ława przysięgłych. Jeśli to im wystarczy...

– Tak jest, milordzie. Eustace tego nie zrobił.

– Dobrze już, dobrze – stwierdził sędzia, ale wciąż szukał dziury w całym. – Czy zatem, ławo przysięgłych, możesz zaświadczyć, że gromada ta składa się z ludzi przyzwoitych?

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Ręka Tokiego powędrowała pod tunikę i chłopak zaczął się drapać jak zapchlony pies.

– Nie jesteśmy pewni, gdzie teraz mieszkają, bo ich domy spłonęły w pożarze – oświadczył ostrożnie przewodniczący – ale nic złego nam o nich nie wiadomo, co prawda, to prawda. A ten tu Will z Glastonbury jest zacnym piekarzem.

Sędzia westchnął.

– Są zatem wolni.

Sekretarz podał mu pergamin do podpisania.

– Dziękujemy biskupowi St Albans za uczestnictwo. Następna sprawa.

W następnej sprawie oskarżony był jakiś człowiek w dybach, którego woźny wyprowadził z aresztu przed oblicze sędziego. W cieniu drzewa zajęła miejsce nowa ława przysięgłych.

Gromada przez chwilę stała bez ruchu, rozważając to, co się stało. W końcu Will podszedł do sędziego i podał mu niezbyt czystą dłoń.

– Wielkie dzięki, milordzie – mruknął.

Woźny odsunął go na bok.

Alf pobiegł za przewodniczącym ławy przysięgłych, próbując rzucić mu się na szyję i ucałować.

Will zdjął czapkę przed biskupem, mruknął coś do Mansura i Adeli, i już go nie było.

– Nie licz na dłuższe podziękowania – odezwał się Rowley. Po raz pierwszy tego dnia odezwał się do niej. Ledwie ją zauważał.

Z sympatią obserwowała odchodzącą gromadę.

– Ława przysięgłych – powiedziała. – Dzięki ci, królu Henryku, w imieniu tych ludzi i wszystkich, którzy staną przed sądem.

– Największy prawodawca od czasów Salomona – oświadczył z namaszczeniem Rowley i puścił do niej oko. – Nie zapominaj, że są z tego niezłe pieniądze. Mimo wszystko

lepiej, że te wszystkie grzywny i konfiskaty idą do kieszeni Henryka, a nie kogoś innego.

Jakiś urzędnik próbował zwrócić na siebie uwagę biskupa.

– Milordzie, teraz masz prezydować w sprawie lorda Newcastle. Proszę za mną...

Rowley machnął ręką i zniknął w tłumie.

I tak to już będzie, pomyślała Adelia. Żadnych poufałości publicznie, krótkie chwile spędzone razem, nic pewnego. Ale i tak wystarczy nam to do szczęścia.

Kapitan Bolt niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Król, pani... – przypomniał.

Adelia wzięła od Mansura długi wiklinowy pokrowiec i w myśli poprosiła o wybaczenie szczątki wojownika ze wzgórza Tor. Rozumiesz chyba, że Henryk jest właściwie twoim godnym następcą. Zobacz, jakie sprawiedliwe prawo zaprowadził na twojej wyspie.

W pałacu majordomus poprowadził kapitana, Adelię, Mansura i Millie przepiękną klatką schodową ku długiej galerii o licznych, wysokich oknach, gdzie czekała równie długa kolejka ludzi, siedzących na specjalnie ustawionych dla nich ławach.

– Petenci – stwierdził z niesmakiem kapitan Bolt. – Jak długo mamy tu czekać? Król chciał się pilnie widzieć z tą damą

– Jego Wysokość rozmawia z papieskim legatem, panie – odpowiedział majordomus. – Gdy tylko skończy... Na litość boską, niech ta świnią przestanie załatwiać się na posadzkę!

Posadzka była rzeczywiście bardzo ładna, z herbem ułożonym z terakoty. Świnią też była ładna, choć wyraźnie miała problemy żołądkowe. Postawna farmerka, która trzymała ją na postronku, uprzejmie kiwnęła głową, wzięła zwierzę na kolana i otarła mu zadek rękawem.

– Czy ona musi tu być? – Majordomus z rozpaczliwą miną zwrócił się do królewskiego sekretarza, który stał przy drzwiach z pergaminem w ręku i pulpitem na szyi. Adelia już go kiedyś widziała, ale nie pamiętała jego imienia.

– Król powiedział: wszyscy petenci – przypomniał mu sekretarz. – Ta kobieta jest petentką, a kto wie, czy i ta świnią nią nie jest.

– Zatem ja również złożę petycję o kawałek jakiejś szmaty i wiadro – odparł z irytacją majordomus.

Większość z tłumu pospólstwa zgromadzonego na galerii z niepokojem przysłuchiwała się rozmowom; prawie wszyscy poruszali ustami, jakby w myśli powtarzali swoje prośby do króla. Wyjątek stanowiła farmerka, oczekująca na swoją kolej z arystokratycznym spokojem.

Adelia i Millie usiadły obok niej. Przez otwarte okna galerii sali audiencyjnej słychać było rozmowę króla z jakimś człowiekiem, choć odpowiedzi tego ostatniego ledwie docierały. Za to kwestie króla, donośnie brzmiące w słodkim letnim powietrzu, jak zwykle raniły uszy

pryzwoitych ludzi.

– Nic z tego, Monseigneur. Nie będę im obcinał języków ani jaj, ani żadnych innych części ciała. A już na pewno nie każę ich ściąć.

Legat odpowiedział cichszym, bardziej opanowanym głosem. Adelia pochwyciła słowo „heretycy”.

– Jacy heretycy? Bo sprzeciwiają się sprzedaży odpustów? Ja sam nie lubię sprzedaży odpustów. Nauczono mnie, że za grzechy płaci się w piekle, a nie wciskając garstkę miedziaków pierwszemu lepszemu księdzu. Czy w związku z tym też jestem heretykiem?

Legat odpowiedział coś półgębkiem.

Adelia zauważyła, że sekretarz w drzwiach zaczyna się denerwować. Ma na imię Robert, Mistrz Robert, przypomniała sobie.

– No dobrze, zróbcie z nimi, co chcecie – odezwał się król. – Niech Kościół ich jakoś ukarze... aha, zapomniałem, to się nie da zrobić, prawda? Kościół nie może rozlewać krwi, ale chętnie postawi heretyków przed sądem świeckim, by tam ich obdarto ze skóry. Nie, nie, wasi kryminalni sędziowie nie będą sobie brudzić rączek. Mam taką sprawę w Nottingham: sześćioletni chłopiec molestowany przez księdza. Postaw oskarżonego przed sądem, powiedziałem biskupowi, a jeśli okaże się winny – a na pewno jest winny – oddajcie go moim sędziom, a my już się postaramy, żeby drań więcej czegoś takiego nie zrobił. Och, nie, to duchowny, a duchownego nie wolno tknąć, to jest wyłącznie sprawa Kościoła... i drań chodzi do dziś dnia, zagrażając innym dzieciakom.

Tylko nie wspominaj o Beckecie, pomyślała Adelia. Nie daj im powodu, by znów się do ciebie dobrali.

Wygrana w sporze z królem kosztowała arcybiskupa życie, ale zapewniła mu miejsce wśród świętych, księżom zaś bezkarność wobec sądów cywilnych.

Drzwi do sali audiencyjnej stały otworem i wyszedł z nich tłusty, zirytowany mężczyzna w szkarłatnych szatach i czapce kardynała. Gdy przechodził obok, Adelia pochwyciła zapach perfum i potu. Plantagenet stanął w drzwiach i odprowadzał go gniewnym wzrokiem.

– Ehm – odchrząknął z zakłopotaniem Mistrz Robert.

– Czego! – huknął jego pan i władca.

– Mój panie, stąpamy po cienkim lodzie. Monseigneur jest przedstawicielem papieża. A papież...

– Może obłożyć całą Anglię interdyktem, jeśli nie ukarzę heretyków. Dzięki, Robercie, sam wiem. Ilu mamy tych przeklętych heretyków?

– Trzech, mój panie.

– No, dobrze. – Henryk westchnął. – Niech kat wypali im literę „H” na czołach i puści ich wolno. Może to zadowoli Jego Świątobliwość. Tylko uważajcie, żeby żelazo nie weszło za głęboko.

– Tak, mój panie. – Mistrz Robert zanotował coś na tabliczce. – Obawiam się, że będziesz musiał być przy tym obecny; wtedy kardynał będzie mógł przynajmniej napisać papieżowi, że usankcjonowałeś kaźń swoją obecnością.

Król splunął.

– Będzie miał szczęście, jeśli nie doniesie, że osobiście wsadziłem mu w tyłek żelazo do piętnowania... dobrze, już dobrze, powiedz mi tylko, kiedy kat będzie gotów. Kto następny?

Jego wzrok padł na prosiaka.

– Co ten zwierzak tu robi?

– Zdaje mi się, że należy do pani Hackthorn, która przybyła z petycją, Wasza Wysokość.

– Nie, mój panie. – Farmerka, wciąż trzymając w objęciach prosiaka, z niejakim trudem podniosła się z ławy. – Przyszłam do ciebie z podziękowaniem. Przyniosłam ci w prezencie tego tuczniaka, dobry królu Henryku, kochanie ty nasze.

– Naprawdę? – Henryk podszedł do niej z wyraźnym zainteresowaniem. – Ale dlaczego?

– Ano za mojego chłopca Triffina, panie. Nasz lord Kegworth, ten co włada dworem Gurney, powiedział, że nasza dzierzawa jest jego. Niby to, że mój Triffin nie jest wolnym chłopem. No i zabrał wszystko. Ale to było podłe kłamstwo, bo myśmy tę ziemię uprawiali w rodzinie od czasów króla Harolda...

Henryk spojrzał na Mistrza Roberta.

– Ach tak, milordzie – przytaknął sekretarz, zaglądając w notatki. – Petycja od Mistrza Hackthorna z Westbury o nieprawne wyrzucenie go z ziemi przez lorda Kegwortha. Wykupił nakaz *Novel Dissiesin* i sprawa została rozpatrzona dwa dni temu przez ławę przysięgłych, którzy znali sprawę i zaświadczyli wobec sędziego.

– Naprawdę? – powtórzył zachwycony Henryk. Przeniósł wzrok na panią Hackthorn. – Ile was kosztował ten nakaz?

– Dwa szylingi, dobry panie. Ale warto było. Jak to oni na siebie mówią? Przysięgli?

– Dwunastu dobrych mężów, znanych z uczciwości – przytaknął król.

– Tacy byli, wypisz wymaluj, panie królu. Inaczej byśmy zostali bez domu. Popatrzeli,

gdzie leży prawda, i oddali nam naszą ziemię. Za co bardzo ci dziękujemy i prosimy, żebyś przyjął tego tucznika, panie, bo nasza maciora ładnie się oprosiła tej wiosny i możemy sobie pozwolić, żeby jednego malucha oddać do ludzi.

– Mój Boże, kocham Anglików – odparł Henryk. – Madam, jestem zaszczycony. – Wziął świnię na ręce i zabrał ją z sobą do sali audiencyjnej, wołając przez ramię: – Następny!
– Teraz ty, pani – Mistrz Robert zwrócił się do Adelii.

Kapitan Bolt skłonił się i, uznając, że wypełnił obowiązek, oddalił się z galerii.

Adelia wraz z Millie i Mansurem weszła do komnaty. Oparła swój pakunek o ścianę przy drzwiach. Sekretarz wszedł wraz z nimi, zamknął drzwi i pośpiesznie pozamykał wszystkie okna.

Komnata była piękna, przestronna i słoneczna, z cudownymi ornamentami na suficie. Wszystkie stoły, krzesła i skrzynie były pokryte płaskorzeźbami i wypolerowane do blasku, sprawiając wrażenie, że żyją własnym życiem. Wysadzone klejnotami astrolabium, odlewy z brązu... biskup Wells wyraźnie wiedział, co dobre.

Henryk nadał temu pomieszczeniu własny styl. Wszystkie powierzchnie pokrywały pergaminy i zwoje ze zwisającymi pieczęciami. Ulubiony sokół króla przycupnął na drążku, pstrząc podłogę odchodami, a dwa ubłocone gończe psy rozłożyły się wygodnie przed ogromnym, marmurowym kominkiem.

Król był tym razem bogato odziany, ale znając go, Adelia domyśliła się, że zdążył już wrócić z porannego polowania.

Postawił świnkę na podłodze. Psy podniosły głowy, przyglądając się jej ciekawie, ale na jedno słowo swego pana znowu ułożyły się do snu.

Nagle rozległo się plaśnięcie: to świnka ozdobiła wedle swego gustu perski dywan biskupa. W powietrzu rozszedł się zapach nawozu, nakładając się na aromat różanego pot-pourri, które biskup trzymał w eleganckich misach.

Henryk z sympatią poklepał prosiaka.

– Jestem tego samego zdania – powiedział.

– Pani Adelia – podpowiedział sekretarz.

– Znam ją aż za dobrze – odparł król nadałszym tonem. Ukłonił się zdawkowo Mansurowi, skinął głową Millie, a potem strzelił krótkimi palcami. Mistrz Robert podał mu raport Adelii. – Widziałem się dziś rano z biskupem St Albans, panienko. Bardzo z siebie zadowolony. Zdaje mi się, że coś mu dałaś, prawda to?

Adelia zacisnęła wargi; to jeszcze nic, zaraz będzie gorzej, pomyślała. Zmarnowała przecież królewskie pieniądze, co stanowiło najgorszy grzech w oczach monarchy, któremu

wciąż brakowało funduszy na zaciężne armie. Mój Boże, jaki ten człowiek był arogancki. Ostatni raz pracuję dla niego, obiecała sobie w duchu. Ostatni raz i już.

Władca pomachał pergaminem.

– Mam ochotę kazać ci to zjeść. Kiedy wysyłałem cię do Glastonbury, chciałem dostać Artura i Ginewrę. A co ty mi dałaś? Dwóch sodomitów.

– Chciałeś znać prawdę, panie – odparła. – Więc ją poznałeś. To, co z nią zrobisz, to twoja sprawa. Możesz spokojnie uznać ich za Artura i Ginewrę.

Ona również potrafiła uderzyć w szorstki ton.

Król jeszcze bardziej się nasrożył.

– O nie, moja pani, po mnie się to nie pokaże. Ja również żywię szacunek dla prawdy. Gdyby było inaczej, dalej byś siedziała na tych wstrętnych mokradłach, które tak lubisz. Jeśli to byli sodomici, to nimi zostaną.

Naturalnie, miał rację; nie powinna go tak oceniać, ale nagle odniosła wrażenie, że wzajemny szacunek, jakim się darzyli przez ostatnich pięć lat, gdzieś przepadł. Błękitne oczy, spoglądające na nią przez rude, niemal niewidoczne rzęsy, mogły równie dobrze należeć do kogoś obcego.

– Tak jest, Wasza Wysokość. Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość.

– I słusznie – odciął się. Zamilkł na chwilę. – Założę się, że po mojej śmierci opactwo natychmiast uzna ich za Artura i jego królową. – Ponownie zajął do raportu: – A co to za historia z opatem Sigwardem i ruchomymi piaskami?

– Samobójstwo, Wasza Wysokość. Z powodu wyrzutów sumienia, wywołanych zamordowaniem syna – wszystko tam opisałam. Biskup St Albans powiedział mnichom, że to był wypadek.

– Żal mi go. Lubilem Sigwarda, był po mojej stronie. Bóg jeden wie, kogo teraz wybiorą. Czy wiesz, ile to będzie mnie kosztowało? Skąd mam wziąć pieniądze na odbudowę tego przeklętego opactwa, jak myślisz?

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość.

Król czytał dalej.

– „Proszę, aby Godwyn, oberżysta z Pielgrzymą nie musiał znosić większych cierpień niż te, które teraz są jego udziałem...” Kobieto, przecież ten człowiek był współnikiem morderstw planowanych przez jego żonę... może jeszcze poprosisz, żeby uniewinnić Kaina za śmierć Abla?

– Z drugiej strony, Wasza Wysokość, ten człowiek pomógł uratować Emmę, lady Wolvercote, i jej dziecko...

– Aha, tej młodej bogatej wdówki? – Król spojrział na nią z ukosa z miną drapieżnego zwierzęcia. – Mam tu dla niej paru zacnych zalotników.

– Wasza Wysokość, obiecałeś mi, że jej nie sprzedasz nikomu, ona chce wyjść za swego rycerza, błagam cię... – zaczęła prosić zaniepokojona Adelia, ale król przerwał jej wywody.

– To było, zanim dostałem od ciebie sodomitę w miejsce króla Artura – oświadczył, postukując w pergamin. – Jeszcze o tym porozmawiamy. Być może w tej sytuacji będę musiał zagospodarować moje zasoby. Przejdźmy do tej wdowy dziedziczki Wolvercote... „Ty, który cenisz sprawiedliwość ponad wszystko...” dobra, dobra, „...napraw tę wielką krzywdę...” Czego ty ode mnie wymagasz? Żeby wyrzucił tę babę z jej posiadłości?

– W ten sposób sprawiedliwości stałoby się zadość. Posłała swoją synową i innych na pewną śmierć... – Adelia zdała sobie sprawę, że jej głos zabrzmiał piskliwie i próbowała go złagodzić. – Emma i jej dziecko uniknęli śmierci tylko dzięki łasce boskiej i sprawnemu ramieniu jej rycerza...

– Możesz to udowodnić?

Dlaczego jej ciągle przerywał? Udowodnić? Zaczęła się zastanawiać. Wolf dostał wiadomość, że bogata dama ze służbą wyruszy w drogę z Wolvercote... Tak powiedział Will. Morderca, do którego wiadomość była adresowana, już nie żył. Osoba, która ją dostarczyła, na pewno należała do najbardziej zaufanych sług wdowy i za nic nie będzie świadczyć przeciwko swojej pani. Zatem wszystko opierało się na pogłoskach. Poza tym słowa niegodnych szacunku kłusowników nie będą nic znaczyć wobec świadectwa szanowanej, ustosunkowanej i bogatej arystokratki.

Pokręciła głową.

– Wątpię.

– Ja też.

– Ale to niesprawiedliwe – krzyknęła tonem rozkapryszonej dziewczynki, zupełnie jak Allie. – Wasza Wysokość, przecież ona przyłożyła rękę do zamordowania sześciu osób.

Henryk wzruszył ramionami.

– Może i niesprawiedliwe, ale gdybym wkroczył i wyгнаł ją z majątku bez dowodów winy, zrobiłbym coś jeszcze gorszego. To byłoby bezprawie. Muszę przestrzegać praw tego kraju tak jak wszyscy, bo w przeciwnym razie powrócimy do tyranii i chaosu. Prawo to rodzaj umowy, którą zawarłem z moim ludem.

A umowa ze mną? Czy ona cię nie obowiązuje? – pomyślała. Zapomniałeś już o obietnicach, zapłacie za lojalną służbę, a nawet o zwykłym „dziękuję”?

W tym momencie król popatrzył znacząco na Mistrza Roberta i mrugnął do niego okiem.

Komnata zakołysała się w posadach i rozpadła na kawałki. Zmieniła się w polanę Wolfa, z bestią rzucającą się do ataku wprost na nią, potem w tunel oberży, przez który brodziła w mule... Nagle zobaczyła przed sobą dwie postaci, zapadające się w mokradła Avalonu...

– Do diabła z tobą, Henryku! – krzyknęła. – Posłałeś mnie do piekła i nie dałeś nic w zamian! Widziałam straszne rzeczy, naprawdę straszne rzeczy, pracuję dla ciebie... ale koniec z tym, to już ostatni raz. Wygnali mnie z moich bagien... nigdy, nigdy więcej. Nie jestem twoją poddaną, nie jesteś moim królem... jestem zmęczona, jestem uboga i chcę wrócić do domu.

Rozpląkała się, a potem osunęła na krzesło i zaczęła bić piętami w podłogę jak niegrzeczne dziecko.

W komnacie zapanowała koszmarna cisza.

Zabije mnie, pomyślała. Wszystko mi jedno.

Po długiej chwili niechętnie otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz Mansura. Obok przycupnęła Millie, trzymając ją za rękę. W komnacie panowała cisza, bo Henryk z niej wyszedł. Natomiast przy drzwiach pojawił się młody człowiek, w prawniczej czapce z nausznikami.

Psy wpatrywały się w nią badawczo. Prosiak pierdnął ze współczuciem.

Mistrz Robert nalał do srebrnego kielicha nieco wina ze srebrnego dzbana, podszedł i podał jej napój, pomagając utrzymać naczynie w dłoniach. Był granitowo spokojny, jakby ludzie codziennie miewali ataki hysterii w obecności Plantageneta.

– Król wyszedł, by uczestniczyć w piętnowaniu heretyków, pani – wyjaśnił.

– Naprawdę? – spytała głosem bez wyrazu.

– Niechętnie bierze udział w czymś takim. Obawiam się, że dlatego był taki przekorny.

– Aha.

– Ale jeśli zechce pani pójść z Mistrzem Dickonem, to zaprowadzi panią do lady Wolvercote. Mistrz Dickon jest jej prawnikiem i przedstawicielem.

Mistrz Dickon zdjął czapkę i złożył skomplikowany, niski ukłon.

– Proszę za mną, pani. Gorąco tu prawda? Taki upał każdemu zaszkodzi.

Mansur ujął Adelię pod ramię, podniósł wiklinowy pokrowiec i wraz z Millie zeszli za prawnikiem po schodach, mijając kolejkę petentów.

– Naprawdę chcesz wrócić do domu? – spytał Mansur po arabsku.

Jeszcze przed chwilą tego chciała: pragnęła bezpieczeństwa, spokoju panującego w domu przybranych rodziców, dyscypliny naukowej, zgodnie z którą decyzje miały opierać się na faktach, gdzie nie było miejsca na moralne ruchome piaski, gdzie mózg panował nad emocjami, gdzie nie trzeba było żyć w grzechu i narażać tym nieśmiertelnej duszy na potępienie, gdzie król w ogóle się nią nie interesował.

– A ty? – odpowiedziała zmęczonym głosem.

– Myślałem o tym – odparł. – Ale ja mam Gylthę.

Ja też ją mam, pomyślała. I mam też ciebie, który jesteś moją opoką, mam Allie i mężczyznę, którego kocham i który mnie kocha, choć zmniejsza to nasze szanse na pójście do nieba.

Z drugiej strony była tak strasznie zmęczona uczuciami – tym darem i tą klątwą, którą nałożyła na nią angielska ziemia. W tej chwili nie wiedziała co lepsze – ulegać uczuciom czy w ogóle ich nie zaznać.

– Nie oddałaś królowi Excalibura – zauważył.

– On mi też niczego nie dał.

Prawnicy znani Adelii z Salerno byli brodatymi starcami, którzy rozmawiali o rocznikach, kodeksach, i *Summa Azonis*, prawie rzymskim, którego nauczono ich na wielkim Uniwersytecie Bolońskim. Do tej pory nie spotkała kogoś takiego jak Mistrz Dickon – młodzika bez żadnej ogłady i wychowania, za to wykazującego niemałą inteligencję. Ten syn latarnika znad Tamizy gotów był dzielić się wiedzą, a nie ją ukrywać, co jeszcze bardziej różniło go od typowych prawników. W dzieciństwie posłano go do prowadzonej przez jego wujka szkoły, w której nauczył się ładnie pisać. Potem przyjęto go do pracy w kancelarii królewskiej, gdzie sam kanclerz zauważył jego zdolności i posłał na studia prawnicze.

Wszystkie te informacje rzucał przez ramię, mówiąc z charakterystycznym londyńskim akcentem, gdy prowadził ich na dół do holu wejściowego.

– Widzi pani, to moja pierwsza sprawa z zastosowaniem nakazu *Morte d'Ancestor* i z tego, co wiem, zaledwie trzeci taki przypadek w całym kraju – mówiąc to, dosłownie płonął entuzjazmem.

– *Morte d'Ancestor*? Śmierć przodka? – zapytała Adelia, nie wiedząc, o co chodzi.

– Nie słyszała pani o tym? Koniecznie musi się pani dowiedzieć, co to jest *Morte d'Ancestor*, nowy, genialny nakaz *Morte d'Ancestor*.

Rozejrzał się wokoło i spostrzegł niszę, w której wszyscy mogli stanąć wygodnie i posłuchać jego wyjaśnień na temat genialnego królewskiego nakazu. Obecność Mansura nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia – tłumacząc prawnicze zawilości, zwracał się do nich

wszystkich, również do Millie. Przeszedł na angielski, zakładając, że nie znają łaciny. Wyglądało na to, że darzył Henryka Plantageneta szczerym podziwem, podobnie jak wielu Anglików z niższych grup społecznych, którzy szanowali swego króla o wiele bardziej niż normańska szlachta, bo odnosili korzyści z wprowadzanych przez niego praw, a do tego otworzyła się przed nimi szansa awansu na stanowiska zarezerwowane poprzednio dla lepiej urodzonych.

– Sprytny jest ten nasz król Henryk – rozplęwał się Dickon. – Widzi pani, król nie jest zwolennikiem prawa rzymskiego, podobnie jak ja. Za dużo przesłuchań, bizantyjskie metody, za duże opóźnienia. Postanowił więc skorzystać z anglosaskich praw naszych przodków. Król jest jak piekarz, jeśli wolno tak powiedzieć. Bierze dobre, angielskie ciasto i je genialnie przycina, ugniata i kształtuje na nowo. Kiedyś wszystkie sądy w tym kraju będą pracować według tych zasad.

– Ale co ma z tym wspólnego *Morte d'Ancestor!* – spytała Adelia, nie rozumiejąc, do czego to wszystko zmierza, niepewna, czy w ogóle chce to wiedzieć.

– Ach, *Morte d'Ancestor*. – W ustach Mistrza Dickona nazwa ta zabrzmiała jak najpiękniejszy wiersz. – To najnowszy z królewskich nakazów... Dał nam nakaz prawny, potem nakaz *Praecepte*, potem *Novel Dissiesin*, a teraz... – Zreflektował się, widząc, że jego rozmówcy nie wie, o co chodzi. – Widzi pani, to wszystko są sposoby pozwalające na obejście sądów lokalnych i zwrócenie się o sprawiedliwość wprost do króla, nie do szeryfa, lorda czy też dziedzica, tylko do samego króla. Prawo dostępne dla każdego. Wykupuje się nakaz odpowiedni dla danego przypadku.

„Ile zapłaciłaś za ten nakaz?”, spytał przecież król panią Hackthorn.

– To znaczy, że sprawiedliwość jest na sprzedaż? – spytała rozczarowana Adelia, myśląc: jakże to typowe dla Henryka.

Mistrz Dickon zmarszczył brew.

– W pewnym sensie tak, ale każdego na nią stać. Cena według możliwości. Nie tyle chodzi nam o kupowanie sprawiedliwości, ile o opłatę za szybkie otrzymanie pomocy od króla. W starym systemie na wyrok sądu czekało się latami. A teraz w sprawie lorda Wolvercote'a przeciwko wdowie dziedziczce lady Wolvercote twoja przyjaciółka wykupiła dla swojego synka *Morte d'Ancestor*... naturalnie sam jej to doradziłem, bo jest przecież kobietą, a lord Wolvercote jest nieletni.

– Naprawdę tak zrobiła? – spytała Adelia, która nie widziała się z Emmą ani Roetgerem od ich wyjazdu do Wells. Teraz zaś dowiedziała się, że Emma wykupiła nakaz i staje do walki z prawnikiem u boku. – Zrezygnowała z sądu bożego?

– Pani – pouczył ją Dickon z wyższością – to zbyt prymitywne rozwiązanie. Nie zalecam sądów bożych, wynik jest zwykle niepewny. Zastosowaliśmy nakaz królewski.

Jakiś wyrostek w czapce sekretarza sądowego pociągnął go za rękaw, mówiąc:

– Już wracają, panie.

– Aha... pośpieszmy się więc. Sędziowie nadchodzą.

Ruszyli żwawo za młodzieńcem. Adelia zastanawiała się, czy jego matka wie, że chłopak zatrudnił się jako urzędnik sądowy.

Sprawa lorda Philipa z Wolvercote przeciwko wdowie dziedziczce, lady Wolvercote, szczególnie interesująca dla miejscowych, przyciągnęła spory tłum widzów, niemal tak duży, jak widownia sądu bożego. Woźny musiał utorować im drogę na polanę, która w pewnym sensie była areną walki. Sędziowie właśnie siadali pod baldachimem, rozstawionym nad drewnianym podwyższeniem z ławami. Na trawniku przed nimi ustawiono naprzeciwko siebie dwa ozdobne krzesła, stojące w pewnej odległości. Pippy skłonił się sędziom i zasiadł na jednym z nich, bujając w powietrzu krótkimi nóżkami. Naprzeciwko usiadła jego babka.

Ktoś złapał Adelię za ramię.

– Nie chciałam mówić ci o tym wcześniej, bo miałabyś wspaniałą niespodziankę, gdybyśmy dziś wygrali. Ale cieszę się, że tu jesteś – powiedziała Emma, nie spuszczając wzroku z synka. – Spójrz na niego, jak ładnie się zachowuje. Słodki jest, prawda?

Rzeczywiście, malec był uroczy. Ale, ponieważ sprawa sądowa jest zawsze czymś w rodzaju bitwy, Adelia musiała niechętnie przyznać, że pogodny chłopczyk został całkowicie przyćmiony przez kobietę, siedzącą naprzeciwko. Wdowa dziedziczka była uosobieniem godności.

Jej blada, nieruchoma twarz otoczona czarnym czepcem wyglądała jak rzeźba z dwubarwnego marmuru. Wokół niej zgromadziło się wielu prawników, w dodatku takich, którzy w odróżnieniu od Mistrza Dickona, wyglądali na szanowanych przedstawicieli swojej profesji.

Z podwyższenia rozległ się wątyły, pozbawiony emocji głos starego człowieka, który – pomimo wszystko – dotarł do uszu zgromadzonych widzów.

– Szeryfie, czy Philip z Wolvercote wpłacił ci kaucję należną za rozpoznanie jego sprawy?

– To Richard De Luci – powiedziała Emma ledwie słyszalnym szeptem. – Sam Sędzia Najwyższy. Mój Boże, to taka poważna sprawa. Czy ja słusznie narażam Pippy’ego na to wszystko?

Szeryf hrabstwa Somerset, rumiany mężczyzna o twarzy cierpiętника, odziany w szaty

równie barwne jak baldachim nad jego osobną ławą, wstał i oświadczył:

– Tak jest, milordzie.

– I czy wezwałeś prawomocnie dwunastu wolnych i uczciwych ludzi z okolic dworu Wolvercote, gotowych złożyć przysięgę, że lord Ralph z Wolvercote, ojciec wzmiankowanego Philipa, otrzymywał dochody ze wzmiankowanego majątku na dzień swej śmierci?

– Tak jest, milordzie. – Szeryf wskazał na sąsiednią ławę, na której siedziało dwunastu mężczyzn, stłoczonych jak bańki z mlekiem na wozie jadącym na targ.

– Kto przemówi w ich imieniu?

Jeden z mężczyzn wstał z widocznym trudem.

– Ja, milordzie. Jestem Richard de Mayne, stanu rycerskiego i posiadam dwanaście włók ziemi w parafii Martlake. Moje ziemie graniczą z majątkiem Wolvercote od północy.

– Czy wraz z innymi przysięgłymi widziałeś wzmiankowany majątek? – Głos Sędziego Najwyższego był wątły, podobnie jak i jego figura. Z twarzy przypominał węża, tym bardziej że miał zwyczaj powoli przekreślać głowę i wpatrywać się w osobę, której zadawał pytania, co sprawiało wrażenie, że jeśli usłyszy kłamstwo, to zaatakuje podsądnego jak zmija żabę.

– Tak jest, milordzie, i możemy według naszej najlepszej wiedzy potwierdzić, że lord Wolvercote otrzymywał dochody i świadczenia. Zmarł z dala od majątku, ale jesteśmy zgodni, że przez cały czas był jego właścicielem i że po śmierci majątek przejęła jego matka, która wcześniej mieszkała w dziedzicznym dworze w parafii Shepton.

– Mamy odpowiedź na pierwsze pytanie – ucieszyła się Emma. Widząc pytającą minę Adelii, wyjaśniła: – Są tylko dwa pytania. Nakaz *Morte d'Ancestor* dopuszcza tylko dwa pytania... Dłużej tego nie zniosę, chyba zaraz zemdleję.

Nagle rozległ się nowy głos, tym razem kontralt, równie wyczuwalny z emocji jak słowa De Luciego, ale o wiele piękniejszy:

– Mój syn został bezprawnie powieszony za zdradę przez króla, któremu wszyscy służycie.

Spojrzenie Sędziego Najwyższego nieznacznie skierowało się w stronę krzesła wdowy dziedziczki.

– Wedle mojej wiedzy syn pani został powieszony za morderstwo, a nie za zdradę. Temat ten jednak nie jest przedmiotem naszych dzisiejszych rozważań. Jako kobieta nie ma też pani prawa odzywać się podczas tego sądu. Proszę zgłaszać uwagi przez swych doradców.

Jego interwencja spowodowała zamieszanie wśród prawników otaczających krzesło

wdowy. Najstarszy z nich zaczął coś żywo szeptać jej do ucha. Ostrzegawczym gestem położył dłoń na jej ramieniu, ale strzepnęła ją jednym gestem białego palca.

Sędzia Najwyższy jeszcze nie skończył:

– Mistrzu Thomasie, trzykroć wzywaliśmy twoją klientkę do stawiennictwa, i dopiero teraz usłuchała wezwania.

– Nie uznaję władzy tego sądu – zadzwieczał w odpowiedzi głos wdowy dziedziczki.

Tym razem dłoń Mistrza Thomasa na dobre spoczęła na ramieniu kobiety, nie pozwalając się zepchnąć.

– Milordzie, moja klientka błaga o wybaczenie. Ta procedura jest dla niej nowością, jak zresztą dla wszystkich tu obecnych. Podeszły wiek zaćmił jej umysł.

W tłumie rozległy się pomruki pełne współczucia. Wdowa dziedziczka pochodziła w końcu z Somerset, z hrabstwa, którego mieszkańcy uważają, że sąsiednie Devonshire to już zagranica.

– Czego od niej chcecie? – krzyknął jakiś głos. – Przyjeżdżacie tu z tego waszego Londynu, żeby na śmierć zamęczyć biedną staruszkę.

De Luci zignorował ten okrzyk.

– A teraz, sir Richardzie...

– Dobry Boże, zaczyna się. – Emma boleśnie ścisnęła ramię Adelii. – Teraz zada drugie pytanie.

– ...czy możesz zaświadczyć, że powód jest spadkobiercą lorda Ralpha z Wolvercote?

Sędziowie pod baldachimem poruszyli się niespokojnie.

Prawnik wdowy dziedziczki wystąpił naprzód.

– Milordzie, moja klientka protestuje. Jest gotowa przysiąc, że matka powoda nie zawarła związku małżeńskiego z jej synem i że zatem powód jest bastarden lub oszustem, lub i jednym, i drugim.

Uwaga tłumu skupiła się na chłopczyku siedzącym na krześle. Widać było, że niezrozumiała dla niego ceremonia trochę go już nudzi, bo wyjął z rękawa kawałek sznurka i zaczął rozpinać go na palcach, bawiąc się w kocią kołyskę.

Emma i Adelia spojrzały na siebie z rozpaczą.

Wdowa dziedziczka w zasadzie miała rację; zgodnie z prawem, panna młoda musiała dobrowolnie zgodzić się na zawarcie małżeństwa, a Emma nigdy takiej zgody nie wyraziła. Zatem nie można było jej uznać za mężatkę. Lord Wolvercote porwał ją dla pieniędzy z klasztoru w Oxfordshire, gdzie pobierała nauki, i postawił przed obliczem przekupionego księdza. Nigdy nie zgodziła się na ślub, a dręczyciel musiał siłą stłumić jej protesty, bo

inaczej ceremonia by się nie odbyła.

W związku z tym Pippy był nieślubnym owocem gwałtu.

Nadeszła kolej Mistrza Dickona. Prawnik wystąpił naprzód – widać było, że czerpał wyraźną przyjemność ze swego przemówienia. Adelia zauważyła, że jego londyński akcent stał się mniej rażący.

– Milordzie, przedstawiliśmy ławie przysięgłych świadka oraz zaprzysiężone oświadczenie z niepodważalnego źródła, że małżeństwo faktycznie doszło do skutku i że mój klient urodził się w dziewięć miesięcy później.

– Czy przedstawiono świadka i oświadczenie? – De Luci zwrócił się do przysięgłych.

Sir Richard poruszył się niespokojnie.

– Tak było, milordzie, ale chcielibyśmy wysłuchać go jeszcze raz, by poznać twoje zdanie.

– Moje zdanie tu się nie liczy, to wy macie rozważyć prawdziwość dowodów. Zgadzą się jednak na powtórne wysłuchanie świadka.

Pomocnik Mistrza Dickona zanurkował w tłum i powrócił, prowadząc niedużego człowieczka w długich szatach duchownego.

Dickon przedstawił go sędziemu:

– Oto ojciec Simeon, milordzie, duchowny z Oksfordu, który poświadczy, że udzielił ślubu świętej pamięci lordowi Wolvercote'owi oraz Emmie, córce Mistrza Bloata, kupca winnego z Abingdon.

– O Matko Boska, nie mogę na niego patrzeć – szepnęła Emma. – To rzeczywiście on, to on wypowiedział te słowa.

Na samo wspomnienie zrobiło jej się niedobrze.

Lord Wolvercote, pragnąc zagarnąć majątek Emmy, wybrał szczególnego rodzaju duchownego. Ojciec Simeon był jednym z wyrzutków Kościoła, którzy straciwszy parafię lub inne stanowisko, wędrowali po świecie, pożywiając się u stołów dobrych ludzi i udzielając błogosławieństw wszystkim, którzy byli gotowi postawić im kufel ale. Jego tunika lepiła się z brudu, tonsury prawie nie było widać spod szczeciniastych odrostów. Do tego trząsał się cały, nie wiadomo czy z nerwów, czy ze starości, czy też z nadmiernego zamięłowania do alkoholu; pewnie z wszystkich tych powodów po trosze.

Skąd Mistrz Dickon go wytrzasnął, zdziwiła się Adelia. Czy warto było aż tak się trudzić? Ten człowiek nie wyglądał na wiarygodnego świadka.

Jednakże ojciec Simeon wyciągnął zza pazuchy jakiś dokument, równie niechlujny, jak on sam, na dowód, że w odległej przeszłości wyświęcono go na księdza.

– Musi potwierdzić, że małżeństwo było zgodne z prawdą – tłumaczyła Adelia – bo inaczej przyzna, że dokonał nielegalnej ceremonii.

– Ale czy mu uwierzą? Może będą chcieli zobaczyć jakieś papiery? Nie pamiętam, żeby spisywano wtedy jakiś certyfikat, zresztą ten wieprz pewnie nawet nie potrafi pisać – szeptała Emma.

Ponieważ niektórzy sędziowie przysięgli byli niepiśmienni, odczytano na głos świadectwo, że ojciec Simeon należy do stanu duchownego, a potem przedłożono je sędziemu.

Tłum przysłuchiwał się z uwagą; sprawa sądowa okazała się równie pasjonująca, jak sąd boży. De Luci skinął głową i Mistrz Dickon zaczął przesłuchiwać świadka.

Czy w dzień świętego Vintuli roku Pańskiego 1172 ojciec Simeon udzielił ślubu Ralphowi, lordowi Wolvercote'owi i Emmie Bloat?

Duchowny dygotał coraz silniej. Trzeba było mu przypomnieć, że powinien udzielić odpowiedzi.

– Tak, tak – wykrztusił. – Udzieliłem im ślubu. Lord Wolvercote... Tak, doskonale pamiętam, poprosił, żeby dać ten ślub i ja się zgodziłem.

– Czy małżeństwo zostało zawarte zgodnie z prawem tego kraju?

– Tak, oczywiście. Pamiętam jak dziś.

Mistrz Dickon skinął głową sędziemu i oddał świadka do dyspozycji elokwentnego Mistrza Thomasa.

Czy ojciec Emmy Bloat był obecny na ceremonii i oddał swą córkę mężowi? A jeśli nie, to dlaczego? Czy wszystkich formalności dopełniono zgodnie z prawem? Czy na drzwiach kościoła wywieszono zapowiedzi? Dlaczego lady Wolvercote nie została poinformowana o ślubie swego syna?

– Strasznie wtedy śnieg padał, panowie – tłumaczył ojciec Simeon. – Padało i padało, pamiętam jak dziś. Ludzie nie mogli przejechać przez zasy... Ja sam... Na pewno przybiłem zapowiedzi na drzwiach, ale ten śnieg... tak, na pewno je przybiłem. Wszystko przez ten śnieg.

– Czy byli przy tym świadkowie? – zapytał Mistrz Thomas, posługując się łacińskim zwrotem *testes adfuerunt*.

– Co? – spytał ojciec Simeon, rozdziawiając gębę.

Adelia jęknęła.

Z eleganckim gestem dłoni Mistrz Thomas zwrócił się do sędziego.

– Czy mamy wierzyć temu oto człowiekowi?

De Luci popatrzył na członków ławy przysięgłych.

– Czy mu wierzycie?

Sir Richard porozumiał się ze swymi towarzyszami.

– No cóż, jest trochę... jego pamięć, milordzie...

Mistrz Dickon wystąpił ponownie, wymachując trzymanym w ręku dokumentem.

– Milordzie, gdyby to okazało się pomocne dla sądu, mam tu oświadczenie pod przysięgą matki przełożonej opactwa Godstow w hrabstwie Oxfordshire, damy znanej z pobożności i uczciwości. Ze względu na podeszły wiek nie mogła przybyć osobiście, za co uniżenie przeprasza. Jest w pełni władz umysłowych. Jej oświadczenie zostało już odczytane ławie przysięgłych, ale być może zechcesz je przyjąć, lordzie.

Lord zechciał, więc podano mu dokument.

– Dobry Boże – szepnęła Adelia. – Matka Edyve. Ale w jaki sposób? Kto tego dokonał?

Oxfordshire leżało przecież bardzo daleko, a czasu było mało...

– Król – wyjaśniła Emma. – Myślałam, że wiesz. Gdy tylko otrzymał twój raport, wysłał swoich ludzi, by znaleźli tego podłego księdza. Inni posłańcy pojechali do matki Edyve po to oświadczenie. Mistrz Dickon twierdzi, że król prawdopodobnie ucieszył się ze sposobności posłużenia się nakazem *Morte d'Ancestor* w moim przypadku. Strasznie jest dumny z tego prawa. Podobno razem z Richardem De Luci głowili się nad nim przez niejedną bezsenłą noc. W każdym razie tak mówi Mistrz Dickon.

A więc dlatego Henryk Plantagenet puścił oko do swego sekretarza. Figlarz jeden. Wszystko sobie wcześniej poukładał, ale pary z ust nie puścił o swoim nadzwyczajnym edykcie...

– Zabiję go – oświadczyła Adelia.

Sędzia Najwyższy Anglii zaczął czytać:

„Matka Edyve, przełożona opactwa Godstow, zaświadcza niniejszym, że wkrótce po domniemanym małżeństwie młoda para brała udział w obchodach Bożego Narodzenia w jej opactwie, i lord Wolvercote w jej obecności zwracał się do matki powoda mówiąc: żono”.

Wszystko to szczerą prawdą, ale czy nie za daleko idąca?

Adelia ścisnęła Emmę za ramię równie mocno, jak Emma gniotła w palcach jej dłoń.

Richard De Luci uniósł głowę, przypominającą łeb płaza.

– Muszę zgłosić mój osobisty interes w tej sprawie. Znam matkę przełożoną opactwa Godstow.

– Czy to dobra kobieta, mój panie? – zapytał sir Richard.

– Bardzo dobra, zaiste.

– A zatem uznamy ją za taką. – Sir Richard powiódł wzrokiem po potakujących członkach ławy przysięgłych.

– Milordzie, uznajemy zatem, że świętej pamięci lord Wolvercote zawarł zgodnie z prawem małżeństwo z matką powoda i że lord Philip z Wolvercote jest legalnym potomkiem z tego związku, czyli dziedzicem Wolvercote ze wszystkimi przyległościami i prawami.

Mistrz Dickon, nie dbając o godność prawniczą, wydał dziki okrzyk radości. Adelia i Emma padły sobie w ramiona. Nowy lord Wolvercote podniósł wzrok znad splotów sznurka, zdziwiony nagłym hałasem. Wdowa dziedziczka Wolvercote nawet nie drgnęła. Zagniewany Mistrz Thomas rzucił kapelusz na ziemię, ale po chwili podniósł go, włożył na głowę i zaczął coś tłumaczyć swojej klientce. Ta jednak tkwiła nieruchomo na miejscu, jakby ogłuchła albo zmieniła się w kamienną rzeźbę.

– Po otrzymaniu zadowolającej odpowiedzi na obydwa pytania zawarte w edykcie – kontynuował De Luci – sąd postanowił bezzwłocznie zezwolić powodowi na zajęcie majątku Wolvercote.

Mówiąc te słowa, powstał z miejsca.

Nad polaną wzniosł się melodyjny kontralt lady Wolvercote.

– Nie uznaję tego sądu ani jego wyroku. A ty, De Luci, jesteś marionetką Plantageneta.

Tłum wydał okrzyk zdumienia, a Mistrz Thomas, przekrzykując zamieszanie, złożył w imieniu swej klientki prośbę o udzielenie czasu na wywiezienie z majątku osobistych przedmiotów.

Ale Sędzia Najwyższy Anglii już odszedł.

Mistrz Dickon przepychał się przez tłum ku Emmie i Adeli. Emma odwróciła się i ucałowała go w oba policzki. Po chwili pojawił się też Roetger – ucałowała także i jego. Dopiero potem wbiegła na polanę, wzięła synka na ręce i podniosła go wysoko.

– Wygraliśmy, Pippy! Świetnie sobie poradziłeś.

Mistrz Dickon otarł pot z czoła.

– Było kilka trudnych momentów – oświadczył. – Ale gdy wdowa dziedziczka powiedziała, że nie uznaje tego sądu, wiedziałem już, że wygramy. Sędziowie nie lubią takiego zachowania.

– Czy to już wszystko? – zapytała Adelia. – Emma już wygrała i może wprowadzić się

do dworu?

– W każdej chwili – odpowiedział młody prawnik. – Naturalnie, będzie bezpieczniej, jeśli pojedzie w towarzystwie bajlifów. Ale to jeszcze nie koniec. Wdowa dziedziczka będzie na pewno apelować, podważając fakt zawarcia małżeństwa i prawe pochodzenie chłopca. Ale na to jest jeszcze czas. Czeka nas sporo pracy. – Mistrz Dickon zatarł dłonie, myśląc o czekających go zarobkach.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Naprawdę, pani? – Dickson rozłożył ramiona, zwracając się w stronę polany, którą opuszczali ostatni widzowie. Pozostała na niej jedynie wdowa dziedziczka, patrząc z góry na tłum prawników, jakby byli karłami. – Nie było rozlewu krwi, prawda? Lady Emma nie potrzebowała siłą dochodzić praw swojego syna, a wdowa dziedziczka również nie użyła siły, by bronić praw, które sobie przypisuje. Nie było żadnej walki. Nikt nie jest ranny. Wystarczył nakaz królewski. Tymczasowe rozporządzenie, dzięki któremu ewidentny spadkobierca wchodzi w posiadanie majątku na czas, gdy sprawa będzie toczyć się w sądzie. Dzięki temu nikt nie naruszy pokoju, rozumie pani?

– Teraz rozumiem.

– Baronom to się oczywiście nie podoba, bo ogranicza władzę ich sądów, udostępniając każdemu prawo powszechne, ale dzięki Bogu, nie są gotowi do walki przeciw królowi. Och, Henryk to naprawdę sprytny prawodawca.

– To prawda – przytaknęła i po krótkiej chwili dodała: – Mistrzu Dickonie, czy mogę prosić o pióro i inkaust? Muszę napisać list do króla.

Gdy jechali drogą ku nowej siedzibie Pippy’ego, czysty sopran Emmy wzbijał się pod błękitne niebo. Wtórowały mu głosy ptaków, harfa jej barda, tremolo jej syna, *basso profundo* Roetgera i stukanie końskich kopyt.

*Chłopcy, dziewczęta, dalej spieszmy wraz,
Gazie maik zielony czeka w wiosny czas.*

Adelia kołysała się w siodle do rytmu, a siedząca za nią Millie uśmiechała się, przyłączając się do ogólnej radości, choć nie słyszała tonów pieśni.

Emma przerwała piosenkę, pochyliła się i dotknęła kolana ukochanego.

- Nigdy go nie przyjął, nigdy się na to nie zgodziłam, kochany.
Roetger ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.
– Wiem o tym. Zawsze byłaś bardzo dzielna.

*Niech każdy chłopiec z panną zatańczy wokół,
A minstrel na flecie przygrywa wesoło.*

Emma znowu przerwała.

- Tak więc wiele skorzystaliśmy na kłamstwie tego starego księżula.
– Wcale mnie to nie martwi – odparł Roetger.
– Wreszcie jakaś sprawiedliwość dla kobiet – dodała Adelia.

*Niech Willy dłoń poda Jane,
Niech Stephen chwyci Joan...*

A Rowley Adelię, pomyślała radośnie. Chociaż właściwie to się nie rymuje.

*I tańczmy dokoła, dokoła, dokoła
Po wonnej majowej rosie.*

Z przeciwnej strony zbliżała się jakaś kawalkada. Rhys położył dłoń na strunach harfy, by ją uciszyć. Wszyscy zamilkli i zjechali na skraj drogi, by przepuścić zbliżających się jeźdźców, jakby to był orszak pogrzebowy.

Wdowa dziedziczka siedziała wyprostowana, w eleganckiej pozie, na grzbiecie pięknej gniadej klaczy, wpatrując się przed siebie. Za nią jechały dwa wozy wyładowane meblami, wśród których sterczały szkarłatno-srebrne flagi bitewne rodu Wolvercote'ów. Z tyłu służący, konno i na mułach, pędzili przed sobą bydło i gęsi. Wszyscy wieźli swoje rzeczy – jak uchodźcy.

Nic dziwnego, pomyślała Adelia. W pewnym sensie są uchodźcami. Zrobiło jej się ich żal – wszystkich, z wyjątkiem morderczyni na czele pochodu.

Jednak Emma wyjechała na spotkanie swej teściowej.

– Mogłaś jeszcze zostać – powiedziała spokojnie. – Dokąd się udajesz?

Równie dobrze mogła być słupkiem wbitym w kurz drogi. Wdowa dziedziczka nawet nie rzuciła na nią okiem, jej koń ominął przeszkodę, nie zmieniając rytmu, i poszedł dalej.

– Mój Boże – szepnęła Emma, patrząc w ślad za nią.

Rhys uderzył w struny harfy.

– Żadne „mój Boże”, moja pani. Zaśpiewaj nam znowu.

*Jedni szli godnie, inni zwlekali,
a inni biegli przez trawy.
Lecz wszyscy po tuzinie całusów dostali
Na poczet kolejnej zabawy.*

Adelia wyobrażała sobie, jak radosne głosy jej towarzyszy brzmią w uszach kobiety, która ich przed chwilą minęła, i jak wielki ból jej sprawiają. Choć był to mizerny odwet za tych sześć martwych ciał, które niegdyś złożono w leśnej mogile, a niedawno pochowano na nowo na cmentarzu w Wells, odczuła jednak odrobinę satysfakcji.

Już z daleka widzieli łunę nad Wolvercote; powietrze nad dworem wibrowało od żaru. Zanim zorientowali się, co się stało, i puścili konie galopem, w miejsce łuny pojawił się czarny dym.

Dwór stał w płomieniach; dach załamał się i runął na budynek. Służba biegała z wiadrami w rękach do fosy i z powrotem, ratując pozostałe zabudowania. W powietrzu krążyły zdezorientowane gołębie, nie mogąc wylądować na gołębniku, który strzelał iskrami jak wiejskie ognisko. Stodoła spłonęła w jednej chwili, odsłaniając kamienny kościółek, do którego ogień na razie nie doszedł.

Nie można było nic zrobić. Wiadra wody nie zagasiłyby tego piekła płomieni. Jeźdźcy mogli tylko stać z boku i patrzeć.

– Ta wiedźma podłożyła ogień przed odjazdem – stwierdził rycerz.

Adelii było szkoda tego starego, uroczego domu, który przypominał morską muszlę, bo każdemu, kto chciał słuchać, szumiał o swej historii. Teraz fale historii miały ucichnąć na zawsze.

Ludzie z wiadrami w rękach stali nieruchomo, bezradni wobec żywiołu.

– Ojej, ojej – biadolił Rhys. – Wielka szkoda się stała. Wielka szkoda.

Emma odparła zdecydowanym tonem:

– Nie, Rhysie, wcale nie szkoda. – Z uśmiechem zwróciła się do Roetgera: - I tak kazałabym zburzyć ten dom. Nie mogłabym mieszkać w tym samym miejscu, co on. Albo ona.

– Odbudujemy go – odparł Roetger.

– Tak, będzie nowy i jeszcze piękniejszy. Prawda, Pippy? Wszystko będzie nowe.

Po krótkim pożegnaniu Adelia wraz z Millie ruszyły do Glastonbury.

Wszędzie czuło się atmosferę nowości. Powietrza nie psuły wyziewy martwych ciał, bo wycięto drzewa, na których wisały zwłoki. Między drogą a skrajem lasu ciągnął się szeroki pas poręby. Kobiety zbierały gałęzie w fartuchy i zanosiły je mężczyznom, którzy rąbali drewno na opał. Wszyscy uśmiechali się do Adelii i Millie, które machały do nich na powitanie.

Na zakręcie tuż przez Glastonbury obie zsiadły z konia. Adelia pochyliła się, podniosła z ziemi liść i podała go Millie, mówiąc:

– Dla Gylthy.

Starła się wyraźnie wymówić imię piastunki, lekko wysuwając język przy dźwięku „th”. Millie nauczyła się tego słowa, bo Adelia powtarzała je przy niej, dotykając ramienia Gylthy. Była nadzieja, że dziewczyna nauczy się też kolejnych słów. Tylko jak jej powiedzieć, że dalej ma iść sama? Pokazała na słońce i udała, że przesuwa je nieco na zachód, a potem na niby przesłała całusa dziecku tulącemu się do jej kolan.

– Pozdrów Allie. Powiedz jej, że zaraz przyjadę.

Millie kiwnęła głową i zaczęła schodzić ze wzgórza. U jego stóp Godwyn zamiatał dziedziniec przed oberżą. Podniósł wzrok, zobaczył Millie i uśmiechnął się po raz pierwszy od tragicznych wydarzeń na mokradłach.

Jest dobrze, pomyślała Adelia. Wszystko się dobrze układa.

W opactwie panowała cisza, ale na głównej ulicy miasta zaczął się już ruch: jacyś ludzie usuwali gruz, który niegdyś stanowił ściany ich domów. Zaczynała się odbudowa miasta. Z daleka zobaczyła Alfa, który fachowo ociosywał toporkiem belkę ze świeżo ściętej sosny.

Jest lepszy niż Noe, pomyślała. Była bardzo szczęśliwa.

Tak, w powietrzu czuło się atmosferę świeżości.

Wsiadła na swego wierzchowca i ruszyła drogą biegnącą wzdłuż muru opactwa, u podnóża wzgórza Tor.

Na jego zboczu jacyś jeźdźcy, przesłaniając dłońmi oczy, obserwowali lot wędrownego sokoła, krążącego po niebie. Zaszczekał myśliwski pies, wypłaszając z zagajnika stado gołębi. Sokół nad nimi wygiął się jak napięty łuk – i zanurkował. Gołębie rozproszyły się, a jeden z nich, być może zdając sobie sprawę, że to jemu zagraża największe niebezpieczeństwo, przypadł do samej ziemi, ale na nic się to zdało: sokół leciał jak strzała; wyciągnął szpony i chwycił gołębia w locie z takim impetem, że oderwał mu głowę.

Gdy Adelia dołączyła do grupy, sokół siedział już na przegubie swego właściciela; spod kaptura wyglądał tylko jego malutki, morderczy dziób, lśniący jak stal.

– Dzień dobry, milordzie.

Sokolnik troskliwie przesadził ptaka na rękawicę giermka i kazał swym ludziom zaczekać na niego.

– Mamy z tą damą pewne prywatne sprawy do załatwienia – oświadczył, po czym wraz z Adelią ruszył w górę ścieżki.

– Masz okropny charakter, kobieto. Naucz się nad nim panować – powiedział na powitanie Henryk Plantagenet.

Adelia była ciekawa, co o niej myślą członkowie królewskiego dworu.

– Tak, Wasza Wysokość. Przepraszam, Wasza Wysokość.

– Podobno lady Wolvercote wygrała sprawę *Morte d'Ancestor*.

– Ale za to straciła dom.

Adelia opowiedziała mu o zemście wdowy dziedziczki.

– Aha – odparł król i wyraźnie poweselał. – Kolejna robótka dla prawników. Gdzie jest ta grotta?

Wcale niełatwo było ją odnaleźć. Eustace został należycie pogrzebany, gromada powróciła do normalnego życia, więc wszelkie ślady ludzkiej obecności zniknęły. Wszystkie gęste krzewy porastające skałę były do siebie podobne. Po kilku pomyłkach udało jej się wreszcie natrafić na właściwe miejsce: odgarnęła gałęzie i dojrzała wejście oraz mężczyznę, który ich tam oczekiwał.

– Dzień dobry, Mansurze – powitał go Henryk.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość.

Wewnątrz grotty magia elfów zrobiła swoje i wszyscy zamilkli.

Król rozejrzał się wkoło, nakreślił znak krzyża na piersi i przedostał się przez dziurę w ścianie celi. Po chwili Adelia poszła w jego ślady.

Zatopiony w modlitwie władca klęczał przed szkieletem jednego ze swych poprzedników. Zielony blask sączący się przez szczelinę w skale oświetlał obu, rozjaśniając

spokojne wody sadzawki u ich stóp.

Adelia patrzyła na tę scenę ze łzami w oczach.

Czy ty także przejdziesz do legendy? Nie, Kościół się o to postara. Wszystkie pokolenia, na co dzień korzystające z twojej spuścizny, będą pamiętać cię tylko jako zabójcę Becketa.

W końcu Henryk II powstał i odchrząknął, jakby i on był bliski łez. Dźwięk odbił się echem od ścian grotty.

– Niewysoki jest, co?

– Pewnie był Celtem – niewysokim i ciemnowłosym.

– Musiał też być nie lada wojownikiem. Popatrz na te rany. Teraz już spoczywa w pokoju.

– Tak.

Ale oczyma wyobraźni widziała już te tysiące pielgrzymów, odwiedzających grootę, kramy z relikwiami i handlarzy stojących wzdłuż drogi – potomków kupców, których Jezus niegdyś wygnał z jerozolimskiej świątyni.

Henryk westchnął.

– *Requiescat in pace, Arturus* – powiedział i wy dostał się na zewnątrz przez dziurę.

Na polanie sięgnął po wodze koni, pijących wodę ze źródła, ale po chwili opuścił je znowu. Popatrzył w stronę Glastonbury.

– Wiecie – powiedział z zadumą – ci dranie Walińczycy przestali już mi się tak stawiać. Widać przekonali się, że moje prawa są dla nich korzystne.

– Naprawdę?

– Tak jest. – Znowu ujął wodze i ponownie je puścił. – A ten tutaj... – skinął głową w stronę grotty – ...to praktycznie karzeł. Ludzie spodziewają się giganta. Będą rozczarowani.

Adelii serce skoczyło do gardła.

– Mansurze? – odezwał się król Anglii z kolejnym westchnieniem.

– Wasza Wysokość?

– Zamuruj tę dziurę, dajmy mu spać w spokoju.

– Zaczekajcie.

Adelia wróciła do grotty, przedostała się do celi i wyciągnęła z sadzawki miecz, który Mansur tam wrzucił. Broń zaśniła w blasku dnia jak słoneczny promień. Adelia położyła ją na dłoniach i uklękła.

– Wasza Wysokość, to jest Excalibur. Należy do największego serca tej ery, czyli do ciebie. Ty jesteś królem dni minionych i przyszłych.

Oboje zeszli piechotą ze wzgórza, prowadząc za sobą konie i rozmawiając przyjaźnie.

Z cienia jałowca obserwował ich człowiek imieniem Scarry. Na króla nie patrzył, bo nie wiedział, że ten człowiek jest królem. Interesowała go tylko Adelia; wbijał w nią wzrok drapieżnego gronostaja, który gotuje się do skoku – gronostaja, który mówi po łacinie.

Od autorki

W mojej powieści „odkrycie” grobu Artura i Ginewry w Glastonbury następuje o czternaście lat wcześniej, niż opisują to kronikarze, którzy twierdzą, że było to w roku 1190. Mam jednak po temu powody. Mnichom z Glastonbury przypisuje się przecież także odnalezienie Excalibura, który bez wątpienia trafił do rąk Henryka II przed jego śmiercią, która nastąpiła w 1189 roku. Połączyłam więc te dwa wydarzenia. Excalibur był w owych czasach znany jako Caliburn, ale posłużyłam się jego współczesną nazwą.

Henryk przesłał Excalibur w prezencie swojemu przyjacielowi i przyszłemu zięciowi, królowi Sycylii. Gdy zapytałam o jego dalsze losy Johna Juliusa Norwicha, historyka i badacza normañskiej Sycylii, powiedział, że nic o nim nie wie. Ciekawe jednak, że w regionie wulkanu Etna wciąż żywa jest tradycja arturiañska.

Naturalnie, nikt nie wie, jak naprawdę wyglądał Excalibur, więc opisując go, korzystałam z wiedzy i źródeł będących w posiadaniu mojego dobrego przyjaciela, nieżyjącego już Ewarta Oakeshotta, którego po obu stronach Atlantyku uznawano za autorytet w dziedzinie broni średniowiecznej.

Nie należy się dziwić, że miecz z epoki arturiañskiej, czyli z połowy VI wieku n.e. lub wcześniejszy, przetrwał nietknięty przez kilka wieków. Tysiące takich mieczy wydobywano z torfowisk lub dna rzek, gdzie zachowały się w doskonałym stanie. Cytując fragment z książki Ewarta Oakeshotta *Records of the Medieval Sword* (The Boydell Press 1991): „Miecz całkowicie zanurzony w głębokim błocie, pozbawionym kamieni lub resztek organicznych, które mogłyby uwięzić cząstki tlenu lub pozwolić na przenikanie tlenu w głąb warstwy błota, na początku pokrywa się cały warstwą rdzy, ale następujące z czasem reakcje chemiczne tej rdzy z cząstkami zawartymi w błocie powodują powstanie na powierzchni metalu warstwy ksantocyderytu, która jest twarda jak krzemień i zapobiega dalszej korozji. W związku z tym archeolog lub poszukiwacz skarbów, uzbrojony w wykrywacz metali, dostaje do rąk doskonale zachowaną broń, nierzadko w nieskazitelnym stanie. Tę warstwę, czy też patynę, można usunąć za pomocą materiałów ściernych, co wymaga długiej, cierpliwej pracy...”

W mojej książce Roetger czyści Excalibur za pomocą kwaskowych konfitur i wcale nie jest to aż tak dalekie od rzeczywistości, jakby mogło się wydawać. Kiedyś, gdy zwiedzałam prywatną kolekcję Ewarta, pokazał mi nieprawdopodobnie stary, cudowny miecz, wydobyty z torfowiska w Kencie, który doprowadził do idealnego stanu, tak że z pewnością rozpoznałby go wiking, który był ongiś jego właścicielem. Najpierw próbował

usunąć patynę sokiem cytrynowym, potem zastosował ocet, ale bezskutecznie. „Wiesz, co w końcu podziałało? Butelka sosu Worcestershire!” – obwieścił z triumfem. No cóż, niech mi producenci wybaczą, ale dla mnie ten sos to po prostu wodniste konfitury.

Legenda arturiańska przez wieki obrosła różnymi opowieściami, dlatego też starannie omijałam wszelkie wzmianki o Świętym Graalu, Lancelocie i związku z Ginewrą, które stanowią jej późniejsze uzupełnienia.

Celowo zmieniałam datę wielkiego pożaru, który zniszczył opactwo Glastonbury w 1184 roku; w mojej książce stało się to osiem lat wcześniej.

Po pożarze do wszystkich kościołów rozesłano prośby o wsparcie, a mnisi rozjechali się po całej Europie, prowadząc zbiórkę pieniędzy na odbudowę katedry – nie ma nic nowego pod słońcem, nawet kampanie marketingowe były znane już w średniowieczu.

Przy okazji wspomnę też, że ponieważ piramidy, między którymi odkryto „grób Artura”, już nie istnieją, zaczerpnęłam ich opis z pism XII-wiecznego kronikarza Williama z Malmesbury, który oglądał je osobiście podczas pobytu w katedrze.

Szkielety dzieci rzeczywiście znaleziono na mnisim cmentarzu. Można się tylko domyślać, skąd się tam wzięły.

Za to wciąż istnieje tunel, którego wejście znajduje się w piwnicy XIV-wiecznego hotelu George and Pilgrims w Glastonbury. Mój XII-wieczny zajazd Pielgrzym umieściłam w tym samym miejscu, bo zakładałam, że zawsze była tam taka czy inna oberża dla przyjezdnych. Nie wiadomo, gdzie znajduje się drugi koniec tunelu, ponieważ został zasypany w połowie, gdzieś pod High Street, i nigdy nieodkopany. Prawdopodobnie prowadził niegdyś na tereny opactwa.

Może warto wspomnieć, że w XII wieku nie istniało stanowisko biskupa St Albans, choć obecnie jest inaczej. Moja postać jest zatem całkowicie fikcyjna. Jednakże spór między opactwem Glastonbury a stolicą biskupią w Wells jest faktem historycznym; ostra rywalizacja między nimi toczy się od wielu wieków.

W owych czasach tytuł doktora przysługiwał filozofom i akademikom, a nie medykom, ale posłużyłam się nim dla jasności (w polskim tłumaczeniu zastąpiono go tytułem „medyk” – red.).

Tradycja sądu bożego w sporach majątkowych przetrwała długie wieki, choć po wprowadzeniu reform prawnych przez Henryka II zaczęła powoli zanikać. Ostatni znany przypadek wydarzył się w czasach Elżbiety I. Dopiero w XVIII wieku, za panowania Jerzego III, usunięto go z kodeksów prawnych.

Jeśli chodzi o postać brata Petera, to wciąż toczą się spory, czy benedyktyni – bo do

tego zakonu należeli mnisi z Glastonbury – korzystali z pomocy braci świeckich przy cięższych pracach, ale zapewniono mnie, że w niektórych przypadkach tak było.

Do niedawna przypuszczano, że choroba, powszechnie uważana w średniowieczu za trąd, była w istocie kilkoma innymi schorzeniami powodującymi zniekształcenia ciała. Ostatnio jednak nowe metody badania kości znajdujących na cmentarzach w dawnych leprozoriach wykazały, że około siedemdziesiąt procent zmarłych cierpiało na trąd właściwy.

Co do nakazu *Morte d'Ancestor*, tych dwunastu sprawiedliwych uczestniczących w procesie nie było w ścisłym technicznym sensie ławą przysięgłych w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Stanowili oni *assize*, czyli grupę ludzi zaznajomionych z realiami danej sprawy. Dla jasności jednak nazwałam ich ławą przysięgłych.

Od czasu do czasu jestem krytykowana za to, że moje postaci posługują się współczesnym językiem. Pamiętajmy, że mowa mieszkańców XII-wiecznej Anglii była jeszcze mniej zrozumiała niż angielszczyzna z czasów Chaucera, szlachta posługiwała się dialektem francuskim używanym w Normandii, a kler mówił po łacinie. Ponieważ języki te brzmiały wspólnie dla ludzi z owej epoki, uważam, że ich mowa powinna być dla nas równie zrozumiała, tym bardziej że nienawidzę stylizacji historycznej w powieściach, czyli tak zwanego „mociumpanowania”.

Podziękowania

Znajomość walijskich zwrotów, których użyłam w książce, zawdzięczam Alanowi Jonesowi z Datchworth, który zaznajomił mnie z tym „rajskim językiem „. Dziękuję, Alanie.

Jak zwykle jestem niezmiernie wdzięczna niezwykle sprawnej ekipie redakcyjnej z wydawnictwa Putnam, a szczególnie mojemu wydawcy Rachel Kahan. Czasem tylko marzę sobie, by Rachel i moja równie wspaniała agentka Helen Heller nie upierały się przy swoich racjach z takim zaangażowaniem.

Dzięki wspaniałej krynicy wiedzy, jaką jest London Library, udało mi się umknąć wielu błędów historycznych.

Nie wiem, czy zdołałabym napisać tę książkę bez pomocy mojej córki Emmy, która wspiera mnie w sprawach finansowych i praktycznych, oraz bez mojego męża Barry'ego, który nieraz rezygnował ze swoich zajęć, by towarzyszyć mi podczas wyjazdów do miejsc, opisywanych w książce.